



N^o 548. :



II. 1895 v

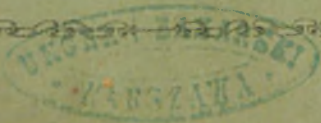
WARSZAWA
I JEJ SPOŁECZNOŚĆ
W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

PRZEZ

K. WŁ. WÓJCICKIEGO.

Wydanie Redukcyi Biblioteki Warszawskiej.

WARSZAWA.
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.
—
1875.



WARSZAWA

I JEJ SPOŁECZNOŚĆ.

II 1295 "U"

WARSZAWA
I JEJ SPOŁECZNOŚĆ
W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

PRZEZ

K. WŁ. WÓJCICKIEGO.



Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W A R S Z A W A.
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1875.

94 (438) Warszawa 72 (438) Warszawa
943 (438) Warszawa



nr. 395

Дозволено Цензурою
Варшава 11 Декабря 1874.



~~II. 1895~~
"V"

Druk J. Bergera, w Warszawie ul. Daniłowiczowska Nr 612.

~~16 271/46.~~

BZOBPK/041-11

W S T Ę P.

Druga połowa naszego stulecia dobiega, gdy się wiek XIX-sty rozpoczął: z téj właśnie doby od 1800 do 1830 pragniemy skreślić tak wizerunek Warszawy jak i jéj społeczności, zostawiając innym późniejsze lata.

W żywéj pamięci mamy wyryte te czasy, boć to gniazdo rodzinne, w którém wedle dawnéj piosnki „przeskakałem wiek młody“ i tu szron siwizny ubielił głowę.

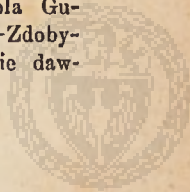
Grodzie ukochany! ten co się wykołysał na twoim bruku, rozbudza teraz w strudzonej głowie twoje i swoje wspomnienia. Myśli puszcza jak sokoły w upłynioną przeszłość, aby mu przyniosły z owego świata co w rzeczywistości zmarł, te widoki staréj siedziby, obudził te postacie, co oddawna spoczęły w mogiłach.

Ludowa powieść mówi, że kto w oznaczonej chwili na wiosnę, z wierzby co nie słyszała nigdy piania koguta, wykreśli fujarkę, a na niéj pod *figurą* przy rozstajnych drogach, o saméj północy w wigilię sw. Jana, gdy *paproć* kwitnie, zagra: to na to granie, mogiły się otworzą, zmarli oddawna zmartwychwstaną w swéj własnéj postaci, żyć zaczną dawném życiem i mówić poczną jak kiedyś mówili.

Niestety! nie znamy tak cudownego narzędzia, ale przy Bożéj pomocy, gdy myśl się uskrzydli i odmłodzi drogiém wspomnieniem, może choć w części odpowie pragnieniom naszym i doda siły do wiernego malowidła, co opona półwiekowa, cieniem swoim pokryła.

I.

Zewnętrzna postać miasta.—Obszar Warszawy.—Stare Miasto.—Rynek.—Ratusz miejski.—Processya Bożego Ciała.—Zajęcie Warszawy przez Karola Gustawa.—Jan Kazimierz.—Szturm do miasta.—General Wirtemberg.—Zdobycie.—Bitwa pod Pragę.—Zajęcie powtórne przez Szwedów.—Zburzenie dawnych fortyfikacyj — Czasy księstwa Warszawskiego.



Wszystkie cechy średniowiecznego grodu nosiła na sobie Warszawa, na początku bieżącego wieku: ślady nawet swoich dawnych przechowała warowni.

Nie wielką też przestrzeń zajmowało samo miasto, lubo przedmieścia nie zabrukowane, zbudowane z rzadka małymi drewnianymi dworkami, daleko się rozciągały.

Przybywający od strony przedmieścia *Pragi*, miał przed oczyma do razu rozwinięty piękny obraz dawnej stolicy, wzniesionej na wzgórzu po nad Wisłą.

Z téj strony widok Warszawy mało się odmienił: żadna wyniosła wieża kościelna nie wybiegła po nad inne, tylko przerwa między domami wydająca; czerwone mury cytadeli zamykają z lewego wybrzeża miasto od strony Bielan.

Zniknęło dużo zieloności, gdy ogrodów wiele wycięto, a w ich miejsce, nieznane dawniej wysokie kominy fabryk, wyskoczyły po nad obszerne budynki.

Za to podróżny wjeżdżający od Mokotowa, Woli, Powązek, znajduje wielką różnicę. Obszerne niegdyś pola i pustkowia zajęły długie ulice, zabudowane wspaniałymi domami: części miasta ciche, głuche i bezлюдne, teraz pełne nieustannego ruchu i gwaru. A bywało, przebywszy już rogatki miasta, zdawało się że to długa ciągnie się wioska; gdzie niegdzie tylko zwracała uwagę kamieniczka murowana piętrowa, a jak *rarów* rzadka budowla o dwóch piętrach, i ta nosiła wtedy nazwę pałacu. Dworki drewniane zdala od siebie stojące poprzedzielane to płotami, to parkanami, ciągnęły się wzdłuż całego Nowego Świata od okopów do Wareckiej ulicy: koniec właściwego miasta był z rogiem Święto Krzyskiej.

Do dalekich wycieczek należały *Łazienki królewskie*, do których po wielkiej ulwiewie nie łatwy był przystęp dla pojazdów i dorózek, albowiem potoki wody robiły na drodze spadzistej do *mostu króla Sobieskiego*, głębokie w piaszczystym gruncie wyrwy, których ominąć nie można było, a przebyć niepodobna. Sam pamiętam, jak z przedsięwziętej wycieczki do tego ustronia, trzeba było z wielkim żalem zawracać do domu, nie ujrawszy pałacu ani parku, i nieodetchnawszy jego świeżem powietrzem.

Ulice Nowy-Świat i Aleje, był to ciąg nie przerwany ogrodów owocowych i warzywnych, które aż nadto wystarczały na ludność nie

wynoszącą ośmdziesiąt tysięcy. Dodajmy, że długie szeregi takichże ogrodów, ciągnęły się po bocznych ulicach i obszernych placach. Słynęła też w on czas Warszawa z wybornych owoców i jarzyn, które mały zarobek ogrodnikom przynosiły, z powodu ich ceny zbyt niskiej dla swój obfitości.

Warszawa straciwszy tytuł i znaczenie stolicy obszernego państwa w ostatnich latach XVIII stulecia, przeszedłszy pod panowanie pruskie, nagle zaczęła upadać. Jako miasto prowincjonalne, bez handlu i przemysłu, opuszczona przez dwór królewski, panów i szlachtę bogatszą, do razu opustoszała. Dwa wspaniałe niedawno pałace Radziwiłłowskie na Krakowskiem Przedmieściu (Namiestnikowski) i na Miodowej ulicy (poźniejszy Paca), w których za panowania Stanisława Augusta bawiono się tak ochoczo przy stołach karcjanych zasypanych złotem, przy strugach kosztownych wina, w towarzystwie pięknych pań najwyższych domów, poszły w ruinę. Tak było i z pałacami książąt Jabłonowskich (gdzie dziś ratusz), *Resursy kupieckiej* i wielą innemi.

Mieszkańców zamożnych coby dostatnio chcieli żyć w mieście, jak przed laty, zabrakło: wszystko wyniosło się na wsie do swych dworów. Urzędnicy, od posługacza do najwyższego pana radcy, sami niemcy, skromnie żyli i najtańsze zajmowali mieszkania. Obszerne apartamenta stały pustkami i wielkie domy i pałace spadły za bezcen. Dostyc powiedzieć, że ogromny dom pod filarami (dziś Dyzmańskich) wychodzący na dwie ulice Miodową i Podwałę ofiarowano za 30,000 złp. ówczesnych, a przechodni dom Rezlera na Krakowskiem Przedmieściu za 36,000 złp. i nabywców trudno było znaleźć. Nie przynosiły bowiem żadnego prawie dochodu, a utrzymanie ich i podatki wymagały ciągłych wydatków.

Główném sercem Warszawy było *Stare Miasto* wraz z Zamkiem królewskim. Rynek prostokątny zdobił starożytny ratusz, pozostałość jeszcze z okresu panowania udzielnych książąt Mazowieckich, których główną stolicą była Warszawa, jakkolwiek licząca się do daleko późniejszych grodów od Czerska, Płocka i wielu innych. Był to gmach, jak na owe czasy okazały, murowany, z wyniosłą wieżą. W około ganek żelazny dla trębaczy, u wierzchołka gałka złota z powietrznikiem, a nad nią herb miasta *Syrena*. Posadzki i schody kamienne, a idąc niemi w ścianach obustronnych tablice marmurowe, na których w wierszach łacińskich i polskich, ważniejsze zdarzenia do kroniki miasta były wyrze.

W *sądowej Izbie* i przybocznych komnatach zawieszono portrety książąt Mazowieckich i królów panujących. Pomiędzy temi odznaczał się wielki obraz przedstawiający w całych postaciach ostatnich książąt Mazowieckich Stanisława i Janusza, oraz ich siostry Anny, po których zgonie Mazowsze włączoném zostało ostatecznie do Korony. Byli to bowiem jedyni potomkowie po mieczu z linii Piastowskiej panu-

jącej na udzielném Mazowszu ¹⁾). W sądowej izbie stał posąg *sprawiedliwości* z zawiązanemi oczyma, w jednej ręce *miecz*, w drugiej *szalę* trzymający. W około murów ratusza zaległy liczne kramy i stragany: przy jednej jego ścianie od strony katedry stał pręgierz, gdzie kat ścinał mieczem skazanych lub piętnował rozpaloném żelazem. Mieszkańcy Starego Miasta wieczorem omijali go z trwogą, mówiono bowiem powszechnie i wierzo no temu, że niewinnie stracona służąca jakiejś wielkiej pani, ścięta mieczem kata, po zachodzie słońca staje na tym pręgierzu, trzymając własną głowę pod pachą, obchodzi ratusz i cały rynek w około.

Ze czterech stron zabudowanym jest rynek ten kamienicami rozmaitego kształtu i architektury. W ścieśnionych szeregach obok siebie przytulone, mają podwórza za ledwie dla światła wewnętrznych okien i to nie osobliwego przydatne, obliczone skrupulatnie na to, nie żeby dały wygodę dla mieszkańców konieczną i oddech świeżego powietrza, ale żeby jak najmniej ziemi zajmowały. I nie mogło być inaczej w pierwotnym planie, albowiem miasto całe było obwiedzione grubemi murami, warownemi bramami i basztami, mając służyć zarazem i zaksiężącą stolicę, i za bezpieczną fortecę. Jako zabytek tych fortyfikacyj pozostały do naszego okresu dwie bramy: *Krakowska* i *Nowomiejska*, które w naszych oczach zburzono.

Jak szczupłym był gród Warszawy po włączeniu już Mazowsza do Korony, dowodzi najlepiej szczegółowy opis, gdy w 38 lat później, bo w roku 1564 za Zygmunta Augusta, Stare Miasto z Zamkiem i przybocznemi ulicami liczyło wszystkiego sto pięćdziesiąt cztery kamienic muirowanych.

Rynek Starego Miasta wspaniale szczególniej wyglądał w uroczystość *Bożego Ciała*.

Po pod kamienicami, szeregami stało wojsko pod bronią, za nióm lud gromadnie. Ze czterech stron wznosiły się ołtarze.

Pod okazałym baldachinem postępował arcybiskup, otoczony orszakiem wyższego duchowieństwa i kleru. Dym wonnego kadzidła wzbijający się wśród starych murów gęstą chmurą, odgłos dzwonów katedry i pobliskich kościołów, połączone ze śpiewem pieśni pobożnej tylu tysięcy chórem wnoszonój; powaga i majestat całego obrzędu, nie startémi wspomnieniami wrył się w pamięci każdego, kto go oglądał.

Wązkie ulice wiodły w różne strony miasta: Święto Jańska i Piwna do królewskiego Zamku.

Plac przed nim dziś otwarty, zapełniały kamienice trzy i czteropiętrowe, a poza Bramą Krakowską, czyli wjeździe do téj siedziby mo-

¹⁾ Obraz ten wielce ciekawy pod względem kostiumów, współcześnie za ich życia malowany, dochował się jeszcze w nowym ratuszu Warszawy.

narszėj, już na Krakowskiém Przedmieściu, wznosił się dotąd stojący posąg Zygmunta III. Pomnik ten wzniośł syn jego Władysław IV i słusznie, bo Warszawa zawdzięcza mu swój wzrost następny, gdy z Krakowa przeniośł do niej stanowczo około roku 1610 stolicę państwa, lubo w niój już poprzednio przemieszkował. W dziejach Warszawy najwydatniejszym jest wypadek, godny zachowania, o którym zaraz powiemy, albowiem on wpłynął przeważnie na jój rozwój w następnych latach.

Kiedy w roku 1655 Karol Gustaw król szwedzki najechał Polskę, w towarzystwie Hieronima Radziejowskiego, trwoga jakby gniew Boży, taka padła na wszystkich, że co żyło w popłochu przed zwyciężkami chorągwiami najezdnika uciekało, albo się z pokorą korzyło.

Jan Kazimierz z Warszawy spiesznie uchodził, i stolica bezbronna łatwo w ręce Szwedów wpadła. Ale ci ocenili dobrze strategiczne jój stanowisko i jako silną warownię osadzili dobraną załogą.

Stanął na jój czele doświadczony generał Wirtemberg, a mając dwa tysiące wprawnego do boju żołnierza, w tak szczupłym obrębie murów, był pewnym że wszelkie pokuszenia o zdobycie Warszawy potrafi odeprzeć. Jakoż wkrótce i wypadki to poświadczyły.

Kiedy po cudownej obronie Kordeckiego *Jasnój-góry*, król Jan Kazimierz wrócił z tułaczki po obcych ziemiach i stanął na czele silnej armii, bo wraz z *pospolitém ruszeniem* wynoszącej do stu tysięcy wojska; podstąpił pod Warszawę, ażeby co rychłej stolicę ojca swego z rąk szwedzkich wyswobodzić. W pomoc mu przybyły hufce Tatarów, dwadzieścia tysięcy jeźdźców i wtedy pierwszy raz miasto nasze ujrzało ogorzałe oblicza, śniadych pohańców z małemi a błyszczącemi oczyma, w kołpakach baranich i kożuchach, te dzikie dzieci Perekopu i Krymu z szablą u boku i z sahadakami strzał pełnych na plecach.

Król założył główną kwaterę w dawnym zamku książąt Mazowieckich (*Ujazdowie*) oddalonym od Warszawy. Wkrótce nakazał szturm do miasta, gdyż spieszył na odsiecz Wirtembergowi Karol Gustaw wraz z elektorem Brandeburskim.

Za daném hasłem rzucono się ku murom warownym. Wirtemberg chciał powstrzymać pierwsze natarcie i wycieczką z *Bramy Krakowskiej* sam kierując, rozpoczął żywą walkę przy kościele *Bernardynów*, a następnie i w samym wnętrzu świątyni. Naciśniony jednak i schwytny już przez jednego z Mazurów, zaledwie, zostawiwszy pendent z pochwą od swój szabli, potrafił się wymknąć i cofnąć do miasta.

Bito się zawzięcie. Szlachta mazowiecka stawiając drabiny na mury *Bramy Krakowskiej*, daremnie zdobyć je pragnęła. Celnym ogniem piechoty szwedzkiej rażona, trupami zasała ziemię przy posągu Zygmunta III.

Generał szwedzki zmiarkowawszy że przed taką nawałą, z zapalem idącą do boju, długo nie wytrwa, wysłał trębacza z warunkami *kapitulacyi* miasta, zastrzegając sobio swobodne wyjście całej załogi

z bronią w rękę. Król dla powstrzymania rozlewu krwi i pędszego zajęcia swjej stolicy, warunki te przyjął, gdy w téjże chwili, oddział wojska z *pospolitém ruszeniem* od bramy *Nowomiejskiej* w pobliżu kościoła Paulinów, przemóglszy długi opór, wpadł do środka miasta, i przez ulicę Gołębią już dotarł w rynek Starego Miasta.

Kapitulacya wtedy znaczenia nie miała, i Wirtemberg wraz z całą załogą zmuszony broń złożyć wzięty do niewoli, osadzony w Zamóściu, tam wkrótce dokonał zycia.

Niedługą była jednakże radość z odniesionego tryumfu; zbliżał się szybkim marszem Karol Gustaw z zastępami Szwedów i Brandeburczyków.

Jan Kazimierz wystąpił na równiny poza Pragą, na ich przyjęcie.

Pierwszy dzień zapowiadał pewne zwycięstwo. Chorągiew trzystukonna kwiatu rycerstwa *hussaryi* skrzydlatéj, uderzyła na Szwedów.

Jak taran niepowstrzymany, rozbiła trzy linie nieprzyjacielskie. Karol Gustaw przewrócony z koniem zbladł z trwogi. Hufiec *hussaryi* przebija się aż do tylnéj straży nieprzyjacielskiej, ale nie poparty lekką jazdą, gdy król szwedzki oprzytomniał z przerażenia i zamknął roztwarte szeregi, otoczony, w pień wycięty został.

Błąd ten już się nie dał poprawić, po dwóch dniach następných walki, Jan Kazimierz do cofnięcia się zmuszony, a szczęśliwy zwycięzca wszedł napowrót w mury opuszczonej Warszawy.

Wtedy powziął myśl dla niéj szczęśliwą, zburzenia fortyfikacyi, niechcąc osadzeniem załogi osłabiać swych chorągwi, ani dozwolić téż nieprzyjacielowi, ażeby tu miał gród warowny, mogący zatrzymać w pochodzie niemałe zastępy.

Z niestychanym pośpiechem zwalono grube mury wzdłuż ulicy Podwale i od Wisły, ale niepodążono znieść bram warownych i baszt obronnych, bo Karol Gustaw teraz sam musiał myśleć tylko o uwiezieniu bezpieczném ogromnych łupów zdobytych w Polsce, tak w bogatych sprzętach, srebrnych i złotych naczyniach, jak przedmiotach sztuki pedzla i dłuta, a zarazem bibliotek, które spławiał berlinkami po Wiśle do Gdańska i na Bałtyk.

Teraz Stefan Czarniecki na zwycięzkich dotąd Szwedów, rzucił popłoch niezwyčajny; jak szybko posuwali się w głąb kraju, szybciej zaczęli uchodzić na stojące w pogotowiu okręta.

Warszawa od téj chwili przestała być warownią, już murów ani baszt zrujnowanych nie naprawiano, rok rocznie tylko zajmowano się uprzątnaniem gruzów, a Stare Miasto zaczęło się coraz ściślej łączyć w nierozzerwane ogniwa z Krakowskim Przedmieściem i Nowém Miastem.

Tak za czasów Stanisława-Augusta, jak w późniejszych okresach księstwa Warszawskiego i początkach królestwa Polskiego, powolnie rozszerzała się i zdołała Warszawa.

Okres księstwa Warszawskiego który podziwem badacza przejmuje, na tyle prac znakomitych dokonanych, w wprowadzeniu kodeksu Napoleona I, organizacyi sądów i administracyi rozumnéj w całym kraju, nie był przychylnym dla samej Warszawy.

Były to bowiem czasy wojenne: liczne przechody wojsk francuzkich od końca 1806 roku, Napoleona I, rabując mieszkańców i odzierając ich z mienia, długo w smutnéj zachowały się pamięci. Warszawa, dumnych zwycięzców darmo karmić musiała, a ci zabierali ze stołów srebra na ich przyjęcie zastawiane i bieliznę stołową ¹⁾.

Wielkie kwaterunki i bezprawia żołnierzy zwyciężkiej armii, której poskromić czy nie chcieli czy nie umieli wyżsi oficerowie, zubożyło do szczytu Warszawian.

Zaledwie miasto oddychać zaczynało, gdy książę Ferdynand d'Este niespodzianie naszedł w 40,000 armią księstwo Warszawskie, i po bitwie o mil dwie od miasta, pod *Raszynem*, gdzie poległ żołnierz-poeta pułkownik Cyprian Godebski, wszedł do Warszawy. Niedługo przecież, wskutek zwycięstw Napoleona I opuścił ją tajemnie w nocy w samo *Boże Ciało* 1809 roku. Radość z oswobodzenia od Niemców i Węgrów krótko trwała; mieszkańcy na nowo ponosić musieli wielkie ciężary nakładane na nich w dostarczaniu wszelkich potrzeb dla wielkiej armii.

Lata 1812 i 1813 najniepomyślniejsze były dla miasta, i gród nasz odetchnął nieco po upadku Napoleona I i nastaje ciszy w całej Europie.

¹⁾ Słyszałem od biskupa Prażmowskiego, że kiedy podejmował w Pułtuskusku cesarza Napoleona I, z jego marszałkami i świtą, i kazał srebra zastawić: po uczcie goście obecni zagrabili takowe. Gdy się biskup uskarżał na to Napoleonowi I, ten zbył go krótką odpowiedzią: „Cóż robić, to czasy wojenne.“

II.

Krakowskie Przedmieście. — Posąg Zygmunta III. — Próżniak Zyguntowski. — Dom Rezlera. — Pałac Kazanowskich. — Kamienica Wasilewskiego. — Ignacy Krasicki. — Wieczory uczone. — Elżbieta Grabowska. — Franciszek Salezy Krasicki. — Młoda jego małżonka. — Śmierć jej nagła. — Zofia de Pugett Lbullier. — Przedłużenie Krakowskiego przedmieścia. — Fara. — Ulica Święto-Jańska. — Pivna. — Zapiecek. — Handel ptastwem. — Kamienica książąt Mazowieckich. — Ulica Podwale. — Doktor Leopold Lafontaine.

Od roku 1806 do 1815, a zatem przez lat dziewięć istnienia księstwa Warszawskiego, nietylko że żaden dom nowy w Warszawie nie przybył, ale nie zdołano należycie uprzętać gruzów i ruin z dwóch pałaców Radziwiłłowskich (Namiestnika i Paca); domu na Podwału (dziś Mrozowskiego) i wielu innych. Na obszernych tylko przedmieściach wzniesiono kilkanaście drewnianych dworców, które nie należały do miasta.

Praga straciła nawet piękny a jedyny swój kościół Bernardynów, który Francuzi dla względów strategicznych rezebrali, pozostawwszy tylko małą jego kapliczkę dotąd istniejącą.

Wśród tak nieprzyjaznych okoliczności Warszawa niczém swego starego oblicza nie zmieniła przez lat zgorą piętnaście, zwała się jednak porządkowała. Tak zwalono ratusz w rynku Starego Miasta, zburzono bramę Krakowską i kamienice zajmujące plac zamkowy, rozebrano bramę Nowomiejską. Z pod bramy Krakowskiej przeniosły się słynne przekupki warszawskie w części na Stare, w części na Nowe Miasto; a przy wzniosłym posągu Zygmunta III, obsiedli tragarze i pilarze drzewa, którzy dali początek przysłowiu czysto miejscowemu: „*Próżniaka Zygmunta*“, po całych bowiem dniach od poranku do wieczora, gromady ich, nietylko u stopni tego pomnika wyczekiwały na robotę, ale rozsiadały się w pobliżu na schodkach i progach kamienic pobliskich, spoglądając w nieczynności na wszystkie strony, czy kto nie zawezwie ich do roboty.

Krakowskie Przedmieście rozwijające się w tym okresie od zamku i kolumny Zygmunta, aż do kamienicy Wasilewskiego, która go zamykała (jak skwer dzisiejszy), należało do najokazalszych części miasta.

Po prawej stronie idąc od zamku, w rzędzie domów odznaczał się dom przechodni Rezlera, dawna własność Hieronima Radziejowskiego. Miejskowa tradycja utrzymywała, że dom ten miał być głównym powodem wojny szwedzkiej za Jana Kazimierza i napadu Karola Gustawa. Kiedy bowiem Radziejowski dotknięty został wyrokiem *banicy* i wypędzony z kraju, namówił króla szwedzkiego do najazdu obiecując mu pomoc licznych swoich przyjaciół i stronników. I nie zawiódł się na tej obietnicy Karol Gustaw, bo gdy wszedł do Wielko-Polski, sto tysięcy zbrojnej szlachty zamiast bić się, gdy wytoczono za poradą Radziejowskiego beczki z winem i wezwano do puharów

z podbechtania stronników tego bannity, zdrowie jego ochotnic duszkim spełniało, opuszczając sprawę narodu i nieszczęśliwego Jana Kazimierza ¹⁾).

Po przeciwniej stronie przy kościele księży Bernardynów, stary pałac Kazanowskich, słynny z przepychu za czasów Władysława IV; o jego ozdobach wewnętrznych i bogactwach jako téż sprzętach kosztownych, serwisach złotych i srebrnych, czytamy opisy pełne podziwu Francuza, sekretarza pani de Guebriand, (co z Paryża przywiozła Maryę Ludwikę małżonkę tegoż króla), który wyznaje, iż nic podobnego nie widział w stolicy Francyi. Część tę Krakowskiego Przedmieścia zamykała o jedném pięttrze obszerna kamienica Wasilewskiego, która ma zajmującą kroniczkę.

Zbudował ją Józef Wasilewski radzca dworu króla Stanisława Augusta. Na pierwszém pięttrze były obszerne i wysokie salony i komnaty, a widok z okien piękny, bo na całą tę część miasta zakończoną zamkiem królewskim, posągiem Zygmunta III i bramą Krakowską.

Tu, w roku 1768 przybywszy do Warszawy Ignacy Krasicki, wówczas biskup warmiński zamieszkał i dawał tak zwane *wieczory uczone*, na których bywał cały świat literacki i król Poniatowski.

Gościnnie i uprzejmie książę biskup podejmował ochotnie zgromadzonych, którym odczytywał swoje utwory w rękopiśmie, bo do druku się nie kwapił. Liczni jego goście zatem wprzód nim naród mógł ocenić wartość tych prac, już zapoznawali się to z bajkami, to satyrami i ustępami allegorycznego poematu *Myszeis*, do którego odgadnienia klucz zatraciliśmy, a najbliższy przyjaciel wielkiego poety i pisarza, Franciszek Dmochowski, tłumacz *Iliady*, nie pozostawił dostatecznego objaśnienia.

Przyjęcie w obszernych komnatach było hojne, a towarzystwo tém liczniejsze, skoro powzięto wiadomość że król Stanisław August będzie obecny.

Oprócz rozmowy w której wydatniał dowcip Krasickiego, po przeczytaniu kilku utworów nowych przez niego napisanych, goście zasiadali już do kart przy rozstawionych stolikach, już gawędząc przy kieliszkach smacznego węgryna.

Krasicki lubił grać w karty, ale nie dla pociągu szulerki, tylko że wówczas odpoczywał po pracy i przyjemnie czas przepędzał. Upodobanie miał w *lombrze*, ale gdy towarzystwa zabrakło, grywał w starego maryasza do puli.

¹⁾ W roku 1826 pokazywano mi w Poznaniu dom na rynku wprost ratusza, tak zwany „pod daszkiem,” gdzie był jeszcze sławny handel win węgierskich. Budowla stara, drzwi wchodowe osłaniał daszek, a nad nim duże okno od sklepionój komnaty. W niej to Karol Gustaw wtedy pijąc zdrowie nowych swych przyjaciół w otwartém oknie, straciwszy równowagę, wypadł z niego i byłby zabił się na bruku, gdyby się na tym daszku nie zatrzymał.



Jeżeli bawił się grą ostatnią ze swoim sekretarzem Michałem Mowińskim, pod którego imieniem biskup własne komedye drukował, zawsze na boku stał stoliczek z papierem, piórami i atramentem. W ciągu gry, kiedy mu myśl jaka przyszła, zaraz od kart przesiadał się do niego i w téjże chwili pisał. Tym sposobem wiele bajek i powiastek mniejszych powstało, jak ulotnych wierszyków i piérwsze zarzysy do nieporównanych satyr.

„*Uczone wieczory*” Krasickiego, nabrały równego odgłosu, jak „*Uczone obiady Czwartkowe*“ na zamku warszawskim, na których bywał téż uczestnikiem i nasz poeta. Ta tylko różnica pomiędzy niemi, że żaden epigramat ani ostrze satyryczne, nie dotknęło ich wcale, gdy szambelan Kajetan Węgierski, podrwiwał sobie z *Czwartkowych obiadów*, w liście do księdza Węgierskiego:

„*A uczone obiady*”? znasz to może imię,
Gdzie połowa nie gada, a połowa drzymie;
W których król wszystkie musi zastąpić ekspensa
Dowcipu, wiadomości i wina, i mięsa.”

Od tego zarzutu wolne były wieczory Krasickiego: panowała tu większa jak na zamku swoboda, nie było etykiety dworskiej, a uprzejmy gospodarz, dając wszelką swobodę swoim gościom, uprzyjemniać umiał każde zebranie.

W kamienicy téj następnie zamieszkała głośna w tym właśnie okresie Elżbieta z Szydłowskich Grabowska, tajemnie poślubiona Stanisławowi Augustowi, wraz z najmłodszą córką swoją Aleksandrą ¹⁾.

Dziewica piękna i powabna, liczyła siedmnastą wiosnę życia, gdy o jój rękę zgłosił się Franciszek Salezy hr. Krasicki, kawaler orderów Orła Białego i Ś-go Stanisława.

Był to pan bogaty, mający piękne imię, szanowany z prawości charakteru, jak i wysokiego wykształcenia.

Zalotnik tak rzadki, tyle łączący w sobie przymiotów, nie był do odrzucenia; przyjęto chętnie jego oświadczyny i po zaręczynach ślub się odbył w kościele Ś-go Krzyża u missyonarzy.

Zaledwie wszakże odstąpili od ołtarza, matka zabrała córkę, odwiozła do swego domu i czujną strażą tak otoczyła, ażeby go opuścić nie mogła.

Daremnie Krasicki upominał się o swoje prawa, daremnie szukał pomocy przyjaciół i samego króla, nic matki postanowienia złamać nie mogło. Pozwoliła mu tylko odwiedzać, jako gość swoją młodą i piękną małżonkę.

¹⁾ Ślub ten, w największej tajemnicy dawał biskup Zenopolitański, znany historyk Jan Albertrand, w kaplicy cudownego Pana Jezusa w katedrze Ś-go Jana w Warszawie.

Przybywszy raz wcześniej niż zwykle, zastał ją klęczącą i zażaloną w gorącej modlitwie.

— Co ci jest? — pyta zdziwiony.

— Modlę się za twoje szczęście — odrzekła z cicha a z płaczem — boś zasłużył na nie, a ja cię kocham i szanuję.

Wzruszony do głębi, postanowił jakimś sposobem wydestak żonę z tój ścisłej opieki. Jakoż, wkrótce potóm potrafiła młoda hrabini omylić wszystkich czujność i przybyła do domu męża.

Niedługo wszakże cieszyli się oboje wspólném pożyciem, bo po dwóch dniach, zniknęła z domu i znalazł ją znowu w dawném u matki mieszkaniu.

Był to rok 1789; pomimo nieszczęść krajowych i wróżb smutnych, zapowiadających jego zupełny upadek bawiono się szalenie w Warszawie.

Właśnie przypadała świetna jakaś zabawa dworska. Chociaż to początek maja, bo dzień dwunasty, ale wiosna rozwinęła się z całym powabem zieloności i woni. Uderzyła nagle, niespodziewanie spiekota letnia.

Na *Foxhall* ¹⁾ było dane widowisko, zaczynające się wcześniej po obiedzie, wieczorem zapowiedziano świetną illuminacją z fajerwerkami.

Młoda Krasicka musiała się z polecenia matki na nięj znajdować. Dzień był skwarny, słońce przepaliło jęj głowę, wróciła słaba wcześniej do domu.

Po skończonej fecie na przedmieściu Warszawy, zaproszeni znakomici goście, zebrałi się u pani Grabowskiej, która wezwała córkę, ażeby towarzyszyła zabawie domowej.

Posłuszna jak zawsze, powstała z łóża, na którém spoczywała i przystrojona a blada jak lilia, stanęła na progu salonu. W tój chwili silny przewiew wiatru, z otwartego ganku ogarnia ją: zachwiała się i upadła nieżywa. Na jęj śmierć tak nagłą, wraz z całym gronem gości sproszonych patrzak i mąż, co ją ukochał serdecznie, co pragnął ją szczęściem i prawdziwą miłością otoczyć.

Wyprawiono nieszczęśliwę Aleksandrze wspaniały pogrzeb i pochowano na cmentarzu Ś-to-Krzyzkim. Napis grobowy wyliczak jęj piękne przymioty i wdzięki.

Owdowiały mąż całe życie opłakiwał tak bolesną dla siebie stratę. Stał się odludkiem, zapadł w melaucholię. Jęj wspomnienie na resztę dni jęgo rzuciło cień smutku rzewny, co się wyrył widocznie w spojrzeniu i na bladém a zawsze szlachetném obliczu. Po śmierci tak ukochanej żony, nie powtórzył już więcj związków małżeńskich.

¹⁾ Właściwie *Vauxhalle* dom z obszernym ogrodem przy ulicy Nowy-Swiat pod N-r 1297. Tu w tych czasach dawane były widowiska, zapalano ognie sztuczne i tańczono na salach; zabawy te miały powab i swoja sławę.

W lat trzydzieści dwa po tym wypadku, spotykaliśmy go często w r. 1821, przechadzającego się po Krakowskim-Przedmieściu; zawsze stawał w pobliżu tej kamienicy, zwracał ku niej tęskne spojrzenie, jakby się spodziewał, że ujrzy postać ubóstwionej istoty. W końcu tegoż roku zakończył życie ¹⁾). Obok Wasilewskiego domu, stała wązka i niższa kamieniczka, szczególniejszej architektury, własność niegdyś francuzki, zwyczajnie zwanéj przez Warszawian *Mamzelle Lulli*, której imię przywiązało się do wspomnień Stanisława Augusta.

W młodych latach Poniatowski, odbywając przy poselstwie polskiem podróżę za granicę, przybył do Paryża. W kwiecie wieku, słynący z urody, znalazł wstęp do najpierwszych domów. W nichto dowiedział się o sławnéj kabalarce *Zofii de Pugett Lhullier* i z wielką ciekawością poznał ją bliżej, szukał sposobności, aby do niej wprowadzonym został. Stało się zadość jego życzeniu: jeden z przyjaciół Poniatowskiego ułatwił mu te odwiedziny.

Lhullier położyła mu kabałę i wywróżyła, że wkrótce obrany królem zostanie. Poniatowski odrzekł jej, że będąc szlachcicem polskim, ma równe prawo jak i drudzy do tronu w rzeczypospolitéj, w której wybór króla od narodu zależy, ale uważa przepowiednię tę za żart przyjemny. Gdyby jednakże sprawdziła się, zaprasza ją wcześniej na mieszkanie do stolicy przyszłego swego królestwa.

W kilka lat, kiedy wróżba się ziściła i rzeczywiście na tron wstąpił, pomny na obietnicę, wysłał do Paryża zaufanego dworzanina, ażeby kabalarę do przybycia do Warszawy nakłonił, a przytém rysunek mieszkania i umeblowania, jak najdokładniejszy przywiózł z sobą.

Lhullier, chętnie na tak pochlebne wezwanie przystała, ale zanim przybyła do Warszawy, król kupić kazał kamieniczkę obok domu Wasilewskiego, takową przebudować i urządzić zupełnie na sposób jej paryzkiego mieszkania. Za przyjazdem swoim już znalazła wszystko gotowém i na zupełną własność oddaném.

Kamieniczka ta, pełna była skrytek i przejść tajemnych pomiędzy ścianami. Zapewne potrzebne one były przebiegłéj francuzce, która pomimo znakomitéj pensyi, jaką pobierała od króla, niemale dochody ciągnęła z kabały, albowiem tak magnaci, jak i wielkie panie, dworzanie i szlachta zamożniejsza, cisnęli się do niej hurmem po wróżbę, wierząc w jej przepowiednie, po sprawdzeniu się jednéj na Stanisławie Poniatowskim. Krążyły po Warszawie między jej mieszkańcami podania, że damy przybyłe po wróżbę, ukrywały się

¹⁾ Dom pomieniony w późniejszych czasach, nabył D-r Wilhelm Malez, zrestaurował i wyniósł nad nim drugie piętro. Następnie nabył go przedsiębiorczy księgarz i wydawca Encykl. Powsz., S. Orgelbrand, sprzedał go rządowi i kamienica ta rozebrana została, a jej miejsce skwer dzisiejszy zajmuje.



dobrze za odwiedzinami króla i ich mężów, że przejściami pomiędzy ścianami, Stanisław August pod pozorem odwiedzin pani Lhullier, jako swój przyjaciółki, przechodził do obok stojącego domu Wasilewskiego, w którym na pierwszém piętrze mieszkała pani Grabowska i wtedy zawiązały się bliższe ich stosunki, uwieńczone tajemnym ślubem.

Panią Lhullier uważano powszechnie za kochankę Stanisława Augusta, co nie było prawdą, bo starszą była od niego o lat piętnaście i nie mogła ukryć śladów swego wieku.

W Łazienkach Królewskich po lewój ręce głównego pałacu od fontanny, pokazywano mały pałacyk z wklęsniętym frontonem (stojący dotąd), jako letnie mieszkanie *Mamzelle Lulli*, kochanki króla.

Pensya, jaką pobierała od Stanisława Augusta, skończyła się wraz z wyjazdem jego do Petersburga, ale Lhullier nie potrzebowała się troszczyć o przyszłość swoją; oprócz bowiem domu, miała zapas gotówki, który jej do wygodnego życia posłużył. Umarła w Warszawie 1802 roku; kamieniczka ta jednak długo później przechowywała jej imię.

Za nią wązkie przejście prowadziło do Bednarskiej ulicy, która była głównym zjazdem do pływającego mostu i przewozu łodziami i galarami, jedyna łączność z przedmieściami Pragą i zawiślańską okolicą, a najważniejszym Podlasiem, spichrzem naszego wtedy miasta.

Ta część Warszawy, o której mówimy, miała dwa klasztory: *Panien Karmelitanek* (dziś gmach Towarzystwa Dobroczyńności) i *Bernardynek* zburzony, gdzie zjazd do nowego mostu i jeden Bernardynów.

Obok kamienicy Wasilewskiego, szła wązka ulica, wiodąca do drugiej części Krakowskiego-Przedmieścia.

Tu, najprzód, uderzał oczy kościół z klasztorem księży Karmelitów, dalej o ścianę niemal, pałac książąt Radziwiłłów (Namiestnika) w okazałej ruinie; obok pałacu Tarnowskich, w pobliżu dom Panien Wizytek i piękny ich kościół, poza którym wznosił się tak zwany *Pałac Kazimierowski* (dzisiejszy uniwersytet) z obszernymi drewnianymi oficynami.

Przy nim szpital *Ś-go Rocha*, kilka kamienic jeszcze na tej połaci, a całą tę część miasta zamykał znowu wspaniały kościół księży *Dominikanów Obserwantów*; z drugiej zaś strony z wyniosłemi wieżami kościół *Ś-go Krzyża*, z obszernym klasztorem i wielkimi ogrodami księży misjonarzy.

Budowle te były już na kończynach miasta, gdyż cały Nowy Świat, był raczj pustkowiem, za ledwo gdzieniegdzie zabudowany drewnianemi dworkami i tylko ulica *Ś-to Krzyżka* więcj była zamieszkaną.

Wróćmy teraz do zamku królewskiego: ztąd ku rynkowi Starego Miasta wiodą dwie ulice; pierwsza Święto-Jańska, na początku której stoi starożytny kościół *Ś-go Jana*, zwany pospolicie Farą. Ulubiona

to świątynia do modlitwy, dla dawnych mieszczan Warszawy: tu po lewą rękę od głównego wnijscia, w kaplicy, jest z drzewa wyrzeźbiona postać na krzyżu rozpiętego Zbawiciela, słynąca oddawna licznymi cudami; dlatego Warszawianie, na wspomnienie téj katedry, zwykli mawiać:

„U Fary,
Gdzie Pan Jezus stary.”

Obok dawny kościół jezuitów. Kamienice w jednym rzędzie po przeciwnéj połaci, zachowały swoją starożytną strukturę, zwykłą w dawnych, średniowiecznych miastach, a wśród nich odznacza się należąca w te czasy do Skorochoda Majewskiego metrykanta koronnego, badacza sanskrytu i starożytności słowiańskich. Sklepy w tych kamienicach na dole, głównie zajmowały sklepy skór wyprawnych, a woń ich włościwa, stanowi i dotąd jéj stałą atmosferę.

Druga ulica Piwna, równie wązka, jak poprzednia, ma kościół księży *Augustyanów* z klasztorem: obiedwie ze Ś-to Jańską łączyły się na Zapiecku, który oddawna słynął z handlu rozmaitego rodzaju żywego ptastwa.

Plac ten szczupły, kilkadziesiąt kroków długi, w niedziele i święta od samego poranku wielce bywał ożywionym tłumem zebranych tak sprzedających, jak i kupujących.

Mnóstwo zwolenników gołębi, znajdowało tu najwyborniejsze ich gatunki, tak co do piękności piérza, jak i co do lotu; sprzedawano mnóstwo gilów, kosów, szpaków i srok uczonych, oraz kanarków i czyżyków. Dla dziatwy kupowano ochotnie klatki z wyuczonymi szczygłami, co przyciągały sobie po pomoście spadzistym wózek z siemieniem konopnym i wodę do picia za pomocą wiszącego na grubéj nici napařtka.

Wiele sprzedawano tu wiewiórek w dużych także klatkach, które koła obracały, niemniej i oślepionych słowików, ażeby lepiej śpiewały.

Rynek Starego-Miasta, przez Zapiecek, łączy się z ulicą Podwałe przez jedną z najwęższych Piwną, z drugiej strony przez Dunaj, z trzeciej przez ulicę Gołębią.

Na rogu Starego-Miasta przy wnijsciu z rynku na Dunaj, po lewą rękę, ukazywano kamienicę wyniosłą, (dotąd istniejącą) z wystającym na podmurowaniu oknem, jako jedną z najdawniejszych, a własność niegdys ksiąząt Mazowieckich.

Z kroniki Warszawy wiadomo, że w r. 1607 za panowania Zygmunta III, w czasie jarmarku i zapełnionym rynku Starego-Miasta kramami, wybuchł straszliwy pożar, podłożony umyślnie przez złoczyńców. Ułakomili się bowiem na bogate towary wschodnie z Turcyi i Persyi, które kupcy tych krajów przywieźli i nęcąco w swoich drewnianych kramikach powystawiali. Udał się zbrodniczy zamiar łupieży, bo gdy płomień wybuchły niespodzianie i z rynku

objęły kamienice tak blisko stojące, oprócz ratusza, nie wiele pozostało domostw niedotkniętych tą pożogą. Do wyjątkowych należała i kamienica, pomieniona książąt Mazowieckich, przezco, do dziś dnia zachowała w całości pierwotną strukturę.

Ulica *Podwale* wzięła swą nazwę: że była *pod wałem* miejskim czyli murami warowni, i już leżała poza grodem Warszawy. Ciągnęła się od *Bramy Krakowskiej* do *Bramy Nowomiejskiej* i w samym środku swoim, oprócz grubych murów, miała potężną basztę, w tém miejscu, gdzie dziś stoi dom dwupiętrowy z obszerném podwórzem pod Nr. 521 i 522.

Pierwszy nabywca tój miejscowosci Jan Wójcicki, za czasów pruskich, pomiędzy rokiem 1803—1805, musiał rozebrać ten zabytek warowni, już przez Szwedów nadniszczony i grożący ruiną, i wtedy odkryto podziemne przejście pod ulicę Piekarską. Jak daleko sięgało niewiadomo, albowiem dla zepsutego powietrza, gaszącego światła, dalej nad sto kilkadziesiąt kroków posunąć się nie zdołali; tém bardziej, gdy i na tak krótkiej przestrzeni, przejście to w części gruzem zawalone było.

Bliżej Krakowskiego-Przedmieścia stał dom wychodzący na Miodową ulicę wprost kościoła księży Kapucynów. Cała jego część od Podwala sterczała ruinami. Mieszkał w nim 1794 roku generał Igelström.

Jak Świętojańska ulica mieściła główne składy skór wyprawnych, tak Podwale było stolicą jatek obuwia, lubo niewielu szewców na niej przemieszkowało.

Z domów większych był tylko naprzeciw zwałonój starój baszty, tak zwany „pałac,” gdzie później mieściła się Kommissya województwa mazowieckiego, a na pierwszym piętrze zamieszkiwał jój prezes Rajmund Rembieleński z piękną swoją małżonką.

Tu poprzednio za czasów pruskich toż piętro jak i dół cały, zajmował sławny w te czasy doktor Leopold Lafontaine, przyjaciel od serca Kościuszki, następnie generalny chirurg armii i inspektor lazaretów Księstwa Warszawskiego. W wyprawie smutnej do Moskwy 1812 roku, dostawszy się do niewoli, i osadzony w Mohilewie, z braku białego chleba do którego nawykł, zakończył życie.

Tu on redagował w latach 1801—1802 wielce ceniony: *Dziennik zdrowia*, pismo zeszytowe. Pisał je po francuzku a wychodziło w przekładzie polskim. Pismo to w tonie popularnym, choroby osobliwie w kraju naszym upowszechnione, obejmując, składa się z XII poszytów po ośm arkuszy druku, które miesięcznie wychodziły i stanowią cztery grube tomy.

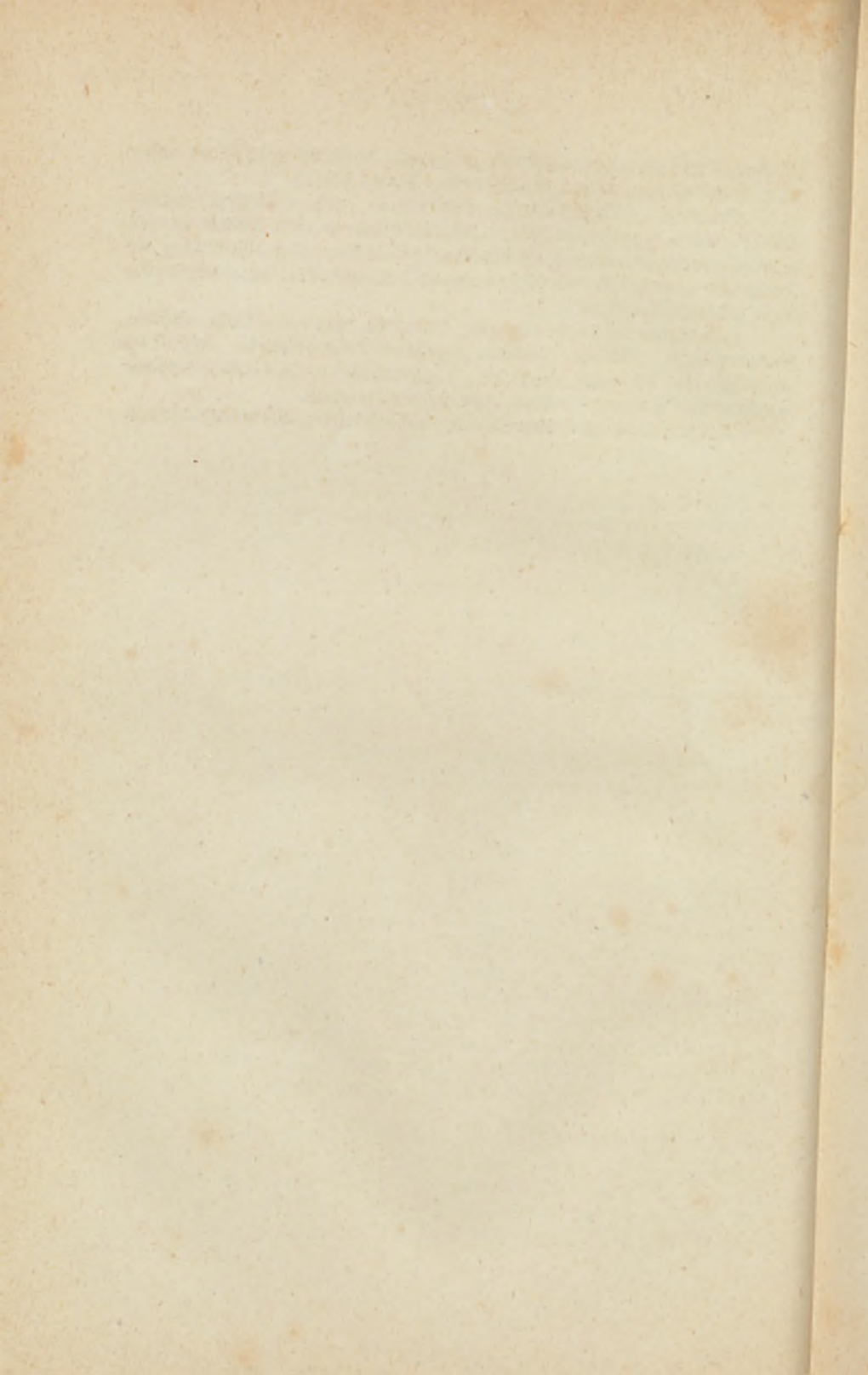
Lafontaine był rodem Szwajcar, urodzony w roku 1757. W Polsce osiadłszy, przybrał ją za ojczyznę i położył piękne zasługi nietylko praktyką jako najbieglejszy w operacyach chirurgicznych, ale i literaturę lekarską niemało wzbogacił. Był lekarzem nadwornym przy królu Stanisławie-Auguście. W nagrodę swych zasług, zaszczycony

krzyżem kawalerskim wojskowym i Legią honorową; był też członkiem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk.

Ożeniony z Krakowianką, miał dwie córki, z których starsza Zofia, bruneta, pełna wdzięku, grająca biegle na skrzypcach i z nie-małym powabem na harfie, zaślubioną była Maurycemu Haukemu, późniejszemu ministrowi wojny za cesarza Aleksandra I-go i zaszczyconego tytułem hrabiego.

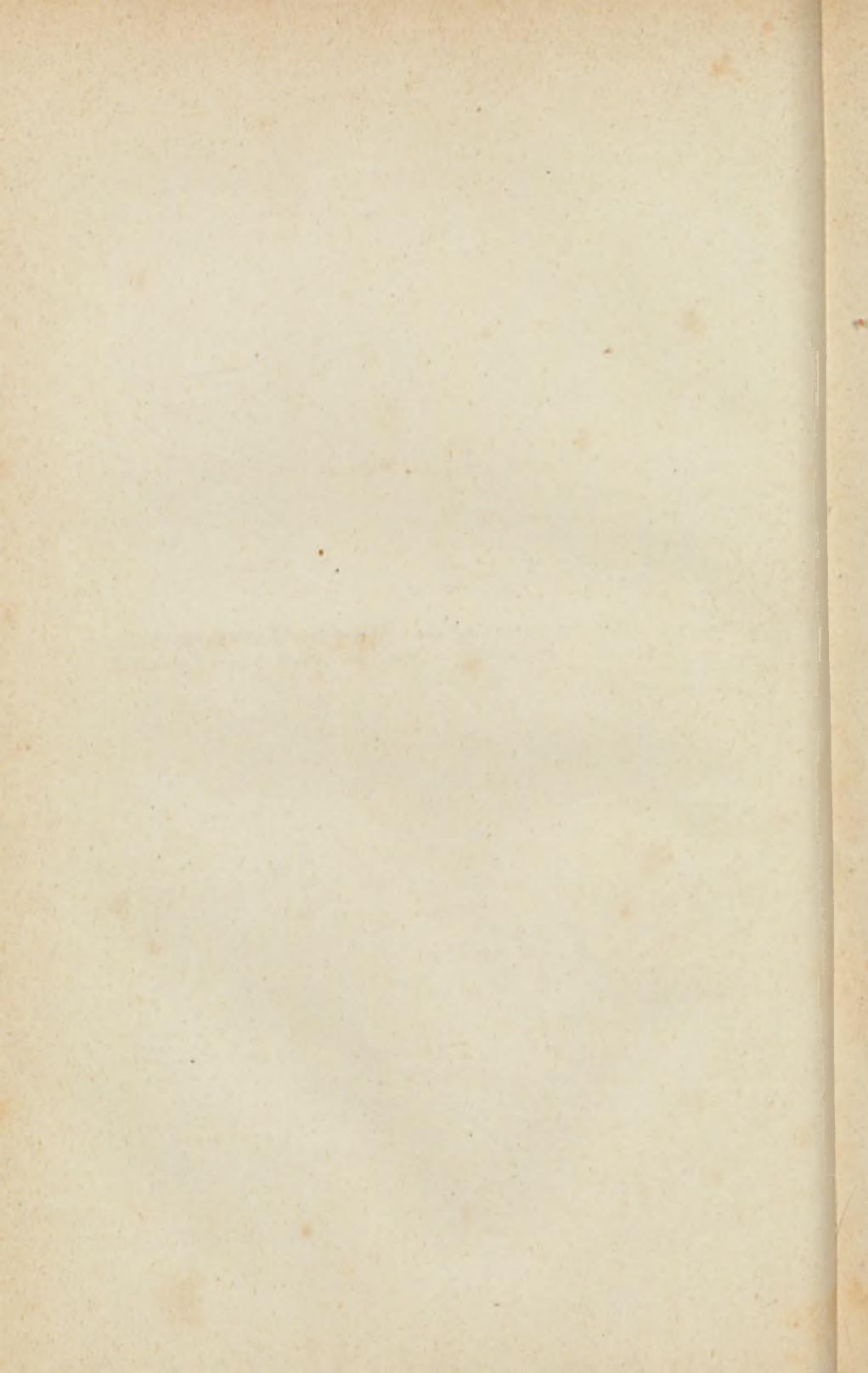
Lafontaine dobrego wzrostu, blondyn, miał płeć białą, delikatną, niewieścią. Oblicze zawsze pogodne i uśmiejnięte. Mówił po polsku ale łamanym językiem, a gdy uniósł się gniewem, zwyczajne jego przekleństwo na razie, było: *djabel porwaj*.

Wziętość miał ogromną nie tylko w Warszawie, ale i w całym kraju.



III.

Ulica Mostowa.—Most Zygmunta-Augusta.—Wiersz Jana Kochanowskiego.—
Dramat z prochowni.—Przysłowie.—Most na palach przez Francuzów
postawiony.



Z drugiej strony Podwala od bramy Nowomiejskiej, pomiędzy kościołami Paulinów i Dominikanów, ciągnie się spadzista i wązka uliczka, zwana „Mostową.“

Rzeczywiście zasłużyła sobie na tę nazwę, gdyż wiodła dawniej do sławnego mostu na palach, z warownemi basztami, który przez lat trzydzieści bez przerwy utrzymywał stałą łączność pomiędzy Warszawą a przedmieściem Pragą.

Zaczął jego budowę król Zygmunt August, a ukończyła siostra jego Anna Jagiellonka, małżonka Stefana Batorego.

Był to podziw inżynierskiej sztuki ówczesnej; cudzoziemcy liczyli go do dzieł w Europie zadziwiających, zbudowany był z drzewa, a olbrzymi starodrzew sosny i dębów, sprowadzano z puszczy litewskich. Długi był 1150 stóp.

Jan Kochanowski nie mógł milczeniem pominąć takiego arcydzieła, i poświęcił temu mostowi wiersz jeden i drugi, w których oddaje hołd należny ostatniemu Jagiellonowi.

W pierwszym mówi:

„Nieublagana Wisło! próżno wstrząsasz rogi,
Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi;
Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyć,
A ty musisz tę swoją dobrą myśl położyć.
Bo krom wiosek, krom promów, już dziś suchą nogą,
Twój grzbiet nieujeżdżony, wszyscy deptać mogą.“

Lat trzydzieści, bo do roku 1603 wytrwał niezłomnie wśród burzliwych fal Wisły, i nacisku nieraz gór lodowych pędzonych nań wichurą zimową. Silną pierśią odpierał tę nawałę, aż w trzydziestym pierwszym roku swego żywota, kra naniessona przy pękaniu lodów rzecznych na wiosnę, przerwała jedno przesło mostowe.

Na nieszczęście, nadzór nad nim był powierzony staroście warszawskiemu, a wiadomo jacy to byli gospodarze! Daremnie wołano o naprawę; wielowładny pan puszczał mimo uszu głos powszechny: wołał na zatracenie wystawić wickopomne dzieło Zygmunta-Augusta, jak ratować pracą i ujmą dochodów starościńskich.

Tak rok za rokiem, most ten niszczał, a w opuszczeniu zostawiony, stał się łupem nadbrzeżnych mieszkańców ¹⁾.

Jedyną pamiątką pozostała po nim baszta wielka murowana, zamykająca ulicę Mostową. W ścianie jej od Wisły, tkwiła jeszcze tablica marmurowa z napisem w języku łacińskim téj treści, że dzieło brata króla Zygmunta-Augusta, siostra Anna Jagiellonka dokończyła, i druga z tym napisem po polsku: „*Zeczerniony od tyłu wieków, droga pamiątka największych i najlepszych królów, godna należytego poszanowania.*“

Później tę basztę obrócono na skład prochu i ztąd zwano *Prochownią*, a za Stanisława-Augusta budowlę tę przerobiono i zamieniono na więzienie skazanych wyrokami sądów do ciężkich robót, z tym na frontonie napisem: „*Nie miejsce, ale zbrodnia człowieka hańbi.*“

Do przykrych wspomnień lat dziecińczych, zawsze policzam te chwile, gdy mi pamięć stawia przed oczyma, gromady więźni z téj prochowni wychodzących pod strażą na roboty do miasta: brzęk ich kajdan odbijał się smutno.

W kurtach szaraczkowych, często napół czarnych i w czapkach téjże barwy, postępowali parami z miotłami do zamiatania ulic, albo z piłami i siekierami do rżnięcia kłoców drzewa i łupania na szczapy, za umówioną cenę.

W tych gromadkach spotykałeś szczególne postacie i oblicza. Ci, co mieli dowiedzione najcięższe zbrodnie, ale ułaskawienie pozyskali, odznaczeni się ubiorem, bo mieli pół szaraczkowe a pół czarne sukienne ubranie. Rzadko pomiędzy nimi dojrzałeś młodziana; byli to ludzie co liczyli od 40—60 lat wieku, nieraz już mocno osiwiali. Fizyognomie ich, które dobrze zapamiętam, były wstrętne i odrażające: spoglądali w około śmiało i zuchwale. To zatwardziali zbrodniarze i hyle mała nadzieja, używali wszystkich sposobów do ucieczki, z narażeniem się na kalectwo lub utratę życia. Nie było też prawie roku, ażeby kilku niepotrafiło zbiedz z *Prochowni*, pomimo całej czujności straży. Nieraz, już wydostawszy się z grubych murów i zakratowanych okien, pod strzałami czuwających wartowników padali trupem na ulicy, lub wybrzeżu wiślaném, albo ciężkie odnosili rany; ale te wypadki nie powstrzymywały drugich, od szukania swobody ²⁾.

W drugich zastępach, w szaraczkowej odzieży, nie brakło ludzi młodych, z nieśmiałym spojrzeniem, rzewnym wyrazem boleści czy

¹⁾ Po 1831 roku wydobywano resztę palów dębowych z tego mostu, które tamowały swobodę żeglugi na Wiśle. Dęby z wody wydobywano zczerniałe ale zdrowe: deski i bale z nich rżnięto. Mam szkatułkę małą na pamiątkę z jednego dębu, który służył za pal i w wodzie przeleżał przeszło trzy wieki.

²⁾ W roku 1825 czy 1827, dziewięciu uciekło, z tych dwóch przy murach Prochowni straż położyła trupem, z siedmiu schwytano najgroźniejszych bandytów trzech, reszta bez śladu zniknęła.

rozpaczy na wychudzonych obliczach. Wielu też z nich, nie podłe rzemiosło złodziejskie, ani chęć rabunku zaprowadziło do *Prochowni*.

Przytoczę tu jedno z wielu, prawdziwe zdarzenie, na dowód słów powyższych:

Za panowania Prusaków w Warszawie, dom przy ulicy Podwale Nr. 521 i 522, zamieszkiwały dwie córki fabrykanta pojazdów Szperlego, który zmarł przed kilkoma laty ¹⁾.

Starsza wdowa wzięła w opiekę młodszą o lat kilka siostrę pannę Katarzynę, wykształconą na pensyi, biegle mówiącą po francuzku i po niemiecku: była to panna obok tego urodna.

O jej rękę starał się młody Stanisław ^{***}, co niedawno ukończył Uniwersytet Berliński. Przyjmowany chętnie, już był po oświadczeniach, kiedy nagle z niewiadomych nam powodów, opiekunka narzeczonej wymówiła mu dom swój, a właśnie sama była już po zaręczynach z Niemcem fabrykantem.

Daremne były starania Stanisława ^{***} o pozyskanie napowrót wstępu; zawsze drzwi znalazł zamknięte, lub odprawę grubijańską tak ze strony wdowy jak i jej narzeczonego.

Rozjątrzony do żywego, postanowił srodze się zemścić. Wiedząc o której godzinie wychodzi na mszę do kościoła księży Augustynianów, czatował na Piekarskiej ulicy, wypoliczkował i poprzysiął, że tak ją jak i jej przyszłego męża zamorduje.

Przerażona wdowa wraz z narzeczoną, pomimo że się udała pod opiekę prawa, podwoiła czujność, ażeby się gdzie nie zakradł w domu straszny nieprzyjaciel.

Od tego dnia co wieczór, Niemiec z kilkoma robotnikami przeglądał troskliwie wozownie, gdzie stały pojazdy na sprzedaż, i po kilku tygodniach, schwytał babę w łachmanach ukrywającą się pod kareta.

Po bliższem przyjrzeniu się poznano że to był Stanisław ^{***}, przy którym znaleziono nóż i parę pistoletów nabitych. Związany, odstawiony do policyi, przyznał się do zamiaru morderstwa.

Skazanym więc został na 20 lat do ciężkiego więzienia, do robót publicznych. Okuty w kajdany wszedł do *Prochowni*.

Ostrzyżono mu bujne sploty kruczych włosów, przywdziano kurtę szaraczkową, włożono łańcuchy na ręce i nogi: przechorował ciężko w szpitalu pierwsze wrażenia, ale gdy przyszedł do zdrowia, oddał się z pokorą zasłużonej karze. Popędzono go do roboty wraz z innymi.

¹⁾ Podaję tu wiernie wypadek rzeczywisty: gdym opowiadał go Fryderykowi hr. Skarbkowi, ten tak został uderzony dramatycznością jego, że wziął ztąd osnowę do swej powiastki p. n.: „Łukasz Stempel“, która wyszła w zbiorze: „Powiastki polskie przez Fr. hr. Skarbka.“ Z drzeworytami, wedle rysunku Kostrzewskiego. Poznań, 1861 r.

Wdowa odetchnęła swobodnie i wspaniałe wyprawiła sobie gody weselne, gdy panna Katarzyna gorzkimi zalewała się łzami.

Na początku 1806 roku, zapotrzebowano do tegoż domu, właśnie przez męża owę wdowę kajdaniarzy, do piłowania i rąbania sprostowanego drzewa z nad Wisły.

Przygnano ich kilkunastu, a między tymi był Stanisław ***. Zadrzał na widok tych murów, gdzie został schwytyany, ale opuściwszy smutnie głowę, zabrał się rzeźwo do roboty. Praca męcząca przynosiła mu pewną ulgę.

Około południa kiedy w najlepsze rozbija pieńki drzewa, ujrzał przechodzącą pannę Katarzynę. Siekiera wypadła mu z ręki; wspomina o wszystkim, wyciąga ręce i szepcze:

— Kasiu! Kasiu moja złota!

Dziewczę spojrzało nań, poznało, przystało chwilę, a załamawszy ręce z rozpaczą pobiegło do domu. Nagle w nim rozruch powstał, posyłano po doktora. Stanisław jak skamieniały stał długo, spoglądając obłąkanym wzrokiem dookoła, a gdy przyniesiono posiłek na południe, nie tknął żadnego pokarmu.

Nazajutrz przygnano go do tego samego domu, ażeby skończyć rozpoczętą robotę, ale już swój Kasi nie zobaczył, usłyszał tylko pomyslną nowinę dla siebie, jak służące rozmawiały: „że panienka już dzisiaj zdrowsza.“

Wezeźnie skończono pracę: Stanisław oparł siekiere o ścianę domu wraz ze swoją torbą, i gdy zbliżył się ażeby je zabrać, otwarił się lufcik z pobliskiego okna, ukazała się postać panny Katarzyny, która białą rączką rzuciła mały węzełek. Upadł on przy torbie: Stanisław pochwycił i ukrył; nikt ani z jego towarzyszków, ani straży tego nie widział. Uradowany, rzeźwym krokiem powrócił do Prochowni, nieczując kajdan na nogach. Tu znalazłszy chwilę samotną, rozwinął węzełek i w nim znalazł splot włosów, dwanaście dukatów złotem i karteczkę z napisem: „*Będę ci wierną do grobu.*“

Dar ten drogocenny zachował starannie.

W końcu listopada 1806 roku po bitwie pod Jena, armia zwycięzka Napoleona I, wkroczyła na polską ziemię. Pierwsze patrole francuzkie ukazały się na Krakowskiem-Przedmieściu: Prusacy uciekli na Pragę. Całe miasto zapłonęło niewidzianą dotąd illuminacją.

W tę właśnie chwilę grono młodych ludzi wpadło do Prochowni. Byli to przyjaciele i towarzysze wierni Stanisława: wnet go rozkuli z kajdan i wprowadzili z sobą. Tak opuścił mury więzienia, po dwóch prawie latach w nich pobytu.

Nazajutrz Stanisław jako ochotnik wpisany do nowo utworzonego pułku. Jako wykształcony naukowo, biegle mówiący zarówno po francuzku jak i po niemiecku, wprędce odzyskawszy wrodzoną żywiołość, humor i wesołość, stał się ulubieńcem kolegów i starszych pułkowych.

W pierwszej bitwie pod *Białoleką*, tak się odznaczył, że otrzymał krzyż i stopień podporucznika.

Brał udział we wszystkich następnych kampaniach, aż nadeszła pamiętna w roku 1812 wyprawa do Moskwy.

Po zgruchotanéj potędze Napoleona I, gdy cała jego armia, przed którą drżała Europa, legła na pobojuwisku, lub zagnaną została do niewoli, a małe jéj szczątki cofały się z trudem, Stanisław już w stopniu kapitana, wracał z resztką swojej kompanii, w porządku i zbrojno, bo subordynacją wojskową umiał dotrzymać i podnosić upadłego ducha własnym przykładem.

Brnąc po śniegu, przy silnym mrozie przebywszy wielki las litewski, ujrzał na wzgórzu gustowny pałacyk i liczne zabudowania; w tę stronę więc się zwrócił, aby znaleźć positek i upragnione wytechnienie po marszu tak dolegliwym. Pałacyk ten stał zdala od gościńca na uboczu, przechody armii omijały go więc dotąd: zasobów gospodarskich nie brakło, i znalazł przyjęcie wraz z towarzyszami swymi gościnne i dostatnie.

Kiedy wiarusy pomieszczeni zostali wygodnie w obszernych oficynach, kapitan zaproszony został do rodzinnego stołu. Wszedłszy do jadalnego pokoju, zastał gospodarza uprzejmie go witającego, a wkrótce z bocznej komnaty wyszła jego małżonka, i za nią guwernantka z trojgiem dziewczynek małych i najmłodszym chłopczykiem.

Jakież było zadziwienie naszego kapitana, gdy w téj ostatniéj poznał zawsze piękną i powabną swoją ukochaną Kasię. Cofnął się kilka kroków, przetarł oczy raz i drugi, i nieśmiało poruszyć się z miejsca.

Panna Katarzyna spojrzała na dorodnego wojaka. Po sześciu latach zahartowany w twardém obozowém życiu, zmężniał, oblicze spalone to spiekotą słońca, to mroźną wichurą, naprzemiany ogorzało, wąż czarny bujny i broda dodawały wdzięku prawdziwie rycerskiéj postaci.

Nie mogła go dorazu poznać, ale gdy Stanisław ochłonawszy z pierwszego wrażenia, usiadł do stołu i zaczął mówić, panna Katarzyna zwróciła nań swe spojrzenie, i długo się wpatrując, błędąc i rumieniąc się nawzajem, zapytała w końcu drżącym głosem:

— Czy pan kapitan nie miał brata w Warszawie?

— Miałem kilku—odrzekł zcicha—a jak temu o którym wspominasz pani było na imię?

— Stanisław!—przemówiła spuszcżając oczy.

Na te słowa zrywa się wojak, niemogąc powstrzymać dłużej swego wzruszenia, przypada do niéj, a klękając:

— Panno Katarzyno!—zawołał—do pani sobie przypominasz nie-szczęśliwego Stanisława. Teraz u nóg twoich czeka swego wyroku i nagrody za tyle cierpień i za miłość wierną!

Gospodarstwo z podziwieniem patrzyło na tę scenę, ale objaśnieni, że w Warszawie byli już po słowie, przyrzekli z najżywszą radością, dopomóż im do pobrania się jak najrychlejszego.

Kapitan nazajutrz wyruszył wskazaną drogą i dostał się szczęśliwie ze swym oddziałem do granic Księstwa Wawzawskiego. Wkrótce stanął w Warszawie, gdzie już panna Katarzyna przybyła.

Siostra jej, dawna opiekunka, wyniosła się z mężem do Wrocławia. Wśród wypadków ówczesnych i wrzawy wojennej, zatarta się pamięć przeszłości Stanisława. Na początku zapust 1813 roku u Fary wzięli ślub, a ucztę weselną towarzyszyli sami koledzy męznego kapitana.

* * *

Warszawa była świadkiem zdarzeń rozmaitych jak w tych czasach niepokoju: ale w Prochowni nic się nie zmieniło. Jak dawniej więźniowie ją napełniali i brzękiem kajdan zwiastowali każde wyjście swoje na roboty w mieście.

Budowla ta dała początek przysłowiu obelżywemu, pomiędzy ludem warszawskim, gdy jeden drugiego znieważał: „*Ty prochowniku*“ lub wróżył mu w gniewie, że „*Zgnijesz albo zmarniejesz w prochowni*.“

Od czasu zniszczenia Jagiellońskiego mostu, zaprowadzono most pływający na izbicach, ale go przeniesiono wprost ulicy Bednarskiej.

Francuzi za wniściem do Warszawy zaczęli obok niego, nieznaną zmiennego korytą Wisły, budować most na palach. Przewoźnicy i starzy rybacy nasi uśmiechali się tylko i kręcili z niewiarą głową, wróżąc, że jednej zimy nie przetrwa.

— Mają oni rozum do wielu rzeczy—mówili kmotrzy zażywając tabakę, i patrząc na tę robotę—ale zjedzą dyabła, jeśli im się uda ta sztuka: nasza Wisła mądrzejsza od nich; na nią trzebaby chłopskiego rozumu, jaki mieli ci co kiedyś budowali na Mostowej ulicy.

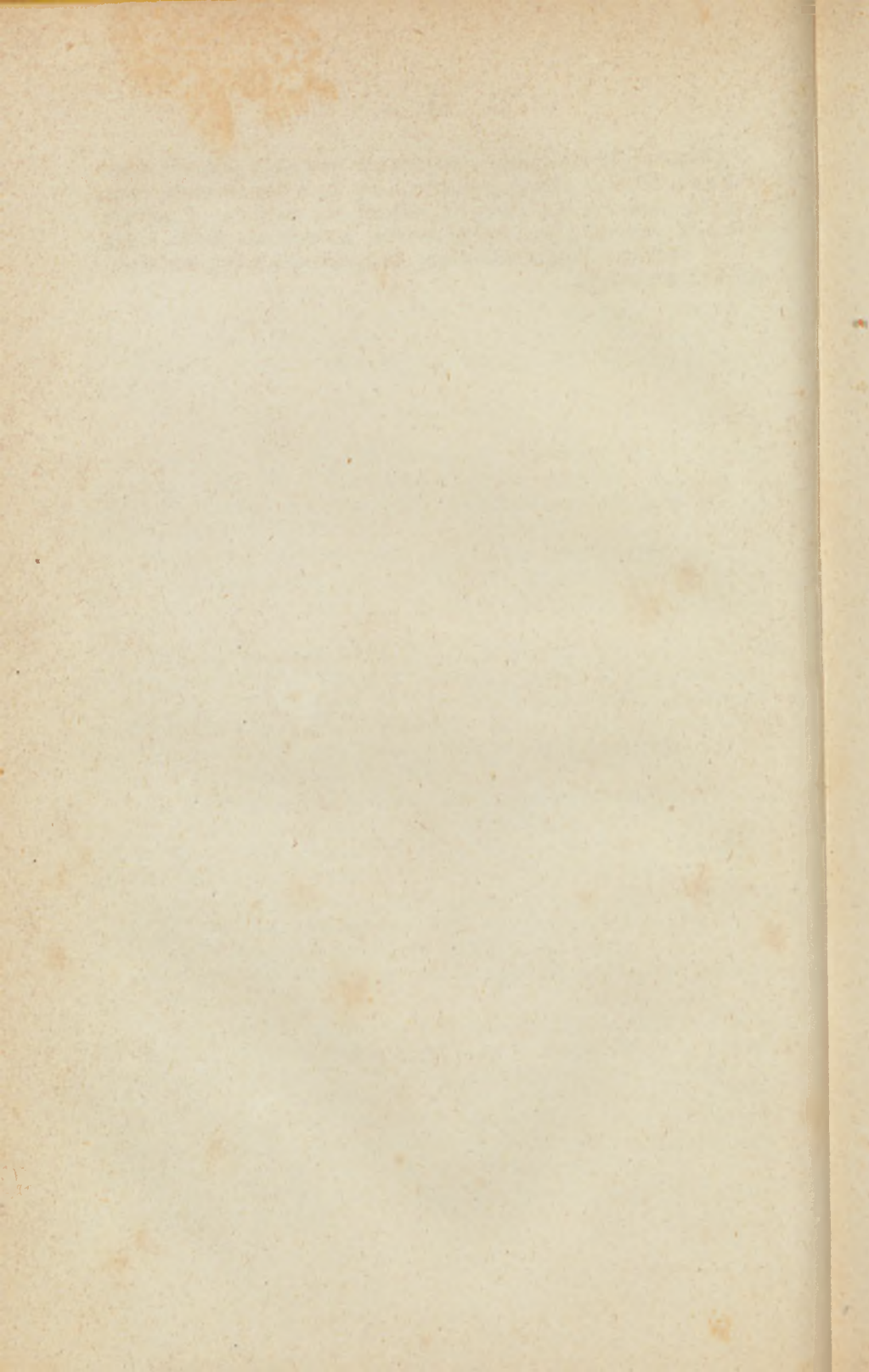
Inżyniera francuzka prędko go postawiła, ale gdy wjechał nań marszałek Davoust ze sztabem swoim, a lody na rzece ruszyły, zaledwie zdołał w pełnym galopie unieść życie z tego mostu.

Starych nadwiślańców sprawdziła się prędzej przepowiednia niż sami myśleli.

W kamienicach Mostowej ulicy rozmaitego kształtu i rozmiarów budową swą przypominających domy Starego-Miasta, na dole mieściły się sklepy, głównie rybaków sprzedających sieci, węcierze, jakotóż wędki rozmaitego gatunku; obok nich *Andrychowiaکی* z płótnem z domowych ręcznych warsztatów; *krupiarze* z kaszami i mąkami pszennymi, żytnimi, gryczanami i owsianami: ostatnie rozkupywano ochotnie do ulubionego jeszcze *żuru* pomiędzy Mazurami.

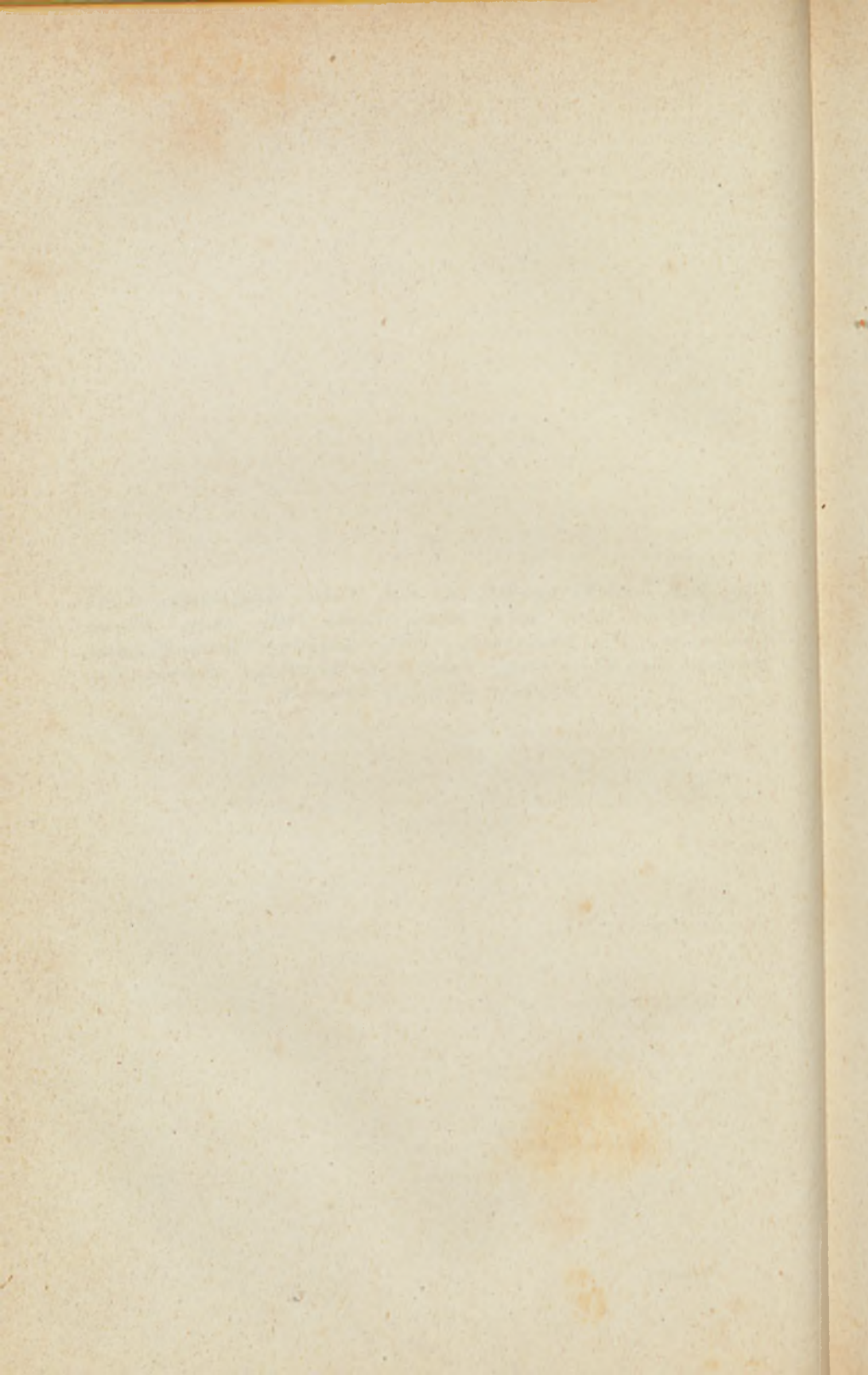
Tu obok zabudowań dominikańskich mieścił się *Szpital Łazarza* w zacieśnionych murach.

Ulica ta była niesłychanie przykrą dla koni, gdy przyszło *karować* drzewo lub inne ciężary pod górę, a nie było dogodniejszej drogi i w innych częściach Warszawy wyniesionej na wzgórzu. Z powiśla trzeba było dźwigać kłocce i sążnie drzewa, bo wówczas użytku węgla ani torfu nieznano i niepotrzebowano, przy obfitości lasów w niedalekich okolicach miasta.



IV.

Ulica Freta.—Kościół Dominikanów.—Cela Fabiana Birkowskiego.—Miody Dominikańskie.—Rynek Nowego Miasta.—Kościół Panny Maryi.—Klasztor Sakramentek.—Ulica Zakroczyńska.—Zdrój.—Żoliborz.—Uliczka Śt. Jurska. Redakcyja Gazety Warszawskiej.—Gmach Teatru narodowego.—Pierwsze otwarcie Teatru polskiego w Warszawie.



Poza Mostową ulicą ciągnie się ulica Freta, a na niej piękny kościół *Dominikanów* z obszernym klasztorem.

Zakon ten słynny w dziejach przeszłości, a konwent tutejszy szczyił się wielkim mówcą kościelnym, *Fabianem Birkowskim* godnym następcą *Piotra Skargi*. W klasztorze ukazywano jego skromną celę, którą zajmował przemieszkując w Warszawie, kiedy nie szedł na twardą służbę obozową jako kapelan, dzieląc trudy i niebezpieczeństwa walczącego rycerstwa. Mieszczanie warszawscy w żywej pamięci i tradycyi przechowywali te uroczyste chwile, kiedy Birkowski w czasie zarazy *morowej* grasującej w mieście, z tej kazalnicy sam nieustraszony wśród powszechnego popłochu i trwogi, gorącym słowem wlewał nadzieję w drżące serca i wzywał do gorącej modlitwy, ażeby uprosić Boga o odwrócenie strasznej klęski z murów starego grodu.

Słynęli Dominikanie warszawscy z doskonałego sycenia najwoborniejszych miódów, to też obszernie piwnice klasztorne wypełnione były beczkami z roku na rok nowym wyrobem. Handel wielki miodami prowadzili zakonnicy i dochód nie mały dla swego zgromadzenia zbierali. Najzawołani smakosze upędzali się za wystawami miodami z piwnic tego klasztoru.

Za wązkim tej ulicy przejściem, leży rynek *Nowego Miasta*, które zaczęło się zabudowywać po przyłączeniu do Korony za Zygmunta I Mazowsza, gdy wygasł ród panujący Piastów a książąt udzielnych na Mazowszu.

Dwa kościoły z klasztorami zdobią tę część miasta: w samym rynku Sakramentek, który Stanisław August swoim nakładem wystawił na pamiątkę stulecia od zwycięstwa pod Wiedniem przez króla Jana Sobieskiego nad Turkami odniesionego i strasznym ich pogromie, a dalej w pobliżu starożytny *Panny Maryi*, który strukturą swoją różni się wśród wszystkich świątyń Warszawy. Smukła, prostokątna jego wieżycza, wyskakuje po nad miastem i w oddali z okolicy poza Pragę jest dobrze widzialną.

Wewnątrz gotyckie sklepienia niskie, cały kościółek szczupły, skromny, ale mający dziwny urok dla mieszkańców powiśla i Nowego Miasta. Założony w roku 1392 staraniem Anny księżnej Mazowie-

ckiej, wznosi się na spadzistém wzgórzu po nad wybrzeżem Wisły już zdala od miasta. Otaczał go jak i dzisiaj cmentarz w około i mury, tylko były grubsze i warowniejsze, bo jako osamotniony kościół z klasztorem stanowił w owe czasy małą forteczkę.

Wedle miejscowej przed pół wiekiem tradycyi, poza murami cmentarza Panny Maryi zaczynały się duże bory. Były w nich żubry brodate, jelenie, sarny, łosie i niedźwiedzie, szczególniej *bartniki*, co robiły szkodę nie małą w leśnych barciach, które w obszarach tych borowych wygodnie dzikie pszczoły hodowały.

Lasy te otaczające Marymont, a rozciągnięte poza Młociny po nad brzegami Wisły, z drugiej strony sięgały do Lipkowa i Sierakowa i stanowiły wielkie kilkomilowe a zapadłe knieje, w których tak ochotczo polował król Sobieski.

Kościół *Panny Maryi* głównie był nawiedzany przez rybaków warszawskich, tu brali najchętniej ślub, tu chrzcili dzieci swoje: również ulubiona ta świątynia dla flisów i orylów przybywających z tratwami i galarami od Krakowa. Tam modlili się u *Panny Maryi* na rynku krakowskim, tu ochotnie spieszyli do kościoła *Boga Rodzicy*, tej patronki i orędowniczki kraju.

Ulica Zakroczymska na której kościół *Franciszkanów* i w pobliżu naprzeciw koszary wojskowe zwane Sapieżyńskie, wiodła dalej poza miasto, gdzie liche drewniane dworki w rozmaitym kierunku rozsiadły się z ogródkami owocowemi i warzywnemi i gospodarskiemi budynkami.

A wśród nich źródło wybornej wody, który dla dogodności miasta król Stanisław August urządził ozdobnie. Dalsza równina nosiła pierwotnie nazwę *za zdrojami*, gdzie na wyniosłym wzgórzu po nad wybrzeżami Wisły, Pijarzy wzniesli gmach okazały *Zoliborz* (Joli bord), w którym utrzymywali pensjonat młodzieży z rodzin zamożniejszych. Obszerny ogród i malowniczy widok na zawiślańskie okolice, stanowiły nie małe zalety tej miejscowości. W tej kończynie miasta idąc z naturalnym swoim rozwojem Warszawa, równo za biegiem Wisły, w pierwszych latach Królestwa (od 1815 do 1830 r.) zaczęła się zabudowywać gęsto i zasobnie.

Gdzie dziś zalega równina gładka pod wałami Cytadeli, tu nowa część miasta wyrastała jak z ziemi w wielkich rozmiarach. Obok dworków, wznosiły się nie tylko kamienice murowane, ale duże gmachy, a dalej nieco jak *Zoliborz* na przeciwnej jego stronie rozciągał się wielki i piękny ogród *Rautenstraucha*.

Dużo drzew rozmaitego gatunku i krzewów, cienia i chłodu, kwiatów rozlewających woń miłą, składały się na jego powaby. W środku obszerny dom z kawiarnią i zabudowaniami gospodarczemi. Liczne huśtawki i karuzele, jak smaczna kawa i poncz wyborny a ulubiony, gdy herbaty wcale nieznano, zwabiały tu licznych zawsze gości.

Z ulicy Freta wracając od zdrojów, pierwsza jest wążka i kręta uliczka Święto Jurska, tak zwana od starożytnego kościółka pod wezwaniem św. Jerzego, który stał w tém miejscu, gdzie dziś fabryka wyrobów żelaznych dawniej *braci Ewans*, dziś Lilpopa i Raua. Był to kościół parafialny gotyckiej struktury, wchodziło się do niego jak do podziemia, a pamięć nasza żywo przechowała tylko przystroj grobu Zbawiciela w Wielki piątek i sobotę na Wielkanoc, gdy przy zwłokach Chrystusa trzymali straż olbrzymi malowani rycerze, podziw zawsze miejskiej gawiedzi.

Dalój ciągnęła się obszerna z dużym ogrodem własność *Lesznowskich*, gdzie mieściła się przez długie lata redakcja *Gazety Warszawskiej*.

W pobliżu na przeciwnój stronie, róg téj ulicy wychodzącej na plac Krasińskich, zajmują zabudowania dawnego *Teatru narodowego*, który tu przez długie lata istniał najprzód pod dyrekcją Wojciecha Bogusławskiego, a następnie zięcia jego Ludwika Osińskiego.

Dalszy ciąg Freta doprowadzał do ulicy Nalewki, pustej i mało co zabudowanej.

Zwracamy się do placu Krasińskich, który stanowił tak w czasach księstwa Warszawskiego, jak i w następnych pierwszych latach Królestwa najgłówniejszą część Warszawy.

Tu wspomniany *Teatr naordowy* najpierw zwracał uwagę. Gmach ten wystawił słynny w czasach panowania Stanisława Augusta *Franciszek Ryz* kamerdyner jego w roku 1779, podług planu Włocha Bonawentury *Solarego* budowniczego, przy pomocy królewskiej i księżnicznej Elżbiety Lubomirskiej. Nie w tym gmachu przecież król ten dopełnił *pierwszego otwarcia* teatru narodowego, zaraz w drugim roku po wstąpieniu swoim na tron. Przy ogrodzie Saskim, gdzie obecnie *Rajszula*, wybudował teatr August *Mocny* i w nim ta uroczysta chwila dla sceny polskiej nastąpiła.

Nie możemy zbyć jej pobieżnym wspomnieniem i dlatego obszerniej wedle tradycyi pamiętających tę uroczystość opowiemy.

Wielki był ruch w Warszawie dnia 19 listopada 1765 roku. Po rogach ulic grono ciekawych mieszkańców zwracało oczy na wielki afisz, na którym dużemi literami było wydrukowane co następuje:

„*Afisz teatrowy.*”

Aktorowie Jego Królewskiej Mości komedyów polskich, będą reprezentowali 19 listopada *Natretów*, komedią w trzech aktach, z dużema baletami. Początek będzie o godzinie szóstej i będzie się płacić:

Jeden bilet do cyrkułu, tyńfów dziewięć.

Jeden bilet do pierwszego piętra, tyńfów dziewięć.

Jeden bilet do łoży w parterze, tynfów sześć ¹⁾,

Jeden bilet do parteru, szóstaków siedm.

Jeden bilet do trzeciego piętra, szóstaków pięć.

Bilety od południa będą sprzedawane w *Operalni*."

Wiadomość ta szybko rozbiegła się po całym mieście, rzecz nowa i niesłychana: teatr polski w Warszawie i to za biletami płatnem! W tym teatrze za Augusta III grywano ciągle opery, wszelako chociaż każdemu wolne było wnijsić bezpłatne, teatr był pusty, bo zwolenników do słuchania śpiewaków niemieckich zawsze brakowało.

August III chętnie uczęszczał na te widowiska i dziwiono się powszechnie jego cierpliwości, z jaką słuchał jednej opery od początku do końca powielekroć powtarzanej ciągle. Gromadka dworzan towarzyszyła do tego teatru zwykle monarsze; na pierwsze przedstawienie bywała liczniejsza, ale na drugiem i następnych, tak się zmniejszała, że nieraz zdarzało się, iż August III odprowadzonym był tylko na widowisko, a w teatrze ledwie kilku dworzan i to z obowiązku służby zostawało przy jego boku, wraz z orszakiem zaproszonych umyślnie panów. *Figle niemieckie*, jak zwyczajnie nazywano ten teatr, nie mogły zwabiać ani szlachty ani mieszczan warszawskich, kupców zaś niemieckich szeszupło było grono.

Stanisław August w pierwszym roku wstąpienia na tron, przedsięwziął otworzyć stały teatr w Warszawie jako swęj stolicy. Zaczęto więc zbierać młodzież, którąby wykształcić można było na aktorów. Polecono pośpiech, aby woli nowego króla co rychlęj dogodzić. Zgromadzone pospiesznie towarzystwo aktorów, nie mogło odpowiedzieć wymaganiu sztuki: znalazł się wszelako tu potężny talent komiczny w artyście Świeżawskim, który długo potem był prawdziwą sceny polskiej ozdobą.

Król zwrócił wtedy uwagę na liczny orszak dworzan, kogoby wybrać i przeznaczyć do napisania komedyi na pierwsze otwarcie już urządzanego teatru. Wybór jego padł na Józefa Bielawskiego, Fligel-adjutanta buławy wielkiej księstwa Litowskiego, znanego temu monarsze z drobnych okolicznościowych wierszyków.

Bielawski zaszczycony tak świetnym dla siebie wyborem, mając sobie polecony pośpiech, zabrał się z całym zapalem do pracy, i w ciągu dni kilkunastu komedyę *Natrety* wykończył.

Jakkolwiek na owe czasy cena biletów była dość wysoką, nowość niesłychana, dozwołony udział tak szlachcie jak mieszczanom wspólny za opłatą, zgromadził tłum widzów. Rozchwytno wszystkie bilety, i skoro mrok zapadł, na godzinę przed otwarciem widowiska, cały gmach teatralny był w oblężeniu. Ci, co mieli bilety stanęli w gęs-

¹⁾ Tynf ówczesny miał wartość złp. jeden i groszy ośm, wedle Tad. Czackiego.

tych zastępach przy wnijsiach do teatru, większy tłum oczekiwał na przybycie króla i jego orszaku na ulicy.

Mrok już był ciemny, gdy z uderzeniem szóstej godziny na zamkowym zegarze, z bramy Krakowskiej wyjechało konno kilku hajduków z pochodniami rozpalonemi; za nimi przed poszóstną karetą biegło dwóch laurfów w trzewikach i pończochach: kapelusze ich ozdobne w długie pióra strusie, ubiór pstry i kusy, wielce bawił zebrały lud na Krakowskim Przedmieściu i dalszych ulicach. Biegli oni szybko przed karetą, potraskując co chwila małemi pejczykami.

Stanisław August włosy mając spudrowane i zwinięte w bujne a składne loki, wychylał głowę z uśmiechem wdzięcznym i kłaniał się ludowi, który głośnie a serdecznie wykrzykiwał wiwaty dla króla. Wszyscy byli błogiej nadziei, że dobre czasy z jego panowaniem wrócą. Młody i Piast miał i czas przed sobą i przychylność całego narodu. Otwarcie teatru polskiego było (jak się zdawało wszystkim) zapowiedzią świetnej przyszłości dla kraju.

Karetę monarchy otaczał oddział jazdy gwardyi królewskiej, a za nią ciągnął się rząd długi pojazdów panów zaproszonych i dworzan. Okrzyki wiwatowe towarzyszyły królowi przez całą drogę, przy samym teatrze spotęgowały się silniej, bo i tłum był liczniejszy.

Po wysłanych dywanami schodach wszedł Stanisław August do loży królewskiej bogato przystrojonej: cały teatr był iluminowany. Na widok króla wszyscy zgromadzeni powstałi i głośnym go okrzykiem pozdrowili; kobiety wystrojone połączyły swe głosy pieszczone, powiewając z niestychanym zapałem to chustkami, to wachlarzami, znajdując w nim najdorodniejszego i najpiękniejszego mężczyznę i do tego bezżennego. Szlachta kontuszowa która przemagała w owe jeszcze czasy na parterze, podrzuciwszy w górę czapki, szczęknęła głośno szablami. Szczęk żelaza w krzepkich dłoniach, przydzwonił radosnym okrzykiem. Stanisław August w całym wdzięku młodości, zwany przez damy zbliżone do dworu *Apolinem*, z upromienionem od szczęścia obliczem, wychylił się z loży i wdzięczny wszystkim oddał pokłon.

Na dany znak zabrzmiała orkiestra i przeciągłe okrzyki umilkły; kortyna się podniosła: widowisko rozpoczęło. Scena przedstawiała górę *Parnasu*, z niej powoli zeszła *Thalia* muza komedyi, a zbliżywszy się do loży królewskiej, z niskim pokłonem, tak zaczęła przemowę swoją:

„Ja co od tylu wieków z łona wszystkich krajów,
Wzdychałam do zniszczenia Sarmackich zwyczajów,
Przecież dotąd nie mogłam z dopuszczenia bogów,
Wyśmiać mądrym widokiem tak grubych nałogów,
W których leżała Polska nie bez urągania,
Wyglądając twojego królu panowania.
Bo nie było, toby mi dał życie w Warszawie;
Tobie ten los zostawił honor Stanisławie,

Abyś idąc przykładem *Wielkiego Ludwika*,
Pozwolił mi tchnąć duchem polskiego języka.
Mnie, którą wiek osłabił i ujął rzeźwości
Odważam się po polsku uczyć w mej starości,
Aby tém dostateczniej umysł twój wspaniała,
Mądry królu, świat poznał z potomnością całą.“

Słowa te wywołały grzmiące brawa i okrzyki; wzniecali je co chwila dworzanie, szambelani i piękne panie, bo kontuszowcy na parterze zasłyszawszy że tam mowa o *grubych sarmackich* zwyczajach, które chcą wyszydzać, zaczęli szemrać i zżymać się coraz bardziej. Gniew ich ochłonął nieco gdy spuszczone korytnę i orkiestra na nowo zagrziała hucznego poloneza.

Komedia Bielawskiego podobała się powszechnie, nie szczędzono oklasków i widowisko jak najpomyślniej się skończyło. Okrzyki równie radosne towarzyszyły z powrotem królowi do samego zamku.

Dalsze dzieje teatru narodowego opowiemy obszerniej we właściwem miejscu, i bliżej przypatrzymy się *Kraśińskiemu placowi*; teraz pójdziemy za przedłużeniem ulicy Święto-Jurskiej.

Kończyła się ona równo z obszerną w poprzek idącą tak zwaną: *Nalewki*, która swe imię wzięła od dawnych skrzyń i naczyń nalewkami zwanych, a do wodozbiorów i zaczerpywania wody używanych.

Tu nie znać już było Warszawy, gdyż murowanej kamienicy nie ujrzałeś; wyglądała ta ulica jakby przedmieście małej miłośnicy, gdzieś w zapadłej okolicy Mazowsza położonej.

V.

Ulica Nalewki.—Dworek historyczny.—Doktor Lafonten.—Żywa umarła.
Książę Józef z pod Blachy.—Grenadyer.—Muranów.—Targ koński.

Nalewki. jak zasięgam pamięcią, z rzadka gdzie drewnianymi dworkami zabudowane były: ulica niebrukowana, pełna na wiosnę i jesień błota i kałuży, ale za to pierś tu oddychała świeżym, wiejskim powietrzem, bo każdy dworek otaczał mniejszy lub większy ogród owocowy i warzywny: nie brakło w nich bzu i kwiatów, które balsamiczną woń rozlewały. I w tych skromnych dworkach odgrywały się zajmujące dramaty, z których jeden podamy, opowiedziany nam przez działające w nim głównie osoby.

Pan Ignacy Zadora był właścicielem dworku na Nalewkach prawie wprost Krasińskiego ogrodu. Domek to był drewniany, niski, okolony parkanem i obszernym ogrodem. Odznaczał się też między innymi szczególną schludnością: miał ściany czysto wybielone, okiennice na zielono pomalowane.

Za otwarciem furtki od ulicy, uderzało oczy obszerne, czyste podwórze z pompą do wody na środku, co było wtedy osobliwością. Zdobiło go kilka lip i kłomby bzu włoskiego.

Nad drzwiami głównymi był ganeczek, po którym piął się latem zielony powój. W pobliżu pompy zaczynał się ogród, pełen drzew owocowych, z kępinami starodrzewu, teraz już bez właściwego wdzięku, były to bowiem początki jesieni 1806 roku.

Liście z drzew opadły zeschnięte, wichura pomiatała niemi to po podwórzu, to po nad dachem dworku, to po ulicy niebrukowanej. Deszcz ze śniegiem zmieszany od dwóch dni padał. Pusto i ponuro było na obszernym placu przed dworkiem pana Ignacego, który go tak starannie na wiosnę tego roku odnowił, poślubiając młodą i piękną pannę Klarę, którą od kilku lat ukochał. Szczęście i spokój każdy mu dzień pożycia umilały, obok żony pełnej powabu, łagodnej, cichiej i umiejącej słodką wzajemnością odplacać mężowi miłość i przywiązanie.

Ale od miesiąca, niespodziana troska uderzyła na to ciche a skromne ustronie. Pani Klara złożona ciężką chorobą, nie mogła powstać z łoża. Doktor zmieniał co drugi dzień recepty, ale lekarstwa nie skutkowały; gdy coraz jawniejsze było niebezpieczeństwo, przyzwano sławnego Lafontena.

Noc ostatniego października odjęła wszelką nadzieję utrzymania chorą przy życiu. Mąż w rozpacz nie odstępował jej łoża, gdy nad ranem zajechał doktor Lafonten.

Pan Ignacy patrzył w jego oblicze, jak w tęczę, czy nie wyczyta jakiej iskierki nadziei; ale doktor wziął za białą rękę, badał puls, który coraz był słabiej, aż wreszcie ustał zupełnie.

Lafonten długo spoglądał w twarz umierającej, z której znikaly słabe rumieńce. Oblekała to piękne oblicze blada barwa śmierci wraz z jej lodem. Lafonten puścił rękę utrzymaną, która opadła bezwładnie na krawędź łóżka.

Postać chwilę jeszcze i smutny, z opuszczoną głową na piersi, wyszedł zadumany i odjechał. Za powrotem do domu, a mieszkał na Podwalu, nakreślił słów kilka w swoim dzienniczku.

Wiadomość o zgonie pani Zadorowej szybko rozbiegła się po mieście. Nie było zwyczaju wtedy przenoszenia zwłok przed pogrzebem do kaplic kościelnych, spoczywały one w domu, gdzie zmarły zakończył życie i stąd przenoszono je na karawan żałobny.

W pierwszym pokoju ustawiono katafalk skromny, otoczony jarzącami świecami. Na drugi dzień zajechał dwukonny karwan, który przewiózł ciało zmarłej na cmentarz Powązkowski. Złożono je w miejscowym kościółku dla późnej pory i niewykończenia grobu, w którym miało być pogrzebane.

Podług ówczesnego zwyczaju, zdjęto wieko zabite i trumnę ustawiono na niskim katafalku.

Złamany rozpaczą mąż nieszczęśliwy, zbliżył się i pocałował z płaczem w czoło ukochaną małżonkę: przyjaciele zaledwie potrafili oderwać go od jej trumny.

Nazajutrz rano naznaczono nabożeństwo żałobne i pochowanie zwłok w grobie świeżo przygotowanym. Pan Ignacy wrócił o dobrym zmroku do pustego dworku, wraz z młodym wyrostkiem Piotrem, który pełnił obowiązki lokaja. Służąca, zastępująca młodszą i kucharkę, przeniosła się na noc do swej siostry, w sąsiednim domu, bojąc się ducha zmarłej pani.

Piotrek jeszcze przywiązany do swych państwa, dzielając boleść w domu, na pogrzebie płakał, jak bóbr rzewnymi łzami, a zaproszony przez forysia pana starosty do ogródka przy cmentarzu, lubo nie wiele wychylił kieliszków, dobrze jednak podcięty, wrócił do miasta.

Zadora przeszedł się smutny po wszystkich pokojach, które mu się teraz wydawały tak smutne, ponure, gdy za życia ukochanej Klary były tak miłe i wesołe.

Łoże małżonki stało puste, otoczone doniczkami bujnej geranii. Usiadł przy kominku i zawołał na Piotrka, ażeby drewek przyniósł dla rozniecenia większego ognia, bo uczył nagle dreszcz zimny i przenikający.

Piotrek, zataczając się dobrze, zebrał ostatecznie siły, naniósł kilka nareczy polan dębowych i brzoźowych, ale zmęczony, jakby pracą niezwykłą, upadł na swe łóżko i twardo zasnął.

Do późnej nocy przesiedział nieszczęśliwy wdowiec przy kominku, aż osłabiony, czując jakby niknące siły, sparł głowę na poręczy krzesła, zaczął drzemać. Jak długo tak marzył, nie wiedział, gdy go nagle niezwykły rozruch z przedpokoju rozbudził, a wkrótce usłyszał, jak Piotrek biegnie z pośpiechem do jego sypialni, rozbijając się po drzwiach i ścianach.

Ogień zgąsł na kominku, ciemność nieprzejrzana okalała w około: zerwał się na nogi i zbliżył do łóżka, aby skrzesać ognia z krzesiwa, gdy Piotrek stanął w drzwiach sypialni i zaczął ochryptym i niewyraźnym od strachu głosem wołać:

— Pa, pa, pa, panie! pa, pa, pame! pa, pa, pani przysła!

Zadora zadrzał na te słowa, trzymając krzesiwo, krzyknął na Piotrka:

— Skrzesz prędko ognia!

Ale Piotrek, lubo orzeźwiony nieco głosem pana, tak drżał cały, że zamiast stawką uderzać w krzemień, kaleczył tylko palce sobie, wciąż jedne powtarzając słowa:

— Pa pa panie! pa pa pani przysła!

Pan Ignacy wyrwał mu krzesiwo, prędko rozdmuchał próchno zatłone i siarniczką gorejącą zapalił świecę. Blask jej przeraził go, gdy spojrzał na Piotrka, który zbladły jak trup, z sinemi ustami, z wylupionemi oczyma, drżąc cały jak w febrze, teraz ciszej wciąż bełkotał:

— Pa pa panie! pa pa pani przysła!

Zadora zapalił kilka świec pozostałych od katafalka zmarłej, a dając jedną w rękę Piotrkowi zawołał:

— Idź i drzwi otwórz!

Posłuszny chłopak wyszedł chwiejącym krokiem z sypialni, ale gdy usłyszał bicie we drzwi i straszny głos z ganku:

— Piotrek! otwieraj mi prędzéj!

Nogi stracił, upadł jak długi i świeca zagąsła.

Wtedy pan Ignacy sam pospieszył do przedpokoju.

* * *

W kościółku Powązkowskim spoczywały zwłoki zmarłej Zadorów; cztery świece woskowe gorzały przy katafalku i słabo rozświecały pomrok w świątyni.

Dziad kościelny, czuwający przy nim drzemał w ławce, gdy go poświst wichury, co zatrząsł oknami i drzwiami rozbudził.

Przetarłszy zaspane oczy, powstał i zbliżył się do katafalka. Przypatrując się zmarłej, dostrzegł na jednym palcu, grubą, złotą obrączkę ślubną; umierająca bowiem z całą przytomnością umysłu, prosiła usilnie męża, ażeby została z tą drogą dla siebie pamiątką pochowaną. Przywiązany małżonek spełnił to jej ostatnie życzenie.

Na widok tak łatwej zdobyczy, oczy dziada zajaśniały szczególnym blaskiem, wziął jedną świecę, obszedł cały kościół, a przekonany, że nie masz nikogo, wrócił do katafalku i chciał z palca ściągnąć obrączkę; ale trudne to było zadanie, wpiła się bowiem w ciało.

Już dobył noża i chciał odciąć palec, ale przypomniał sobie, że zwłoki w odkrytej trumnie muszą pozostać do nabożeństwa porannego i trumna dopiero do grobu niesiona zabita zostanie: łatwoby któkolwiek dostrzegł jego występki.

Stanąwszy więc na stopniach katafalku, kolaniem przycisnął piersi zmarłej a z palca z całą siłą zaczął ściągać obrączkę.

Przy pierwszym naciśnięciu piersi, usłyszał jakby cichy jęk dobywający się z ich głębi, a trup zmarłej roztworzył oczy i podniósł głowę. Na ten widok dziad wydaje okrzyk trwogi i ucieka, kiedy oczucona z letargu pani Klara, przyszedłszy do przytomności zaczęła wołać, ażeby wrócił, obiecując mu sowitą nagrodę.

Dziad, który w ucieczce dwa razy się przewrócił i rozbił, usłyszawszy jęk ochłonął z przestrawienia i z wolna wraca do katafalka. Pani Zadorowa siedząc w trumnie, wyciągnęła doń ręce:

— Nie lękaj się mnie dobry człowiecze—wyrzekła ujmującym głosem—widzisz że żyję i nie jestem upiorem. Pomóż mi wydobyć się z tych miejsc, od męża sowitą nagrodę otrzymasz. Nogi mi skostniały od zimna...

Dziad oprzytomniawszy, podał jęk ręce i wydobył z trumny.

Pani Klara zaczęła drżać z zimna, narzucił więc na nią obszerny swój płaszcz dziadowski i oboje ruszyli z kościółka powązkowskiego.

Wichura ustała, chmury co okrywały cały horyzont, zaczęły się rozpywać i księżyc drogę oświecił. Przy samym dopiero dworku Zadory, wiatr gwałtowny zadął, gdy pani Klara, zziębniętą ręką pochwyciła za klamkę i dobijając się zaczęła do mieszkanka swego.

Długo stać musiała i użyć do pomocy pięści silnego dziada, zanim się dobudzono podpilego Piotrka.

Zadora poznał głos ukochanej żony, radość i podziwienie naprzemian go wzruszały. Otwiera drzwi z pośpiechem, i cofa się nieco na widok wchodzącej w obdartej czapce i płaszczu dziadowskim. Klara rzuca się w objęcia małżonka, a wysilona wrażeniami tej nocy omdlewa.

Zadora przenosi ją do sypialni, składa na łożu i zajmuje się jęk otrzeźwieniem: wprędce odzyskała przytomność. Pan Ignacy przy pomocy dziada suty na kominku rozniecił ogień, a Klara rozgrzana parą szklankami gorącego lipowego kwiatu, zaczęła opowiadać przygody swoje.

Dziad hojnie wynagrodzony opuścił dworek, a Zadora zaczął szukać Piotrka. Po długim śledzeniu odkrył z pod łożka dwie jego nogi wystające: za tym śladem znalazła się reszta. Wyciągnął go z ukry-

cia, a Piotrek który nieco ochłonał z piorunującego przestrachu, powstał, drżąc jeszcze jak w febrze.

— No! chodź tchórzul!— rzekł Zadora—i zobacz że pani zdrowa, bo to był sen a nie śmierć. Pójdź, pani chce cię zobaczyć.

Piotrek nieśmiało panu odmówił, zcicha i na palcach zaczął się za nim skradać do sypialni, jakby do śpiącej: ale ujrawszy ją żywą z rumieńcem chociaż słabym na bladym jeszcze obliczu, wyłupił oczy i w niemym jakby zachwyceniu stanął na progu.

Pani Klara wyciągnęła do niego rękę.

— Zbliź się do mnie—rzekła miłym jak zwykle głosem—i powitaj panią swoją.

Na te słowa Piotrek drgnął cały, orzeźwił, jednym skokiem stanął przy łożu, a ukląkwszy, zaczął całować podaną rękę zanosząc się od rzewnego płaczu.

Nazajutrz całe miasto wieść obiegła o cudownym zmartwychwstaniu zmarłej. Przyjaciele i sąsiedzi składali powinszowania, jedni z prawdziwej życzliwości, drudzy wiedzeni ciekawością ujrzyć *żywą po śmierci*.

W kilka dni przed dworek Zadory zajechało kilka pojazdów wykwintnych: z pierwszego wysiadł *książe Józef z pod Blachy*, z drugich jego towarzysze.

Książę powinszował Zadorze, którego ojca znał dobrze z kampanii 1792 roku, a patrząc na powabną jego małżonkę, której wdzięki, żywy teraz rumieniec przykraszał, wyraził, że nic nie straciła z powabów swoich przechodząc tak smutne zdarzenie, i dzięki niebu że na ziemię naszą piękna wróciła istota.

Doktor Lafonten na przyniesioną wiadomość o tym wypadku, porwał za swój *Dzienniczek* i w nim odczytał co zapisał przed kilkoma dniami: „Ulica Nalewki, Zadora. Choroba dziwna: pogrzeb wstrzymać.“

Ale przy natłoku chorych, zapomniał tej przestrogi udzielić Zadorze.

We trzy lata w początkach ciepłej jesieni, niezwykle życie ożywiało stolicę Księstwa Warszawskiego. Był to rok 1809.

Zadora zmęczony odpoczywał w ogrodzie przy swoim dworku, żona kwitnąca zdrowiem, pieściła dwuletniego syna, gdy wszedł nieznamy żołnierz z licem ogorzałym w wysokiej niedźwiedziej bermycy, z krzyżem srebrnym na piersiach.

Widać, że znał dobrze miejscowość, bo zajmawszy do dworku, zwrócił się do ogrodu, a stanąwszy przed małżonkami, pozdrowił w milczeniu salutując prawą ręką do czoła. Zadora i pani Klara, z podziwieniem spojrzeli na grenadyera: ten stał wyprostowany nie mówiąc słowa; ale gdy chłopcyna wyciągnął doń rączki z anielskim uśmiechem, nie mógł dotrzeć w spokoju: przykląkł przed panią Klarą, a całując rączyny dziecięce, ze łzami w oczach drżącym od wzruszenia głosem przemówił:

— Nie poznajecie państwo swojego Piotрка?

Na te słowa Zadora porwał go w swoje objęcia i zaczął ścisnąć serdecznie. Pani Klara pocałowała go w głowę.

— No! mój Piotrusiu, teraz cię już pod łóżkiem nie szukałbym pewnie.

Piotrek, dzisiaj *pan kapral*, smutnie potrząsnął głową i odrzekł:

— Z łóżkiem się od lat trzech już nie widziałem, chyba wtedy, gdy leżał ranny w lazarecie. Przechodząc przez Warszawę, zaraz poszedłem zobaczyć moje kochane państwo, któregom tyle lat nie widział. Jakaż to dla mnie radość że was zdrowo widzę, i mogę popieścić waszego syna.

Przy obiedzie na którym razem u stołu siedział, opowiadał przebyte koleje od czasu gdy przywdział mundur; bitwy pod Toruniem, Górą, Sandomierzem i Jedlińskiem, gdzie ranę otrzymał. Wystrugał dla *panieczylka* pałasz drewniany i karabinek.

Nazajutrz kompania jego wychodziła z Warszawy, wcześniej więc opuścił dworek, opatrzony obficie przez panią Klarę na drogę.

Już go więcj nie ujrzeli, zginął w roku 1812 jako kapitan nad *Berezyną*, gdzie ostatni cios zniszczenia odebrała wielka armia Napoleona I-go.

Od tego zdarzenia cicha ulica Nalewki nabrała rozgłosu pomiędzy mieszkańcami Warszawy, a dworek Zadory stał się miejscem historycznym dla miasta, gdyż do niego przyrosła tradycja, przyozdobiona fantazyą o żyjącej po śmierci, którąśmy opowiedzieli wiernie bez żadnych dodatków.

Ulica ta z prawej strony od Krasińskiego placu idąc, dosięgała, jak i teraz Muranowa ¹⁾, obszernego placu, na którym oddawna bwały *targi końskie*. Zwykle po targu rannym na Pradze, przeprowadzano konie na ten plac, który się nagle ożywił nie tylko gwarem, ale i krzykiem harcujących na siodle czy oklep, dla okazania dziarskości rumaków na sprzedaż wystawionych. Badacz fizygnomii i charakterów ludzkich, zarówno jak rysownik, mieli tu obfite zasoby do chwywania typowych postaci, roznamietnionych to nadzieją zysku spodziewanego, czy też prawdziwego zamiłowania do tych szlachetnych zwierząt, które tyle usług człowiekowi oddają. Targi te szczególniej w letnią porę, co piątek przeciągały się do późnej nocy, lubo je wcześnię żydzi opuszczali z powodu nadchodzącego szabasu.

Z lewej strony Nalewki zamykał gmach zwany arsenałem.

¹⁾ Kronikarz Warszawy F. M. Sobieszczański, wyprowadza nazwę Muranowa, od wysepki w Wenecyi *Morano*, z której rodem był pierwszy właściciel tej miejscowości Józef Belloty Włoch. Pierwotnie miejscowość ta nazywała się właśnie Murano.

Gmach ten w niczem swój postaci zewnętrznej nie zmienił, jak był na początku naszego stulecia. Za Stefana Batorego mieścił się tu szpital wojenny, Władysław IV zamienił go w zbrojownię. Urządzeniem jej zajmował się słynny Grodzicki, generał artyleryi, czyli jak wówczas nazywano *starszy nad armatą*. Część wszelako arsenału, mieściła się w XVII wieku w budynku „prochowni“, o której już wspominaliśmy i dawne podanie starych mieszczan warszawskich, przechowało godne pamięci wspomnienie.

Kiedy zaszła trzydniowa bitwa pod Pragę z Karolem Gustawem i Elektorem Brandeburskim w dniu 18, 19 i 20 lipca 1655 roku, królowa Marya Ludwika, przypatrując się od téj zbrojowni z wyniosłości ponad rzeką walce, spostrzegła, że z murów téj małej warowni, nacierających Szwedów po drugiej stronie Wisły, skutecznie razić można. Kazała więc wyłożyć konie ze swój karety, dwa działa z arsenału sprowadzić i zajmwszy się sama dobrém onych ustawieniem, celnymi strzałami nie małą im klęskę zadała.

Nie jedyny to przykład energii téj królowej. Słynna z piękności, zakochana w urodnym *Sing-Marsie*, który na rusztowaniu skończył życie, oddana głębokiej boleści, za staraniem kardynała Richelieu'go poślubioną została Władysławowi IV. Król ten w lata zaszły, ocięzają z otyłości, na pierwszy widok swój nowój małżonki, którą znał tylko z przesłanej przez Richeliego miniatury, przyjrząwszy się jej bliżej, wyrzekł tak głośno do posła francuzkiego, że słowa jego usłyszała:

— I toż to jest owa wasza piękność zawołana?

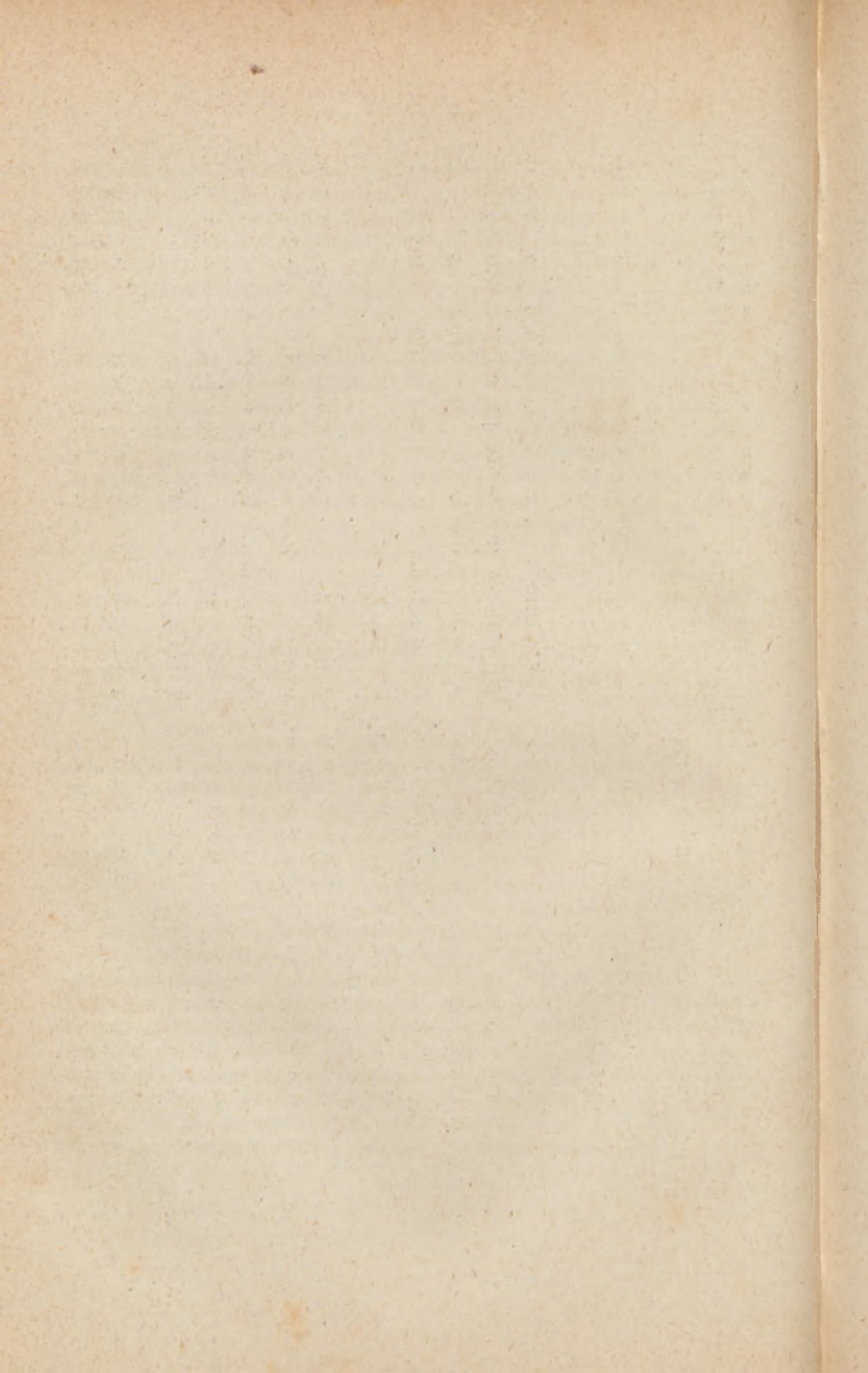
Ugodzona w serce boleśnie, pragnęła pocieszyć się wpływem na rządy państwa, ale Władysław IV z początku zaraz surowo się uleczył z téj zachcianki. Po jego zgonie, poślubiła brata Jana Kazimierza i wśród nieszczęśliwej doli kraju, była dlań nie małą podporą.

Marya Ludwika nie jedno to wspomnienie zostawiła po sobie w Warszawie: była ona fundatorką kościoła i klasztoru Panien Wizytek na Krakowskiem-Przedmieściu.

Jeżeli arsenał, zamykający ulicę Nalewki, w murach swoich stoi jednostajny; zewnętrzny przystrój jego wielce się zmienił.

Od ulicy Długiej, oprócz kilku topoli przy chodniku na wybrukowanym placyku, leżały kule armatnie, ułożone gustownie. Wewnątrz w dużej sali, była właściwa zbrojownia, przystrojona ze smakiem artystycznym z rozmaitej broni tak palnej, jak siecznej. Oglądałeś tu lance, chorągiewki i szable szwoleżerów z pod *Somo-Sierra*, jak z legionów: wiele zabytków dawniej zbroi, karabiny rozmaitego kształtu i kalibru, stare działa i śmigownice szwedzkie.

Widok wnętrza téj pięknej sali, jak i zewnętrzny samego gmachu arsenału, zachował nam w albumie swoim *Jan Pwarski* w kolorowanych rycinach.



VI.

Pałac Mostowskich. — Ludwisarnia. — Plac Krasieńskich. — Teatr narodowy. —
Józef Bielawski. — Scena i artyści dramatyczni. — Wojciech Bogusławski. —
Marcin Szymanowski. — Kudlicz. — Wolski. — Werowski. — Piasecki. — Ledó-
chowska. — Leontyna Żuczkowska. — L. A. Dmuszewski. — Józef Zdanowicz. —
Nowakowski. — Kurpińska. — Balet. — Tragedye klassyczne. — Zmiana pojęć. —
Scena liryczna Fr. Morawskiego: „Sen poety.“ — Homer i Ossyan.

Ulica Długa właściwą miała nazwę, bo w tym okresie (1800 do 1830) była najdłuższą niemal ze wszystkich, kiedy Nowy-Świat, niezabudowany należał więcéj do przedmieść Warszawy.

Arsenał frontem do ulicy Długiéj zwrócony, po prawéj stronie był przedzielony uliczką od wielkiego gmachu zwanego pałacem *Mostowskich*. Własność niegdys Hilzenów z Inflant, następnie Mostowskich, gdy przeszedł na własność rządową, przerobiony został z nie-małym nakładem na pomieszczenie Komisji rządowéj Spraw wewnętrznych i policyi. Front zdobiły płaskorzeźby dłuta Norblena, wyobrażające rolnictwo, godła przemysłu z kunsztami połączone oraz policyę: na szczycie wznosił się orzeł.

Z lewéj strony arsenału, przez wązką także uliczkę przedzielona stała Ludwisarnia, co dotąd swój dawny kształt zachowała, w której naprawiano broń uszkodzoną i wyrabiano nową. Po téj połaci ciągnął się rząd bez przerwy kamienie murowanych aż do placu *Krasin'skich*.

Plac ten raz przez swój pałac, jeden z najpiękniejszych budynków Warszawy, powtóre przez gmach teatralny, w którym scena narodowa mieściła się i rozwijała blisko przez pół wieku, stał się miejscem dla Warszawy historyczném.

Teatr swoją zewnętrzną postać zachował po dawnemu: upstrzyły go teraz liczne sklepy żydowskie, gdy przedtém miejsca jakie zajmują, stanowiły obszerną sień wchodową. Scena była obszerna, i jak na ludność ówczesną, miejsca dostatecznie dla lubowników teatru.

Łoże były wygodne parterowe, pierwszego i drugiego piętra i kilka galeryowych; krzesel nie było, a cały dół zajmował parter stojący, do którego bilet pojedynczy kosztował cztery złp.; później wniesiono do niego trochę ławek, a w ostatnich dopiero latach, ukazało się kilka tylko rzędów krzeseł.

Parter i paradyz stanowiły właściwych ukształconych widzów i dobrych sędziów, każdego utworu dramatycznego, jaki się pojawił na scenie.

Paradyz, zajmowali akademicy i młodzież szkolna. Jak pierwsi tak drudzy strzegli pilnie tam ulubionego miejsca Stanisława Staszica, ażeby nikt go zająć się niepoważył. Lubo się zdarzało, że Staszic dla zajęć pilnych w ministerstwie spraw wewnętrznych, nie przyszedł na widowisko, miejsce to niezajęte, zawsze nań oczekiwało.

Oświetlenie było ze świec woskowych, później dopiero zaprowadzono żyrandol z lampami olejnymi.

Teatr wiązał się silnie ze swą społecznością, i nigdy się lepić nie da zastosować ta piękna myśl Jana Nepomuccena Kamińskiego, wypowiedziana w prologu na otwarcie sceny lwowskiej, jak do tego właśnie okresu o którym mówimy.

„Wiek swój pokrzywdza zdaniem zardzewiałem,
Kto częściej zabawy szuka w niej powodu;
Silniej niż dusza rozmawia się z ciałem,
Rozmawia *scena* ze sercem narodu.
Jeden tam węzeł dwie strony kojarzy,
Co jedna czuje, druga ma na twarzy.“

Teatr wpłynął przeważnie na zamięłowanie literatury dramatycznej, na rozszerzenie dobrego smaku, obudził życie literackie, albowiem oprócz wywołania nowych utworów dla sceny, obudził krytykę.

Jakkolwiek pierwszą myśl stałego teatru zawdzięczamy Stanisławowi Augustowi, który go tak okazał, jakżeśmy widzieli, otworzył, dalsze jego utrzymanie i rozwój odpowiedni duchowi czasu i współczesnych wypadków, jest dziełem wyłącznym Wojciecha Bogusławskiego. Mąż godzien posągu przed gmachem teatrów warszawskich. Stanisław August naśladowując dwór francuzki, zapragnął widowisk scenicznych, z tą myślą się nie tań, nawet nadworny poeta Bielawski wypowiedział ją w swym prologu ¹⁾; ale wkrótce zdał całą sprawę sztuki dramatycznej w ręce swego kamerdynera Ryxa, i teatr jak prędko

¹⁾ Nie możemy milczeniem pominąć tego pisarza, raz jako autora, którego komedya otwarto pierwszy stały teatr w Warszawie; powtórc, jako wydatnej postaci na dworze królewskim i w piśmiennictwie tego okresu.

Nie znamy szczegółów życia Józefa Bielawskiego, ani powodów, które skłoniły Stanisława Augusta, że jemu powierzył napisanie komedyi na uroczystość otwarcia teatru polskiego. Bielawski pisywał drobne okolicznościowe wierszyki, które pojedynczo wychodziły, ale te żadnej wartości nie miały. Dowcipny szambelan Kajetan Węgierski, wziął go za cel szyderstwa swego; nie zapomniał o nim w poemacie swoim „Organy,“ i komedye jego pomiędzy najlichszemi utworami literackimi umieścił. W liście zaś do księdza Węgierskiego, tak się o nim i ówczesnych pisarzach dramatycznych wyraża:

„Od Bałtyckiego morza, ku śnieżystym Tatrom
Wiedzą, że pan Bielawski otworzył teatr;
I słusznie się tym chełpi zaszczytem niezmiernym,
Że był pono natenczas, jak mówią, odźwiernym.
Gniew ubogich autorów na warszawskiej scenie,
Krzywdę czyni Thalii, hańbę Melpomenic;

otwartym został, równie prędko byłby zamknięty, gdyby nie poświęcenie Bogusławskiego.

Kilka słów wspomnienia życia tak czynnego, tu najważświwiej podamy:

Jeden z nich, co przez długi czas swą wenę chował,
Mówią, że nową jakąś sztukę wygotował:
I z tego na zabawę potrafił korzystać,
On, trochę nas ponudzi, my, możemy wyswistać!“

Ujął się za potyranego twórcę „Natrętów,“ drugi szambelan, potężny talentem Trembecki. Pod imieniem Bielawskiego puścił kilka wierszy w obieg, które (zanim się prawdziwy autor wydał) podniosły Bielawskiego w oczach czytającej publiczności. Pod jego też imieniem napisał wiersz jako odpowiedź na pociski Węgierskiemu, z którego podamy małe wyjątki:

„Lekkomyślny młodzik! napaść twoją hardą,
Raz odciawszy, na resztę patrzałem z pogardą;
Lecz gdy twoja swawola nie znajduje końca,
Biorę pióro i siebie i drugich obrońca.

Od Baltyckiego morza, ku śnieżystym Tatrom.
Wiedzą, że pierwsze polskie otworzył teatrum;
Gdzie, przepisanej wierszem trzymając się drogi,
Przepuściwszy osobom, wysmiałem nałogi.“

Z dalszego ciągu tego wiersza, dowiadujemy się, że Bielawski pisał wierszyki na cześć i w hołdzie pięknym oczętom; że sławił cnoty Izabelli (Czartoryskiej); że zlorzezył owej nocy listopadowej, w której konfederaci porwali króla z Warszawy, wreszcie, złośliwą zwracając mowę do Węgierskiego, tak pisze:

„Wielka rzecz, żeś tłumaczył prozę Marmontela: (pow. moralne)
Ta się znikoma praca dla żaków oddziela,
Wiemy oraz że twoja muza znamienita,
Pisała też i wiersze których nikt nie czyta;
Wart Achil być podanym wiekom przez Homera,
Wart i Homer takiego śpiewać bohatera;
Obydwa siebie godni, obydwa wieczyści:
Tyś organistów godzien, ciebie organisci.“

Przymówka do jednego z największych utworów Węgierskiego, poematu komicznego „Organy.“ Reszty tego wiersza nie przytaczamy, bo kończy się kijową pogrózką. Niedosyć, na krytykę komedyi „Natrętów,“ taką Trembecki napisał odpowiedź Węgierskiemu, w imieniu ich autora:

Urodzony w roku 1760 we wsi Glinnie pod Poznaniem, nauki pobierał w szlacheckim konwiktie księży Pijarów w Warszawie. Gdy odbywał ostatni popis ukończonych nauk, obecny temu biskup Sołtyk, książę siewierski, tyle był zadowolony wszechstronną zdolnością mło-

„Byłbym cię nie znał, ale pióro cię wydało,
Co z kiepska po węgiersku Woltera przebrało;
Żałuję jego losu że w tak śmiesznym stroju,
Pójdzie na papiloty ciemnego pokoju.“

Wiadomo jakim był zwolennikiem Woltera Węgierski, i jak go ochotnie gdzie mógł tylko naśladował.

Odetchnął swobodniej Bielawski pod tarczą obronną Trembeckiego, bo go odtąd nie napadał więcej Węgierski, lubo za każdym spotkaniem lubił zeń żartować. Bielawski bywał na uczonych obiadach czwartkowych w Zamku u króla, bywał tam jako szambelan i Węgierski. Raz wśród gwarnej rozmowy, nagle się uciszyło, bo król miał nadejść. Węgierski w tej chwili spostrzegł Bielawskiego.

— Ach!—zawołał—powiem też panom jaki napisałem Bielawskiemu nagrobek.

— Słuchamy! słuchamy!

Węgierski zadarł głowę w górę, jak miał zwyczaj, i z napuszeniem wydeklował:

„Tu leży Bielawski, szanujcie tę ciszę,
Bo jak się obudzi, komedycę napisze!“

Powszechny śmiech zabrzmiał po sali zamkowej, który wkrótce uśmierzło przybycie króla.

Że utwory Bielawskiego nie zasługiwały na szyderczą poniewierkę Węgierskiego, zaraz zobaczymy. Nie miał on wzorów żadnych w literaturze naszej, pisał po Franciszku Bohomolcu, którego przeróbki z Moliera, z uwagą ciągnął że to młódz szkolna ma-przedstawić, a zatem z opuszczeniem ról kobiecych, za początkowe próbki zaledwie liczyć można. Bielawski na szerszą skalę rozwinął swoje komedye, i nieraz umiał pochwycony z natury charakter trafnie i szczęśliwie oddać. Bacząc na czas w którym pisał, komedycę jego można uważać za piękny i wiele rokujący zawizek sztuki dramatycznej, która wchodziła teraz w potrzeby życia społecznego.

Szyderstwa Węgierskiego wytraściły mu pióro z ręki. Tadeusz Mostowski (w przypisach do poezyi Węgierskiego 1803 r.), maluje nam Bielawskiego jako oszłowika uczciwego, bez złości, i zabawnego w posiedzeniach. Dożył późnego wieku. Urodzony za Augusta III, już w męzkim wieku był obecnym koronacyi Stanisława Augusta, wiernie mu służył przez cały ciąg panowania, przeżył go jak i starą Rzeczpospolitą. Patrzył na wielkie zmiany krajowe,

dego Bogusławskiego, że go wziął jako pazia do swego boku. Wkrótce książę biskup kraj zmuszony był opuścić, a Bogusławski wszedł do pułku gwardyi litewskiej; lecz gdy go ominął stopień wyższy, na

i za czasów Księstwa Warszawskiego umarł mając lat 70 wieku, w 1809 roku. Przejrzyjmy chociaż pobieżnie obiedwie Bielawskiego komedye, które się cieszyły niemalém powodzeniem na pierwszym naszym teatrze.

I. *Natręci*, komedya z rozkazu Najjaśniejszego Stanisława Augusta króla Polskiego, Wielkiego Książęcia Litewskiego napisana i na widok dnia 19 listopada 1765 roku w Warszawie wystawiona. (Warszawa, str. 123, oprócz przypisu i prologu, w 12ce).

Bielawski w przypisaniu królowi poniższém, tak o tój komedyi pisze:

„Że przyjmiesz królu pióra mego pracę,
Słabe pierwiastki, nadziei nie tracę;
Bo umysł wielki i dusza wspaniała,
Zastąpić błędy będzie mi umiała.
Który *Natrętów* gdy pokazać chciałem,
W pisaniu za cel, Twe rozkazy miałem;
Ani blask sławy dobył we mnie weny,
Do otworzenia pierwszej w *Polszcze* sceny.
Boby to były prózne me zapędy,
Wystawiać słabém piórem cudze błędy;
Które im żywiéj czyj rozum maluje,
Tém je delikatniéj słuchający czuje.
Wyższym ten honor duszom zostawiony,
Sięgać w rodakach wad przez wszystkie tony;
Mnie dosyć chwały, gdy świat powie cały,
Że się *Natrętem* stał poeta śmiały.

Królu! coć dało tron błogosławieństwo;
Gań we mnie rozum, a nie posłuszeństwo.
Bo nie chcą woli Twojéj się uchylić,
W jéj dogodzeniu przyszło się pomylić;
Więc twarz odwracaj od tego uroku,
A pozwól, zmierzyć chęć autora, oku;
Który za pierwszą pracy swojéj cnotę,
Nie styl, nie myśli, lecz niesie ochotę;
Wszak ma nie z siebie najmilazy darunek,
Lecz z ręki, która daje swój szacunek.
Jak i ja znając niezdadność méj sceny,
Szukam w Twych rękę, sercem dla niéj ceny;
Tobie zaś wieczna chwała ztąd zostanie,
Że Tve, błąd w kraju zmaże panowanie.
Możesz być wyrok piękniejszy od tego,
Poprawić ludu obyczajność swego.

który zasłużył istotnie, oburzony niesprawiedliwością, porzucił stan wojskowy i zwrócił się ku scenie krajowej.

W kwiecie wieku wprowadzony do teatru przez szambelana dworu Wojnę, wystąpił poraz pierwszy na scenę warszawską w roku 1778 w tłumaczonej przez siebie komedji p. n.: „Falszywe poufanie.“

Niech Francuz wielkość czci swego Ludwika,
Warszawa imię Ciolka (herb Poniatowskich) dziś wykrzyka;
Wielbi wieśniaczek, stany się radują,
Że w Stanisławie, Ludwika znajdują.“

Bielawski widać znał słabość króla, który pragnął naśladować Ludwika XIV i w tym celu teatr otworzył; ztąd w obu komedjach, po kilkakroć znajdujemy porównanie Stanisława Augusta do władcy francuzkiego, a król mile zawsze przyjmował to pochlebstwo.

Komedya *Natrzeć* pisana z rozkazu jego, miała wyjaśnić wydatniejsze wady krajowe, ale Bielawski zdradza się, bo wyraźnie mówi, że teatr otwarty nie dla czego innego, jak dla zniesienia *sarmackich zwyczajów* i grubych *nałogów*, co Polskę podały w urągowisko! Główną też zaprawdę myślą było Poniatowskiego, wszystko co było narodowością, najprzód szysterstwem zohydzić, a następnie wypłenić, sądząc, że gdy się naród wyprze własnego obyczaju i zwyczajów, wtedy stanie na drodze postępu i wielkości przyszłej. Smutna, nierozważna i zgubna dążność! Mimo to autor poszedł inną drogą, albowiem Paryżanina wystawił w karykaturze, a za polskością silnie trzymał.

Natrzeć nie są bynajmniej komedya w dzisiejszóm znaczeniu. Żadnego tu niemasz nietylko węzła dramatycznego, ale układ cały niezręczny. Jakkolwiek myśl główną wziął Bielawski z Moliera, wszystkie postacie wprowadzone na scenę, w niczém nie są naśladowane, ale odwzorowywane z postaci krajowych. Komedya pisana prozą, przeplatana miejscami wierszem. Treść jej następująca:

Hrabia, zakochany w Lucyndzie, miał się z nią widzieć o umówionej godzinie w Ogrodzie Saskim; ale Cześnik natrętnik porywa go gwałtem na drodze i wiezie do państwa Łowczych, gdzie zasadzony do kart, nie mógł stanąć w ogrodzie. Oczywiście kochanka srodze zagniewana; hrabia przez Pontalskiego posyła guwernantce Lucyndy złoty zegarek, aby ją ukołła w gniewie, sam zasiada do pisania listu. Ale za ledwie cztery wiersze nakreślił, wpada doń pierwszy z *natrętów*, Skarbnik. Jestto postać samochwała, który ma się za dowcipnego i rozumnego, co lubi kobiety i umie ich wdzięki ocenić, szukający wyższych towarzystw, a przytem łakomy na cudze przysmaki. Za ledwie potrafił go się pozbyć, gdy pomimo oporu służącego Węgrzynka, wpada szlachcio Wietrznikowski. Dobrze w nim odmalował Bielawski ową ubogą szlachtę, co pełna dumy rodowej (bo i Wietrznikowski jest pra-pra-pra-prawnukiem tego, co po zabiciu króla Władysława pod Warną, tak się stał strasznym Turkom, że dotychczas na jego wspomnienie drżą wszystkie meczety w Stambule)

Pierwszy ten występ zapowiedział znakomitego artystę. Potężny jego talent rozwijał się stopniami, i działać zaczął przeważnie na podniesienie i udoskonalenie teatru. Pierwszy Bogusławski, powziąwszy myśl wprowadzenia na scenę opery polskiej, ułożył w większej

próżniaczyła na bruku warszawskim, i żyła z opatrności Bożej. Szerujący odwagą, a przytém pieniacz, pełne kieszenie mający przywilejów, kłamca wietrutny, przymawia się o zapomogę, a gdy go hrabia pyta ożém może służyć, odpowiada:

— Konikiem, pasikiem, żupanikiem, pieniążkami, i co Jaśnie Wielmożny Pan przyda *ex liberalitate sua*.

Datkim pieniężnym uwalnia się przecie od drugiego *natręta*. Odechnąwszy spokojniój, zasiada do pisania listu do Lucyndy, gdy znów wbiega przemocą się wdarłszy Drużyłowski, nędzny wierszokleta, a jak zwykle przytém zarozumiały, co dla rymu przekręca sens i wyrazy. Deklamuje z zapaleń liche wiersze, i wypowiedziawszy cały swój nowy utwór, przecież odchodzi. Zmęczony natrętami, niemając wiadomości od Pontalskiego, idzie go szukać i na tém kończy się akt pierwszy. Akt drugi także w mieszkaniu hrabiego. Pontalski radosną przynosi wiadomość, że wszystko dobrze sprawił. Guwernantka będzie go wspierać, a że stryj Lucyndy i opiekun, *upodobał sobie staruszek, fartuszek* owę guwernantki, pomoc jęj tęp większą ma wagę. Hrabia, ukończywszy przecie list rozpoczęty na początku pierwszego aktu, teraz swemu powiernikowi czyta. Posłuchajmy więc tego języka miłości razem z Pontalskim, z okresu pierwszych lat panowania Stanisława Augusta:

„Życia i duszy ukontentowanie,
Przyjm pełne żalów to moje pisanie;
I pozwól, aby szczęśliwsem zrządzeniem,
Mogłem się cieszyć dziś twojem widzeniem,
Którego wczora serdecznie żądałem,
W moim, od ciebie oddaleniu ciałem!
Ani mię strofuj żem chybił godziny,
Bom jest bez winy.
Dowiesz się kto mię tęp pociechy zbawił,
Żem się na miejsce umowy nie stawił;
Choić tylko proszę na mniejsze me męki,
Do łez otarcia zbliżyć ślicznej ręki.
Niech jeszcze choć raz w mojej ciężkiej bidzie,
Z tobą się widzę, nim mi umrzeć przyjdzie;
Tęp laski żebrzę, i o to cię prosię
Ten, co w swych piersiach ściska cię i nosię.“

Pontalski, mając sowitą przyrzeczoną nagrodę, ze sztuką materyi dla guwernantki, śpieszy popierać sprawę hrabiego, który radby po trudach odpo-

części pieśni do opery Franciszka Bohomolca: „Nędza uszczęśliwiona“ do której muzykę napisał Maciej Kamiński; przedstawiał ją z powszechnym zapałem publiczności i oklaskami. Tym sposobem zakorzeniony przesąd, że nasz teatr własnej opery mieć nie może, szczęśliwie i chlubnie zwy-

cząc chwilę; gdy Serdecki, podobnie jak pierwsi *natręci*, przemocą wchodzi i przedstawia mu Paryżanina Sapiencykowicza. Jak Serdecki jest postacią z owych czasów, co poniewierając wszystkiém co swoje, dla Francyi i dla Paryża jest z nieopisaném zachwyceniem, tak figura Sapiencykowicza, niezawodnie musiała być pochwyconą z żywych oryginałów, jakich na bruku warszawskim niebrakło. Posłuchajmy niektórych ustępów z jego rozmowy.

„*Monsieur le Comte*, czy nie będzie miał za złe, że mi język francuzki bardziej *favoryzuje*, bo to u nas którzy z Paryża *retourniujemy*, łatwiej o tysiąc słów francuzkich, niż o jedno polskie. *Voilà le diable*, otóż to z wacpanami mówić, którzy żadnej *tentury* nie macie, *metampsicoso physicosmologii*, to słowo więcej *signifikuje*, niż wacpan ze swemi płucami *komprenować* możesz, to jakbym wszystko powiedział *scyjencyi*, która jest kluczem do *uniwersalnych decyzyjów*.“

Wspomniałem już, że Bielawski mając z polecenia króla, karcie *sarmackie obyczaje*, wbrew zupełnie poszedł: owóz z téj sceny ustęp pomiędzy Paryżaninem a hrabią. Rzecz godna uwagi, że gdy w naszym okresie, hrabiowie w utworach literackich są stroną ujemną społeczności; Bielawski wystawia z owych czasów hrabięgo jako typ prawości i zdrowego rozsądku.

Paryżanin. *Monsieur le Comte*, czy będziesz wacpan wierzył, że dopięro trzy dni jakim w *Polszcze*, a już grube powietrze, mało mi nosa nie rozsadzi; i com go tylko wsadził w tę zakwaszoną *aure*, zaraz zaczął kichać, przepryskiwać: téj migreny nos mój nie znał w Paryżu, i gdyby go nie *sakrował* zapach pomady delikatném powietrzem paryżkiém nagniecionéj, byłoby podobno i po nosie.

Hrabia. Co to złego wacpanu ojczyzna uczyniła, że ją z jéj powietrzem, zwyczajami i ludźmi tak wyklinasz, która cię na swém łonie wykarmiła! Podobnéj niewdzięczności żadna z matek nie odebrała od syna swego, przecież to każdy wdycha do gniazda swego!

Paryżanin. Mnie ojczyzna nie złego nie uczyniła, ale te golenia głów, te wiązki siana pod nosami, *inkomodują* wzrok mój.

Hrabia (z gniewem). *Mospanie!* co zwyczaj z sobą przynosi, nie podpada żadnemu pośmiewisku; ale kiedy potrzeba przymusi do oskrobania nożem głupstwa zarosłej głowy, wtenczas jest się z czego śmiać i za co wstydzić. To my, wasz zawrót głowy, zbytki paryżkie, w oierpliwości znosimy, a wam nawet nasz strój oczy psuje. Żal się Boże że wacpan Polaka imię na sobie nosisz.

Paryżanin. Jam téż w Paryżu nie powiedział, że m się w *Polszcze* rodził, która nie wydaje wielkich ludzi.

ciężył. Następnie przełożywszy wiele oper francuzkich i włoskich, jak w roku 1781 operę *Sachiniego*: „Dla miłości zmyślone szaleństwo,“ dnia 13-go lipca 1780 roku, wystawił operę z muzyką *Passiellego* p. u. *Fraskatanka* czyli *Dziewczyna zalotna*. Pierwszy to był przykład

Pozbywszy się natrętów, hrabia w ostatniej scenie czyni gorzkie wyrzuty zaślepieniu rodziców, co nie dbają o wychowanie przynależne dzieci swoich.

— Wy to ojcowie! (mówi) jeszcze w kolébee wybudowaliście dom niesławny i pośmiewiska krwi waszej.

Akt trzeci i ostatni w Ogrodzie Saskim najniżej ma zajęcia. Hrabia, przy pomocy guwernantki godzi się z Lucyndą. Podczaszy stryj i jój opiekun a wielbiciel guwernantki chętnie na związek małżeński zezwala. Przewija się tu jeszcze bez potrzeby figura paryżanina. Podczaszy zapowiada sutą ucztę weselną, gdy schodzą się wszyscy *natręci*. Państwo młodzi zostawiają ich na scenie i na tém kończy się sztuka. W *Epilogu* Bielawski zwraca znów uwagę do króla:

„Królu! z którego czoła przeglądają enoty,
Któż nie widzi żeś *Polszcze* przywrócił wiek złoty?
Któryż z niewdzięcznych synów ze mną dziś nie wyzna,
Jak wiele ci już winna kochana ojczyzna!
Kiedy przy wielkich pracach, które berło daje,
Szukasz jeszcze poprawić w nas złe obyczaje;
Oby od tylu wieków, co świat na nas ciska,
Grubego sarmatyzmu zmyleś pośmiewiska!

Otwierasz dziś *teatrum*, polskich wad i błędów,
Niemniej chwalebne dzieło twych wielkich zapędów,
By każdy jak w zwierciadle przejrzał się w nałogu
I był odtąd obrazem podobniejszy Bogu.
To tylko gorszy rozum, że słabe udanie,
Nie umiało zabawić oka twego Panie?
Bo niezręczność polskiego do *teatrum* ciała,
Nigdy ludzkich nałogów nie kopijowała.

Ty pierwszy, Stanisławie, przez miłość narodu,
Szukasz drogi widoków lepszego w nim płodu,
I chcesz aby przykładem wszystkich inszych krajów,
Wyzuł się, pod twą władzą, ze złych obyczajów.
Co cię za chwała królu z tej poprawy czeka?
Gdy lud twój doskonałą w dzieje postać człeka:
Gdy pijak z kartownikiem i łakomec stary,
Próżniak, natręt, pochlebca, pozna swe przywary:
Będą o tém potomne wieki wspominały,
Czego w *Polszcze* dokonał unyśl twój wspaniały;
Nam zaś, największą będzie ztąd honor i sława,
Żeśmy na tronie czcili *Piasta Stanisława*.”

przedstawienia w polskim języku, opery z wielkimi ariami i chórami. Dzień ten zapisał się trwałemi zgłoskami w kronice teatrów naszych, a głównie w dziejach opery sceny polskiej.

Najchlubniejsze przyjęcie tych usiłowań Bogusławskiego nie wystarczało jego zamiarom i chęciom: chciał on na wyższym jeszcze

Pomijając płaskie pochlebstwo, które jako spuścizna jezuickich panegyryków nie mogła opuścić tak nagle naszego piśmiennictwa, widzimy z tego *epilogu*, że jeżeli w samej komedyi głównej myśli podanej z góry, Bielawski się nie trzymał, to miał ją na uwadze tak w prologu jak w epilogu. Co za smutny okres czasów, w którym król i wszyscy tron otaczający i społeczność myśląca wierzy, że to, co zachowuje obyczaj stary, narodowy, jest barbarzyńskim, że *luđ dopiero wdziewie doskonałą postać czelaka* pod panowaniem tego, co ten obyczaj wygna i przestroi wszystko z cudzoziemska.

Nadzieje jakie wyrażał na początku i w końcu swęj komedyi Bielawski o królu Piasecie, nie bierzemy zupełnie na karb pełzającego pochlebstwa: nie tylko autor *Natretów*, ale i naród cały cieszył się świetną przyszłością i w młodym Stanisławie Augustcie pokładał wielkie nadzieje. Niedziwota! wszakże to dopiero było w rok po koronacyi w Warszawie.

II. *Dziwak*. Komedya w trzech aktach, na dzień trzeci Augusta, przez Józefa Bielawskiego, Fligel-adjutanta Buławy Wielkiej W. Księztwa Litewskiego napisana i na teatrum J. K. M. wygrana R. P. 1766 (w Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiej: w 12-ce, str. 179 oprócz wstępu i prologu). Jeżeli w układzie swoim komedya ta nielepsza od „*Natretów*,” to bezporównania niższa, co do odmalowania wprowadzonych charakterów. Główna figura *Dziwaka* całkiem chybiona: jestto bowiem tylko tetryk i grubijanin; żona jego przedstawiona jako typ złości, niestosownie wprowadzona na scenę, reszta postaci mgła i przesadzona: ztąd mniej nawet ma komiczności od „*Natretów*.” Ale daleko przechodzi pierwszy utwór Bielawskiego co do stylu swobody i naturalności dyalogu, w użyciu przysłów narodowych tak przyrosłych do stylu komedyi, w czém jest Zabłocki mistrzem nieporównanym. Komedyę tę przypisał autor księciu Augustowi, Aleksandrowi Czartoryskiemu wojewodzie i generałowi ziem ruskich. W przypisie tym na czele wyraża: „Jeżeli Ludwikowi XIV mógł ofiarować Molier swych „*Natretów*,” témbardziej ja W. Ks. M. „*Dziwaka*” mego, który winieniem krwi jego fortunę i talent.”

Podobnie jak w „*Natretach*” na czele znajdujemy:

Prolog.

Apollo pełen żalu czeka na Merkuryusza na górze Helikonu, którego Jupiter drugim powrotem wysłał na ziemię szukać Thalii Muzy komedyi, która się obłąkała z Parnasu. Apollo w długim monologu wyraża wierszem swą boleść z powodu zniknięcia ulubionęj Muzy: cały Parnas jest w smutku i szczęście jego zatrute, a Muza skryła się w taką sferę, że nawet oko Jupitera dośledzić jęj nie może.

stopniu widzieć scenę krajową, i po długich staraniach i mozolnej pracy, wystawił w końcu roku 1793 wielką operę, całą w recytatywach p. n. *Azur król Ormus*, z muzyką Salieriego. Nadzwyczajny zapal z jakim ta opera przyjęta została przez publiczność, podwoił

„Ach! gdziekolwiek cię miłość nauk, w którejs wzrosła,
Czy do Greków, do Rzymu, czy do Chin poniosła:
Wróc na łono twojego Muzo Apollina,
Bo bez ciebie ciężka mu jest i jedna godzina!“

Kiedy tak żałośnie narzeka, kiedy ma z *bólu wyzioną na wiatr z ciała duszę*, postrzeżga Merkuryusza, który za rękę pięknego zbiega prowadzi.—Kędys była?—pyta radosny Apollo.—Thalia w prawej ręce trzymając portret króla Stanisława Augusta, pokazując gu, odpowiada:

Tryumfuj! znowu'm łaską jego dziś odżyła,
Bo cokolwiek natura cnót zawiązać może,
W królu, wszystkie w nim znajdziesz dziewięć Muzów, Boże.
A czego, moc języka wyrazić nie zdoła,
To wyczytasz tak z oczu, jako z tego czoła.

Apollo patrząc na portret, zdziwiony zapytuje:

Co mówisz? alboż Polska, to męstwa mieszkanie,
Pod tak mądrego króla poszła panowanie?

Thalia.

Już to drugi rok mija, jak z chwałą narodu,
Rządzi Polską, szukając w niej lepszego płodu,
By handel z naukami kwitował w niej i prawa:
Ten jest umysł wielkiego z czynów Stanisława,
Który nie dość że fundusz dla fabryk zgotował,
Lecz i szlachcie rycerską szkołę wybudował.
Zgoła, cokolwiek kunsztów Europa liczy,
Wszystkie sobie zaszezepić w ojczyźnie swój życzy.
Jego to cnót powabem rzadkich zachęcona,
Wykradłam się z twojego Apollinie łona,
I na zazdrość złym bogom tylem dokazała,
Żem w Polsce komedję szczęśliwie zasiała.

Apollo.

Więc pospieszaj czémprędź na Parnas Thalijo!
Niech ci Muzy na tryumf nowy laur uwiją,
I niech już dobędą się z smutnych powiek oczy,
Z których żal łzy dotychczas wyciska i tłoczy.
Niech Jupiter, niech niebo, mych żalów świadkowie,

gorliwość Bogusławskiego i nasunął mu zarazem myśl utworzenia na większy rozmiar opery polskiej. Wkrótce przeto po tém, bo zaraz w następnym roku 1794 ujrzała Warszawa na swojej scenie, oryginalną operę Bogusławskiego, z muzyką Jana Stefaniego: „*Cud mniemany* czyli *Krakowiacy i Górale*.“

Obaczą wieniec chwały na twój Muzo głowie.
Pójdź-że! (wkłada jęj laur na głowę).

Thalia do króla.

Ach! gdyby bóstwa mego nie było potrzeba,
Wyrzekłabym się królu! dla ciebie i nieba!

(Do Apolla).

Przynajmniej, nim na Parnas pierwszy krok uczynię,
Zbliż się do króla usta wielki Apollinie!
I podziękuj, że jego dzisiaj duch wspaniały,
Pozwolił mi łaskawie zerwać wieniec chwały,
Któren ja na ołtarzu wiecznej sławy razem,
Zawieszę między bogi i z jego obrazem.

Apollo do króla.

Królu! którego pełne wspaniałych onót czyny,
Będą wielbić po niebie Muzy téj godziny;
Przyjm z ust rządzcy Parnasu na podziękowanie
Wiek długi, od żądania dłuższe panowanie.
Niech stuletniego wieku los na cię wypadnie
Z rąk Tego, który życiem wszystkich królów władnie.

(Do słuchaczy).

Tobie zaś ztąd Sarmato wieczna cześć i sława,
Że mój Parnas czołć będzie wielkość Stanisława.
Honor, którego Jowisz z monarchów żadnemu
Nie pozwolił dotychczas, jak tobie pierwszemu:
Bo póki bogów, nieba, lat stanie i czasu,
Póty twego imienia nie zmażę z Parnasu.

Merkuryusz do Apolla.

Wyjdź Apollinie! już czas bym wrócił do nieba,
Gdzie rachunek z mych godzin oddać będzie trzeba.

Apollo.

Idźmy! kiedy się już nam dostało téj chwały
Wiďteć króla, którego mądrość czei świat cały.

Komuż nieznaną jest jój treść, któż nie słuchał z rozkoszą tój muzyki tak prostój, a jednakże tak silnie trafiającej do serca? Komuż obcą była w owój epoce, ta śpiewka *studenta*:

„Świat srogi, świat przewrotny,
Wszystko na opak idzie,
Kto nie wart, pan stokrotny,
A człek poczciwy w biédzie“ i t. d.

Apollo, Thalia, Merkuryusz.

Idźmy! wychodźmy! (odchodzą).

Skończony prolog, teraz zaczyna się komedia. Kokoszewski dziwak mając za żonę Złośniczką z charakteru i nazwiska, córkę swoją Lucyndę, pomimo danego słowa, nie chce wydać za Grzeczniwicza, ale pragnie połączyć ją z Gajdeckim, parafianinem, nicokrzesanym gburem, lecz zamożnym i gospodarzem. Bielawski w tój komedji więcej się skłania na stronę Stanisława Augusta zwolenników i ubiera Gajdeckiego w strój polski, a Grzeczniwicza w nowomodny strój francuzki, stawiając go za wzór wyższego wychowania i charakteru. Kokoszewski wyrzuca córce kochającej Grzeczniwicza, że powietrze warszawskie inspirowało jój nienawiść do polskiej sukni, która przedtém Turkom tylko straszna była, a nie białym głowom; ale przewagę widzi w końcu przy cudzoziemskim stroju i sprawdza to, co mu córka odpowiada: „że Grzeczniwicz w francuzkiej sukni, polską duszę nosi.“ Ten mając wstęp uzbrojony do domu kochanki, dostaje się raz jako pielgrzym i leczy chorą Lucyndę zdejmując z niej urok; drugi raz przebrany wraz ze służącym swoim za kupców norymberskich z Warszawy. Lucynda poznaje kochanka w kupieckim stroju i w radosném uniesieniu wykrzykuje:

— Cóż to ja widzę? Bodajżeś kata zjadł, jak mnie pięknie oszukał!

I na oświadczenie Grzeczniwicza odpowiada:

„Prędzej rzeki z swych źródeł wypłyną, ptaki śpiewać zapomną, niżeli dla ciebie serce moje wdychać przestanie, tój jest mocy we mnie kochanie.“

Ojciec dziwak, zawzięty dawniej przeciw Grzeczniwiczowi, oburzony na Gajdeckiego zręcznie osnutą plotką, zezwala w końcu na wszystko i każe na nowo suty obiad gotować, gdy pierwszy przygotowany na zaręczyny z Gajdeckim, żona w uniesieniu i złości zniszczyła w kuchni. Zwolennik narodowości, choć pragnie aby zięć przyszły zrzucił z siebie niemieckie *findrymandry*, a wdział kontusz i żupan, zapuścił wąsy i głowę kazał podgolić; daje się zwyciężyć tój zasadzie tak powszechnój naówczas, a powtórzonój w „Dziwaku“: „że suknia ani psuje, ani poprawia obyczajów!“ W scenie, kiedy Grzeczniwicz przebrany za Norymberczyka, towary swoje rozkłada i książkami *Dziwaka* częstuje, dowiadujemy się, że pierwsza komedia *Natrety*, bardzo się podobała, a *Skarbnik*, brat jego, taki nam cel i zadanie komedji podaje.

To też śpiewano ją w całym kraju, jak i wiele innych z téj opery, która wsparta talentem Bogusławskiego, grającego studenta, doczekała się w pośród najwyższych oznak zadowolenia, stu kilkadziesiąt przedstawień. Nietylko w Warszawie znanym był jako znakomity artysta dramatyczny i pisarz: Kraków, Lwów, Wilno, Grodno, Dubno, Poznań, Gdańsk i wiele miast innych, gdzie tylko się pokazał ze swoją trupą, podzielało z zapalem oklaski Warszawy, wspierało usiłowania Bogusławskiego. Od roku 1780 kolejno zwiedzał on te miasta, walczył odważnie z przeciwnościami, a nieraz z pokątną zawiścią, ażeby tylko wskrzesić i ustalić scenę polską w kraju, która już się ku upadkowi chylić poczęła. Nakoniec śmiałem i otwartem postępowaniem zwrócić Bogusławski uwagę króla Stanisława Augusta, który polecił mu, aby się udał ze swoim towarzystwem do Grodna, i otworzył tam teatr w czasie sejmu 1784 roku. Po ukończeniu zakreślonych przedstawień powrócił do Warszawy; nie mogąc zaś dla stawianych sobie przeszkód, rozpocząć widowisk, wyjechał ze swymi artystami do Wilna. Tu przyjęty z radością i szacunkiem przez

„Na komedii nie wyśmiewają osób ale nałogi, które koniecznie w nas poprawić trzeba i jeżeli na angielskich teatrach królów wystawiają, na francuzkich książąt i hrabiów, na włoskich i niemieckich margrafów i baronów, a czemuż na naszych nie mają wystawiać szlachty i urzędników, dla zwazania w nich nieszlachectwa, nie urzędu, ale błędów, które należą grubym wiekom i które z poniżeniem imienia polskiego, wytykają nam wszystkie narody. Mospanie bracie! winniśmy nieśmiertelną wdzięczność rządowi dzisiejszemu, że na nowo otworzył źródło do poprawy złych obyczajów, na których łonie przez tyle wieków zasnęła ojczyzna nasza. Komedya Greków, Rzymianów, Francuzów, Angielczyków, wylamała z rąk grubych nałogów, a tém większe na kraj nasz ściągnie pożytki, im, że nietylko w nim poprawi obyczaje, ale zastąpi niedostatek języka, na który się wielu skarży, a większa daleko liczba koleocy sztukowaniem go franouzkiami lub łacińskimi *makaronizmami*.“

Mamy tu ślad wyraźny jak się szlachta jątrzyła na ówczesne pismo periodyczne *Monitora*, gdy *Skarbnik* brat *Dziwaka* na jego piorunowanie przeciw temu organowi prassy ówczesnej, odpowiada:

— Panie bracie! gdybyś znał szacunek tych piór, które poca się na ukołysanie w nas dzikich humorów, na zmazanie podłości, uporu, próżnowania i gnuśności w wielu obywatelach; na wyłamywanie nas z rąk namiętności, której zadatki wyglądają z czołów naszych, na obalenie w nas *sentymentów* nieludzkości i grubiaństwa: wielbiłbyś i piszących i wiek, któremu zostawiła Opatrzność staranie i honor do wydzwignienia imienia polskiego; ale że te ziarnka padają na opokę, trudno za to winować te tak pożyteczne pismo, boby to było gniewać się na słońce, że nocne ptaki światła jego znosić nie mogą.“

Dziwak, znalazł równie dobre przyjęcie na teatrze jak i *Natęty*. Śmiano się serdecznie z *Kokozkiewicza*, kiedy budząc *węgrzynka* (służącego

ceniących talent naukę i poświęcenie dla sztuki, już miał zamiar na zawsze tam pozostać, gdy w roku 1790, rozkazem króla wezwanym został do Warszawy, gdzie Stanisław August nadał jego towarzystwu tytuł: „*Artystów narodowych*,” a Bogusławskiego zaszczycił godnością „*Dyrektora królewskich widowisk*.”

Była to chwila stanowcza, chwila w której zajaśniała przyjazna gwiazda dla sceny krajowej; pojął to dobrze Bogusławski, i wyjednał dla siebie wyłączny przywilej i przedsięwzięcie widowisk krajowych. W trzech latach następnych za jego staraniem odbudowano groźący upadkiem gmach teatralny, a doborem dzieł i artystów, podniósł scenę do najwyższej na owe czasy doskonałości. Król oceniając jego pracę i starania, zarówno jak talent, wspierał te znaczne usiłowania i nie małemi zaszczycał go względami, zapraszając do zamku na uczone czwartkowe obiady.

Zdarzyło się że raz u stołu siedział obok dumnego kasztelana^{***}. Ten słysząc króla łaskawie do artysty przemawiającego i zowiącego go po nazwisku, myślał że to jakiś magnat uczony lub dworzanin królewski. Chcąc więc mu okazać grzeczność swoją, korzystał z najpierwszej przerwy w rozmowie i rzekł do niego:

— Jaka to szkoda mości dobrodzieju, że u nas w Polsce taka bywa konfuzyja imion rodowitych!

— W czymże to, panie kasztelanie i komu szkoda? — zapytał artysta.

— Otóż samemu waćpanu dobrodziejowi, chociaż pierwszy raz mam honor go widzieć i słyszeć jego nazwisko, a już mnie to obchodzi, że się tak właśnie zowie jakiś tam szerepetka, kuglarz, co to mości dobrodzieju na teatrze udaje, przedrzeźnia i ludzi śmiejszy.

swego) sam się przewrócił, a przygniótł go ten wyrostek. Stękał leżąc i wołał, aby go podniósł; ale węgrynek udając że go nie poznaje, każe mu dla większej pewności po nocy, czy to on sam, czy to pan jego, aby kichał, lajał i ziewał, co wszystko wóról gniewu i przekleństw robi z przymusu biędny Kokoszkiewicz (akt I, s. 3 i 4). Ta scena dla mało wymagającej ówczesnej publiczności była pełna komizmu i zawsze ją huczniemi okrywano okłaskami.

Na tych dwóch utworach skończył nasz autor zawód pisarza dramatycznego. Bacząc na powolny rozwój teatru polskiego, godzimy się na zdanie F. Bentkowskiego, jakie wydał o tym pisarzu („*Hist. lit. polskiej*“ T. II, s. 527): „Bielawski po Bohomolcu jest pierwszym, który w swych sztukach więcej gustu i teatralnej zalety połączył, tudzież trafniejszym w wystawieniu obrazów charakterystycznych okazał się. Śmiało rzeć można, że gdyby w tym stosunku postępował nasz teatr jak z Bielawskim powstał, nie powinniśmy się uskarżać na brak dobrych sztuk oryginalnych; lecz że więcej znalazło się krytyków niż takich coby coś lepszego napisali, scena komieczna nie bardzo zubożoną została.”

— Właśnie to ja sam nim jestem—odpowiē żywo wzruszony Bogusławski—co czasem hrabiów, czasem kasztelanów... błaznów udaję, mości dobrodziejcu.

To mówiąc przybrał zupełnie jego ton i hardą minę.

Zdarzenie to wybornie nam malują owe czasy i pojęcia o sztuce dramatycznēj.

Zaburzenia w roku 1794 spowodowały upadek sceny warszawskiej, i zniszczyły prace i starania tyloletnie Bogusławskiego. Artyści rozproszyli się, a opuszczony dyrektor, zabrawszy swój księgozbiór teatralny wyjechał do Krakowa, gdzie powziąwszy wiadomość, że artyści polscy zgromadzili się we Lwowie, pospieszył za nimi i tu zawarłszy umowę z przedsiębiorcą niemieckiego teatru otworzył scenę polską. Gdy pomyślnie rozwijać się zaczęła, wśród letniej pory 1796 roku, Bogusławski wsparty hojnością Kazimierza hr. Rzewuskiego i obywateli Lwowa, wystawił piękny i obszerny amfiteatr, w ogrodzie książąt Jabłonowskich. Nowość ta powabiła liczną publiczność, która się tłumnie cisnęła na te widowiska, powtarzane kilkakrotnie w tygodniu. Tak świetnym powodzeniem w obu teatrach cieszył się aż do połowy roku 1799, w którym niepomyślny wypadki dla sceny polskiej, zmusiły go Lwów opuścić. Pobyt jednak Bogusławskiego w tym grodzie nie był bezowocnym, bo wywołał dwóch dzielnych współpracowników i pisarzy, jakimi byli Jan Nepomucen Kamiński i Alojzy Żółkowski.

Gdy powrócił do Warszawy, objął na nowo przedsiębiorstwo teatru, a następnie udał się ze swym towarzystwem do Poznania i Kalisza. W Kaliszu wystawił nowy i obszerny teatr, uzyskał nawet przywilej dziesięcioletni na dawanie widowisk. Niemogąc się jednak w nim utrzymać, po długiej tułaczce w różnych miastach, przybył do Warszawy 1809 roku, gdzie podawszy projekt ustanowienia dyrekcji rządowej teatru i założenia szkoły dramatycznēj, na wezwanie króla saskiego a księcia warszawskiego, po otrzymaniu od niego na lat cztery przywileju na widowiska teatralne, rozpoczął nowe usiłowania do rozwoju sceny, lubo przewidywał, że zachwiać się będzie musiała. Jakoż sprawdziły się jego przeczucia, ciągłe przechody wojsk różnych narodów w latach 1812 i 1813, nie dozwoliły mieszkańcom Warszawy myśleć o zabawach i teatrze.

Bogusławski nie mając żadnej pomocy ze strony dyrekcji rządowej, zamknął widowiska sceniczne w dniu 30 kwietnia 1814 r., a przedsiębiorstwo teatru narodowego ustąpił zięciowi swojemu Ludwikowi Osińskiemu ¹⁾.

Odtąd zdaleka od zgietku stolicy, używał w sędziwym wieku tego spokoju, za którym tyle od lat młodych wzdychał. Tu zajął się zebra-

¹⁾ O zasługach L. Osińskiego dla sceny krajowej, mówiłem w mojej monografii: „Ostatni Klasyk“ (Warszawa, 1872 r.).

niem, poprawą, ułożeniem i wydaniem prac swoich dramatycznych. Ogłosił je też drukiem w XII-tu tomach: (Warsz. 1820—23 r.). W sześć lat później, zakończył w tém cichém ustroniu życie dnia 23 lipca 1829 roku ¹⁾).

Jakkolwiek zdał dyrekcją teatru narodowego zięciowi swemu, nie porzucił jednakże sceny, i od czasu do czasu ukazywał się na niej. Ostatni raz wystąpił na pożegnanie z wielbiącą go publicznością w dniu 10 listopada 1827 roku w roli *Fryderyka Wielkiego*, w komedyi p. n. *Koszyk wiśni*.

Spółeczność tego okresu umiała godnie oceniać poświęcenie i zasługi Bogusławskiego. W dniu 23 kwietnia 1803 roku, gdy Warszawa była miastem prowincjonalnym pruskim, wielbiciele teatru, zebrani w jedno grono z artystami dramatycznymi, świetnie obchodzili uroczystość imienin jego. Z rana odegrano serenadę, a po złożeniu Bogusławskiemu powińszowania, zaprosili go na obiad i przedstawienie teatralne, przygotowane w salach pałacu Radziwiłłowskiego, (Paca, na Miodowej ulicy).

Na to widowisko rozdano bezpłatnie bilety zwolennikom sztuki dramatycznej i obywatelom Warszawy. Odegrana komedya p. n. *Aktorowie na Elizejskich polach*, pomnożoną została stosownymi piosnkami przez jój autora L. A. Dmuszewskiego. Muzykę do niej napisał Józef Elsner. Na balu, który ten obchód zakończył, rozdano go-

¹⁾ Dzieła dramatyczne w XII tomach zostaną zawsze chlubnym pomnikiem pamięci Bogusławskiego. W nich mamy *dzieje teatru skreślone*, pełno ciekawych szczegółów (T. I—IV), z których widzimy ile przeszkód miał do zwołania, jak wielkiego potrzeba było poświęcenia, wytrwałości, aby doszedł do zamierzonego celu. Mamy tu obok tego zyciorysy artystów naszych, co podpierali usiłowania Bogusławskiego: jak: *Owsińskiego*, *Truskulawskich* małżonków, *Barbary Sierakowskiej*, *Karola Świerzańskiego*, *Salomei Deszner*, *Andrzeja Mierzyńskiego*, *Jasińskiej*, *Hempińskiego*, *Franciszki Pierożyńskiej*, *Kaczkowskiego* i *Potroneli Drozdowskiej*. Sześćdziesiąt sztuk obejmuje powyższe dzieło, do dwudziestu pozostało w rękopiśmie. Co wydał jednakże Bogusławski, okazuje jak pojmował wysokie znaczenie sztuki dramatycznej i sceny narodowej. Dwie tylko sztuki oryginalne umieścił w tym zbiorze: „Henryka VI na łowach“ i „Spazmy modne.“ Opera zaś *Cud*, czyli *Krakowiaki* i *Górale*, wyszła z rękopismu w Berlinie 1841 (w 8-cie, str VIII, 102), we dwanaście lat po śmierci autora. Utwór ten, jeżeli znalazł słuszny poklask na scenie, wydatnie zajmuje stanowisko w dziejach literatury polskiej. Bogusławski bowiem pierwszy wyprowadził na scenę lud polski w całej prawdzie i prostocie. Wspomnié tu winienem o zapomnianej komedyi Bogusławskiego w dwóch aktach wierszem, którą napisał jako ciąg dalszy „Powrotu posła“ J. U. Niemcewicza; wyszła z druku w Warszawie 1791 r. pod napisem: „Dowód wdzięczności narodu.“

szczącym popiersie Bogusławskiego, sztychowane przez Ligbera z dwuwierszem L. Osińskiego:

„Krzywdzące głos ojczysty, marzenia umorzył;
Pisał, grał, i grających na czas późny stworzył.“

Pierwszy wiersz stosował się do niemałej zasługi Bogusławskiego, że sam tłumacząc opery włoskie i z wielkim nakładem przedstawiając, przekonał nie tylko rodaków ale i cudzoziemców, że możemy mieć własną operę, i obejdziemy się bez sprowadzania za drogie pieniądze italiańskich śpiewaków.

Pomnę z ostatnich jego wystąpień studenta w Krakowiakach i Góralach i Starego Horacego w tragedji Kornela. Wyniosła postać, twarz szlachetna rzymskich prawdziwie rysów, wyrazista, choć głos już rozbity, silne wrażenie na młodych umysłach zrobiła, patrząc na starca, co na tej scenie tyle lat wiernie wytrwał, i tyle dla niej pięknych zasług położył. Grzmot oklasków powitał jego zjawienie, i był zarazem należnym hołdem. A wtedy bardzo rzadkie bywały oklaski. Całą sztukę słuchała uważnie publiczność, nie śmiejąc żadnym szmerem przeszkodzić artystom. Po skończonej sztuce, jedynym przywołaniem tylko i jednym oklaskiem składała im swoje podziękowanie. Za zjawieniem się aktora na scenie także nie klaskano, chyba że ukazał się po dłuższej nieobecności, albo też witano sędziwego Bogusławskiego.

Pod jego sterem, a następnie L. Osińskiego, zebrało się grono wybornych artystów; jak w tragedji: Marcin Szymanowski, Bonawentura Kudlicz, L. A. Dmuszewski, Antoni Zieliński, Werowski, Jastrzębski, a później genialny Piasecki. Z kobiet: Józefa z Truskulawskich Ledóchowska, Nacewiczówna, Żółkowska (matka), Leontyna Żuczowska, Emilia Werowska. W komedji: Żółkowski, Zdanowicz, Nowakowski, Niwiński, Wojciech Szymanowski, Damse; Kurpińska, Teresa Palczewska znakomitego talentu, Jankowska i Żółkowska (córka) późniejsza Kostecka. Krótko bardzo zagościł na scenie, pełen zdolności komik Górecki, zmarły w kwiecie wieku. W operze: Elsnerowa, Dmuszewska, Zdanowiczowa, Szczurowska, Eleonora Stefani, Aszpergerowa, Wagnerowa, później Mejerowa, Gładkowska, Wołkow i Rywacka; ze śpiewaków: Jan Szczurowski, który przeszło do lat siedmdziesięciu zachował głos silny (bas) i dźwięczny, Żyliński, Polkowski, Romanowski, Krzesiński, Walenty Kratzer, Aszperger.

Wszyscy wymienieni artyści tragiczni byli wzrostu dobrego. Szymanowski odznaczał się większą tuszą, dlatego w poważnych rolach wyglądał poważnie. Organ silny, dźwięczny, posługiwał mu więcej do ról pełnych zapału i uniesień, niż do czułych i miękkich. Nie umiał on czule i rzewnie przemawiać, ale zapał, gniew, głośną rozpacz, wybornie oddawał. Forma tragedji klasycznych była w takim rodzaju, że wszystkie podobne do siebie pod względem

rozbudzonych i wywiedzonych na scenę namiętności, różniły się tylko treścią przedmiotu obranego. Wymagały one deklamacyi głośniejszej, wyraźniejszej; poruszenia aktorów były naprzód obliczone: sztuka tu, nie natura i samodzielność artystyczna, dawała przepisy do każdego ruchu, podniesienia głosu, układu własnej postaci i deklamacyi. Bo tragedye zaprawdę były deklamowane ale nie grane podług dzisiejszego naszego pojęcia o sztuce dramatycznej. Nie zużywał artysta siły żywotnej jak dziś na scenie; największą rolę oddał dokładnie, ale wewnątrz na chłodno, a jeżeli była wielką, to jej długość opłacał co najwięcej chwilową chrypką. Inaczej teraz grają nasi artyści w dramatach: wskazane namiętności rolą i charakterem, wywołują grę twarzy, oczu, głosu, mięśni, rozbudzają je w całej postaci i tym rozbudzeniem trawiają własne siły organiczne. W dawnym naszym teatrze, głównym zadaniem była pamięć, silny organ, wprawa, i oznajomienie z deskami teatralnymi.

Po Szymanowskim, Kudlicz zajmował pierwsze miejsce; niższy nieco wzrostem, pomimo całej niewdzięczności organu, bo szeplecił, pokazał na sobie co może silna wola i talent. Kudlicz nie tylko w tragediach występował, i w komedjach znakomicie się odznaczał; zrozumienie każdej roli i prawda w oddaniu przyjętego charakteru, cechowały wydatnie tego artystę. Gwizdany z początku dla szeplenienia, stał się wkrótce ulubieńcem publiczności i wzorem dla młodych aktorów. Role starców w tragedyi, w komedyi podżytych mężów, lub zgnębionych już wiekiem i charakterystyczne, to były właściwe dla Kudlicza.

Wolski, nie miał dwóch poprzednich zdolności, lubo pod względem wykształcenia umysłowego stał od obu daleko wyżej. Wzrostem i postacią zbliżał się do Szymanowskiego. Role poważne dobrze oddawał, nie zepsuł żadnej, ale też podnieść jej wyżej nie umiał: nie brakło mu zrozumienia roli ani wdzięcznego organu, ale brakło talentu.

Najpóźniej ukazał się na scenie warszawskiej Werowski, odrazu w tragediach i dramatach, objął role pierwszych kochanków. Któż z nas nie zapamięta owych świetnych tryumfów tego artysty, kiedy wystąpił w roli *Rodryga* w tragedyi *Cyd*, Kornela, przekładu L. Osińskiego.

Przyodziany w lśniącą zbroję, czyto opowiadał zwycięstwa odniesione nad Maurami, czy ów sławny ustęp, kiedy był pewny miłości Xymeny:

„Powstańcie teraz wszystkie potęgi, choć z piekła!
Ach! tą lubą nadzieją ręka ośmielona,
Na wszystko się odważy i wszystko pokona.”

Drżały deski teatralne pod jego stopami, bo jak wzrostem górował wielu, tak postawą całą, do ról bohaterkich stworzony.

Zapał w grze, deklamacya dobitna, wywoływały zawsze grzmot oklasków pochlebnych.

Wiadomo, jak wdzięcznie czytał Osiński: nikt mu nie wyrównał; najbliższym w pojęciu rzeczy i oddaniu myśli był Werowski, gdy się pozbył śpiewnego, litewskiego akcentu. Umiał on głos swój nawykły do silnej deklamacyi tragedji klassycznych, w dramatach miękczyć i urobić w rzewność: dość wspomnieć role w tragedji Szyllera: *Miłość i Intryga*, i w dramacie Kotzebue'go „*Nienawiść ludzi i żal*.”

Werowski, zajmwszy wysokie stanowisko w gronie aktorów teatru narodowego, nie miał współzawodnika do czasów zjawienia się Piaseckiego. Werowski stał prawie na wyłomie, kiedy tragedye klassyczne już blednąć zaczynały przed dramatami romantycznymi, które coraz więcej zyskiwały zwolenników. Pomimo to, role Lionela, w *Dziewicy Orleańskiej* Szyllera, *Dobromira*, w *Matce rodu Dobratyńskich*, Zbigniewa, w tragedji tegoż nazwiska z chórami J. U. Niemcewicza, wskazywały, że równie dobrze pojmował pierwszych, jak i drugich znaczenie. Ze wszystkich ówczesnych artystów dramatycznych, czytał i pracował najwięcej, piękny zgromadził księgozbiór i zapalonym był zbieraczem rzadkości bibliograficznych. Połowę zawsze dochodu ze swego benefisu, poświęcał na książki. Żaden z ówczesnych tragicznych aktorów nie był więcej troskliwym, co do zachowania wierności i prawdy w ubiorze, w jakim miał odegrać swoją rolę: w tej troskliwości jeden mu tylko wyrównywał komik Józef Zdanowicz.

Werowski studyował bacznie, jeśli nie miał rycin pod ręką lub drzeworytów w starych dziełach, medale nawet i z nich dobierał kostium najodpowiedniejszy. Jeszcze w pełni swego zawodu dramatycznego, znalazł współzawodnika godnego siebie, młodego Piaseckiego, który wkrótce prześcignął swego mistrza. Werowski, zachodząc w lata, powoli ocieężał, a przy nabieraniu tuszy musiał młodsze role zdawać Piaseckiemu.

Był to rzeczywiście genialny artysta, górujący talentem po nad wszystkimi. Śmiało wystąpił w szranki swego zawodu, i gdy po Werowskim ukazał się w roli *Cyda*, publiczność dorazu poznała, że nic na zamianie osób nie straciła.

Jak dla każdego artysty i artystki najniewdzięczniejszą jest rzeczą brać role już znajome i ograne, chociażby przez niższe od siebie talenta: cóż dopiero mówić, jeżeli młody aktor, na pierwsze wystąpienie podejmuje postacie po zdolnych poprzednikach swoich. Śliska to bardzo droga i wielce niewdzięczna: doświadczył Piasecki w roli *Cyda*, tej prawdy na sobie. Publiczność przyzwyczajona do gry Werowskiego, nacechowanej potężnym głosem i donośną deklamacją, ową siłą atletyczną całej postawy, nie zważała, nie rozumiała cieniowania wyższego, obmyślanego głęboko w grze Piaseckiego; pomimo przecież tego, że te studia w charakterze *Cyda* wydatnością swoją nie zwróciły uwagi powszechniej, gra Piaseckiego zyskała zasłużone pochwały i oklaski.

Odtąd każde wystąpienie młodego artysty przekonywało widzów o znakomitym talencie, o tej wyższej umiejętności w zgłębianiu ról sobie powierzanych i dobywaniu z nich niedostrzeżonych przez innych piękności. Pamiętam go w roli *Hamleta*, gdy po powrocie z zagranicy wystąpił. Publiczność była zachwyconą, ale starzy artyści teatru narodowego, swego zdziwienia a nawet oburzenia nie taili, że pierwszy Piasecki na scenie, w chwili, gdy duch ojca mu się pokazuje, poważyl się tyłem do widzów obrócić, co było wbrew wszelkim ówczesnym przepisom i przyjętym zwyczajom.

Nietylko na polu tragedyi i dramatów zajaśniał Piasecki: wyższa komedia miała w nim godnego reprezentanta. Deklamacya jego wielce się różniła od wszystkich: gdy potrzeba, silna i energiczna bez krzyku i wysilenia głosu, miała rzewność w ustępach tkliwych i w miękkim głosie, zciszonem, jakąś niewypowiedzianą łzawość. Długi czas, ba, może nie jeden wiek przemienie, nim podobny artysta, jak Piasecki ozdobi naszą scenę ¹⁾.

Na czele artystek tragicznych stała Józefa z Truskulawskich Ledochowska. Z rodziców artystów dramatycznych wystąpiła na scenę prawie w dzieciennych latach. Spadkiem po matce swojej słynnej aktorce otrzymała rzeczywisty talent. Hrabia Ledochowski rozkochany w niej poślubił ją, lecz wkrótce porzucił, ofiarując znaczną sumę, aby zezwoliła na rozwód i wróciła do rodzinnego tylko nazwiska. Artystka chętnie dała się skłonić do rozwodu, ale odmianę nazwiska stanowczo odrzuciła. Wysokiego wzrostu, smukłej i składnej postaci, piękną i kształtną miała nogę, a ręce drobne, jak utoczone. Oblicze więćć okrągłe, oczy czarne, pełne życia i ognia spojrzenie. Zajmowała ciągle na scenie naszej role pierwsze tak w tragediach żon i kochanek, jak w dramatach i komedjach. Mniej jój talent wydatniał w tych ostatnich; komedia też w naszych czasach dopiero zajęła wynioślejsze znaczenie, w ową porę pośledniejsze miała stanowisko i główne role spoczywały na męzkich charakterach. Niełatwem też było zadaniem dla aktora, występującego w tragediach klasycznych, przejść do ról w komedyi i w niej z ciężkiej, poważnej deklamacyi, z trzynasto-zgłoskowego wiersza, na swobodną, potoczną rozmowę. Ledóchowska, zrodzoną była na artystkę tragiczną: ruchy składne i poważne, głos już wyrobiony do wiersza, każde wzięcie się odpowiednio po temu zawadzało w swobodzie gry i życie tak potrzebnem przy oddaniu roli w komedjach. Jedna tylko Leontyna Żuczowska (późniejsza Halpertowa), co zapomniawszy o tragediach klasycznych

¹⁾ Z późniejszych artystów najwięćć zbliżył się do Piaseckiego Józef Komorowski, aktor z rzeczywistym talentem dramatycznym. Z początku naśladowca, następnie po długiej pracy i studiach samodzielny artysta. W samem rozwoju i dojrzałości wielkich zdolności, śmierć zbyt wczesna, wydarła go polskiej scenie.

jaśniała jako wzór jedyny gry mistrzowskiej w komedjach i dramatach nowoczesnych, ale powtarzamy, zapomniawszy tragedji klassycznych.

Ledóchowskiéj siły już zabrakło, kiedy przedstawiała rolę: *Joanny d'Ark, w Dziewicy Orleańskiej*. Tłumaczył z Szyllera dramat ten Andrzej Brodziński starszy brat Kazimierza, w owych czasach, gdy prawidła *jedności miejsca i czasu*, ściśle w tragedjach szanowano. Brodziński naiwnie uniewinnia Szyllera z niezachowania tych prawideł, z danéj nawet nazwy *tragedji romantycznej*, (jakby grzéchu), a w końcu wyznaje, że nie tłumaczył, ale tylko naśladował oryginał. Oddał téż cały dramat długim, trzynasto-zgłoskowym wierszem, w którym zginęły wszystkie ustępy liryczne i miara do tego liryzmu zastosowana ¹⁾. To téż w ostatnim akcie, kiedy Joanna wznosi gorącą modlitwę do Boga, zrywa więzy i biegnie swoim na pomoc: już głos Ledóchowskiéj nie starczył, była to zbyt forsowna dla niéj rola. Za to, ileż prawdy, jakież przerażenie wywoływała w owéj sławnej, sennéj scenie w Szekspira *Mackbecie*, gdy z krwi ręce obmywała. Téj sceny już żadna po niéj artystka z równym urokiem nie zagrała. Z Ledóchowską występowała razem Żółkowska, żona komika, a w końcu jéj zawodu panny: Nacewiczówna i uczennica Ledóchowskiéj, młoda Emilia Werowska córka tragika.

Równocześnie ukazała się na scenie teatru narodowego Leontyna Zuczowska. Młoda i w całym znaczeniu tego wyrazu piękna i uroczą, obdarzona najwdzięczniejszym organem, wyniosléj postaci i składnéj; twarz rysów regularnych i cudnie odbijających ze sceny, oczy duże, niebieskie, jaśniejące ogniem młodości; wszystkiém obdarzyła ją natura, co stanowić może wielką artystkę. Pomimo tych jednakże zalet i przymiotów, długo stała w cieniu na uboczu, odsuwana znaczeniem i powagą Ledóchowskiéj, która się jéj lękała i to słusznie, jako groźnéj współzawodniczki. Wypadek szczególny zdarzył, że powierzono jéj rolę staréj cyganki *Viardy* w liryczném dramacie P. A. Wolfa z muzyką Karola M. Webera p. n. *Precyoza*, przełożonéj pięknym wierszem przez Józefa Dyonizego Minasowicza. Roli się téj podjąć żadna z aktorek nie chciała, bo trzeba było scharakteryzować i umalować się na brzydką i starą cygankę. Zuczowska młoda i piękna, śmiało tę postać przyjęła na siebie. Było to dnia 17 marca 1827 r. Pierwsze to było téj artystki wystąpienie w większój roli. Licznie zebrani widze z podziwieniem patrzyli na typ prawdziwéj cyganki, która z taką naturalnością przedstawiała starą gospodynią téj bandy wędrownéj. W akcie III,

¹⁾ Dramat ten, dopiéro w mistrzowskim przekładzie dał nam w całej piękności poznać A. E. Odyniec. Niestety! pomimo wskreszenia późniéj w wiele lat *Dziewicy Orleańskiej*, zawsze używano lichego tłumaczenia, które już umiano napamięć.

gdy z Granda hiszpańskiego szydzi i śmieje się w głos z ukrytą zemstą, gdy przy śniadęj, jak międz twarży, połyskała gorejącem spojrzeniem i ukazała zęby białe, jak kość słoniowa—uniesiona, zachwycona publiczność, nie mogła pohamować swego zapału. Odtąd Żuczowska przełamała nieprzebyte dotąd dla siebie zapory i spiesznie postępowała naprzód, aby zająć pierwsze, a należne dla siebie miejsce na scenie teatru narodowego.

Ogniwem wiążącym tragedją klassyczną z komedją i nowoczesnym dramatem był Ludwik Adam Dmuszewski. Jak mi sam opowiadał, że z Litwy przybył do Warszawy w zamiarze przedarcia się do legionów we Włoszech, ale poznawszy Bogusławskiego i mając wrodzony pociąg do sceny, stanął w rzędzie aktorów teatru narodowego. Nie było rodzaju sztuki dramatycznej, w którejby on nie grał. Miewał główne role w operach, zarówno jak w komedjach, niepoślednie zajmował miejsce w tragedjach i dramatach. Giętki ten talent, umiał sobie zjednać względy publiczności, mile był zawsze widziany na scenie. Pamiętamy go w samęj sile wieku i zawodu, kiedy ciągle grał i pisał dla teatru. Nie mało Dmuszewski przyłożył się do rozkrzewienia zamiłowania sztuki dramatycznej w kraju, przeważnie w nięj położywszy zasługi.

Na czele artystów komedyi, stał ulubieniec całej publiczności Alojzy Żółkowski: o tak wydatnej postaci nie tylko na scenie, ale i na tle ówczesnego okresu, powiem oddzielnie.

Nad Żółkowskiego, co do rzeczywistego talentu komicznego, wyższym był niezapreczenie Józef Zdanowicz, lubo nie miał ani takiej łaski u widzów, ani takiego rozgłosu. Średniego wzrostu, szczupły, drobnych rysów twarzy, obliczem swoim i melancholicznem spojrzeniem, przypominał wiele Kazimierza Brodzińskiego. Dobry znawca muzyki i sam grający, występował i w operze w rolach charakterystycznych, a głównie komicznych; przeciw głównem jego polem była komedya. Dość tu nam wspomnieć rolę Lisiewicza w *Geldhabie* A. Fredry, albo Wtorkiewicza w *Przyjaciolach* tegoż. Organ miał słaby, ale głos pomimo to dźwięczny i wybornie urobiony do oddania każdej myśli, każdego uczucia.

Nie mogę pominąć w rzędzie wyższych artystów i Nowakowskiego, późniejszego dyrektora sceny Lwowskiej, co tak wielki rozgłos pozyskał, chociaż w miernęj sztuce p. n. *Chłop milionowy*. Śpiewki jego *miotły! miotelku!* powtarzały tysiące ust: z murów Warszawy rozbiegły się, jak ptaki [po całym kraju, ryciny Jana Lewickiego, na których Nowakowski był oddany w tój roli, jak pochyłony pod swemi *miotelkami*, przyspiewuje różne strofki, które były pod nim litografowane. Występował na naszćj scenie w kilku komedjach, ale nie poznaliśmy go w rolach *polonusów*, bo wtenczas nie napisał jeszcze Fredro swójćj *Zemsty*, i nie dał nam pełnego życia *Cześnika*.

Do artystów komedyi należał Aszperger, który we właściwych sobie rolach mile był od publiczności widziany.

Z aktorek komedyi pierwsze miejsce w rolach drugiego rzędu zajmowała Kurpińska, żona zasłużonego dyrektora opery przy teatrze narodowym i kompozytora. Małego wzrostu, ale składna i zgrabna, z obliczem miłym i powabnym, pełna życia i wdzięku, czyto w rolach onych dawnych *subrettek*, czy młodych panien, skromnych niewiniątek, albo zuchowatych, śmiałych dziewcząt, czy rzewnych a łzawych młodych dziewic: wszędzie ze zrozumieniem i pojęciem właściwego charakteru, nietylko go umiała oddawać z całą prawdą i ułudą, ale wydobywała piękności ze swój roli, co tylko może wyższy talent.

W rolach gospodyń, kobiet wickowych i bab wygadanych, z wielkim powodzeniem występowała Jankowska.

Żołkowska, żona artysty i matka żyjącego komika, jakkolwiek brała rolę w tragediach klasycznych, nieraz jednakże widzieliśmy ją i w większych komediach.

Operę polską składali w tym okresie: *Szczurowski, L. A. Dmuszewski, Wejnert, Zdanowicz, Żyliński, Kratzer*; śpiewaczki: *Dmuszewska, Elsnerowa, Aszpergerowa, Mejerowa, Elconora Stefani, Rywacka, Gładkowska i Wolkow*, krótko na scenie bawiąca. Balet był dopiero w zawiązku. Dnia 3 sierpnia 1820 roku, na pierwsze przedstawienie dano balet układu dyrektora baletu Ludwika Tiery, *Mars i Flora*, z muzyką Karola Kurpińskiego. Licznie zebrała się publiczność, aby ujrzeć to niewidziane na scenie teatru narodowego widowisko. Szczególniej zachwyił wszystkich marsz zastępów zbrojnych *Flory*, z małych dziewczątek złożonych, jak ciągnęły armaty, z których do Marsa i jego towarzyszy w pełnych uzbrojeniach, strzelały różami. Długie i świetne powodzenie miał ten balet.

Do tej części sztuki scenicznej należeli: Tiery, Pion Maurycy, przezwany Moris, Aniela Polichnowska, Antonina Palczewska, Karolina Bizos, Teresa Palczewska, Julia Mierzyńska i Dąbrowska.

Polichnowska najpierwsza w solach się ukazywała; do pierwszych baletniczek liczyła się wkrótce Antonina Palczewska, gdy jej siostra Teresa przeszła na artystkę dramatyczną; Dąbrowska stygnęła z piękności; imię zaś Mierzyńskiej do dziś dnia się przechowuje przy mazurze, który ma właściwą melodyą, a przez nią był tańczony z nieporównanym wdziękiem i urokiem.

Jak grono liczne utalentowanych artystów podpierało scenę teatru narodowego, tak niemniejszą pomocą byli dwaj dyrektorowie opery: Józef Elsner i Karol Kurpiński; szczególniej Kurpiński, który do wielu oper oryginalnych a napisanych przez J. U. Niemcewicza, L. A. Dmuszewskiego, Żołkowskiego i w. i. muzykę podkładał.

Jeżeli aktorki teatru narodowego mało się udzielały poza obręb kółka swego, zato aktorzy mieli rozgałęzione stosunki przyjacielskie, i szerokie koło zwolenników poza sceną. Tak Żołkowski, jak Kudlicz, Zdanowicz, Dmuszewski, Werowski, Wolski i inni zbliżeni byli do literatów ówczesnych. Kudlicz był blizkim przyjacielem Kazimierza

Brodzińskiego, Żółkowski, jak Dmuszewski wraz z Bogusławskim sami należeli do pisarzy. Wolski, doskonale posiadający język francuzki, pracował oddawna nad słownikiem francuzkim ogromnych rozmiarów.

Ten stosunek przyjacielski między aktorami i pisarzami, błogie dla sceny narodowej wydawał skutki: aktorzy zapoznawali się przy ich pomocy z biegiem i rozwojem nie tylko piśmiennictwa krajowego, ale i obcego, szczególnie w gałęzi dramatycznej; literaci zaś zyskiwali na obznajomieniu się ze sceną, i z jej potrzebami. Pierwsi podsuwali myśl do utworu scenicznego, drudzy go wykonywali. Taki węzeł braterstwa widzimy głównie co do podniesienia opery na teatrze narodowym. Kazimierz Brodziński z pełnym talentu Józefem Elsnerem dyrektorem opery, pracowali nad rytmicznością języka polskiego i rozszerzaniu umiejętności podkładania wierszy pod muzykę: wydali w tym względzie pracę wspólną ¹⁾; Brodziński sam tłumaczył libretta, jak i członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Jan Kruszyński i inni. Dominik Lisiecki, z gronem młodszych wierszopisarzy brał się do przekładu komedyj wierszem z francuzkiego, którym aktorzy podolać nie potrafili. Jak jedni tak drudzy, niemając na myśli choćby najmniejszego zysku, bo teatr nie nie płacił, a drukarz dawał całe honorarium jedynie egzemplarzami; wiedzeni byli tylko czystą chęcią podpierania sceny narodowej, bo w tém widzieli korzyść dla ogółu społeczeństwa.

Osiński, objąwszy dyrekcję teatru narodowego, zapoznał publiczność polską z arcydziełami literatury dramatycznej francuzkiej, ale zarazem i tragedjami oryginalnemi Aloizego Felińskiego, Franciszka Wężyka, komedjami i dramatami J. U. Niemcewicza. Zarzucają terazniejsi krytycy wielkie błędy tragedjom naszym klasycznym. Generał Sokolnicki wystąpił w *Pamiętniku Warszawskim*, z oryginalną krytyką, bo wierszem i prozą, na *Ludgardę* Ludwika Kropińskiego, zarzucając jej (co było prawdą) niepojęcie ojczystych dziejów. Nie myślimy ich bronić, powiemy tylko, że w swoje czasy wzbudzały one taki zapał i uwielbienie, jak arcydzieła dzisiejsze: a może więcej umiano się lubować takimi ustępami, w których odkryto piękność, moc, czy prawdę w poetycznej szacie; uczono się ich na pamięć, powtarzano z upodobaniem. Mniej często dbano o formę zewnętrzną, jak zadawalano się treścią więcej, która do serca i myśli społeczeństwa tego przypadała okresu.

Najlepszy tego dowód mieliśmy w tragedji Ignacego Humnickiego: *Żółkiewski pod Cecora*, utwór daleko słabszy od dramatów

¹⁾ Dzieła tego wyszła tylko część pierwsza w Warszawie 1818 roku, w 4oe, p. n.: *O metryczności i rytmiczności języka polskiego.*

Wężyka i Felińskiego, a na pierwsze przedstawienie wyparto orkiestrę i widzowie zajęli jój miejsce ¹⁾).

Wieleśmy mieli tłumaczeń komedyi wierszem, głównie z francuzkiego. Moliere przypominał się często na scenie warszawskiej w przekładach F. S. Dmochowskiego i Fr. Kowalskiego, a Kudlicz w roli Skąpca zbierał grzmiące oklaski. W naszych oczach już po

¹⁾ Humnicki urodzony w r. 1798 w Sandomierskiem, zasilił scenę teatru narodowego trzema dramatai, które były przedstawione. Ogłosił te utwory wierszem: 1) „Goworek wojewoda sandomierski“ dramat w pięciu aktach wierszem; (Kraków, 1817 r.); 2) „Edyp,“ tragedia w pięciu aktach wierszem (Warszawa, 1818 r.). 3) „Żółkiewski pod Cecorą,“ tragedia oryginalna wierszem (Warszawa, 1818 r.). Wszystkie jużby krytyki dzisiaj nie wytrzymały; ostatnia tragedia, ciesząca się jaknajświeższym powodzeniem na scenie: „Żółkiewski pod Cecorą,“ zawdzięcza tak wielkie przyjęcie, kilku zwrotom zręcznym, gorąco przemawiającym do serca owoczesnój społeczności. O tój ostatniej tragedyi, przywiode tu sąd poważny Jana Woronicza, biskupa krakowskiego. Humnicki przesłał mu bilety prenumeracyjne, ażeby zebrać fundusz na druk „Edypa“: owóz co pisze ten znakomity mówca i poeta, w liście swoim pisanym do autora, z Krakowa d. 27 listopada 1825 roku. Podajemy go z autografu, który mamy przed oczyma.

„Zdziwi zapewne WMP niniejsza odpowiedź na list jego 29 sierpnia pisany. Jeśli WMP wiadome są moje zatrudnienia, łatwo potrafisz ocenić tak długą zwłokę. Bilety na prenumeratę „Edypa“ jeszcze nie są rozdane, spodziewam się to uczynić za przybyciem niektórych familii, mających tój zimy krakowską publiczność pomnożyć. Czytając niedawno tragedya „Żółkiewskiego,“ więć się o tём przekonałem, że Gazeta Literacka przed kilką laty wydawana w Warszawie, czyniąc rozbiór tój sztuki, mogła zachować większą sprawiedliwość w jój ocenieniu. Nie pamiętam nawet, czy taż Gazeta uczyniła jaką wzmiankę o życiu Żółkiewskiego, które wspomnioną tragedya poprzedza. Wyznać jednak potrzeba, że jeżeli sama tragedia wyświeca w WMP. talent rymotwórczy, tedy wstęp do mój wykazuje obywatela, przejętego czuciem, które szlachetnych tylko dusz jest udziałem. Oddając WMP. tę należną sprawiedliwość, utaić nie mogę mojego żalu nad Zygmuntem III, którego WMP. zgodnie z duchem dzisiejszych pisarzy niemilosiernie zacinasz. Trudno zapewne usprawiedliwić wszystkie polityczne błędy jakich się Zygmunt dopuścił, lecz czyż można temu uwierzyć, że jego pobożność była fałszywa? Jeżeli bowiem był obrońcą religii panującej i wyznawanej od swego narodu, jeżeli się stosował do jój przepisów; jeżeli Władysławowi nie chciał być powodem do jój odrzucenia; jeżeli poszedł za przykładem swych poprzedników, odrzucających niekiedy u nóg składane korony: byłże to skutek fałszywój pobożności? Jabyśmy mniemał, że nie fałszywa, lecz prawdziwa w Zygmuncie pobożność, radziła Władysławowi nie odstępować Bogu zaprzysiężonej wiary, nie czynić nic przeciw sumieniu i przekonaniu, nie poniżać nakoniec charakteru królewskój duszy, w sposób, jakiego żaden z katolickich monarchów nigdy się nie dopuścił.

roku 1830, ten sam znakomity artysta, pewny na powodzenie swoje dawne, wystąpił w téjże roli, ale przyjęcie chłodne przekonało go, że Molier już nie dla naszych czasów.

Aleksander Fredro, z oryginalnemi komedjami pojawił się w ostatku na naszej scenie. Przedstawiano na teatrze narodowym nie mały ich szereg: *Geldhaba*, *Cudzoziemszczyzna*, *Mąż i żona*, *Przyjaciele*, *Damy i huzary*, *Zręczność i przekora*, *Pierwsza lepsza*, *List i Panieńskie śluby*. Poczet tych sztuk już dawał dokładne wyobrażenie o potężnym talencie autora, publiczność jednakże owoczesna obojętnie je przyjęła, pomimo że grane były wybornie. Z nich najwięcej się podobała tylko *Cudzoziemszczyzna* i Dmusczewski w roli Radosta.

Obojętności téj nie widzimy innego powodu, jak tylko w tém, że zbyt żywe jeszcze wzory i obrazy naszej społecznosci oddawał. W chwili, gdy Fredro wystąpił, już szal romantyczny zajmował młode głowy. Ballady i romanse pełne sentymentalności niemieckiej, i ów *Werter* Getego (w tłumaczeniu Kazimierza Brodzińskiego) zastąpiły pasterskie *Floryana* i miłosno-rycerskie pani Zenlis powieści.

Teatr prowadzony przez gorącego zwolennika literatury francuzkiej, chociaż nie przedstawiał komedyj oryginalnych jednego z najlepszych dramatycznych pisarzy Fr. Zabłockiego, ani Drozdowskiego z końca XVIII stulecia, pomimowolnie, nieznacznie zaczął ulegać nowym prądom, powiewającym od Zachodu. Romantycznej treści dramata, pojawiły się pierwój na scenie teatru narodowego (*Dziewica Orleańska* Szyllera, *Matka rodu Dobratyńskich*) zanim poezya romantyczna pokazała się w książkach.

W roku 1818 na korzyść Towarzystwa Dobroczyńności, Franciszek Morawski napisał scenę liryczną p. t.: *Sen poety*, w której poeta się ukazuje trzymając w ręku poezyc *Homera i Ossyana*, sam nie wiedząc któremu przyznać pierwszeństwo. Oto początek téj sceny:

Ktoregoż w laur świetniejszy potomność przybierze:

Czy ciebie Ossyanie, czy ciebie Homerze?

(*Patrząc na księgę Homera*):

Ty, coś na greckiej lutni mężne głosząc roty,

Powtarzał wrzawę bojów i Jowisza grzmoty;

Z drugiej strony, roztropność i przenikliwość mogła wskazać Zygmunтови, że Władysław, albo się ostoi przy ofiarowanej mu koronie, albo straci nadzieję do korony polskiej. Chcąc Zygmunтови zadać pobożność fałszywą i udaną, albo mówiąc wyraźniej, chcąc go nazwać *hypokrytą*, trzeba się zdobyć nie na domysły, ale na pewne i mocne dowody, co dotąd nienastąpiło. Takie to miałem uwagi, czytając w życiu Żółkiewskiego artykuł o Zygmuncie. Zwierzając się z niemi przed WMP. daję mu wielki dowód mojej otwartości. Zresztą, nigdybym ich WMP. nie natrącał, gdybym nie był pewien, że je WMP. mile przyjmiesz, jako od tego, który go prawdziwie cenił i szacował umić.“

J. Woronicz.

Wzniosłeś kolos twój chwały na Achilla grobie!
Coś świat ten, w całej jego wystawił ozdobie,
Głosił wielkość człowieka, same bogi głosił,
Jakżeś duszę zapalał! myśli moje wznosił!
Uczulem godność wieszczą, tyś mi wlał natchnienie,
I śmiałem aż do nieba, mężkie podnieść pień!

(Patrząc na księgę Ossyana):

Ty zaś, co na północnej i samotnej skale,
Na cichszej lutni ciężkie rozwodziłeś żale;
I zawsze bladój nocy otoczony mrokiem,
Topiłeś smutne myśli w dumaniu głębokiem;
Bliższy tkliwej natury, mniej świetny od Greka,
Przez łzę tylko patrzałeś na świat i człowieka:
Jakże, jakżeś mnie często z Homerem rozdzielał,
Jakżeś lubą posepność w duszę moją przelał!
Jak często razem z tobą winiąc los okrutny,
Twém czuciem rozczulony, twoim smutkiem smutny;
Na pustynie, na skały, biegłem nocną dobą,
Razem błądzić i dumać i zapłakać z tobą!

Scena ta wywarła silne wrażenie na młode umysły: przypomniano sobie przekłady Ossyana przez Krasickiego, Książczyna, Tymienieckiego; zaczęto je pilnie odczytywać, bo Homera dobrze ze szkół jeszcze znaliśmy, szczególnie *Iliadę* w pięknym tłumaczeniu Fr. Dmochowskiego. Znajdowano w tym śpiewaku *Kaledonii*, coraz nowe piękności, a co główna, że do serca przemawiał, i każdy, jak dobrze powiedział Morawski, jego *czuciem był rozczulony*.

Zaczęła nowa zorza poranna prześwitywać na horyzoncie duchowym, gdzie obok arcydzieł literatury francuskiej, pojawiały się nieznanne i z innych stron świata. Teatr narodowy już nas z nimi potrosze zaznajomił.

Przychodzi nam teraz wspomnieć obszerniej o jednym z artystów dramatycznych, ozdobie sceny narodowej, któregośmy tylko tu nazwisko wymienili.

VII.

Radoszyce. — Wieś Jakimowice. — Obozowisko. — Młody Alojzy. — Powrót do domu. — Pustkowie. — Przybycie do Lwowa. — Dependent u adwokata Józefa Dzierzkowskiego. — Pojawienie się Wojciecha Bogusławskiego we Lwowie. — Postanowienie. — Ucieczka. — Przybycie do Warszawy. — Pierwsze występy na scenie Teatru Narodowego. — Aktor i pisarz. — Zgon Alojzego Żolkowskiego. Pot-pourri i Momus.

W małym miasteczku drewnianym Radoszycach, na stariej krakowskiej ziemi, które się szczyciło najdawniejszym murywanym kościołem z początku XI wieku, całą noc z 17 na 18 listopada 1794 roku, trwał gwar głuchy, łuna wielka rozświecała daleko.

Było to obozowisko szczątków wojska polskiego, które równo ze świtem pociągnęło na zachód miasta, do wioski Jakimowice.

Wieś ta leży tylko o pół mili za Radoszycami; mimo to, postępujące oddziały stawały nieraz, bo wiatr mroźny ciął w oczy, to wznosząc pył gęsty z piaszczystej okolicy, to pędził zadymkę śnieżną, zawiewającą wszelki ślad gościńca.

W połowie drogi musiały się zatrzymać wszystkie oddziały, bo zawieja tak wielka powstała, że o kilka kroków już nie dopatrzeć nie można było.

Przodowy oddział skierował do pobliskiego lasu, za nim poszły inne; tu wśród gęstwiny drzew odetchnąć można było swobodniej. Wiatr przykry wiał, śnieg tylko biały uścielał coraz grubiej ziemię. Na dane hasło, w środku niemal tego lasu, stanęły wszystkie oddziały: tu wkrótce nadeszła chwila straszna i bolesna, złożenia broni i rozsyпки nierozdzielnych dotąd towarzyszków, w różne strony świata.

Batalion z regimentu generała Potockiego, uszczuplony walką i trudami, składał się zaledwie z kilkudziesięciu ludzi. Między temi odznaczał się rzeźwy siedmastoletni młodzieniec, twarzy okrągłej, oczu wypukłych, wzrostu średniego. Z dziwną pogodą umysłu znosił trudy wojenne: w boju stał mężnie, przy ognisku obozowym dowcipem i humorem rozweselał, a nieraz do serdecznego śmiechu pobudzał towarzyszków broni. Mundur niebieski z zielonemi wyłogami, spodnie takiéjże barwy z zielonym lampasem, kapelusz okrągły z daszkiem, strojny w czarne pióro, torba borsucza i ładownica na białych pasach, na ramieniu karabin bagnetowy, stanowiły jego ubiór i uzbrojenie. Składnie wyglądał młodzieniec w takim przyborze; swobodny w ruchach, zdawał się i teraz, że nie doznaje żadnego utrudzenia. Ale oblicze jego, z wyrazem zawsze wesołości, a na świeżych ustach uśmiechu, sponębiało dnia tego. Kiedy oddział stanął w uboczu leśnej, i rozpalono ognisko, siadł przy niém, otulił się płaszczem, opuścił głowę na piersi.

— No! cóż Alojzy!—zawołał dowódzca oddziału—i ty osowiałeś! pociesz nas przecie choćby trochę.

Na to wezwanie młodzieniec podniósł duże oczy i spojrzął na mówiącego, ale słowa nie odrzekł, zbladł tylko, łyzy trysnęły, zakrył oblicze i głośnym zaszlochał płaczem. Towarzysze broni osłupieli na ten widok: przerażenie ich tém większe było, że nigdy młodego Alojzego tak rozrzuwionego nie widzieli. Przypomnieli sobie chwilę obecną i jedni połączyli łyzy swoje z jego łzami, drudzy w niemęj rozpaczę załamali ręce.

Wicher szumiał górą bijąc o wierzchołki starych jodeł, sosen i dębów. Naraz usłyszano z dala głuchy odziew trąb i bębnow. Powstali wszyscy: była to godzina złożenia broni i rozsyпки na cztery strony świata. Młody Alojzy na pierwsze hasło zerwał się na nogi i w gotowy dół usłany śniegiem złamawszy bagnet rzucił swój karabin, pałasz, ładownicę i kaszkiet, zachowawszy z niego tylko pióro: z borsucznej torby dobył czapkę, a włożywszy ją na głowę, odszedł do ogniska. Towarzysze broni poszli za jego przykładem i stos broni i rynsztunków zarzucili ziemią. Skoro wyszli na brzeg lasu, uściśnęli się w milczeniu i z zażawionemi oczyma, każdy pojedynczo poszedł w swoją stronę.

Młodzieniec nasz był to *Alojzy Gonzaga Żółkowski*, ruszył w strony Nowogrodzkie, w rodzinne gniazdo. Długą miał i przykrą podróż, ale młodość i nadzieja ujrzenia swego skromnego dworku, w którym się wykotysał, gdzie najmilsze lata dziecinne spędził, ujrzenia sędziwych rodziców dodawała mu siłę i krzepiła w trudach.

Po kilkunastu dniach dobił się przecie wśród srogięj zimy do stron wyglądaných. Zdała rozpoznał wioskę i dworek na wzgórzu stojący, ocieniony lipami, tak zielonemi latem, tak obnażonemi teraz z liścia. Dojeżdżając na furce chłopskięj, gwałt co siła, aby przedź się stanąć. Przejeżdża małą wiosieczkę, zeskakuje we wrotach dworskich, ale jakże się zdziwił, gdy nie ujrzał nikogo na podwórzu, a we dworze drzwi zamknięte. Daremnie dobijał się do nich niccierpliwie: nikt nie otwierał. Trwoga jakaś dziwna przejęła go dreszczem: nie mógł się utrzymać na nogach, upadł na dębową w ganku ławę. Po długiej chwili stary domownik dowiedziawszy się że gość jakiś przybył do dworu, z oddalonych oficyny nadszedł, a poznawszy młodego panicza zaczął z płaczem całować jego ręce.

— Gdzież rodzice?—zapytał.

Starzec spojrzął nań smutnie, a potem wskazując na poblizki kościółek i cmentarz

— Tam!—odrzekł—spoczęli oboje!

Młody żołnierz padł na ławę i głośnym zaryczał płaczem. Starzec patrzył z boleścią na niego, a gdy się nieco uspokoił

— Czekali, wyglądali panicza—mówił—a co tam nasz Alojzy robi? czy żyje? zdrow, czy nie ranny, a broń Chryste, może zabity. Na tę myśl wszyscyśmy płakali rzewnie jak bobry, i zaraz to w domu przed krzyżem, to do kościoła na modlitwę, aż Bóg dobry łyzy nasze osuszył

i serca pocieszył. Jegomości zmarło się naprzód, niedługo za nim poszła i nasza święta pani... a każde umierając błogosławiło panicza.

Słuchał tych słów biedny teraz sierota z osłupiałym wzrokiem: długo siedział nieruchomy na ławie, aż starzec dobytym kluczem z zapasa drzwi gankowe otworzył i wprowadził swego panicza do rodzinnego dworku.

Alojzy spojrzął w około, wszystko było po dawnemu: ten sam porządek, też sprzęty. Ciepło było w izbach, bo czuwał nad domem wierny sługa, tylko zgasłe gównie leżały na kominie niedopalone. W sypialni rodziców na klęczniku stał stary krucyfiks drewniany, upadł przed nim krzyżem, zgębiony niedolą młodzieniec, ukląkł przy nim osiwały starzec; tamten z płaczem i modlitwą łączył skargę sieroctwa, ten z zażwioném okiem błagał Boga o szczęście opuszczonego sieroty. Po kilku dniach, dowiedział się że wkrótce musi i to schronienie opuścić, była to bowiem dzierzawa, która się kończyła z Nowym Rokiem. Dziedzic odbierał napowrót swoją własność. Kiedy rozmyślał nad przyszłym losem swoim: odbiera list od rodzinnego stryja generała Żółkowskiego, stale mieszkającego we Lwowie, w którym przyzywał go do siebie, zapewniając jako synowcowi swą pomoc i opiekę. Nie było nad czém wiele rozmyślać, wzięwszy część przypadłą z pozostałości po rodzicach, która zaledwie pokryć mogła kosztą podróży do Lwowa, pożegnawszy rodzinne kąty wsiadł na chłopskie sanie i przeżegnany krzyżykiem od starego domownika, ruszył w świat z błogą nadzieją, że ujrzy jeszcze kiedyś ukochane okolice. Próżne marzenia! los go w inne dalekie i nieznanne pogonił strony, otwierając mu obszerne pole do ukazania talentu i zdobycia sławy, o której nie śnił nawet dotychczas.

Przyjęty serdecznie od stryja, odetchnął po trudach obozowych i podróży zimowej. Troskliwy generał o przyszłość swego synowca, upatrując w nim rzadkie zdolności, wybrał mu zawód jako najkorzystniejszy prawnika i oddał go do kancelaryi sławnego na owe czasy adwokata Józefa Dzierzkowskiego.

Przejście ze swobodnego, pełnego zapału, wrażeń i nadziei zawodu żołnierza, na ciche, pracowite, bezbarwne życie przykute do stolika wśród foliałów akt zapyłonych, nie było łatwem zadaniem dla młodego Alojzego, ani odpowiedniem do jego zdolności i charakteru.

Surowy zwierzchnik, mniej wyrozumiały na wiek młodzieńczy, sławny nauką, jak otyłością ciała adwokat Józef Dzierzkowski nie znał sposobów innych na kierowanie powierzonych sobie, jak rygor bezwzględny i ciągłą pracę ¹⁾.

¹⁾ Józef Dzierzkowski był najotyłszym w całej Galicyi. Karetę musiał mieć na urząd zrobioną, stosowną do swęj tuszy. Synowiec jego rozgłośny powieściopisarz *Józef Dzierzkowski*, z którym mnie łączyły ścisłe stosunki przyjaźni w Galicyi (1832—1833), w czasie pobytu mego we Lwowie, opowiadał mi

Miejsce więc takie i zawód nie mogły niczem przywiązywać Żółkowskiego, aby w nich wytrwał. Jakoż obrzydził sobie pracę, w której się z musu oddawał rozmyślając co przedsięwziąć na przyszłość.

Kiedy tak dumał, nagle rozbiega się wieść o przybyciu do Lwowa Bogusławskiego dyrektora teatru narodowego w Warszawie, który na początku 1795 r. w styczniu do stolicy Królestwa Galicyi i Lodomeryi zjechał. Pierwsza myśl błysnęła mu z tą radosną wiadomością: „a gdybym ja został aktorem,“ ale odegnał ją od siebie; nazajutrz zawitała doń na nowo, już ją począł więcćj rozważać: wreszcie stała się jego ciągłym marzeniem.

Bogusławski tymczasem nie zalegał pola pomimo braku garderoby, zbrojowni, biblioteki i przyborów teatralnych, które mu przetrzymywali niemcy blisko dwa miesiące na komorze; przedstawia operę *Fraskatankę*. Żółkowski biegnie na to widowisko, dzieli powszechny zapał, łączy swój okrzyk i oklaski z licznym tłumem widzów. Zapowiedziano wkrótce wielką operę *Azur*: z bijącym sercem nasz kancelista oczekiwał godziny widowiska. Wychowany w zaścianku szlacheckim, skromnym, następnie w obozie; zamieszkawszy we Lwowie, bywał czasami na teatrze polskim pod zarządem Morawskiego; ale trupa jego szczupła i z mniej zdolnych aktorów złożona: tymczasem w *Azurze* występowali już chlubnie w kraju znani artyści. Śpiewaczki: *Jasińska, Rutkowska, Kossowska*; tenorzyści: *Kaczowski, Nowicki, Rutkowski*; basiści: *Szczurowski, Każyński, Baranowski* i inni, dawali rękomię dokładności przedstawienia. Jakoż opera ta przeszła wszelkie oczekiwania Żółkowskiego, zapał jego do zawodu dramatycznego stał się teraz wyłącznym i jedynym marzeniem. Z tą myślą krył się jednakże przed zaufanymi sobie, bo znał jakie przesady trwały przeciw artystom, czyli jak wówczas zwano: *aktorom*. Doszła do Lwowa wieść, że w Warszawie pod okiem króla Stanisława Augusta nie chciano zmarłego aktora pochować na cmentarzu. Bogusławski, który bywał na *czwartkowych uczonych obiadach* w zamku, zaledwie potrafił wyjednać, za wpływem samego króla, że zwołkom artysty dramatycznego nie odmówiono grobu na poświęconej ziemi.

W mozolnej i ciężkiej pracy Żółkowski przetrwał jeszcze rok 1795 i następny. W roku 1797 postanowienie jego było niecofnione: przekonany że ani u stryja nie otrzyma pozwolenia, ani témbardzićj u swego zwierzchnika, w tajemnicy zrobiwszy skromne przybory,

wiele szczegółów o swoim stryju; ale nacisk kładł zawsze na to, że surowość jego dla młodzieży sprawiała, iż rady jego i opieka zawsze jej na najgorsze wychodziły i ani jeden z wychowalców, miłego onim nie zachował wspomnienia. Obejście surowe, bezwzględne, wpłynęło także i na dalsze kroki młodego Alojzego Żółkowskiego.

skrycie Lwów opuszcza i piechotą po większej części odbywając podróż, staje u celu swego w murach Warszawy.

Miasto przestawszy być stolicą wielkiego państwa, smutny przedstawiało widok. Zamek królewski opuszczony, milczący, jak i pałace magnatów. Dawny gwar i życie uciekło, ale teatr miał powodzenie; droga cena zboża, łatwy odbyt, dostatek pieniędzy, wabiły szlachtę wiejską do Warszawy: onato głównie i jedynie wspierała jeszcze dawną stolicę Rzeczypospolitój i zapewniała byt narodowej scenie.

Teatr narodowy był właśnie pod zarządem znakomitej artystki *Truskulawskiej*. Żółkowski przyjęty w grono jej aktorów, wkrótce zyskuje rozgłos, który z każdym wystąpieniem powiększa liczbę jego zwolenników. Imię Żółkowskiego dotąd nie znane staje się celem poszukiwań na afiszu przez publiczność: w której sztuce tylko występuje, tłum widzów przepełnia salę teatralną. W krótkim przeciągu czasu staje się ulubieńcem mieszkańców Warszawy i wszystkich miłośników sceny narodowej. Usłyszany głos jego za kulisami już gwar i śmiech wesoły obudzał w publiczności. Współtowarzysze w sztuce błagali Żółkowskiego zawsze, aby w ich benefisach występował, równie jak pisarze dramatyczni, aby jakąkolwiek w ich utworach rolę przyjął; bo jak pierwsi, byli pewni pełnego teatru, tak drudzy, powodzenia sztuki: umiał bowiem rzecz nie znaczącą podnieść i uświetnić, a przedmiot suchy natchnąć życiem i świeżością.

Oprócz gry na scenie pracował dla niej piórem: literatura dramatyczna pomnożoną została przez niego *siedmdziesięciu czterema* sztukami, pomiędzy którymi są oryginalne, jak opera: *Szarlatan*, komedia: *Świątynia nudów*, i kilka napisanych do czasowych okoliczności, w kraju bowiem zachodziły niespodziewane przemiany: scena narodowa zespolona z nim jednem życiem, wiernie wypadki chwilowe odbijała. Wiele tłumaczył i naśladował, z tych ważniejsze: *Wszystkowiedz*, *Dwóch Siciechów*, *Pałac Lucypera*, *Guwerner*, *Mali protektorowie*, *Kozieł*, *Czaromysł*, *Dwóch Piotrów*, wszystkie znalazły dobre przyjęcie, bo je nieraz sam autor wspierał potężnym talentem. Humor, wesoły dowcip po za sceną, szlachetność charakteru, dodawały wagi talentowi dramatycznemu. W czasach, w których literatura ojczysta ledwie słabe dawała oznaki życia, bo ją gwar wojenny tłumil; w całej naszej społeczności *żywe słowo* stanowiło wszystko, zastępując książki i gazety.

Wieści z pola bitew, zwiastujące zwycięstwo lub klęskę, kraj przebiegały; każdy wypadek, tąż się drogą upowszechniał. Gazety ówczesne, słaby w sobie odcień zachowały téj nawały wiadomości, wypadków, chwilowych zdarzeń, anegdót, to rubasznych, to wesołych, to naznaczonych prawdziwym humorem. Do rzędu tych ostatnich należały niewątpliwie *dowcipki*, jak je zwano Żółkowskiego. W miejscach, gdzie się artyści przed otwarciem teatru i po scenie zbierali, obywatele Warszawy i ziemianie, literaci, wojskowi, wykształceni kupcy i rzemieślnicy, dobijali się usilnie

o miejsce, aby tego artystę zobaczyć i posłyszć mówiącego. A Żółkowski, z całą swobodą umysłu, bez przygotowania, jakby od niechcienia, korzystał z każdej okoliczności aby błysnąć dowcipem, *facecye* sypał jak z rękawa, a obecni, głośnym, serdecznym śmiechem wtorowali wielkiemu artyście. Każdy dowcipiek nazajutrz cała Warszawa powtarzała, listy roznosiły go po kraju, szlachta nasza, w zapadłym Polesiu, na Pokuciu, czy w Wielkopolsce i Krakowie, znała ztąd Żółkowskiego imię, chociaż go na scenie nigdy nie widziała.

Zakład, jaki zrobił i wygrał, że po linie, z parteru pójdzie na paradyz (a wówczas sztukmistrze, właśnie po wyprężonych linach, ze sceny na paradyz wchodzili) jakoż zjadłszy *lina* (rybę) zwyczajnemi schodami zeszedł na oznaczone miejsce, był długo ulubioną wszystkich dykteryjką.

W samą siłę męskiego wieku, na lat kilka przed zgonem, Żółkowski zaczął czuć wewnątrz, nader dotkliwe bólesci. Zanadto ufając czerstwości własnego zdrowia, mniej zważał na nie, i zbywał uśmiechem rady troskliwych przyjaciół, żeby pomyślał o wczesnym ratunku. Scena była jego żywiołem, nie mógł się od niej oderwać; dręczony bólem, występował zawsze z tym pogodnym obliczem, z tym swobodnym humorem, tak, że publiczność rozweselona jego grą i dowcipami, nie mogła dostrzedz wewnętrznych cierpień, jakich doznawał w chwili gdy teatr cały trząsał się od śmiechu i pow szece brzmiały oklaski. Żółkowski w tym przejęciu, w tych oklaskach szukał ulgi i osłody w bólach, one przygłuszały w nim cichy jęk, ciche westchnienia.

Dyrektor ówczesnego teatru narodowego Ludwik Osiński, troskliwy o zachowanie dla sceny takiego artysty, ułatwił mu podróż do wód zagranicznych. Żółkowski przeczuwał swój zgon blizki; udał się do wód szlązkich, ale ratunek był zapóźny. Za powrotem ukazał się na scenie podwakroć, i w siłę wieku zakończył dni swoje, w początkach września 1822 roku. W sześć lat po jego zgonie wydano oryginalną jego operę: „*Szarlatan czyli Wskrzeszenie umarłych*,” (Warszawa 1828). Jestto libretto, do którego muzykę napisał Karol Kurpiński. Do wydania tego dołączono wielce trafiony wizerunek artysty, a pod nim dwuwiersz:

Mistrzowskim w sztuce swojej postępując torem,
Był rozkoszą słuchaczów a grających wzorem!

Dochód z rozprzedaży tego dziełka obrócono na wystawienie Żółkowskiemu pomnika grobowego na cmentarzu Powązkowskim.

Pod cieniem wówczas wierzby, wyrostł w pośród granitowych kamieni, na takimże głazie, wyryto napis: „*Aloizy Gonzaga Żółkowski, artysta i autor dramatyczny, żył lat 45, umarł dnia 11 września 1822 roku.*”

Śmierć Żółkowskiego wywołała żal powszechny, nie tylko w Warszawie ale w całym kraju; była to bowiem postać tak wydatna i popularna, że ktokolwiek zechce malować z tego okresu naszą społeczność (od 1800—1822 r.) musi obszerniejsze poświęcić wspomnienie temu artyście. W pismach on też swoich, głównie humorystycznych, nie mało zarysów wybornych do malowidła tej społeczności zostawił. Musimy więc tu zwrócić uwagę na jego działalność literacką.

Najpierwszém Żółkowskiego pismem drukowaném jest: „*List do JP. Dmuszewskiego artysty dramatycznego polskiego*“, datowany z ulicy Piwnéj, na 1-ém piętrze pod N-em 14-ym, d. 8 lutego 1804 roku, (arkusz w kroju małym ćwiartkowym bez miejsca druku).

Nie wiemy czy Dmuszewski wystąpił publicznie, zwracając uwagę naszego komika, że robi niepotrzebne dodatki, gdy w końcu widowiska jak zwykle bywało na dzień następny, zapowiadał przedstawienie teatralne, czy też uwagi swoje udzielił mu tylko poufnie. Z toku wszelako całego listu, pokazuje się, że żadnej do Dmuszewskiego nie miał urazy, na zarzuty zaś, nie tylko przez niego robione pragnąc odpowiedzieć, list swój wydrukował. W nim, na zarzut niewczesnych żartów, broni się wyjątkiem z ulubionego wówczas pisarza dramatycznego *A. Kotzebuego*.

„Żart nie może być niewczesnym, żart bowiem sprawuje uśmiech; uśmiech jest dowodem radości, radość jest uszczęśliwieniem ludzi, a szczęśliwość nigdy się nie sprzykrzy: a zatem żart nie może być niewczesnym“¹⁾.

1) Przechodzi następnie po szczególe, otwarcie, artystyczne grzechy; ustęp ten charakteryzujący młode pióro i mniej doświadczone Żółkowskiego, w całości przywiedziemy.

1^o po komedii *Trzpiot*, wyszedłem anonsować, mając zające na plecach, fuzyą i inne myśliwskie okoliczności; powiedziałem: „ponieważ mi tędy po drodze, wypada mi iść do mojego zamku, a zatem donoszę razem, że będzie w przyszły czwartek i t. d.“ Cóż tu jest złego? Nie pokłóciłem się ja z panią Zrzednicką? nie także jęj nie mówiłem że idę do zamku? Może źle, że zające niosłem, jakże miałem je zostawić, kiedy zające lubię.

2^o Po *Tom-Dzonie*, grająco w téj komedii *Padrycza*, który pstrym gada językiem, *alias*, obcy mięsza z swoim, anonsowałem z łacińska: „*proxima die habebimus honorem dare etc.*“ a na ostatku rzekłem: „*Bona nocte praecor.*“ To u ciebie źle, że ja życzyłem dobrej nocy.

3^o Na mój benefis anonsując gadałem: „Na benefis Jpana Żółkowskiego damy“ etc. Prosił mię pan Żółkowski abym mówił za nim, jestem jego przyjacielem.“ To znowu było fortelem, bo śmielej można mówić za kim, jak za sobą. Ale to nie jest grzechem, i po tém nawet jest piękna figura stylowa, i tak, jak kocham ciebie, daleko piękniej, Alojzy kocha ciebie!

4^o Po komedii *Zamieszanie*, jak wiész byłem *Spiochajło*, przy końcu zasnąłem w moim własnym pokoju, kurtynę podniesiono. Zaczęto klaskać,

Z tego listu widzimy, że już w roku 1804 był ulubieńcem publiczności, a ufając w jej względy, dozwalał sobie dodatków na scenie, za które go karcił Dmuszewski. Po skończeniu sztuki Dmuszewski uważał, że aktor skończył swoją rolę, a wedle przyjętego wówczas zwyczaju, wychodząc przed korytnę, winien w postaci własnej zapowiadać widowisko następne. Żółkowski przeciwnego był zdania, i jak zapamiętamy dobrze, do końca swego zawodu, nigdy go nie zmienił. Ale nietylko w tych zapowiedziach robił swoje dodatki, wśród sztuki samój, gdzie tylko nadarzyła mu się sposobność. Uchodziło to tylko jednemu Żółkowskiemu, którego miłość, uwielbienie i pobłażliwość publiczności otaczały.

W roku 1811 w przerwach nieoznaczonych wydawał *gazetki* pisane, które rozrzucane w kilku egzemplarzach, natychmiast tysiące rąk przepisywało, i po całym kraju tym sposobem rozpowszechniano. Od roku już 1806 za wnijsciem armii francuzkiej i Napoleona I-go do Warszawy, dla sceny nie mało pracował. Teatr narodowy bowiem pilnym był strażnikiem owoczesnych wypadków, i jak w zwierciadle odbijał je na scenie swojej. Utwory dramatyczne które wówczas wywoływały zapał i oklaski, dziś zaprawdę nie wytrzymają krytyki, ale i z dzisiejszych rozgłośnych chwilowo, niewiele przepłynie progi naszego wieku. Mimo to, tamte mają cenę zacnej dążności, podniosłych uczuć, odbijając nie jedną chwilę w życiu narodu.

Gazetki Żółkowskiego zdawały się zapowiadać przyszłego redaktora nieporównanych pism humorystycznych, jakimi się okazały *Potpourri* i *Momus*.

przebudzają mię, tedy chcę anonsować, ale sen mię morzy znowu, i cóż ja winien że siedząc w krześle przebąknąłem słów kilka.

5⁰ Na ostatku wczoraj anonsując na benefis pana Zielińskiego, któremu wszelkich pomyślności życzę, powiedziałem: „Gorliwy ten artysta, jest pełen nadziei, i dobrze że ma nadzieję, bo ja zaręczyłem mu, że będzie miał dobry benefis. Cóżto, nie mogęż ja ręczyć, będąc sam obsypany tak niezmierną łaską od publiczności, a nie wiele położywszy zasług? Ale mi na to wszystko zarzucisz, że artysta wychodzący przed korytnę anonsować, już niema na sobie tego charakteru jaki udawał, i jest tylko prostym telegrafem, przyszły spektakl donoszącym? Otóż bajki to są mój panie. Czemuż kiedy wraz ze sztuką, aktor kończy swój charakter, czemuż mówię ten co zginie, nigdy nie anonsuje? Wszakże wszyscy wiedzą że się doprawdy nie zabijamy, jeżeli powiędz, dla lepszej illuzji, toż samo i mnie służy.

Jak ty zacny kolego chcesz we mnie wmówić, że ja jestem już Żółkowskim, kiedy jestem przed korytną? Widziałże kto J. Pana Żółkowskiego, na ulicy w zielonym galonami szamerowanym fraku, z wielką na łbie peruką i harbejtem? albo jak w „Zamięszaniu“, z kornetem na głowie, z podwłośnikami, prześcieradłem opasany, rużu pełno na gębie, krysek, rysów? I to ja mam być? nie! to jest zawsze *Dragajło*, *Spiochajło*, *Padrycz* etc.

W literaturze starożytnej polskiej nie brakło narodowych dowcipów. Zaraz z pierwszymi śladami drukowanych książek polskich, mamy co do tego widome dowody. Słynął z dowcipu *Rej* z Nagłowic, za Zygmunta I-go słynął z wyższego może jeszcze *Staniezyk*, nadworny trefniś tego króla, równie jak *Smolik* dworzanin. Niebrakło dowcipów i *Janowi Kochanowskiemu*. Pisarze z XVI-go stulecia, nadali oddzielną nazwę w literaturze tego rodzaju utworom. *Rej* zwał je *figlikami*, *Kochanowski* i następcy jego *fraszkami*, a niektórzy *burleszkami*. Z upadkiem oświaty, literatury i spodleniem ojczystego języka w XVII wieku, i dowcip staropolski znika; wskrzesza go dopiero w satyrach *Krasicki* i kończy w dziejach upadłej Rzeczypospolitej.

Zmieniły się czasy, w charakterze narodu wielkie szczyrby, napłyły obczyzny wynikły, zmieniło się samo położenie kraju, dowcip ażeby mógł być zrozumianym i ocenionym należycie, musiał się zastosować do tych przeważnych warunków.

Ocecił je należycie *Żółkowski*, a jego *farsy* i *fraszki*, tak trafiły do wszystkich, że równy uśmiech wywoływały u kontuszowców, wychowaniców jeszcze jezuickich, jak i u tych, co już w nowszych czasach się zrodzili.

Gazetki te pisane znał każdy zwolennik literatury ojczystej, która w owe czasy najmniej pokazując życia w drukowanych dziełach (wyjąwszy utworów dramatycznych) w takich świstkach pisanych odbijała się najwymowniej. *Żółkowski*, jako redaktor dwóch wyżej wspomnianych pisemek, oddał językowi polskiemu niezapomniane przysługi.

Jakież to są przysługi? zapyta może nie jeden: czyż *Żółkowski* zdobył dla niego nowe prawidła, jaką prawdę, i do gramatyki polskiej co dodał?

Odpowiemy na to: prawideł żadnych nie zdobył, do gramatyki polskiej nic nie dodał, ale zdobył wielką prawdę, która oczy narodowi otworzyła, bo on pierwszy, ukazawszy całe bogactwo ojczystej mowy, dowiódł przykładem, że jeżeli język nasz jest skarbnicą, do wydania poważnych, mężkich, rzewnych i najwyższej poezyi myśli i uczuć śmiało w lekkości, dowcipie i w igraszcze słów, może się spierać z mową francuzką, salonową, a tak w każdym rodzaju jest wyższość po stronie narodowego języka. On to głównie położył zasługi, że zapaleni zwolennicy francuzczyzny, pomiatający macierzystą mową, zaczęli cenić jej wartość, przekonani z własnem zadziwieniem że to, co uwielbiali w języku francuzkim, znaleźli w *zgrubiałym* i *ciężkim*, jak go zwali, własnym. Rozpływali się nad *kalamburami*, nad grą wyrazów zręczną; a śmiejąc się z dowcipu, korzyli w duchu i nawracali do rodzinnej mowy.

Tak *Pot-pourri* jak *Momus*, samodzielnością pomysłów, jak i układu swego jest zupełnie oryginalnem dziełem i wyłączną własnością *Żółkowskiego*; ztąd nie może być przetłumaczonym na

żaden obcy język, tak jak każdy prawdziwie narodowy utwór, gdyż w przekładzie, cała jego wartość zniknęłaby zupełnie. Pisma te Żółkowskiego są dziś osobliwością bibliograficzną: gdy zaś były długi czas wielką uciechą duchową społeczności naszej, gdy uważano je za najdoskonalszy utwór dowcipu i humoru i były najpopularniejszymi w całej Warszawie, bliżej je rozpatrzyć musimy.

W roku 1821 zaczął wydawać *Pot-pourri*. (*Pot-pourri*. Tom I. Warszawa w drukarni przy ulicy Ś go Jerzego, N-r 1782, 1821 r. w 12-e str. 40). Od miesiąca lipca tegoż roku, wydawał go już pod swoim imieniem.

Pot-pourri przez Aloizego Żółkowskiego. Tomik I, Warszawa w drukarni Wandy i Kuryera 1821 (w 12-ce str. 96).

Lubo to dalszy ciąg poprzedniego, dał mu nadpis tomiku I-go zapewne dlatego, że piśmko swoje zaczął dzielić na numera. Numerów takich od lipca do września 1821 r. wydał dwanaście.

Od numeru 2 na czele kładł wspomnienia śmieszne, jakby na żart Kuryerowi Warszawskiemu, który dawał różne wspomnienia z dziejów krajowych. Żółkowskiego wspomnienia były w tym rodzaju jak np. *Mucha Bonę ukąsiła*, *Rzepicha w rąbku*. *Esterka w atlasie*. *Wjazd rury do barszczu*. *Zaślubiny i rozwód ze sławą*. *Starosta żyda wypędził i t. p.*

W drugiej części *Pot-pourri* ogłosił przemowę następną do czytelników *podpurowych*.

Gdy wielkość, nauka, mienie,
Rozkosz, sława i znaczenie
Są urojeniem zwodniczym;
Cóż za dziw, że fraszki moje,
O które nic wiele stoję,
Są mniej, aniżeli niczym!

Mimo to wiedział dobrze, że *fraszki* jego bawią rodaków, co daje do zrozumienia w czterowierszu:

„*Jeszcze słówko.*”

Co orzeźwi, co ucieszy,
Co łagodzi, co rozśmieszy;
Mimo to, co mądry plotą,
Dobréj chwili jest istotą,

I dalej pod tymże napisem:

Użyjmy dobrej chwili, mimo zdania gminne,
Śmiechy, żarty, zabawki czułe a niewinne

Niechaj liczbę zbyt małą dni naszych przedziela,
Żli się siłą weselić, dobrzy się weselą.

Wyszyszając nasze zfrancuziałe panie w N-e V-ym wydrukował:
„*Styl modny*: pani hrabina pisze do swojego stryja.” (zachowując
pisownią oryginalną).

Kochany Stryjażku!

„Onegdaj *returniowałam* z Karlsbadu; wody tamtejsze pomogły mi nieco, lecz cierpię jeszcze chwilami *migręnę* i *wapory*. Za granicą można się *perfectement* bawić: *vrement*, bez najmniejszej *ženady*. Cały *grande monde*, dający *bon ton*, znajdował się w kąpielach. *Zewour mersuie* za przysłane dzieła; pismo wnia szarmancka, a szczególnie *j* długie, podoba mi się bardzo, będą one dla mnie najprzyjemniejszą *lekturą*. Zostaję *Contes* Grymasniczka. *P. S.* Stryjażku! czyby nie można zfrancuzzyć mego nazwiska. Stryjaszek człowiek odczytany, proszę o tém pomyśleć.”

Dziś z niedowierzaniem czytamy takie listy, wątpiąc, czy kiedy istnieć mogły, a jednakże w owe czasy nie były one rzadkością, jak i tego rodzaju nietylko hrabiny, ale i szlachcianki zamożniejszych domów.

W tém piśmku wprowadził wiérwsze jedno-sylabowe, jako odpowiedź tym, którzy utrzymywali, że ten rodzaj w polskim języku, jest niepodobny. Przywiedziem parę na wzór.

I.

Recepta na jednę syllabę.

Świat nasz jest kat.
Ty, co znasz świat,
Patrz, jak masz być,
I na nim żyć.
Kwiat, co trwa dzień
Lub tak, jak cień
Tak jest nasz wiek,
Tak jest i człek.
Co go znał Rzym,
Znikł jakby dym;
Co go laur krył,
Jakby nie był.
Tak téż ów Lach,
Co niósł śmierć, strach,
Kark przed nim giał,
Ten go téż wziął ¹⁾.

¹⁾ Przymownienie *legionistów*, którzy za Napoleona I-go na Kapitolu strażę trzymali.

Bo nie trwa lud
Przez sejm, gmin, trud,
Przez wał, broń, mur,
Lecz przez cnót zbiór.
Pers, Grek i Rzym
Znikł tak, jak dym;
Masz więc znieść cios,
Bo tak chciał los.

II.

Słupiec.

Grosz, jest mój Bóg!
Ten mi jest wróg,
Co mi rzekł: *daj!*
Bij mię i łaj,
Lecz, gdy co dasz,
Wnet mą chęć masz.
Gdyś wszedł w dom mój
Mów, żeś już jadł;
Gdy masz chleb swój,
Jam ci jest rad!
Lecz Bóg cię broń,
Byś miał w swą dłoń
Wziąć mi mój grosz:
Wtenczas się róż,
Siecz mię i pal,
Jam jest, jak stal:
Nic ci nie dam,
Choćbym pękł sam!

Po wydaniu tych dwóch tomików *Pot-pourri*, zmienił nazwę swego pisma, na *Momusa* z dodatkiem „pod Redakcją Aloizego Żółkowskiego” z tém godłem:

„Trochę wesołej pustoty
Nie nazwie nikt pewnie grzechem,
Bo wszakże i bóstwo cnoty
Z wdzięcznym malują uśmiechem!

W redakcyi *Momusa* te zmiany zaprowadził, że częściej dawał *szarady* i dodał dział nowy: *Dwój-znaczniki i równo-znaczniki, czyli kalambury i ekiwoki.*

Na czele, pierwsze takie umieścił:

Kto ma najwięcej *odwagi* w Warszawie? (albo odwagi, to jest mężstwa, albo *od-wagi* czyli od miary)!

Strudzony *pod-różą* spoczywa.

Widziałem *parę* wołów w powietrzu.

U-lani mleko wydoili.

Sło-pniów, można dostać za sto talarów.

(Francuzko polski). Ile ma lat? *Il est malade.*

W tym rodzaju kalambury mieścili się w każdym numerze.

Z wierszy największy rozgłos miał opis *Wyspy wszelkiej pomyślności*, utwór pióra Żółkowskiego. Gdy nie wiele drukowano egzemplarzy *Momusa*, a okazał się w pierwszym zaraz numerze 1821 roku; rozkupiono wszystko, co wyszło z pod prasy i na tysiące rąk przepisywano. Radowała się nim Warszawa, raczył się i kraj cały, bo pocztą porożsyłano w różne jego okolice. Przypomnijmy sobie ten Raj dla smakoszków.

Ledwie co niepiękniejsza od *Raju Adama*

Jest to kraj *delicyj*, jest to rozkosz sama.

Wśród wiecznej wiosny leży miasto zbudowane,

Cudowne i przyjemne, wałem opasane;

Wałem darnią okrytym: na jój liść pieszczony

Składał się tywytk, jedwab', aksamit strzyżony;

A choć się czasem zdarzy, że niebaczne stopy

Nie wiedząc o zakazie przejdą te okopy,

Przecież miasto zapłaty, zamiast uwężnienia,

Za karę, trzy jedynie wydaje westchnienia.

Domy są o dwóch piętrach. w każdym oknie ganek

Schody z bułek *siedleckich* ¹⁾, a okna z łązanek:

Lecz jak bo tóż są czyste łązanki tamtejsze,

Niż szkło czeskie, niż kryształ sto razy czystsze.

Firanki z naleśników, frenzle z makaronów,

Zamki z szynek, półgęsków, klucze z salcesonów.

Wewnątrz dużych pokojów są przesmaczne meble,

Jakie chyba angielskie mogą zdziałać heble!

Tam, po trudach światowych śmiertelnik spoczywa,

Na noc kładzie się w pasztet, pasztetem przykrywa.

Na ścianach wiszą torty, gdzie mądry cukiernik,

Wyrzył, co zdziałał *Cezar*, co odkrył *Kopernik*.

W doniczkach rośnie bigos, lub potrawka z kury,

Podług uprawy ziemi i nasion natury;

¹⁾ W *Siedlcach*, na Podlasiu, słynął piekarz z wypieku bułek, które pokup ogromny znalazły. Przeniósł się następnie do Warszawy; bułka duża doskonałej białości i smaku, kosztowała pięć groszy polskich ówczesnych. Żadne dzisiejsze w tym rodzaju pieczywo, nie może się równać z ową *bułką siedlecką*.

Bowiem ziemia téj wyspy jest cudnéj zalety:
 Posiać kostki z kotletów, zrodzą się kotlety;
 A kędy żyto, owies, albo jęczmień wschodzi,
 Zaraz się téż na niego wpodle kupiec rodzi.
 Daléj, chcąc się rankową rozerwać gonitwą,
 Wchodzi golić cerulik, floransową brzytwą.
 Sama taca przybywa, na niéj czekolada,
 A *Zefir*, by ją studzić, na imbryczku siada;
 To dmucha w filiżankę, to bikszkopty macza:
 Wtém, sto kamerdynerów dokoła otacza,
 Daje bogate suknie w różne cukry tkane,
 Kieszzenie duże, liczne, gruszkami napchane.
 Zamiast guzików pączki pulchne z powidłami,
 Człowiek je czasem zrywa, żyje guzikami;
 Wychodzisz na ulicę, alić tam, szerokiém
 Wali się porter, wino i płynie rynsztokiem.
 W boku kawa *lewantcka*, a śmietanka w tyle,
Kożuszki zaś latają, jak u nas motyle.
 Błoto z konfitur, lodów, a bruk tego miasta,
 Jest w piérogach leniwe i francuzkie ciasta.
 Nie żałuje tam człowiek, chociaż się pośliźnie,
 Bo choć czasem upadnie, zawsze czegoś liźnie.
 Restauratorów nie ma, ani *Tabl'a d'Hota*,
 Lecz gdy apetyt brzuchem w południe szamota,
 Wraz *nimfy* stół stawiają, przynoszą obiady,
 I żeby się człek najadł, służą mu *Najady* ¹⁾.
 Las szparagów tuż dąży za dzielną pieczeńią,
 Tu się bielą sandacze, tam raki czerwienią;
 Kielich pełen szampana, sam do gościa biega,
 Rozmowa idzie śmiało, nikt się nie wystrzega,
 Bo zaczniejsze tu szpiegi nie z naturą wilczą,
 O dobrém częściej wspomną, pewno złe zamilczą;
 Gdy kto kichnie przy stole, zdarzenia nie tracą:
 Sto tysięcy mu życzą i zaraz je płacą.
 Wreszcie piwo z węgrzynem dłoń do siebie nęca,
 Ledwo zeszyły z obrusa już się w głowie kręca.
 Minąwszy porę dalszą, w wieczór nakształt wiatru
 Na kołach watowanych spieszą do teatru;
 Zamiast zwykłych biletów albo kontramarki,
Parter daje karmelki, *paradyz* sucharki.
 Tam widzę cudne rzeczy. W grze aktorów zgodność,
 Na *Parterze* wspaniałość, w krytyce łagodność,

¹⁾ „*Najady*, nimfy, najedzoniem władające.” (Przypisek A. Żółkowskiego)

A w łóżach orszadowych, zajętych przez wdzięki
Słyszę hasło do *brawa* od łaskawej ręki.
Budy *suflera* nie masz, lecz jak szpilki główka,
Takie małe aniołki poddają im słówka;
A. na tańce, śpiewanie, zachwyca się dusza
I w górę się wznosi, jak *ród Machabeusza* ¹⁾.

Żołkowski widząc jak publiczność została zachwyconą jego *Wyspą pomysłności*, napisał wkrótce i wydrukował w *Momusie: Kępe utrapienia*; ale ta już nie tyle się podobała!

W tym piśmie nad *farsami* swemi, dał stały napis *Fraszek*, wyraz przez Jana Kochanowskiego pierwszy raz użyty. Pisał w *Momusie* bajki, odznaczające się satyryczną dążnością. Pisemka tego wydał trzy tomiki i na ostatnim skończył literacki swój zawód. Choroba nieuleczona wytrąciła pióro pełne talentu, nienaśladowanego dowcipu i najszlachetniejszych dążności.

Przejdziemy teraz szczegółowo *farsy* i *fraszki*, obu pomienionych pisemek, w pewien ład ułożone, aby czytelnik mógł mieć pojęcie jasne o wartości i dowcipie ich twórcy.

Stanowisko Żołkowskiego i pojęcia jego literackie, górowały nad współczesnemi wysoko. W latach bowiem 1820—1821, zaledwie nieśmiałym głosem Kazimierz Brodziński zagajał rzecz o romantyczności; Mickiewicz jeszcze się nie pojawił, a Żołkowski żartami swemi uderzał na uświęconą *klasykę*.

Dając niektóre wyrazy *Nowego słownika* pod Arystotelesem, takie dał objaśnienie.

„Jest to pistolet, którym wszyscy pedanci strzelać zwykli: nabyty jest klasyką, a najczęściej wymierzony bywa przeciw naturze.”

Znudzony ciągłemi to porównaniami mytologicznemi, to wiérso-pisów zwrotami dziwotwornemi, pisze: „Dawna mytologia upadła, cały Olimp już się rozszedł, jeden tylko bożek *Pan*, cześć na ziemi odbiera jeszcze. „Szczęśliwi poeci! oni wiedzą, jak się doliny *śnieją*, pagórki *swobodne* okazują *czola*, dla nich księżyc nie pospolite, ale *srebrne* śle promienie, jedne im tylko *mruczą* strumyki.“

Kiedy pisał swoje *farsy*, chcąc mir dla nich wyjednać u klasyków, dowodził, że „*Farsa*, robienie farsy znane już było u starożytnych; wszakże *Lukan* pisał *Farsalią*.”

1) Pod tym tytułem dawano dramat na teatrze narodowym, przetłumaczony przez Kudlicza. Pierwszy raz zręczna maszynerya wywołała podziw w publiczności, zawsze tłumnie się zbierającej na to widowisko. W ostatniej scenie cały ród Machabeuszów, który wyginał wśród dramatu, wznosił się w obłokach: do téj chwili odnosi się napomknięcie Żołkowskiego. Scena ta obok rozrzewnienia i łez, wywoływała grzmot oklasków.

Zadaniem pierwszym każdego, wstępującego w szranki literackie były tłumaczenia i to głównie z literatury francuzkiéj. Mnożyły się ztąd liche przekłady i o nich to powiedział w *Momusie*:

„Zły tłumacz podobny jest do lokaja, który zlecenie pańskie niegodziwie opowiada.”

Czując przewagę uprzedzeń klasyków, zażartował z nich dowcipnie.

„Nic jak klassyczość! nic jak klassyczość! a raczej naodwrot klassyczość jak *nie*, a przynajmniej loteryjna, bo w niej więcéj *niców*, niż *czegoś*.”

Kiedy oburzył poważny areopag warszawskich literatów, rzucającem zdania że:

„Klassyczość jest feudalizm, romantyczność liberalizm.”

Zaraz w następnym numerze swego pisma, uspokoił zajątrzonych powyższym żartem:

„Jeżeli romantyczne dzieła Szyllera są tak smaczne, jak kapłony naszego Szyllera w Warszawie, to powinni wszyscy przejść na stronę tego poety ¹⁾.”

Zwolennik sceny narodowéj, pragnąc jéj postępu i rozwoju, szydził z przyjętych formulek, w których mieścić się musiała i poważna tragedia, i wesoła komedia.

„Cała różnica (pisze) między komedią a tragedią jest ta, że w komedyi amant bierze kochankę czasem nawet z posagiem, a w tragedyi nigdy jéj nie dostaje.”

Załączył razem dwie recepty, na ich zrobienie i pisanie ²⁾: przytoczę tu receptę na komedię:

„Weź młodą panienkę, jednego kawalera, jednego nieznanomego, jedną pokojówkę i jednego chciwego opiekuna; zmieszaj to wszystko jak najmocniéj, dorzuć do tego dwanaście uncyj bufonady i pół uncyi dowcipu, a nawet mniej jeżeli można. Pozwól dziewczynie przez niejaki czas dręczyć kochankę, niech się przez kilka aktów waha, a nakoniec z podziwieniem obudwóch niech za niego idzie, a jeżeli przymieszasz do tego jeszcze wesele, niejakié tańce, trochę piosneczek, cały pojedynek i garść policzków, tedy będzie mikstura jedna z najlepszych: *probatum est*.”

Możnaż było dowcipniéj wyszydzić te uświęcone przepisy tak zwane klassyczne, których nikt z piszących nie śmiał przestąpić.

¹⁾ Szyller w owe osazy traktyernik, mieszkająoy na Długiéj ulicy, słynał z pieczenia wybornych kapłonów.

²⁾ Receptę Żółkowskiego na napisanie tragedyi klassycznój podałem w pracy mojej „Ostatni klassyk“ (Warszawa, 1872 r.).

Patrząc na miernotę wielu prac literackich, żartował sobie z zarozumiałych autorów, którzy tłumacząc z francuzkiego wcale nie wyborowe pisma, sądzą że swe imiona unieśmiertelnia.

„Pewien autor (pisze Żółkowski) chce swe dzieło przypisać potomości, drudzy jednak wątpią, aby doszło podług tego adresu.“

Szanując podania dziejowe mówi: „Tradycya historyczna nic nie bierze, owszem podaje; ale tradycya sądowa wszystko zabiera i tu dopiero historie się dzieją.“

Wielu zaczęło się rzucać do badań Słowiańszczyzny, a język słowiański za pierwotny wszystkich ludów i najdawniejszy uważać. Zażartował sobie z tych przedczesnych domysłów.

„Język słowiański (inówi) ma być najpiérwszy. Już za Jowisza, kiedy Minerwa miała się z głowy jego urodzić, to on rzekł z ruska: *czoło мене rwe*, i ztąd zrobiła się Minerwa.“

Za jego czasów żyło wielu wychowañców jeszcze jezuitów, tych w jedném gronie wielce rozweselił żartem, który nazajutrz w *Momusie* wydrukował.

„Stary Alwar powiada, że kobiety płochę należą do *generis feminini*, skromne zaś dziewczęta są *generis neutrius*.“

Nie brakło i wtedy krytyków, którzy się chętnie ze złośliwością popisywali i z wypytwałemi często zdaniem, Żółkowski nie lubił takiego rodzaju recenzi.

„Krytyka (pisze) jest jak odra: które dzieło dostanie, to zaraz na wszystkich kartach plamki się pokażą; ale czas wszystko zaciera.“

„Kiedy suknia jest już stara, to ją dopiero łatają, a krytyka najnowszemu dziełu łatki przypina.“

„Kule są ołowiane, lane i drukarskie litery także; dlatego téż zapewne oboje wojują, piérwsze zabijają, drugie zgryzą tylko.“

Sam jednakże lubił maleńką łatkę przypiąć czasami: wychodziły wówczas *Cwiczenia naukowe*, organ Liceum Krzemienieckiego, do których redakcyi należeli Tymon Zaborowski, Teodozy Sierociński i wielu innych. Żółkowski o nich napisał:

„*Cwiczenia naukowe* są rozmaite, zawsze jednak lepsze od góry, niż od dołu.“

Oceniając wartość *Brukowych wiadomości* wileńskich, pisze jakby z żalem:

„My nie mamy innych „brukowych wiadomości“, tylko kurz albo błoto.“

O *Kuryerze Warszawskim* wyraża:

„Kuryer Warszawski jest dobry katolik, jednak cały tydzień biega, w sobotę szabasuje“ (bo wówczas w sobotę pisemko to nie wychodziło).

Lubo literatury oryginalnej powieściowej prawie nie było, za to nie brakło romansów tłumaczonych z francuzkiego; dlatego napisał Żółkowski:

„Dawniej *Godzinki* jedynie do modlitw służyły, a teraz *Godzinki* na romansach trawią.“

Pisemka Żolkowskiego rozrzucone z początku pojedynczemi numerami, to pisanemi to drukowanemi, od roku 1821 zaczęły wychodzić stale przy Tygodniku *Wanda*, naprzód jako *Pot-pourri*, a później p. n. *Momusa*.

O tém wydawnictwie w następny sposób uwiadomił czytającą publiczność:

„*Wanda*, która dotąd leżała w mogile, teraz będzie co tydzień wychodzić na przechadzkę literacką. A że damy nie ruszą się żeby ktoś za niemi nie szedł, przeto i za *Wandą* będzie łąził *Momus*.“

Przewijały się jeszcze tak w kraju, jak w samą Warszawie postacie w ubiorach staropolskich. Oto jest szereg fraszek w tym przedmiocie, równie jak i ze wspomnień przeszłości.

„Tak często kontusze brano na wyloty, że już prawie wszystkie wyleciały, a przynajmniej nie wiele ich widać.“

Lepiej przebrać się po polsku, niżeli przebrać za Polaka.

Przedtém była moda chodzić z wylotami u rękawów, a teraz są kieszenie na wyloty.

Że młodzież nie nosi teraz *pasów*, to nic nie szkodzi, ale jednakże nosi kamizelki w *pasce*: zawsze są to wspomnienia narodowe!

Dziwna rzecz że się ludzie *plaszczą*, czemu nie *kontuszą*, albo *żupanią*?

Kapelusz da się różnie zastosować, a czapka zawsze swój kształt zachowuje.

Rumel-pikieta jest bardzo miłosierna dama, nie jednemu daje *kapotę*, choć ten nie po polsku chodzi.

Człowiek podobny do *czamarki*, wyszedł na świat, bo ma różne *potrzeby*.

Dawniej Polacy mieli *głowy golone*, a teraz kieszenie.

Wszystko się z czasem odmienia, wprzódy golono głowy dla mody, a dziś je golą za karę.

Jedni *poloneza parami* tańczą, a *Wieliczka solo*.

Jestto osobliwością w muzyce, że *trio* ozdobiło *poloneza* i *trio* mu zaszkodziło.

Królowa *Bona* nie dość że za życia dokuczala Polakom, lecz jeszcze w paret lat przysłała *Bony* żeby jój imię nie wyszło z pamięci.

Dawniej był *Kazimierz Wielki*, a teraz tylko *Kazimirki*, *Kazimirki* ¹⁾.

Znane jest w całym kraju przysłowie: *Śpiewać Tadeusza*. Jestto wyrażenie mające rozległe w naszym języku zuaczenie. *Śpiewać*

¹⁾ Gatunek lekkiego sukna, będącego wówczas w wielkiej modzie.

Tadeusza, oznacza też samo, co śpiewać *Gorzkie żale*, zawsze to pieśń smutku, niedoli i żaloby. W pogróżce nawet komu że będzie śpiewać Tadeusza, jestto zapowiedzenie groźby, kary, czy ucisku, albo jego trosków w niedalekiej przyszłości. Ztąd czytamy:

„Co to za kompozytor muzyki *Tadeusz*? Musiał być bardzo sławny, że wszyscy jego piosnkę śpiewają.“

Z powodu zwyczaju przypinania klocków w *Środę popielecową*, tak pannom, jak nie żonatym, pisze:

„Panny choć to niby delikatnej kompleksyi, a jednak w *Popielec* klocke dźwigały.“

Modą było naówczas pomiędzy naszymi paniami nosić na głowach siatki z przędzy zwanéj pokrzywki i ztąd Momus ostrzega:

„Ostrożnie z kobietami, bo ich siatki są z *pokrzywki* robione.“

Ulubioną narodową potrawą jest tak zwana potrawa: *Bigos hultajski* z kwaśnej kapusty i mięsiv różnych złożona. Jan Drozdowski komedyopisarz z czasów Stanisława Augusta, dał jednej z najlepszych swych komedyi napis: *Bigos hultajski*: Żołkowski zwolennik téj potrawy pisze:

„Wszystkie czyny hultajów są złe, wyjąwszy bigos hultajski.“

Pamiętał dobrze jeszcze zwyczaj utrzymywania na wielkich dworach Laufrów, którzy przystrojeni bogato i w kapeluszach z piórami, biegli przed karetami pańskimi ¹⁾.

„Laufrów skasowano, ale za to wiele biegłych ustanowiono, a bryfregier z nich najbieglejszy.“

Nie brakło jeszcze w owe czasy chwalców jezuitów, ztąd pisze:

„Jezuici zadawali studentom *pensa*, a *expensa* sami brali.“

Z wigilii Bożego Narodzenia i opłatków przywiązanych do téj uroczystości, bierze wątek do swych fraszek:

„U nas tylko raz w rok bywa *wilia*, a miasto Wilno ma zawsze *Wilią*, szkoda tylko że więcej sosu jak ryb: jest tam i *Wilejka*, ale to zapewne dla uboższych.“

„*Oplatki* co na kołędę przynoszą, dosyć są lubione; ale na *oplatki* które do kassy zawieźć trzeba, to mruczą ludzie.“

„W niektórych krajach przy rogatkach musi być zawsze *wilia*, bo zawsze tam jakieś *oplatki* biorą i niemi się łamią.“

Zawichrzenia polityczne których sceną były Włochy, Hiszpania i Turcja, gdzie wrzała walka krwawa Greków o niepodległość, dawały powód częsty Żołkowskiemu do fraszek bardzo trafnych, które z ust do ust przelatywały po całym kraju. Część ta obu pisemek przez współczesnych najwyżej była cenioną, teraz pozostała tylko wspomnieniem i całe dla nas zajęcie straciła. Wiele nawet fars dla dzisiejszego

¹⁾ Patrząc lud warszawski często na takich laufrów wytworzył przysłowie, które się dotąd utrzymało: *Biegać fak Laufer*.

czytelnika, są hieroglifami nieodgadniętymi. Niektóre z nich tylko powtórzymy, jak z czasów wojny greckiej i ówczesnych wypadków.

„Nowo narodzone dzieci biednych Greczynek nie znaty dotąd innej kąpieli, jak łyż swoich matek.“

„U Turków można widzieć piękny *rząd*, ale na konie“¹⁾.

„Grecy Turkom *buty szyją* nie zważając na to, że oni w pantoflach chodzić zwykli.“

„Grecy *awansują* na Turków, a więc tacy więcej znaczyć powinni, na których się *awansuje*.

„Grecy wołają o wolność, a Turcy ofiarują im *wolnice*“²⁾.

„To imię *Jan* szkodzi Turkowi i tak dawniej *Jan* im pod Wiedniem zaszkoził, a dziś *Janina* im dogryza“³⁾.

„Grecy dziesięć lat bili się o *Helene*, ciekawa rzecz długo też wojować muszą o swoją wolność. Jeżeli nie będą mieli do czynienia z *Trójcą* (jak za Homera), to sam na sam dadzą sobie radę.“

„Dziwna rzecz że na morzu flota turecka tak się skurzyła, że ją Grecy trzepać musieli“⁴⁾.

„Grecy w swoich odezwach wzywają cienie przodków z dawniejszych czasów, widać że w późniejszych nie mają co wybrać.“

„Turcy nie wierzą w *krzyż*, a jednak wielu z nich dostało po *krzyżu* i zaczynają się żegnać z Europą.“

„Jak się Turcy wyprowadzą do Azji, to może komorne stanieje w Europie.“

„Francuzi (mówią) lekki naród, jednak go zdmuchnąć nie można było. Muzułmanie zaś lud ciężki, a kto wie co się z nimi stanie. Polityka ma silne miechy.“

„Nowiny jak Arabcy nie mają stałej siedziby: niedawno w Neapolu osiadły⁵⁾, a teraz już się do Konstantynopola przeniosły.“

„Astronomowie przepowiadają, że gdzie teraz jest *wschód*, to będzie *zachód*, ale trzeba wielkiego *zachodu*, koło tego *wschodu*.“

Żołkowski wierzył wraz ze wszystkimi że Turków wypędzą z Europy, taka była wówczas powszechna wiara. Patrząc się na rewolucyjne wybuchy i ich skutki, pisze:

1) Starzy Polacy całe ubranie na wierzchowego konia na które się wysadzali, nazywali *rzędem*, albo zwyczajniej *rządem*.

2) *Wolnicą* nazywano jatki rzeźnicze, gdzie zabijają bydło i wystawiają mięso na sprzedaż.

3) Mowa tu o głośnym baszy *Janiny*, który równocześnie z wybuchem greckim powstał przeciw władzy sultana i wielki postrach rzucił na Stambuł.

4) Grecy bowiem odnieśli wówczas znakomite zwycięztwo na morzu.

5) W Neapolu właśnie wybuchło powstanie, które wojska austriackie bez rozlewu krwi wprędce przytłumiły.

„Rewolucye są niby *zapusty* wolności, cóż kiedy po każdych zapustach *wielki post* nadchodzi.“

„Rojalizm zawsze będzie miał górę nad *liberalizmem*, bo lepiej płaci.“

Z powodu niewoli Napoleona I-go robi porównanie:

„Dawniej *Helena* porwano, teraz porwała *Helena*.“

Jakby patrzył w przyszłość, napisał:

„Europa ma *Węgry*, i to jest jój jedyna słabość.“

Więcej do naszego kraju stosowanych fars przytoczymy:

„*Rzeczypospolite*, właściwiej *rzeczy niespolite* nazywać się powinny, gdyż ich teraz mało liczymy.“

„Dlatego Polska długo nie pokazywała się na mapie, że była rozebrana.“

„Dawniej był król *Łokietek*, a teraz kraj.“

Warszawa, w której od lat tyłu zamieszkał *Żółkowski*, jój gmachy, ulice, przedmieścia i okolice dawały mu wątek do fraszek i gry wyrazów. Kilka tu ich przywieziemy:

„Rozum, pamięć i wola, są trzy różne, ale nieoddzielne dary: Warszawa atoli w tém się nie zgadza, bo ma tylko *Wolę*, a dwóch pierwszych wiosek jeszcze nie wybudowano.“

„Tylko nasza stolica może jeździć i chodzić do *Woli*, a żadna inna tego niedokaże“ (Wola wieś pod Warszawą),

„Gdy inne stolice burzą się, Warszawa zachowuje się spokojnie, bo ma *szę* w sobie.“

„Pewien jegomość dosyć na Warszawę zakrawa, bo ma *Bagatele* w głowie, *Fawory* u panów, a *Czyste* w kieszeni.“

(Są to wille w okolicach bliższych Warszawy, które dotąd zachowały też same nazwy).

„Kto ma w gardle *Nalewki*, pewno buduje *Utratę* w kieszeni.“

(*Nalewki* ulica, *Utrata* karczma na gościńcu pod Warszawą, ulubione stanowisko mazurów jadących do miasta lub wracających).

„Ci co mieszkają na ulicy *Miodowej* to są *miodownicy*, a na *Lesznie*, *naleśniki*.“

„W Warszawie w lecie jest tylko jedna ulica *Chłodna*, a w zimie wszystkie.“

„Mogą wszystkie ulice podupaść, ale nasza ulica *Pańska* będzie zawsze *Pańska* ulica.“

„Póki tylko damy odwiedzać się będą, i *Wizytki* egzystować nie przestaną“ (Wizytki klasztor z kościołem w Warszawie).

„Król Zygmunt kontent że teraz głośnieją mówią, bo i on coś usłyszeć może“ (stосуje się do posągu Zygmunta III przed zamkiem warszawskim).

„Nie mamy Turków w Warszawie, ale *świętych tureckich* pełniuteńko.“

„Wisła teraz stoi, nic nie mówi i ludzie po niej jeżdżą, a kiedy *puszcza* to nie puszcza.“

Pisał to w czasie tegiej zimy, kiedy jak wyrazil: „Niedawno wielki budownik postawil nie w poprzek, ale wzdluz Wisly most z lodu.“

„Patrzac z księzyca na ziemie, to tylko Warszawę widać, a reszty kraju trudno dojrzed.“

„Osobliwie Kraków jest urzadzony, bo jego *przedmieście* jest w Warszawie, a on sam aż pod Karpatami.“

Juz za czasów Żółkowskiego cena mieszkań poczęła wzrastać.

„Czy kamienice na drozdzach sa robione, że tak rośnie komorne?—pyta czytelników *Momusa*.“

I wtedy był wycieczaj co dotrwał aż dotąd, że na pierwsze reduty (maskarady) damy nasze nie przychodziły, aż dopiero od trzeciej gromadnie zaczęły uczęszczać. Z tego powodu pisze z użyciem gry wyrazów:

„Damy mają w sobie cokolwiek tchórzostwa! na pierwsze reduty nie idą, a na ostatnie śmiało wpadają, przynajmniej u nas w Warszawie.“

Po mieście naszym uwijało się dużo Andrychowiaków obnoszących w sieciowych workach, włoskie orzechy na sprzedaż. Właśnie zaburzenia we Włoszech zwracały uwagę powszechną. Żółkowski do tych wypadków robi zwrot zwykłym sobie sposobem. „Włoskie orzechy, pisze, są bardzo głośne, bo zdaleka slychać jak je przez ulicę niosą.“

Największą Żółkowski usługę oddał naszemu językowi grą wyrazów, pokazawszy dowodnie nieznanę dotąd jego zasoby i bogactwo. Pismami swemi przekonał nawet zagorzałych, że co uwielbiali w języku francuzkim dwuznaczniki, kalambury, grę dowcipną wyrazów, tego w mowie naszój nie braknie, czy to rubasznych, czy najwyższym nacechowanych smakiem i przyzwoitością. Trzeba było do tego znać doskonale język ojczysty, mieć na zawołanie otwarty cały jego skarb; jakoż Żółkowski okazał się mistrzem w tej rzeczy. Wiedziony szczególném natchnieniem, samodzielnie w swoich farsach i fraszkach, z ktorych się śmiano, zaczął uczyć naród, giętkości i bogactwa polskiego języka. Różnych przedmiotów jak widzieliśmy używał potemu, podamy tu z tej gry wyrazów przebrany poczet:

„Musi być już stara Galicya, kiedy aż Brody ma.

W Poznaniu tylko w zimie Warta stoi, a innych czasów nie.

Kto chce jechać do wód szlązkich, musi pierwej przebyć *Odrę*.

Były cesarz Francuzów, w każdej *NB.* zostawił cyfrę swoją, (Napoleon Bonaparte).

Polskie nazwiska po większej części kończą się na *ski*. Gdyby kto głośno się zaparł swojego *ski*, toby sławne wyrzekł słowo (Niemoje-ski).

Kościół bezpiecznie może się nazywać *Modlin*. (Modlin forteca przy ujściu Narwi do Wisły o cztery mile od Warszawy, miejscowość wybrana przez samego Napoleona I-go).

Wielu jest życzeniem aby porządek alfabetyczny doznał niejakiej odmiany. I tak, smutny radby żeby było po *ć-h*, starszuszka życzy żeby *k-w-k*, żołnierz nie chce więcej jak w pół *q*, a gmin naturalnie *o-w-c* i tak dalej...

Zwykle mówią że uczeni *gotują się* na to lub owo, ale czasem nie dogotują się, i dlatego mamy wielu *nie dowarzonych*.

Kalendarze wychodzą zawsze z tytułem: na *Rok Pański*, podobno przyszły wyjdzie na rok: *chudo-pacholski*.

Dlatego wojsko ma *racyę*, bo bierze *racyę*.

Podług teraźniejszego słownika, *obywatel* pochodzi od tego, że się bez wielu rzeczy obywać musi.

Cywilni także komenderują *prezentujcie!* to jest prezenta dawajcie!

Kij nigdy się nie modli, a jednak bywa na *pacierzach*.

Króliki najbardziej lubią siedzieć między kapuścianami głowami.

Zwłoki człowieka bywają pochowane, ale *zwłoki* obiecujących zawsze żyć będą.

Wtenczas nos jest *podkuty*, kiedy *goździki* wacha.

Przekreślić *laskę*, to się zrobi *laska*.

Każda *egzekucya* bywa smutna, wyjąwszy *egzekucyę* testamentową.

Mózg człowieka uczonego jest zawsze z postem, bo ma *olęj* w głowie.

Pewien jegomość chce przystać do matematyki, już mu przeglądają *dwa boki proste*, chciałyby dla siebie dostać *kąta*, a zato przyrzeka służyć za *prostopadłą*, przed każdą wyższą osobą.

Poeci nieraz się z tém odzywają że ich muzy karmią. Muzy są panny, a panienki nie karmią chyba jaką ptaszynę, kotka lub pieska.

Ci którzy kobietom robią *atencye*, są *Ateńczykami*, a ci co ich gryzą, są *Gryzony*.

Sądząc o ilości urzędników z nazwiska tylko, zdaje się że *komorników* ¹⁾ jest najwięcej w Warszawie, a *patronów* w niebie.

Przed burzą fizyczną można się schować do *pokoju*, a burza polityczna od *pokoju* zaczyna.

Gdyby *sprawiedliwość* cyrulikiem była, toby pewno od faworytów golić zaczęła.

Czyniąc rozbiór chemiczny wyrazu *feudalizm* tak wypadnie: ktoś chciał udawać coś większego niż był istotnie, *udanie* nazywano przed laty *udalizm*, mówiąc głośno *Fe!* i z tego zrobił się *feudalizm!*

¹⁾ Miał tu na myśli nie urzędników *komorników*, ale potrzebujących mieszkania, dzisiejszych *lokatorów*, których wówczas zwano komornikami.

Ponieważ gmin zwykle *grafom* zarzuca kamienność serca, przeto kiedy *grafy* *litują się* nad nim, to zowie się *litografią* ¹⁾

Tylko pochodniom wolno mieć *zapalone głowy*.

Ci którzy przy rogatkach *macają*, szukając ukrytych towarów, mogliby się nazywać *Macedończykowie*.

Prawda że talent *zachwyca*, ale talent złodziejski najwięcej *zachwyca* niż inne.

Pieczenia bywa zawsze na końcu, ale *pieczeniarze* pierwsi wszędzie.

Ludzie nierzetelni powinni się rachować do cechu *powroźników*, bo zawsze *kręcą*.

Mężczyzna *piersiami* broni kraju, kobieta karmi *piersiami* jego obrońcę, więc *piersi* zawsze *piersi* ²⁾.

Dlatego jest wojna, bo pokój *zawarty* nie *otwarty*, a gdyby zawsze *otwarty*, toby wszyscy w *pokoju* mieszkali.

Wtedy biedny *ma-gnat*, kiedy kość ogryza.

Nadzieja powiada, że temu prędzej spełnią się *nadzieje*, kiedy kto dobrze *nadzieje*.

Polityka, choćby sto *pokojów* zrobiła, to sama zawsze siedzi w *gabinecie*.

Zima jest stronnikiem demagogów, bo ile razy nadejdzie, zaraz *lód* panuje.

Lombard musieli wynaleźć *Lombardowie*, a gotowizna zapewne pochodzi od *Gotów*; dlatego też podobno z mody wychodzi jako starożytna architektura.

Znawcy harmonii powiadają, że w muzyce małżeńskiej byle się *oboje* zgadzały, to mniejsza o inne instrumenta.

Pewien woli *talią* kobiet, niż *talią* kart, choć w kartach aż cztery są damy.

Merynosy są jedyni cudzoziemcy, których my strzyżemy, a nie oni nas.

Do krawiectwa, szewstwa, stolarstwa i cerulictwa biorą się nawet pierwszej *dystynkcyi* ludzie. I tak jeden drugiemu *kurtę skroił*, ten temu *buty szyje*, tamtemu *stolka przystawiono*, a wszyscy prawie jedni drugim *oczy mydła*.

Powiadają że ten a ten jegomość mocno się *zaszargal*, jakże to być może kiedy on zawsze kareta³⁾ jeździ?

Kapitałiści są *niewiniątka*, bo nic nie winni.

¹⁾ Próby litograficzne jak i sam wyraz wprowadził pierwszy do kraju i Warszawy Al. hr. Chodkiewicz, na parę lat przed *Pot-pourrim* i *Momusem*, rzecz więc i wyraz nowy objaśniał Żółkowski po swojemu.

²⁾ Wyraz ten pisac się powinien *piersi*, ale Żółkowski napisał tak jak zwykle się wymawia dla gry wyrazów.

Teraz nie ta *prassa winna*, co wino wyciska, ale wcale iana *prassa*.

Prawo ma swoje *brzmienie*. Jestto instrument który także daje się *nastrajać*.

Od koziego mléka można *utyć*, a od saméj *kozy* *schudnąć*.

Cielęta muszą teraz wiele *dokazywać*, bo ustawnie *odbijają* się nam o uszy te wyrazy, *stanowi-ciele*, *urządzi-ciele*, *zwodzi-ciele*, *poprawi-ciele*, *wierzy-ciele*, *ciemieży-ciele*, *burzy-ciele*.

Jeden pytał przyjaciela swego: Jak się masz? Żona zdrowa? Dzieci czy się *chowają*? Tak—odpowiē—jak goście *przyjadą*, *wszystkie* się za piec *chowają*."

Żydzi tak licznie *rozsiedleni* w naszym kraju, *obfitym* byli *zabobem* do fars *Żółkowskiego*, *znali* ich *dokładnie* *przebiegi*, i *umiali* je *oddać* *dowcipnie*. Za jego *czasów*, *gęsto* *jeszcze* *siedzieli* *arendarze* po *karczmach*, ta *główna* *plaga* *zubożenia* *ludu* *wiejskiego*. *Mieli* oni *tysiące* *sposobów* do *rozpajania* *kmieci* *naszych*, *dlatego* *dobrze* *powiedziało*:

„Żyd nie chce nikogo *mieć* na *kwaterze*, ale na *kwaterkę* *radby* *każdego* *zaprosić*."

Kiedy już *wiadomém* było *prawo* *zabraniające* *żydom* *posiada-*
nia *szynków*, *Żółkowski* w *Moinusie* *zaraz* *napisał*:

„Można *pozwolić* *ażebym* *żydzi* *trzymali* *szynki*, ale *wieprzowe*, to się ich *sami* *wyrzekną*."

W ogóle *mówi* o *tem* *plemieniu*:

Z *żydami* *ciężko* *przyjść* do *końca*, bo to *naród* *bez* *końca*, *ta-*
ki *liczny*.

Żydzi nie chcą *grać* w *szachy*, tylko w *szachry* i *dobrze* *im* *idzie*.

Izraelici *lubią* *każde* *branie*, *wyjawszy* *branie* na *żołnierzy*.

Ślusarze już nie będą *robić* *szrub* z *żelaza*, ale z *żydów*, bo ci się *wszędzie* *wszrubują*.

Chcąc *ucywilizować* *żydów*, nie *trzeba* *ich* *uczyć* *naszego* *języka*, ale *trzeba* *nam* *wszystkim* *uczyć* się *po* *żydowski*, to się nie *damy* *oszukać*.

Żydzi do *trafnego* się nie *biorą*, tylko do *trafnego*, i *dlatego* *wszędzie* *trafia*.

Żydzi chcą *iść* do *wojska*, ale w *szczęściu* na *jednego* *żołnierza*."

Do *ostatniego* *działu*, *należą* *rozrzucone* w *obu* *tych* *pisemkach* *rozmaite* *zdania*, *myśli*, *dowcipki* i *anegdoty*. Oto z *nich* *kilka*:

„Inna *serca* *geografia* a *inna* *geografia* *ziemi*. I *tak* *kraj* *ma* *granice* *ziemi*, *miłość* *do* *kraju* *jest* *bez* *granic*.

Reputacya, to *jest* *moralna* *peruka*, *pod* *którą* *czasem*, *ani* *jednego* *uczciwego* *włoska* *nie* *znajdzie*.

Dobrze *że* *ludzie* *pozbywają* się *sumienia*, bo *na* *cóż* *trzymać* *to* *co* *człowieka* *gryzie!*

Z *każdém* *własności* *da* się *człowiek* *łatwo* *wywłaszczyć*, ale z *mi-*
łości *własnej* *nigdy*, i *nigdy* *nawet* *na* *to* *statutów* *nie* *będzie*.

Były *głowy do pozłoty*, ale jak świat zmądrzał, to teraz wyciąga *rece do pozłoty*.

Lepiej jest mieć *nos miedziany* niż *miedziane czolo*, tak mówił amator kufła.

Młodzież choćby najbardziej demokratycznych trzymała się maksym, jednak za orderem *podwiązki* wdychać nie przestanie.

Ponieważ pijany sam iść nie może, więc jego język chodzi, ale *w pantoflach*, żeby pana nie obudził.

Niemasz tego *złego* coby na *dobre* nie wyszło, wyjąwszy *złych* butów, bo te nigdy na *dobre* wyjść nie mogą.

Cicho! cicho!—wołał burmistrz naszego miasteczka—jakże czy waćpaństwo nie będziecie cicho? Jużeśmy z tuzin procesów odsądziłi a ja z nich ani słowa nie zrozumiałem jeszcze.

Uboga kobiéta prosiła jakiegoś pana aby raczył przyjąć jój syna do usług. A i zacóż chce on do mnie przystać?—zapytał.—Dla niego wszystko jedno, odpowiedziała matka, czy za stróża, lokaja, czy za murzyna.

Będę zakonnicą i zakonnicą być nie przestanę! mówiła młoda panienka. Myślałby kto, że ona chce wstąpić do klasztoru, gdy przeciwnie, nie jest to bynajmniej jój woła. Owszem kocha się w młodym oficerze od ułanów i dlatego bardzo naturalnie jest za *konnicą*, to jest trzyma stronę *konnicy*.

Jakto! niema dyabłów? a niema! Szkoda! bo któż naszego dzierżawcę porwie? Tak mruzczał sobie chłopiek nakładając fajkę.

Czy widziałeś zaćmienie słońca? Widzialne widziałem, ale niewidzialnego nie widziałem.

Pójdź, zobacz na kompasie która godzina? Chłopiec przyniósł kompas do izby i powiedział: niech pan sam obaczy, bo ja się na tóćm nie znam.“

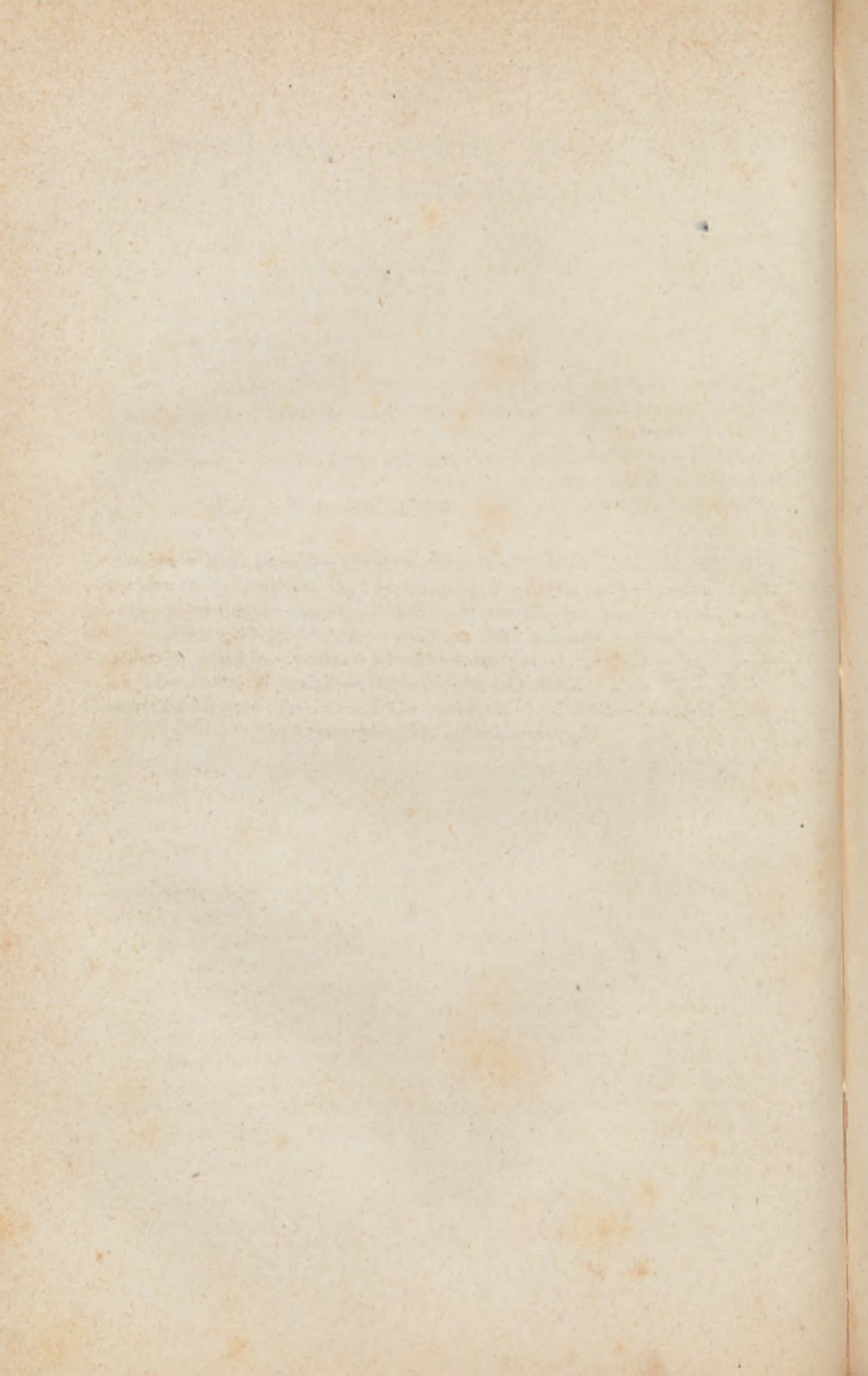
Wracając z pogrzebu z cmentarza Powązkowskiego, rzucąc pytanie z gorzkim i bolesnym uśmiechem czytelnikom swego Momusa: „Co tóż zrobił najlepszego cmentarz, że tak wiele ma krzyżów?“

Nie przeczuwał że w rok później w tójże ustroni zmarłych, sam się na wieczny spoczynek położy.

Żółkowski stanowiskiem swoim jako artystą dramatyczny i piarsarz, stał się historyczną postacią Warszawy i jój społeczności w okresie, który się ciągnął przez lat blisko dwadzieścia.

VIII.

Plac Krasińskich.—Pałac Krasińskich.—Ogród.—Uroczystości narodowe.—Jan Woronicz.—Msza *modna* w kościele księży Pijarów i przechadzka w ogrodzie Krasińskich.—*Suchy-las*.—Kawiarnia.—Stare podanie.—Dom i mieszkanie Joachima Lelewela.—Dziennik Warszawski.—Dom i uliczka Raczyńskich.—Dom Karoli'ego.—Traktyernia Szyllera.—Sławne kapłony.—Gmachy pijarskie.—Szkoły.—Kanarek.—Ksiądz Ciastowski prefekt.—Ksiądz Wojciechowski profesor.—Majówki.—Pomiary.—Nagrody.—Drukarnia.—Towarzystwo Przyjaciół Muzyki.—Bartłomiej Czychy zakrystyan.



Przed teatrem narodowym rozwijał się obszerny *plac Krasińskich*, rozleglejszy niż dzisiaj, bo go nie zacieśniała duża budowla ¹⁾ od Ś-to-Jerskiej ulicy.

Tu było jedyne miejsce uroczystości narodowych w czasie istnienia Księstwa Warszawskiego.

Książę Józef Poniatowski, generał Henryk Dąbrowski, na nim odbywali parady wojskowe; tu się odbywał poważny obchód poświęcania chorągwi nowych pułków, któremu przewodniczył Jan Woronicz namaszczony kapłan i wielki poeta. W owych chwilach podnosił on głos wymowny, wskazując ważność obrzędu i święte obowiązki prawego rycerstwa.

Wspaniały pałac, który tego placu jest największą ozdobą, wystawił w roku 1693 Jan Bonawentura Krasiński referendarz koronny i starosta warszawski i przy nim ogród założył. Jest to budowla ze wszystkich gmachów Warszawy najpiękniejsza; o niej też niedaremnie Żolkowski w *Momusie* napisał:

„Miłośnik cudzoziemszczyzny, gdy przyjechał do Warszawy i obaczył piękny pałac Krasińskich, spytał, czy on jest w Warszawie budowany, czy też z zagranicy sprowadzony.”

Od imienia założyciela cała ogromna posiadłość przybrała wraz z ogrodem i placem przed gmachem, nazwę *Krasińskich*.

Pałac ten, zostający w rodzinie Krasińskich przez lat siedmdziesiąt dwa, w roku 1765 odstąpiony został skarbowi Rzeczypospolitej, który ogród nanowo urządziwszy, otworzył go na użytek publiczny. Od téj pory został on najupodobańszą przechadzką dla Warszawian, a od 1814 roku był najmodniejszym miejscem, gdzie się zbierał cały świat elegancki naszego miasta. W każdą niedzielę i święta w pobliskim kościele księży Pijarów odbywała się msza ostatnia przed południem. Muzyka dobrana i chór śpiewaków towarzyszyły wśród tego nabożeństwa. Msza kończyła się około dwunastej w południe, na którą zgromadzała się *śmietanka* towarzystwa warszawskiego. Panie wystrojone wedle ówczesnej mody, młodzież również, przepelniali całą tę świątynię.

¹⁾ Gdzie obecnie mieści się Trybunał Cywilny i Sąd Kryminalny.

Przy końcu nabożeństwa, całe grono męzkie wysuwało się najprzód i szykowało we dwa rzędy na ulicy od wielkich podwoi, zostawiając obszernie i wygodne przejście dla poci pięknej, która przechodziła do ogrodu Krasińskich, wiodąc za sobą roje swoich zwolenników.

Dziś ogród ten opuszczony przez *świat wyższy*, który się przeniósł do *Saskiego* ogrodu, był nadwyzczaj ożywiony, najgwarniej w niedziele i święta; ale nie stał pustkami w dnie nawet powszednie. Było to miejsce ulubione dla mieszkańców Warszawy do przechadzki od wiosny do późnej jesieni. Ileż te drzewa, gdyby mogły mówić, nie naliczyłyby nam ciekawych zdarzeń, czułych spojrzeń, serdecznych westchnień i słów gorących, a poetycznych ze słownika *klasycznego*, w których *Wenus*, *Kupidyn* z kołczanem i strzałami, i *Zefir* pierwsze miejsce zajmowały. W obocznych aleach, gdy główną wielki świat opanowywał, pod cieniem gęstych liści drzew wybujałych, *mały światek* szukał wytchnienia, *świątek* mniej zamożny, ale serdeczniejszy i więcej prawdą żyjący. Tu się najczęściej zawiązywały pierwsze znajomości pomiędzy młodzieżą, kończące się zwykle ślubem w następne zapusty.

W samym pałacu do roku 1815 mieściły się najwyższe władze rządowe; następnie *sąd najwyższej instancji*: tu się odbywał *sąd sejmowy*.

Pamiętam z dawniejszego okresu, rzesisto uilluminowany gmach Krasińskich i bramę wchodzącą do ogrodu. U jej szczytu w wielkim transparencie widziałem literę *N*, cyfrę Napoleona I-szego, a pod nią przechadzał się wymierzonym krokiem z bronią na ramieniu, tegi grenadyer, w bermycy niedźwiedziej, którego wzrost atletyczny, oblicze poważne a surowe, z czarnym, zawieszonym wąsem, wyrły się głęboko w moją dziecięcą pamięć. Było to w roku 1811.

Plac Krasińskich nie cały był zabrukowany, to też w czasie występu wojska w dniu imienin Napoleona I-go, księcia Józefa Poniątkowskiego, lub jakiej uroczystości szczegółniej, gdy przypadło to po deszczu lub odwilży, dobrze się zabłocilo.

W narożnym domu, w jednej linii z pałacem Krasińskich, był *odwach* oficerski, na który gdy oddział do złuzowania co dnia przechodził z dobozem, chór mu zawsze gawiedzi towarzyszył, a szczególnie chłopiąt małych od rzemieślników, tak zwanych *uliczników*, którzy w takt bębna zręcznie maszerowali.

Po lewej stronie teatru, już od ulicy Długiej, przedzielona tylko wąziutką uliczką, stoi kamienica pod N-rem 546, zwana *Suchy las*, naprzeciw kościoła Pijarskiego. Miała ona w tę porę swój rozgłos, z powodu mieszczącej się w niej kawiarni, która słynęła z najwyborniejszej kawy, i ztąd była miejscem licznowego zgromadzenia zwolenników tego napoju. Ale niemałe grono stanowiło gości, przybywających jedynie w pragnieniu przepędzenia czasu mile i przyjemnie; tu bowiem zbierali się aktorzy przed widowiskiem w teatrze i po niem.

Tu zaglądał często Żółkowski, a stałym gościem był Ludwik Adam Dmuszewski, obok którego zasiadało kilku jego współpracowników i zwolenników, co mu składali pozbierane z całego dnia nowiny miejskie, jako redaktorowi *Kuryera Warszawskiego*. Szła miła pogawędka aż do uderzenia na zegarze trzech kwadransów na siódmą, pory rozpoczęcia się wkrótce teatru, którą po widowisku jeszcze przeciągano.

Do *Suchego-lasu* przywiązane było stare podanie, że nazwę swą wziął dlatego, iż był tu las ze starodrzewów, rzeczywiście suchy. Mój ojciec znał sędziwego mieszczanina z Mostowej ulicy, który mu opowiadał jeszcze za życia króla Stanisława Augusta, że w młodych latach biegali tu na grzyby i rydze; że rosły sosny ogromne, a dęby tak grube, iż we czterech podrostków, wzięwszy się za ręce, żadnego pnia objąć nie zdołali. Ów mieszczanin liczył wówczas z górą lat ośmdziesiąt.

Las ten łączył się kiedyś z borem po nad brzegami Wisły szumiącym.

Z pewnych już wiadomości mamy, że na początku XVII wieku, był tu ogród i dwór *Suchym-lasem* zwany, który Szwedzi za Karola Gustawa zniszczyli, burząc warowne mury i baszty Warszawy. Nabył go następnie Mikołaj Prażmowski, biskup łucki i kanclerz wielki koronny, a przechodząc z rąk do rąk później, od Antoniego Gaszyńskiego szambelana Stanisława Augusta, odkupiła rodzina Prażmowskich ¹⁾.

Rzęd kamienic za *Suchym-lasem* w jednej linii idący, ciągnie się aż do Freta ulicy; pomiędzy temi, najrozleglejszy dom Ehlerta (N-r 543 A i B), w którym mieściło się do dwóch tysięcy mieszkańców; za nim o parę kamienic pod N-rem 540 dom Lelewela, w którym na pierwszém piętrze przemieszkował Joachim Lelewel.

W roku 1825 rozpocząłem opis historyczny Warszawy, jako mego gniazda rodzinnego, bo wówczas, oprócz szczupłego wspomnienia tego miasta w opisie *Starożytnéj Polski* Tomasa Święckiego, wydanym w roku 1816, nie mieliśmy żadnej monografii. Ukończyłem go we dwa lata i wtedy będąc współpracownikiem *Dziennika Warszawskiego*, wychodzącego w miesięcznych zeszytach pod redakcją Jana Kazimierza Ordyńca, dałem mu wspomnienie historyczne: „Warszawa pod panowaniem Jana Kazimierza.” Ordyniec rękopism mój zaniósł do Lelewela, który go przejrzał i uwagi swoje ołówkiem popisał, z żądaniem, abym przyszedł do niego.

Było to w maju 1827 roku. W pod wieczór wybrałem się do niego. Zastałem go siedzącego przy oknie i pochylonego nad rytowaniem mapek do *Dziejów Polski*, które przygotowywał właśnie, z napisaniem dla swoich synowców.

¹⁾ W „Taryfie miasta stołecznego Warszawy 1821 r.” dom ten N-r 546 oznaczony, zapisany jeszcze jako własność Gaszyńskiego.

Skoro drzwi otworzyłem, powstał zaraz, a kiedym wymówił swoje nazwisko, podał mi rękę uprzejmie i prosił, abym usiadł na kanapie, sam zabrał miejsce na boczném krześle.

Uprzejmość tak niezwykła, tak mnie przejęła, tak głęboko wzruszyła, że nie wiedziałem jak usiąść i co mówić. Zaczynałem rok dwudziesty życia, a chociaż już w świecie przetarty i nie z jednego pieca chleb jadłem, opuściła mnie odwaga. Słyszałem tyle o Lelewelu, przeczytałem wszystkie jego prace, zaczawszy od *Eddy* i *Mateusza Cholewy*; aureola wielkości imienia i sławy tego męża, pochylała mą głowę do czei i pokłonu.

Po chwili, gdym oprzytomniał nieco, Lelewel sam rozpoczął rozmowę o czasach Jana Kazimierza, o swojej pracy, którą był zajęty, a gdym mu rzucił parę pytań historycznych, rozwiązawszy je jasno, dodał: „takie jest tylko moje zdanie.“

Gdym go żegnał, dopiero się rozejrzał w jego mieszkaniu. Był to wielki pokój na pierwszym piętrze o dwóch oknach od ulicy Długiej; przy drugim od drzwi, stał stół założony papierami i rycinami; leżały blachy miedziane i rylce. Przy środkowej ścianie stała kanapa, przed nią stół i kilka krzeseł. Ściany wszystkie założone były szafami z pułek tylko otwartych, a w nich pełno książek, ale mało oprawnych.

Ściany, o ile wolne od nich były, miały kolor żółty; całe umeblowanie bardzo skromnie wyglądało.

Kiedym wyszedł uradowany z przyjęcia, stanąłem przed tą kamienicą. Tak samo skromnie zewnątrz wyglądała i żadnych ozdób, żadnej rzeźby, gładkie ściany, jak i pokój historyka tąż samą farbą żółtą były pomalowane.

Odetchnąwszy z głębokiego wrażenia, zacząłem rozważać rozmowę i słowa wyrzeczone przez Lelewela. Te pierwsze odwiedziny, nauczyły mnie skromności. Człowiek tak wielkiej nauki, jeżeli rozjaśniał zawilość, dodawał: „to takie tylko jest moje zdanie!“ O! niech Bóg dobry zapłaci mu za tę naukę, która mi w życiu była drogocenną skarbnicą! Odtąd często go odwiedzałem i później rad był słuchać, gdym mu składał sprawozdanie o wędrowkach po kraju, w Tatrach i Słowiańszczyźnie w celu zbierania pieśni, podań i zwyczajów ludowych. Słuchał z zajęciem opowieści od czasu, do czasu dodając urywkowo: „To ciekawe, to znam, o tém nie wiedziałem, to się i mnie przyda.“

Lelewel wówczas zaczynał rok czterdziesty pierwszy, od lat dwudziestu znany był jako tłumacz *Eddy* Skandynawskiej, a od szesnastu, jako pierwszy krytyk dziejowy, przez wydane w roku 1811 „*Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa*.“

Sredniego wzrostu, chudy, ubierał się oryginalnie. Nosił buty węgierskie z cholewami po wiérzchu spodni, frak zwykle staro-świeckiego kroju i płaszcz szaraczkowy z peleryną, za który nie wiem, czyby żyd „dał dukata“, jak liczono wtedy.

Głowę okrywał wytartym kapeluszem i tylko w wielkie mrozy zmuszony do wyjścia, używał ciepłej czapki.

Szedł zwykle pochyłony nieco, ze spuszczoną głową: oblicze miał pociągłe, nos długi, rumieniec na twarzy familijny wraz z braćmi dwoma, (pomiędzy którymi wielkie zachodziło podobieństwo), lubo nieco bledszy od ciągłej pracy. Oczy duże, niebieskie, które wiernie oddawały wszystkie uczucia serca i duszy. Widziałem go później w chwilach najważniejszych w jego życiu, kiedy w niezwykły wpadał zapał; te oczy zapalały się ogniem niesłychanym, świeciły i rzucały blaski, jak dwa jaśniejące brylanty.

Służyły one mu dobrze do ciągłej i bezustannej pracy; pisał też drobnym maczkiem, ale bardzo czytelnym.

Po upadku poważnego organu prassy, jakim był *Pamiętnik Warszawski*, wychodzący pod redakcją Kazimierza Brodzińskiego, Fryderyka hr. Skarbka i Skrodzkiego, wszystkich profesorów uniwersytetu warszawskiego; od czerwca 1825 roku, dwaj młodzi pisarze, Maurycy Mochnacki i Michał Podczaszyński zaczęli wydawać w zeszytach miesięcznych: *Dziennik Warszawski*.

Pismo to silnie podpierał pracami swojemi Lelewel. Zaraz w pierwszym tomie wydrukował rozprawę swoją: „*O pieniądzach w Trzebuniu* blisko Płocka, wykopanych w roku 1824“ i do nich sam rytował odpowiednie tablice. Następnie dał rozprawy: „*O historii, jej rozgałęzieniu i naukach związek z nią mających*“ i „*Uwagi nad wpływem prawa rzymskiego na polskie i litewskie*.“

Pierwsi założyciele *Dziennika Warszawskiego* zamknęli swe wydawnictwo w czterech tomach w połowie 1826 roku. Mochnacki przeszedł do redakcji *Gazety Polskiej*, Podczaszyński na stałe mieszkanie do Paryża, gdzie zaczął przygotowywać owo przepyszne wydanie dziesięciu tomów w jednym, dzieł Ignacego Krasickiego. Wtedy przybyły z Litwy Jan Kazimierz Ordyniec bibliotekarz Ordynacyi hr. Zamojskich pismo to dalej zaczął prowadzić, mając przyrzeczoną stałą pomoc Lelewela.

Jakoż udzielił zaraz Ordyńcowi nową swoją pracę, którą ten wydrukował w zeszycie na lipiec 1826 r. Osobliwą to była rozprawa p. n. *Ocalenie Polski za króla Łokietka*. Osobliwa, bo w niej po raz pierwszy w poetycznym nastroju, poważny a suchym stylem dotąd piszący historyk, stylem też poetycznym przemawia. Wyrivano ją sobie do czytania i starannie ustępy niektóre przepisywano. Oto jej początek.

„Skandynawskie na północy Skaldy z westchnieniem biorę lutnią przypominać przeszłość! Jęcząca północ rada udzielać czułą łzę wspomnieniom! W cierpiącym i melancholicznem tchnieniu wznawia pamięć swoich bohaterów i rycerzy, znajduje ulgę i wypoczynek w cnotach walecznych ojców. Błede światło upłynionych wieków, nie rozwesela rozczulonego serca, ale odświeżony promyk jego, słodko przejmując zacniejsze uczucia. Tak przeszłość ludzi

zajmuje, a ta przeszłość śpiewów północy przedmiot, jest równie udziałem historyi. W niej są niecofnione już, zaszłe przemiany ludzkości, w niej zadatki niepewnej przyszłości. Różne wrażenia, nieraz dolegliwe, przeszłość działać zdolna. Gdzie w niej powstanie gmachu jakiego, bez wielolicznych ruin i upadków? Gdzie tryumfy cnoty bez odrażliwych dzikości i przestępstw! Zniechęcony ku ludziom człowiek, oburzony tém, upada na umyśle. Lecz historyk nie poddaje się pozorom, albo samęj tylko złęj wróżby pochmurnym widokom. Wystawia na wstręt i ohydę, gwałty i wykroczenia; wypoczywa na cichéj cnocie, często cierpiącój, która jednak w trwałym bycie swoją błogość znaleźć może, o swojej prawości nie wątpi. Łączy on i spaja wieki, oczekuje większego doświadczenia, które się staje dalszój potomności udziałem. I nie zawsze samo rozerwanie i upadki w przeszłości dostrzega: nie zawsze jedynie przerażające widoki, rozpatrującego się w dziełach zajmują. Znajduje on więcéj przyjemne obrazy, odradzającój się ludzkości, postępującój i ulepszonej kultury, ocalonych narodów i państw, ochronionej i podźwignionej budowy. Bez ruin wstrzymane i skruszone ciosy, położone tamy zgubnym zamachom, naprawiony gmach i nowe życie jemu nadane. Ku tym widokom, chcemy zwrócić bacność naszą, nad nimi zastanowić uwagę, albowiem dzieje, różne tego przykłady wskazują.⁴

Rozprawa ta wielki rozgłos dała *Dziennikowi Warszawskiemu*. Do końca roku 1828, Lelewel uposażył to pismo dwiema pracami: „Otwarcie kursu historyi powszechnéj w Cesarskim Uniwersytecie Wileńskim dnia 4 stycznia 1821 roku przez Joachima Lelewela“ i ogromnych rozmiarów rozprawę p. n.: *Dzieje bibliotek*, które się ciągnęły przez kilka tomów *Dziennika Warszawskiego*. Od roku 1829 nie widzimy już w tém piśmie żadnych prac Lelewela.

Naprzeciw, z drugiejj strony ulicy wznosił się pałac Raczyńskich, z napisem na czele wielkimi literami: „*Dom Raczyńskich*.“ W nim zamieszkiwał Ignacy Raczyński arcybiskup gnieźnieński, którego tytułowano księciem ¹⁾.

Od nazwy tego pałacu, który przechodził do ulicy Podwale, wązka uliczka obok, przybrała imię Raczyńskich. Pusty to zaułek, bo żadne drzwi nie wychodziły, a kilka tylko zakratowanych okien z obu stron gładkich murów przeglądało.

Z drugiejj strony, również na też dwie ulice przeciągał się dom pod Nr. 560b, własność zamożnego jubilera Karolięgo. Front główny miał od ulicy Długiéj, wewnątrz obszerne podwórze, a od strony Podwala, ogródek. Pomiedzy tym ogródkiem a podwórzem stał dworek parterowy, w którym się mieściła traktiernia Szyllera. Sły-

¹⁾ Rząd nabywszy pałac ten od Raczyńskich, przeznaczył go na pomieszczenie ministerstwa sprawiedliwości.

nał on głównie z pieczonych kapłonów tuczonych i wybornie przyrządzanych.

Najpopularniejszy tych czasów (ostatnie lata Księstwa Warszawskiego i pierwsze Królestwa) wierszopis warszawski Molski, wystawiał wierszem tego Szyllera i jego kapłony, przenosząc go ponad wieszczą Germanii. Za kapłona pieczonego płacono po złp. 6, co na owe czasy stanowiło już gruby pieniądz; zwolenników jednak Szyllerowi nie zabrakło, i zaledwie mógł wystarczyć żądaniom. Proszone też obiady i kolacje tu się odbywały a pierwsze w nich miejsce zawsze kapłony zajmowały.

Przez dom Karolego od Podwala ogródkiem pomienionym, było przejście publiczne na ulicę Długą. Ponieważ ogródek ten wyniesiony był wysoko, schodki ułatwiały wniknięcie obok kregielni, ciągle prawie zajętej przez graczy. Przejście to było wielkiem ułatwieniem dla studentów pijarskich, którzy mieszkali w częściach Starego Miasta, na Podwalu i przybocznych ulicach. Po téjże samej połaci ulicy Długiej, ciągnęły się gmachy pijarskie, obejmujące szkoły wojewódzkie, klasztor i kościół.

We wspomnieniach młodych lat moich, kościół ten wyrzył się najwyraźniej; w nim bowiem przez lat prawie ośm jako uczeń modliłem się codziennie, wyjąwszy wakacyj: tu z dziecięcej doby przeszedłem do młodzieńczego wieku, patrząc w obraz ukrzyżowanego Chrystusa w wielkim ołtarzu.

Obraz ten silne wrażenie wywierał na umysły tak dziatwy, jak i starszych. Zbawiciel rozpięty na krzyżu, a w dali, jakby w ogniu Jerozolima. Ileż ku niemu nie ulatywało z tych zastępów klęczącej młodzieży serdecznych westchnień, gorących modlitw a nieraz i łez, gdy troska przygniałała, gdy ciężka choroba rodziców albo rodzeństwo dotykała, gdy śmierć zajrzała za domowe progi, zagrażało sieroctwo wśród Bożego świata, wreszcie gdy obawa o promocyę i nagrodę była.

Wnętrze tego kościoła niczem się wydatniejszemu nie odznaczało. Z pomników jeden tylko koło ołtarza zapamiętam. Był to wspniany grobowiec z czarnego marmuru a osoby z białego wyrobione, Jana Tarły, wojewody lubelskiego i sandomierskiego, generała ziem podolskich, który za Augusta II odprawiał poselstwa do papieża i Rzeczypospolitej holenderskiej. Przyłożył się on wiele do budowy kolegium szlacheckiego księży Pijarów w Warszawie, i z tego głównie powodu, pomnik który mu małżonka jego Zofia z Krasieńskich położyła, znalazł miejsce wydatne w téj świątyni.

Wielkie budowle zajmowały szkoły i klasztor z obszernymi podwórzami i ogrodem.

Pierwsze trzy klasy to jest pierwsza, druga i trzecia, ostatnie z podwójnymi oddziałami mieściły się na dole, okna ich wychodziły na ulicę Długą; na piętrach były klasy czwarta, piąta i szósta.

Latem o siódmą, zimową porą o wpół do ósmej rano, uczniowie wszystkich klass parami, pod nadzorem gospodarzy profesorów przechodzili do kościoła na mszę poranną, po której wracano na lekcye.

Między dziesiątą a jedenastą było wolne wytchnienie *dziesięciu minut*, w których młodzież rozbiegała się to na podwórza, to do wielkich podwoi wchodowych od ulicy, gdzie stały przekupki z kosztami ciast, pierników, obwarzanków lub owoców, które zakupywali ci ze szczęśliwców, co mieli gotówkę, albo umieli sobie u nich *kredyt* wyrobić.

Każda klasa miała prezesa i kassyera, oraz radców do każdej ławki. Uczniowie najlepiej się uczący i sprawujący dostępowali tego zaszczytu.

Prezes siedział na pierwszym miejscu w pierwszej ławce, za nim kassyer i dopiero pierwszy radzca.

Prezes słuchał lekcyi kassyera i pierwszego radcę, zapisując stopnie w oddzielnj na to książeczce, która następnie pokazywała się wyznaczonemu do tego profesorowi. Radzca połowę swj ławki przesłuchiwał dlatego, że drugą miał pod swoim nadzorem w każdej ławce pod-radzca, ktorego także przesłuchiwał. Oczywiście że tak prezes, jak radzcowie i podradzcowie, mieli swoje małe *obrywki* od koleżków, którzy się lekcyi nie nauczyli, a pragnęli dobrego stopnia w książeczce; łapówki te występowały dopiero jawniej na dziesięć minut, gdy przy koszykach przekupek panowie prezes, radzczy i podradzcowie, racyli się ciastami lub owocami, za które *plebs* ławkowy płacił.

Kassyer w zawiadywaniu swoim miał dziennik klasy, kredę i gąbkę do tablicy: to były skarby powierzone jego pieczołowitości.

Przy drzwiach wchodowych od sieni w każdej klassie stała ławka oddzielna wzdłuż ściany i miała techniczną nazwę *oślej ławy*. Smutna to była i straszna zarazem ta ława, bo z niej rzadko się który wysłiznął, aby nie powędrować w gorsze miejsce, na którego wspomnienie drżała skóra.

Długi korytarz wiódł do trzech klas niższych na dole, a w jego środku były duże drzwi, wiodące do małego wewnątrz klasztornego podwórka, gdzie się mieściła drwalnia. W niej panował *Kanarek*, tak zwany stróż i zarazem wykonawca kary naznaczonej przez księdza prefekta szkoły. A był za moich czasów prefektem ksiądz Ciastowski pijar, dobrego wzrostu, dobrej tuszy, blondyn, białej płci, ale groźnej postaci i oblicza. Gdy głos podniósł, febra porywała biednych uczniów, taka go powaga otaczała i postrach. Jeżeli wszedł do której klasy w czasie lekcyi, złą to było wróżbą dla niej, bo wnet ośła ławka zaludniała się, a z niej marsz żałobny do drwalni i pewna operacya *Kanarka*.

A *Kanarek* ów był to chłop pleczysty, na jednej dłoni mógł zasiąść wygodnie każdy z uczniów. Straszny napozór, w gruncie

najłagodniejszy człowiek. Surowego oblicza, ponuro mrukliwy, jeżeli miał oznaczone plagi dyscypliną wymierzyć, najprzód pilnie wpatrywał się w swego delikwenta i podług jego natury miarkował siłę uderzeń.

Jeżeli było to pachole drobne, wątle, prawie nie czuło jego razów: gdy chłopak był krzepak, czerstwy z rumieńcami, przylepiał *pro memoria* lepij, ale zawsze z ojcowskiem uczuciem, bo sam miał chłopczyne co się uczył u Pijarów i był w pierwszej klasie, szanować też musiał jak sam wyrażał, kolegów swego jedynaka.

Jeżeli który ze skazanych mógł mu zrećnie wsunąć dziesiątkę, albo co lepsza złotówkę, ze szczególną atencją spełniał egzekucję. Kazawszy się wyciągnąć dobrze na pieńku, których tam w zapasie nie mało było po klocach drzewa do opalu sprowadzanego, zamaszysto podnosił dyscyplinę, ale leciuchno ją spuszczał i sam jęczał i stękał za biednego ucznia.

Pomimo wstrętnego obowiązku jaki spełniał, wszystkie trzy klasy lubiły go, bo od czwartej mieszczącój się na drugim piętrze, kara cielesna nie istniała wcale. To też biédacy z dołu wzdychali gorąco, aby się co rychlej wydostać na to piętro mogli i być pewnymi, że dyscyplina nie będzie świstać nad uchem i z kanarkiem już skończona sprawa!

Ksiądz prefekt Ciastowski pomimo że niósł z sobą postrach i przerażenie, był kochanym i poważanym dla swój sprawiedliwości. Nieraz stawał z obroną za uczniami, gdy się zdarzyło, że przeciwna strona bez taktu postępowała ¹⁾.

Od pierwszej klasy zacząwszy, mieliśmy obok malczyków i chłopów dorosłych a nawet w pierwszej klasie żonatego, który już miał dwuletnią córkę. To też patrzyliśmy nań jak na raroga. Zwał się Kwapiszewski i to imię głęboko wryło się w mój pamięci.

W drugiej klasie nie brakło roślejszych uczniów: między tymi był Stanisław Bogusławski, o całą głowę wyższy odemnie, znany później z talentu komedypisarz.

¹⁾ Ksiądz Jakób Ciastowski, syn mieszczanina z Sarnowa, w dawnym województwie Poznańskim, urodził się w roku 1791. Oddany do szkół księży Pijarów w Rydzynie, zdolnościami i nauką się odznaczył. Przywdziawszy suknię zgromadzenia pijarskiego, wyświęconym został na kapłana 1816 roku, po przebyciu nowicyatu i pełnieniu wówczas już obowiązków nauczyciela języków niemieckiego, francuzkiego, historii powszechnój i jeometrii. W roku 1822 wybrany rektorem szkoły wojewódzkiej radomskiej, i w tymże samym roku powołany został do Warszawy do szkół, gdzie poznałem go jako prefekta za rektorstwa zacnego i drogiego mój pamięci ks. A. Kamionowskiego. Nawyczajony do wczesnego wstawania do pracy, już o piątój rano z modlitwy wspólnój ze swą bracią zakonną, do północks był czynny. Około godziny siódmej spotykałeś go na korytarzach gmachu szkolnego, i młodzież, która się

W trzeciej klasie wykładał historią powszechną polską i język polski ks. Wojciechowski, ale nie mszalny. Zapczywy był strasznie na skórę uczniów. Oryginalna to była postać: nizki, chudy, wyżółtkły na obliczu, trochę ułomny, prawe bowiem ramię miał niższe. Słaba głowa, bo wykładał tylko z książek i kazał się uczyć miejsc zakreślonych na pamięć. Kiedy wpadł w gniew, co mu się często zdarzało, nie inaczej jak go w tych słowach do ucznia wyrażał:

— Orszle! biku! kapconie!

Mieliśmy kolegę Domańskiego, był to najwyższy nie tylko z naszej klasy, ale i ze szkół całych, a przytém odpowiedniej tuszy. Chłop silny że sztaby żelazne łamać, ale zdolności bardzo małe. Za to złote serce, łagodność gołębia; ztąd cieszył się miłością wszystkich współkolegów. Siedział wysoko na jednej z ostatnich ale najwyższej ławce.

Ksiądz Wojciechowski przybywszy do klasy już rozdrażniony, cały swój gniew wywarł na niego, a gdy ten napadnięty niesłusznie, zaczął się swoim zwyczajem uśmiechać, zeskoczył z katedry i groźnie zawołał:

— Domański! orszle! biku! kapconie! wychodź tu na środek!

już wtedy gromadzić zaczynała, czuła jego obecność, zachowując się najciszej, a bywało jej zawsze około tysiąca i więcej. O godzinie wpół do ósmej wychodzili uczniowie dwójkami do kościoła, na czele nauczycieli gospodarzy klas, poczynając od klasy najmłodszej. W podwojach świątyni stał ksiądz prefekt jako dowódzca, przestrzegając porządku i sforności defilującego przed nim tego ruchliwego *liliputów* wojska. Czytał potem mszę świętą, lub jej był obecny z młodzieżą, która chórem pełnym śpiewała zwyczajne pieśni kościelne. lub wykonywała mszę kompozycyi Kurpińskiego lub Elsnera. Żadna niedziela ani święto nie przeminęły, bez wykładu przypadającej ewangelii, którą sam lub jeden z professorów duchownych podejmował. Po mszy świętej w tym samym porządku wracała młodzież do swoich klas i oczekiwała na lekcye professorów, którzy za uderzeniem we dzwonek, na miejscach swoich znajdował się byli powinni. Kiedy sam ks. Ciasnowski nie był zajęty dawaniem lekcyi w której z klas wyższych, przechadzał się po korytarzach szkolnych i kontrolował, czy wszystko i wszędzie szło swoim trybem i ładem. Gdzie tylko usłyszał niezwykły gwar który mącił ciszę należną, albo krzyki swawolne, wchodził wtedy do klasy. Samém ukazaniem się we drzwiach, uciszał gawędź niesforną, siejąc strach i popłoch między winowajcami. Tak mu przechodził dzień powszedni na służbie szkolnej, i nie pozostawało nawet czasu do przechadzki koniecznej po pracy ciągłej. Po skromnej wiočerzy i po krótkiej gawędzie z kolegami, oddawał się znowu studjom naukowym, które się po za północ przeciągały, przygotowaniu na lekcye dnia następnego i poprawie ćwiczeń szkolnych. Do wykładu literatury klassycznej używał najlepszych wydań opatrzonych komentarzami biegłych filologów i wykład ten staranny równał

Domański się podniósł i z wolna stawił jak słoń nogi poważnie aż podłoga trzeszczała. Miał na sobie lekki surducik (bo mundurów wtedy nie było) i białą, jak pamiętam, kamizelkę.

Ksiądz professor widząc że wychodzi, podbiegł, otworzył drzwi do sieni. Niestety! ujrzelśmy podwoje okute do drwalni, tej stolicy *kanarka*.

Domański stał już na środku.

— Wychodź za drzwi! krzyknął na niego, ale ten stał nieruchomy jak kołos.

Gdy po kilkokrotném wezwaniu nie ruszył się z miejsca: przyskoczył doń, schwycił go za białą kamizelkę, w tej nadziei że go wyrzuci za drzwi. Ale Domański ani drgnął, kamizelka się rozpięła a ksiądz Wojciechowski, który głową nie dotykał jego ramienia, sam wyleciał za drzwi i nie oparł się aż o podwoje drwalni.

Cała klasa huknęła głośnym śmiechem, a pan professor skonfundowany wróciwszy z tej niespodzianej wycieczki, kazał mu iść na swoje miejsce.

Oskarżył Domańskiego potem przed prefektem, ale ksiądz Ciastowski zbadawszy całą sprawą, zrzęcznie ją zatarł.

się akademickiemu. Kurs historii powszechnej układał podług najslawniejszych autorów niemieckich i francuzkich (pozostał w rękopiśmie). Z zajęciem słuchała młodzież tego wykładu, bo wygłaszał go zawsze z pamięci, jasnie i dobitnie, piękną nadewszystko, płynną mową polską. Przez Uniwersytet Warszawski zaszczycony został stopniem Doktora filozofii i magistra sztuk pięknych, a przez komisją wyznań i oświecenia publicznego, mianowany członkiem Towarzystwa ustanowionego do układania książek szkolnych. Pamiętał swoich uczniów, i wielu ich po ojcowsku witał; doznałem tego sam, gdy z Podlasia przywiezioną pszenicę sprzedawałem do Krasnobrzega, zwykle zwanego Żoliborzem. Był ks. Ciastowski wtedy rektorem i płacił mi za ziarno należność. W kilka lat gdym wrócił z zagranicy, zastałem go w klasztorze dawniej Jezuickim na Świętojańskiej ulicy. Już Żoliborz był zajęty na cytafellę warszawską (w r. 1832), i w tym szczupłym budynku musiał mieścić i pozostałych księży, i ogromną bibliotekę tak z Żoliborza jak z gmachów Długiej i Miodowej ulicy, które w roku 1834, przeznaczono na Sobór Ś-jej Trójcy. Gospodarzył jak mógł najużyteczniej, aby ten kościół, który żadnym ołtarzy i ozdób właściwych już nie miał, na przyzwoitą świątynię Bożą zamienić. W wielkim ołtarzu pomieszczono ten sam obraz Ukrzyżowanego Zbawiciela, przed którym tysiące młodzieży przez wiele lat modliło się gorąco i korzyło. Inne, ozdobiły poboczne ołtarze. Trapiiony smutną myślą, że już jest ostatnim tego zgromadzenia przełożonym, w siłę męskiego wieku, bo liczył dopiero 46 rok życia, a w zakonie 29, dnia 18 czerwca 1837 roku zakończył życie. Prawy i świętobliwy kapłan, mąż uczony, światły przewodnik i opiekun młodzieży, był wzorem dla innych.

Ksiądz Wojciechowski jako nie mszalny, lubo zawsze intonował w kościele pieśni pobożne, a na to hasło wszyscy uczniowie na daną nutę chórem odśpiewywali, wystąpił ze Zgromadzenia zanim skończyłem Pijarskie szkoły, a uciąłwszy sobie nieco grosza, ożenił się i na wsi gospodarował.

Do ulubionych professorów za moich czasów należał młodzieńki ksiądz Szelewski, wykładający język polski. Zdolności nie wysokie, ale dar nauczania wielki i umiejętność zachęcania młodzieży do gorliwej pracy. Szczególniej kochany był ksiądz Andraszek, postawy jak Ciastowski, tylko tuszy większej, a na licach silniejszych rumieńców; wykładał język grecki i łacinę. Sarbiewski był jego ulubionym poetą, kładł on go jeżeli nie wyżej, to na równi z Horacym. Nie mały mir mieli professorowie Lieder języka niemieckiego, jak Coché francuzkiego, a z nimi zacny Szwajnic. Z młodych pijarów Wolicki matematyk, Klonowski wykładający historią powszechną, Politowski w niższych klassach geometryą, autor *Geografii Królestwa Polskiego* i w kwiecie wieku Antoni Waga naturalista, dziś szronem sędziwych lat ubielony. Z mówców na kazalnicy zapamiętam jedynie księdza Jakubowskiego (dotąd żyjącego proboszcza u Ś. Krzyża w Warszawie), który kazaniem na uroczystość Matki Boskiej, nie zatarte wspomnienie w pamięci méj zostawił.

Najwyższą uroczystością w szkołach dla uczniów były wycieczki *majowe* i tak zwane *pomiary*, kiedy w pierwszych wszystkie klasy brały udział; w drugich tylko wyższe: czwarta, piąta i szósta.

Majówki zwykle w samych początkach maja, jeżeli czas był ciepły i wiosna się w całej pełni rozwinięła, bywały wycieczkami w dalsze okolice Warszawy, jak do Bielan, Willanowa i Natolina. Pomiary już bliższe miejscowości wybierały, ażeby dość było czasu do zastosowania praktycznie tego, co wykładali professorowie matematyki w klassach. Na majówkę szło się lekko z węzłkiem tylko przysmaczków danych z domu, na pomiary brano okute chorągiewki, kije i łańcuchy, wraz ze stoliczkami niezbędnymi do pomiarów mających się wykonać. Pierwsze miały za cel tylko zabawę, odetchnienie wiosenném powietrzem, gdy się ziemia rozmaita, drugie z wycieczką w wiejskie okolice i naukę. Na jedne i drugie młodzież z utęsknieniem oczekiwała i gromadnie się zbierała.

Egzamina odbywały się w wielkiej sali, gdzie się mieściła liczna biblioteka w ogromnych szafach zamkniętych. Był to zbiór szacowny i bogaty.

Nagrody, uczniowie trzech klass niższych otrzymywali w laurach. Na arkuszu papieru zielono malowany laur otaczał wiersz stosowny, poniżej imię i nazwisko ucznia, który tę nagrodę otrzymywał, a dalej podpisy wizytatora szkół, rektora i professorów. Trzy wyższe klasy od IV do VI odbierały nagrody w książkach pięknie oprawnych, z takimiż napisami i podpisami, wyjąwszy, że już tego wiersza nie było.

Drukarnia pijarska mieściła się w tychże zabudowaniach na dole od podwórza. Przez długie lata wiodła ona rej pomiędzy wszystkimi zakładami typograficznymi w kraju, dopóki Natan Glücksberg nie założył większej i ozdobniejszych drukarni, nie wydarł jej pierwszeństwa. Pomimo to drukowała ona bardzo wiele książek szkolnych i z nich nie mały zbierała dochód.

W końcu istnienia Księstwa Warszawskiego zawiązało się w r. 1814 „Towarzystwo przyjaciół muzyki“, które co niedziela o godzinie jedenastej rano, mszę wielką grało z towarzyszeniem chóru śpiewaków. Ta msza, jak wspomnieliśmy, zwabiała zawsze mnóstwo mieszkańców Warszawy, głównie z klas wyższych.

Opuszczając te mury, które w pamięci tak głęboko się wryły, muszę wspomnieć o skromnym braciszku Zgromadzenia księży Pijarów, Bartłomieju Czychy'm, którego postać pociągająca i łagodna, z uśmiechem na twarzy, tak żywo staje zawsze przed oczyma, gdy potrączę myślą o owe miłe czasy szkolne.

Czychy rodem był z Moraw, a zbliżony mową i charakterem do nas, przyłgnął całą duszą do zgromadzenia zakonnego, którego suknie nosił.

Wszyscy co odbierali nauki w tych szkołach pijarskich znali go doskonale. Pracowity ten braciszek powierzony mając dozór kościoła, w oczach małych uczniów miał wielkie znaczenie. On to bowiem dobierał z licznego grona proszących się i żebrzących studentów, tych, co mieli służyć do mszy św., wręczał im mszał i potrzebne przybory, ubierał w komżę.

Czychy, na znak wielkiej łaski, brał z sobą na wysoką wieżę do nakręcania zegaru, przeznaczał również w dniu uroczyste do usługi nabożeństwa, dozwalał mieścić się na chórze i wybierał do bicia w dzwony, do czego zawsze miał nawał ochotników. Postać to była, co po księdzu rektorze i księdzu prefekcie, najwięcej się wdrażała w studencką pamięć. Łagodny, wyrozumiały, umiał dziwnie wszystkich malców zbiegających do zakrystyi, chęci i pragnienia zaspokoić. Trudno było wszystkim ochotnikom dać zajęcie od razu: ci, którzy z niczém wracać musieli, nie smutnieli, bo Czychy tego pogłaskał, tamtemu obiecał dać ważniejszy urząd, jak wyrażał, w dzień inny: ten dostał obrazek lub opłatki, tamtego wpuścił na chór, lub kazał uprzątać w zakrystyi, choć w niej zawsze było czysto i porządknie. Wysokiego wzrostu, twarzy pociągłej, chudy, jakkolwiek powolny był w ruchach, wszystko szło gładko i składnie. Kochali go wszyscy, szczególnie trzech niższych klas studenci, bo ci byli najskwapliwsi do posług kościelnych. Już zacząwszy od czwartej klasy mniej zaglądali do zakrystyi, zostawiając to zajęcie młodszym. W troskach, strapieniu, nie jeden znalazł w Czychy'm pocieszyciela, co otarł łzę młodą i chmurę zgrzyoty zażegnał. Sam przypominam sobie, jak wkrótce po zapisaniu w rząd uczni pijarskich do klasy drugiej, przystrojony w komżę wraz z towarzyszem wyszedłem du-

mnie z zakrystyi i zadzwoniłem, poprzedzając księdza Politowskiego profesora matematyki, co miał mszę świętą odprawiać. Nie umiałem wówczas służyć do mszy, ale liczyłem na mego towarzysza, co od roku już usługiwał i jak pacierz wszystko umiał. Ukłąwszy przeto mruzczałem, naśladując odpowiedzi mego kolegi, ale podstęp się nie udał, bystre ucho księdza profesora odkryło nieuka. Po mszy wchodząc do zakrystyi, poczułem rękę jego na mojem uchu i zakręcenie niém tak silne, aż mi łzy trysnęły.

— To ty... ty... (nieprzyjemny przydomek opuszczam) nie umiesz do mszy służyć, rzekł z wolna ciągnąc jeszcze za ucho: naucz się na drugi raz!

Czychy widział i słyszał wszystko, kazał mi się zatrzymać, a gdy ksiądz profesor wyszedł na śniadanie, wtedy pocieszał mię w ciężkiem strapieniu, dał książeczkę w której cała msza była w pytaniach i odpowiedziach, pogłaskał, otarł łzy dziecięce i w końcu dodał jeszcze piękny obrazek. Nazajutrz wziął mnie z sobą na wieżę do zegaru, a tak troskę bolesną rozwiął dobrocią swoją.

Szacunek i wdzięczną pamięć każdy z uczni zachowywał dla niego, czy złożywszy egzamin dojrzałości opuszczał szkoły pijarskie, aby w uniwersytecie poświęcić się wyższym naukom, czy przywdziewał mundur wojskowy, czy pracował jako urzędnik lub oddawał się pracy obywatelskiej ziemiańskiej. Jeżeli który z nich odwiedzał te gmachy szkolne, gdzie tyle wspomnień najpiękniejszych lat życia zostawił, nie przepominał żaden wstąpić do kościelnej zakrystyi i wchodził do niej ochotnie, aby powitać i pozdrowić życzliwie braciszka Czyche'go, którego postać wplatała się tak silnie w owe rzewne wspomnienia młodości.

Czychy posiadał gruntownie język niemiecki i łaciński: ulubionemi dziełami jakie w tym ostatnim języku czytywał, były księgi o *Magii*. Książę Józef Poniatowski, który go znał osobiście, kiedy w czasie wypraw Napoleona I-go przechodził Morawy, znalazłszy tam rodzinę Czyche'go, przysłał mu od niej ukłony i pozdrowienie. Wypadek ten wielce ucieszył skromnego Zakrystyana i rad o niém zawsze wspominał.

Ulica Miodowa.—Konwikt szlacheckiej młodzieży St. Konarskiego.—Kościół OO, Bazylianów.—Cukiernia Lesla.—Pałac Chodkiewiczów.—Aleksander br. Chodkiewicz.—Poseł turecki.—Kazimierz Brodziński i wiersh jego.—Pierwsza litografia w Warszawie.—Licytacya.—Upadek wielkiego domu.—Kaplica wyznania anglikańskiego.—Kawiarnia Honoratki.—Ulica Kapitulna.—Mieszkanie Tomasza Święckiego.—Pałac pod N-rem 482.—Pierwsza Resursa Kupiecka. Pałac pod filarami.—Chovot restaurator francuzki.—Dom pod N-rem 489 Wawrzyńca Rudawskiego.—Dworek modrzewiowy.—Gryzelda księżna Wiśniowiecka, matka Michała Korybuta.—Spotkanie jój z synem.—Pałac Nestego, następnie Kernerera.—Książę Józef Poniatowski.—Żołnierz Kroata.—Wróżba cyganki, Szturm do Sabaczu.—Pałac Paca przedtém Radziwiłłowski.—Hrabia Adolf.—Szulernia.—Pojedynek.—Szewc i hrabia.—Dramat historyczny.—Jan Kuźma.—Porwanie króla Stanisława Augusta.—Stanisław Strawiński.—Szymon Czechowicz.—Kościół OO. Kapucynów.—Kaplica Jana Sobieskiego.—Pałac Teppera.—Pałac Biskupów krakowskich.

Budowle pijarskie w nieprzerwanym ciągu przechodziły na ulicę Miodową. Ulica ta, za czasów Księstwa Warszawskiego, nosiła nazwę Napoleona, później wróciła do pierwotnej nazwy, którą otrzymała z tego powodu, że od XV wieku, na niej najwięcej zamieszkiwało piernikarzy toruńskich, którzy słynne swoje wyroby na cały kraj rozsyłali.

Gmach pijarski, od Miodowej ulicy wystawił w roku 1754 Stanisław Konarski, który zajmował głośny konwikt dla szlacheckiej młodzieży. W nim się mieściły klasy, mieszkania pensjonarzy i profesorów, a w bocznej oficynie sala wielka, na przedstawienia sceniczne, gdyż teatr należycie kierowany, uważał Konarski za niezbędny żywiół do należytego wykształcenia młodzieży.

Kiedy wielką armia francuzka w końcu 1806 r. weszła do Warszawy, zajęto go na lazaret; w następnym roku Pijarzy dobrowolnie go oddali na użytek publiczny, przenosząc konwikt swój do *Zotiborza* po nad Wisłę. Po lazarecie przeto chwilowym, obrócono ten gmach na koszary wojskowe, a następnie pomieszczoną tu była *Szkoła aplikacyjna*. W domu Henryka Lessla (N-r 486 a), mieściła się słynna na kraj cała cukiernia tegoż, szczególnie z wyrobu cukrów i karmelków, które setkami funtów rozchodziły się w najdalsze strony, jak i wybornego ponczu. Tu wieczorem spotykałeś starszych profesorów pijarskich, jak i artystów dramatycznych, co się małą szklaneczką smakowitego napoju raczyli. Kiedy Lessel zamknął swój zakład, w tymże samym lokalu księgarnią swoją otworzył S. Merzbach. Za tym gmachem w drugiej kamienicy dalej, kościół O.O. Bazylianów, wzniesiony 1781 roku, o ścianę za nim ogromny pałac, (mający N-r 484), będący za mój pamięci własnością Aleksandra hr. Chodkiewicza, generała W. P. i znakomitego uczonego, który go po swęj matce Ludwice z Rzewuskich, staroście żmudzkiej odziedziczył.

Hrabiego znałem osobiście. Wysokiego wzrostu, szczupły, ale szerokich i podniesionych ramion, z pośród których mała wyglądała głowa, z obliczem miłym, zamysłoném, a w spojrzeniu rzewném. Jak szedł przez ulicę, był zawsze pochylony nieco i zamysłony. Z pierwszej żony miał dwóch synów i córkę, później wydaną za hr. Ossolińskiego. Matka jęj kobieta piękna, ale bardzo lekkomyślna, co spowodowało rozwód.

Chodkiewicz był z początku więrszopisem, czyli jak w owe czasy wyrażano *poetą*; w roku 1817 wydał w okazałej edycji

(w Warszawie, w drukarni przy Nowolipiu, która była najpierwszym zakładem typograficznym, w małym folio):

„*Pisma wierszem i prozą Aleksandra hr. Chodkiewicza, członka Towarzystwa Królewskiego przyjaciół nauk i innych*,” które przypisał Ludwikowi Osińskiemu, Onufremu Kopczyńskiemu i Aloizemu Fe-lińskiemu. Obejmują one dwie tragedye oryginalne wierszem w pięciu aktach: *Katon* i *Wirginia*, każda poprzedzona obszernym wstępem krytycznym.

Był to pierwszy tom *pism* Chodkiewicza, ale więcej nie drukował, zwracając pracę i uwagę swoją na nauki ścisłe, a głównie oddał się chemii. Wiele lat gorliwie się jęj poświęcał, miał w swym pałacu zamożne laboratorium i napisał wielkie dzieło w siedmiu tomach p. n. *Chemia*, które wydał w Warszawie w ciągu lat czterech od r. 1816 do 1820.

Szanowany powszechnie, był wydatną postacią w Warszawie. Pałac, który zamieszkiwał przechodził z Podwałą, ułatwiał wielce komunikacyą z Miodową ulicą. Ztąd téż, powracając ze szkół pijarskich, lub wychodząc do klasy, spotykałem, głównie w porze letniej, dwóch synów jego, bawiących się na obszernym dziedzińcu pałacowym.

Z uszanowaniem na tych wyrostków spoglądałem, słysząc o nich ciekawą opowieść.

Kiedy poseł turecki przybył do Warszawy za czasów Księstwa Warszawskiego, dowiadywał się, czy nie ma potomków Jana Karola Chodkiewicza, sławnego hetmana, co bił się z Turkami pod Chocimem 1621 roku, i gdzie na obozowém łożu życie zakończył.

Objasniono go, że żyje z prostęj linii Aleksander generał i ma dwóch synów. Ambasador Porty Otomańskiej życzył sobie ich zobaczyć. Przybył więc do tegoż pałacu i tu przyjęty został. Kiedy ujrzał generała i młodych następców, ambasador, zwyczajem wschodnim, oddał im hołd i pokłon, oświadczywszy, że czuje się nader szczęśliwym, iż mógł ujrzeć potomków tak wielkiego wodza.

To zdarzenie, postać Aleksandra Chodkiewicza, w oczach mieszkańców Warszawy ogromnie podniosło, a wiersz Kazimierza Brodzińskiego do niego pisany, pomiędzy młodzieżą spopularyzowało.

Zdarzyło się, że w jednej z najpierwszych w owe czasy księgarni warszawskiej u Natana Glücksberga na Miodowej ulicy, Brodziński zobaczył Chodkiewicza. Nieznany generałowi stał z dala w kąciuku, gdy Chodkiewicz zaczął głośno ubolewać, że mamy za wiele *poetów*, a za mało *filozofów*.

Chodkiewicz niewłaściwie użył wyrazu *poetów*, bo rzeczywiście w ową dobę z wyjątkiem jednego poety Brodzińskiego, mieliśmy tylko gładkich wierszopisarzy, a po za nimi gromadę wierszokletów i *rymarzy*. Ale znowu miał w tém prawdę za sobą, bo ci wierszopisarze nie wiele przynosili korzyści duchowych dla społeczności swojej.

Brodziński, chociaż zawsze cichy, potulny i skromny, nie mógł strawić tak stanowczo wyrzeczonego zdania przez człowieka, którego

słowo miało swoje znaczenie i powagę. Ujął się więc za *poetami*, ale prawdziwemi, jak ich sam dobrze pojmował i wróciwszy do domu, napisał wiersz:

„*Do Aleksandra hr. Chodkiewicza*,” który mu bezzwłocznie przesłał, a później w zbiorze swych pism (Warszawa 1821 r.) wydrukował. Początek jego tylko przywieziemy.

„Ty! co miłością kraju wiedziony stateczną,
Umiałeś nad rzecz piękną, przenieść użyteczną;
Co mogąc nie jednemu być wzorem poecie,
Rymy zaniechać, pierwszy dałeś przykład w świecie.
Słyszałem hrabio z boku, tobie nieznajomy,
Gdy mówiłeś w księgarni, przeglądając tomy,
Że kraj nasz ma pisarzy pełno bez użytku,
Filozofów za mało, poetów do zbytku!
Zacny w kraju *filozof* wyznać z tobą muszę,
Jest duszą, którą żyje milionów dusze;
On, z pochodnią przed ludem, wśród pomroku staje,
Trzaska kołczan z łukami, księgę praw podaje;
On drogą bezpośrednią do nieba dochodzi,
Nas do Boga przybliża, gdy do prawd przywodzi,
Zwalcza przesąd pijany, co światu niegodnie,
Zbrodnie za cnoty, cnoty wystawia za zbrodnie,
On, gdy z prawdy hańbiące pokrycie odziera,
Drży przemoc i fanatyzm, a lud łzy ociera.

Lecz i poeta godnie czując powołanie,
Niemniejszymi zasługi, przed ludzkością stanie:
On, do czynów zagrzewa, wykonane głosi,
Nim rycerz, on rycerzom chwałę kraju wznosi,
On, często więcej, niż król, niż mędrzec dokazał,
Nim ten zmusił, ów dowiódł, ten sercu już kazał.
On prawdę, której wstępu złość, pochlebstwo bronia,
Wiedzie w kwiaty ubraną, opiekuńczą dłonią.

Tysiąc mędrców ateńskich zwodzicieli gminu,
Uczyło cnoty z pisma, jeden Sokrat z czynu.
Poeta głosić winien stan serca i duszy,
Tylko co z serca idzie, to serce poruszy.
Cnotą musi być duszą wieszczą przenikniona,
Ten, kto Katona śpiewał, czuł cnoty Katona.
Pod hełmem Epikura, gdy Grecy zaspali,
Padły miasta i szkoły od sąsiedniej stali,
Ale sam ślepy Homer, szedł z wrogiem w zapasy,
Wyrwał i chwałę Greków doniósł w późne czasy.

Lecz nie sądźmy różnicy, ani zalet wielu,
Sądźmy tych, których uniósł geniusz do celu;
Tych karty, jak tych tony, gdy powiew rozniesie,
Nietknięty będzie Homer stał przy Sokratesie.
Bo, jak Bóg, równie w słońcu i w pyłku cudowny,
Tak i geniusz w mniejszém, większemu jest równy.
Śniadeckich, równa czeka w potomości chwała:
Ten głosi cuda świata, ten drobnego ciała.”

Chodkiewicz po przeczytaniu tego wiersza, starał się zapoznać z ich autorem, i jak mi później sam Brodziński opowiadał, to pierwsze bliższe ich spotkanie, było bardzo serdeczne. Odtąd stosunek ten trwał ciągle, dopóki Chodkiewicz nie opuścił Warszawy.

Zawód swój literacki rozpoczął, jak mówiliśmy od wierszy, bo tragedye Katona drukował w Wilnie 1809 roku, zanim oddał się wyłącznie chemii.

Było co oglądać w jego pałacu: bogata biblioteka, galerya obrazów i rycin, zbiór szacowny numizmatów i medali, jak narzędzi fizycznych i laboratorium chemiczne. Bawiąc czas jakiś w Wilnie, dla zachęcenia młodzieży do nauk, chemią w tamtejszym uniwersytecie, którego był członkiem honorowym, wykładał.

W Warszawie w tym pałacu zaprowadził najpierwszą litografią w kraju i długi czas własnym kosztem utrzymywał. Z niej wyszło piękne dzieło p. n. *Portrety wstawionych Polaków z ich opisaniem* (Warszawa 1820 r.), złożone z czterdziestu popiersi, rysowanych przez Walentego Śliwickiego, do których opisy skreślił sam Chodkiewicz. Napisał nadto Żywoty Tadeusza Kościuszki i Henryka Dąbrowskiego. Oglądałem wszystkie zbiory w tym pałacu przy pomocy dwóch młodych Chodkiewiczów, z którymi się bliżej zapoznałem. Patrząc na nie, na liczną gromadę służby i dworzan, jakież było moje zdziwienie, gdy, wracając z klasy do domu i mając przejść przez pałac, ujrzałem od ulicy Miodowej i w samym dziedzińcu tłumy żydów i różnorodnych postaci. Dowiedziałem się wtedy, że za długi, wierzyciele wszystko sprzedają, a sprzedaż zaczęła się od galeryi obrazów.

Na dole, od ulicy, drzwi były otwarte, wszedłem do pokoju, na którego ścianach pozawieszane były obrazy zabrane z galeryi górnej Chodkiewicza.

Spojrzenie moje przyrosło najprzód do niewielkiego obrazu, przedstawiającego szturm i zdobycie Zamościa na Austryakach 1809 r. Kiedy chciwie rozpatruję szczegóły i rozliczne postacie, słyszę jakiegoś pana słowa:

„Za ten mały obrazek (mówił), wiem, że hrabia sam dał tysiąc dukatów. Zbliżyłem się więc i spojrzałem. Był to obrazek może pół łokcia wysoki, a na nim przedstawiony niedźwiędź, duszony przez dwa ogromne duńskie brytany.

Komornik siedział przy stoliku, a woźny donośnym głosem obwoływał przedmiot na sprzedaż wystawiony i cenę. Żal mi serce ścisnął, uczułem łzy w oczach i uciekłem co rychlej, na podwórze, gdzie gwar ciągle coraz wzrastał.

Pierwszy raz ujrzałem upadek wielkiego domu! Chodkiewicz opuścił Warszawę i już go więcej nie widziałem. Niedługo potem w roku 1824, sprzedano i ten pałac, a nowi właściciele zmienili jego postać zewnętrzną; wewnątrz bowiem dotąd wspaniałe pokoje i sale obszerne, wysokie, przypominają siedzibę magnata polskiego.

W podwórzu po lewej stronie, wchodząc od Miodowej ulicy w oficynie, mieściła się kaplica wyznania anglikańskiego. Była to sala obszerna z chórem, którą następnie zajmowała słynna kawiarnia Honoratki.

Pałac Chodkiewicza prawém skrzydłem swych oficyn, zajmował całą potać małej uliczki Kapitulnej, aż do Podwala. Uliczka ta nazwę swą wzięła od tego, że cała przestrzeń gruntu, którą obecnie zajmują domy murowane, do czasów Jana III, była wyłączną własnością kapituły warszawskiej.

Warto wspomnieć, że na przeciwnej potaci, w kamienicy pod N-rem 538 (nowy 3), przez lat wiele przemieszkiwał Tomasz Święcki; w tym skromnym lokalu na pierwszym piętrze, przygotował drugie wydanie: „*Opisu starożytnej Polski*,” który wydał w roku 1828 w Warszawie i opracował: „*Historyczne pamiętniki znamienitych rodzin i osób dawniej Polski*,” które pozostawił w rękopiśmie.

Dom ten zachował nietkniętą swoją dawną, zewnętrzną postać. Na pierwszym piętrze Święcki zajmował mały, chociaż główny lokal z gankiem od ulicy. Wchodziło się wprost z sieni do dużego pokoju, który był zarazem salą bawialną do przyjęcia gości, biblioteką i sypialnią, bo w otwartej *nyszy* stało łóżko jego wązkie, twardo zasłane, a nad niem, pod obrazem Matki Bożej Częstochowskiej, wisiała karabela w jaszczur oprawna. Główną ścianę i boczne, zajmowały wysokie szafy pełne książek. Był to zbiór wielce cenny, złożony z najważniejszych dzieł do dziejów i literatury ojczyźnych. Ileż tu drogich dla serca mego chwil miłych przepędziłem ze Święckim! Tu on mi się spowiadał z całego życia, z myśli i uczuć swoich! Staje przed oczyma mojemu dostojna postać tego zacnego człowieka. Wysoki, topolowej postaci, ruchem i obejściem przypominał szanowne postacie ojców naszych; powagę też i właściwość w każdym ruchu, do dawnego stroju polskiego zachował, lubo już nie używał kontusza i żupana, ale rodzaj surduta czyli kapoty po za kolana, ze stojącym kołnierzem. Gdy czytał w miejscach wielkich czynem lub myślą wydatnych, (a pisał wtedy biografią znakomitych mężów polskich) uczucie rzewne albo gorący zapal, wybijały się zaraz na jego szlachetnym obliczu. Szczera radość napęniała jego serce, gdy wynalazł fakt nieznanym dziejowy, albo ważne jakie historyczne dzieło otrzymał. To była cała uciecha w samotnym życiu Święckiego,

poświęconém pracy i badaniom dziejów krajowych. Zrobił mi ten zaszczyt, że opowieść moją zdobycia Warszawy przez Jana Kazimierza, którą drukowałem w *Dzienniku Warszawskim* J. K. Ordyńca 1827 r. przy opisie tego miasta w drugim wydaniu *Opisu starożytnéj Polski* 1828 r. powtórzył w przypisku. Nasz autor urodził się w dziesięć lat po wstąpieniu króla Stanisława Augusta, we wsi *Kostkach* w dawném województwie Podlaskiem. Szczupła to była szlachecka fortunka. Młody Tomasz szkoły odbywał u księży *Komunistów* w Węgrowie, gdzie w piątym roku pobytu, otrzymał od pomienionego króla medal srebrny z napisem *diligentiae*. Stosując się do woli ojca, wszedł do grona *palestry drohickiej*. Właśnie trwał wówczas *sejm czteroletni*, którego czynnościom bywał częstó przytomny, odwiedzając Warszawę. Wysłany do Krakowa oglądał ostatni raz komnaty i sale zamku na Wawelu, w całości i ze starym przystrojem zachowane, gdyż wkrótce wszystko poszło w ruinę.

Po roku 1794 Święcki schronił się pod rodzinną strzechę, oddał się naukom, w których pociechę znajdował. Mając zamiar udania się do Legionów we Francyi zawiązanych, sam za pomocą tylko gramatyki zaczął się uczyć języka francuzkiego. Na gruntach wsi *Kostki* jego ojca, istnieje pagórek lasem sosnowym i gęstą krzewiną zarosły, *mogilkami* lub *grobami aryjanów* zwany; zaciśnięto wóstród starych mogił, było jego akademią. W trzy miesiące już tyle postąpił w nauce tego języka, że pierwszą książkę: *Życie Dumourier'a* z wielką radością, w całości pojął i zrozumiał. Dzieła Jana Jakóba Rousseau, które z upojeniem rozczytywał, na nowe tory myśli jego pchnęły; jeżeli z początku zaburzyły mu ducha, wkrótce dawny spokój powrócił i niczém nie zakłóciły w nim ani staréj od kolébki pobożności, ani skazy w charakterze nie przyniosły. Wiele miejscowości zwiedził; w roku 1807 ze Lwowa, gdzie bawił, wrócił do Księstwa Warszawskiego i w grudniu tegoż roku był obecny pierwszemu wjazdowi do Warszawy Fryderyka Augusta króla saskiego jako księcia warszawskiego. W roku 1809 armia austriacka niespodzianie wkroczyła. Dnia 19 kwietnia tegoż roku, w dzień bitwy pod *Raszynem*, znajdował się na okopach Warszawy od rogatek Jerozolimskich. Huk dział i płomienie palącego się Raszyna, słyszał dokładnie i widział. Świadek tylu przemian w narodzie, powziął szczęśliwą myśl, zebrania pamiątek przeszłości. Odtąd wykonaniu i zbieraniu do tego potrzebnych wiadomości, cały czas swobodny od zatrudnień obowiązkowych poświęcił. Na początku 1810 r., przypadkiem u Włocha znalazł na jednym arkuszu rysunek *pawilonów* okrętowych wszystkich narodów, a między temi spostrzegł bandery polskie. Pochwyciwszy ten ślad, z całym zapałem zaczął poszukiwania w dziejach, czy więcéj nie zdobędzie wyjaśniających szczegółów i w tym celu odbył podróż do Gdańska. Widok morza Bałtyckiego, pomniki w *Oliwie*, pamiątki historyczne w samym Gdańsku, zachwycały naszego badacza i nie małe mu do zamierzonej

pracy, przyniosły owoce. Wspomnienia te zachował w żywej pamięci do ostatnich chwil życia. Za powrotem do Warszawy, gdzie od roku 1808 był adwokatem przy Sądzie Apelacyjnym, wydał rozprawę: „*O Ziemi Pomorskiej, O panowaniu i żegludze Polaków na morzu Bałtyckiem.*” (Warszawa 1811 r.), załączając rysunek bandery królewskiej i polskiej. W r. 1816 wydrukował *Opis Starożytnej Polski* w 2-ch tomach, dzieło z niezwykle zapałem przyjęte od ogółu i wyczerpane prędko w handlu księgarskim, dało mu miejsce w *Towarzystwie Przyjaciół Nauk*. W tym mieszkaniu, opuszczając je raz ostatni, przed wyjazdem do wód w Busku, spoglądając na swój piękny księgozbiór, co stanowił w samotném życiu główną jego rozrywkę i przyjemność, nakreślił te słowa:

„Wam ulubione moje książki, wam winien jestem w dniach mojej samotności i melancholicznych rozmyślań pociechę, wzniesienie mych myśli i orzeźwienie w troskach i kłopotach. Wy moją duszę napelniacie rozkoszą, nadzieją i wzmacniacie do postępowania śmiałego w trudnym zawodzie życia. Wy jesteście dla mnie pocieszającami przyjaciół, bo w was znajdują się pociechy i rady dla każdego wieku i stanu. Wy chowacie tajemnicę uleczenia wszelkiego złego i trosków; Twórcy Najwyższego udział sztuką druku rozmnożony na pomoc i oświecenie człowieka w tej krótkiej, a pełnej skalistych przepraw, wędrówce życia. Począwszy od ksiąg świętych, potem starożytności wzorowych pisarzy; od Pliniusza i Tacyta, aż do Buffona, Bernarda S. Pierre i Sismondego: w ojczystych rzeczach od Długosza aż do Samuela Bandtkie'go, w dwóch tysiącach woluminów, które Opatrzność pozwoliła mi zebrać; napelniacie mój na wiek późny przytułek, w każdy dzień, w każdą godzinę, wy jesteście moją zabawą i prawdą, z wami przestaje, żyję i usypiam; w was znajduję to najulubieńsze i rozkoszy pełne zatrudnienie, którego najprzeciwniejszy los fortuny, wydrzeć mi do zgonu nie zdoła.”

Kiedym sędziwego badacza żegnał przed wyjazdem, jakby przeczuwał, że się już z sobą na tej ziemi nie zobaczymy; po uściskach serdecznych, dał mi na pamiątkę kartkę, obejmującą powyżej przytoczone słowa, a które, jak sam wyraził, były spowiedzią jego serca. I w tej chwili, gdy to piszę, mam ją przed oczyma; żółkła, ale wyraźne pismo z datą 28 kwietnia 1837 roku. Tegoż roku 6 września, zakończył życie w Busku, gdzie przy kościele tamecznym pochowanym został. Po trzydziestu siedmiu latach, patrząc na tę kartkę, staje mi żywo w pamięci ukochana a tak szlachetna postać Świeckiego, który z serdeczném uczuciem przyjaźni, wspierał mnie i dodawał otuchy w literackim zawodzie!

Parę domów pominąwszy za uliczką Kapitulną, jest pałac pod N-rem 482, w którym 1794 roku przemieszkiwał generał Igelstrom, ambasador cesarzowej Katarzyny II. W tymże roku, głównie od ulicy Podwale, był zniszczony, a sterzące ruiny przez długie lata

stojąc, smutny widok sprawiały ¹⁾. W tym pałacu związało się Towarzystwo Resursy Kupieckiej i przebywało przez lat ośmnaście.

Za jedną kamienicą dalej, wznosi się gmach obszerny, zwany *pod kolumnami* albo *pod filarami*, wychodzący aż na Podwale, (obecnie własność Dyzymańskich), w którym przemieszkiwał głośny Jan Potocki, głęboki badacz historyczny i podróżnik.

W tym pałacu *pod filarami* (N-r 481), mieściły się składy najmodniejszych towarów, pierwszych kupców Warszawy i przy nich osiedlił się najprzód Szymon Chovot Francuz, który miał sławną restauracyą. Szlachta wiejska gromadnie się tu zbierała, a lubo wielu z nich, nie umiejąc po francuzku, jak los zdarzył z jadłospisu w tym języku, wybierała potrawy i ze czczeniem wychodziła żołądkiem, moda tak była przeważna, że zapędzała ich tłumnie do tego Francuza. Później Chovot, na drugiej stronie w pałacu Kenera na téjże ulicy, przeniósłszy restauracyą swoją, urządził hotel pod nazwą: „*Hôtel de l'Europe*,” ale po kilku latach musiał go zamknąć.

Wracamy się do placu *Krasińskich* i zaczynamy od lewój połaci ulicy Miodowój wprost gmachów popijarskich.

Pierwszy dom narożny od Długiej ulicy, wart wspomnienia, gdyż w nim urodził się Jan Wawrzyniec Rudawski w roku 1617, historyk znakomity dziejów Jana Kazimierza; kamienica ta (oznaczona N-rem 489), była własnością jego ojca, mieszczanina warszawskiego ²⁾. Zaraz drugi dom za nim, (dziś własność bankiera Stanisława Lessera), ma tę osobliwość przechowaną, że w głębi podwórza jest stary dworek modrzewiowy, zabytek budownictwa z XVII stulecia, zachowany wybornie. Za moich czasów była do niego przywiązana tradycya, że tu mieszkała Gryzelda z Zamojskich księżna Wiśniowiecka, matka króla Michała Korybuta, który na polu elekcyi pod *Wolą*, niespodziewanie wyniesiony na tron tu przybył, a upadłszy swój rodzicielce do nóg, prosił ją o błogosławieństwo. J. U. Niemcewicz w stalocycie przy *Spięwach historycznych*, scenę tę przedstawił rysowaną przez Laurę Potocką ³⁾.

¹⁾ W pałacu tym od Miodowój ulicy, przed kilką laty, mieściła się księgarnia polska i zakład litograficzny Dzwonkowskiego. Dziś jest własnością obywatela Mrozowskiego.

²⁾ Dzieje te przełożone z łacińskiego przez Włodzimierza Spasowicza, wyszły nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu 1855 r. we dwóch tomach p. n. „*Historja Polsku od śmierci Władysława IV aż do pokoju olińskiego, czyli dzieje panowania Jana Kazimierza, od 1648 do 1660 roku.*”

³⁾ „Po dwunastej godzinie w nocy (mówi ówczesny rękopism), gdy nowy król uwolnił się od otaczającej go pompy, jechał *inognito* do matki swojej księżnej Wiśniowieckiej, która stała na Senatorskiej ulicy, w pałacu drewnianym księdza Prazmowskiego Prymasa; wszedł z tyłu ogrodem: uprzedzona matka spotkała go na pół drogi. Syn upadłszy jej do nóg, o błogosławieństwo

W murowanej kamienicy od ulicy, w wystającym załamie dotąd widocznym, mieszkał D-r Lafonten, a następnie jego wdowa, z zamężną córką, generałową Zofią Haukową i drugą panną Wiktoryą.

Dwie te siostry, szczególne przedstawiały przeciwieństwo z sobą: generałowa była bruneta, smągła i oczy miała, jak jej matka czarne; młodsza Wiktorya, niższa, lepszej tuszy, jasna blondyna, oczu niebieskich, przypominała więcej ojca.

Obok tego domu stoi pałac z obszernym dziedzińcem, z bramą kratowaną od ulicy, a w głębi z ogrodem, który był od roku 1800, własnością cukiernika Nesti. Ten obok najświetniejszej cukierni, założył i restauracyą powszechnie wziętą, do której najchętniej elegancka młodzież ówczesna i bogaci panowie zachodzili. Jak zapamiętam, pałac ten był już własnością Kenera, kroaty, który szczęśliwym wypadkiem przyszedł do jego posiadania.

Książę Józef Poniatowski, synowiec króla Stanisława Augusta, w młodych latach, poświęciwszy się zawodowi wojskowemu, wszedł do armii austriackiej, działającej przeciwko Turcyi. Wstęp miał wielce ułatwiony przez to, że ojciec jego Andrzej, był generałem wojsk austriackich, a matka hrabianka Teresa z Kińskich, należała do znanych arystokratycznych rodów w Austrii. Sam się jednakże urodził w Warszawie d. 7 maja 1763 r., kiedy stryj jego marzył dopiero o tronie.

Pierwsza to była wyprawa młodego księcia Józefa. W obozowym życiu upodobał sobie, a wesołe grono rówie młodych towarzyszy broni, przyjemne dawało życie. Właśnie gotowano się do szturm miasta *Sabacz*, gdy ukazała się banda wędrownych Cyganów. Stare cyganki, jak zwykle wróżyły, namówili go więc koledzy, aby i on podał swą dłoń drobną i białą. Wróżbiarka długo się w nią wpatrywała, wreszcie wyrzekła: „żeby się strzegł *sroki* (*Elster*), bo ona będzie powodem jego śmierci.”

Śmiech ogólny młodych towarzyszy zawtorował téj wróżbie: niektórzy radzili, ażeby, jak tron polski po stryju bezdzietnym obejmie, wydał dekret, na wyniszczenie wszystkich *srok* w całym kraju.

prosił. Matka temi przyjęła go słowy: „Miły synu! witałam cię wczoraj, jako syna, a dziś witam, jako króla. Dziękuję dziwnej Opatrzności Bożkiej, że cię między wszystkimi nad wszystkimi mieć chciała; a gdy cię Bóg na tronie polskim posadził, znajże się być ozłowiekiem skazie podległym.” Tu płaczącego, sama z płaczem ścisłała; zabawiwszy godzinę, król powrócił na zamek.“ O pałac Prażmowskiego na Senatorskiej ulicy, daremniem dopytywał, ale powszechna tradycya ten na Miodowej ulicy dworek modrzewiowy, właśnie wskazywała za mieszkanie księżnej Gryzeldy. Tomasz Święcki i Skorochód Majewski metrykant koronny podanie to mi zatwierdzali, a Święcki pokazywał mi w nim obszerną komnatę, gdzie się ta scena rzewna między synem a matką odbyła.

Kerner był obecny w tój chwili. Wkrótce książę Józef był przeznaczony na *rekonesans* w okolicy *Sabaczu*. Młody dowódzca tego oddziału, nie był dosyć ostrożnym i wpadł na przewyższające siły Turków. W nierównej walce poległ, wraz z większą połową jeźdźców swoich i książę Józef nie wyszedłby cało, gdyby nie przytomność, odwaga i poświęcenie Kenera, który go od ciosów śmiertelnych osłonił i bezpiecznie z tój gorącej potyczki uprowadził. Nazajutrz przy szturmie do *Sabaczu*, młody książę ciężko został ranny.

Książę Józef przez wdzięczność dla dzielnego kroaty, po wyjściu ze służby austriackiej, wziął go z sobą do Warszawy, trzymał przy swoim dworze w pałacyku *pod blachą* przy zamku królewskim i kupił dla niego w r. 1810 ten pałac od Nestego.

Znałem Kenera z blizka: średniego wzrostu, krępy, już dobrze pobielał od siwizny. W obejściu był bardzo gładki. Widziałem u niego rycinę kolorowaną, jak księcia Józefa rannego, na noszach żołnierze dźwigają. Onto przypominał ową wróżbę cyganki, a gdy się sprawdziła, kiedy w Elsterze książę Józef utonął, Kerner gorącemi łzami opłakiwał zgon swego dobrego pana i dobrodzieja.

Obok o ścianę pod N-rem 493 tak zwany „*pałac Pava*,” Gmach ten był własnością książąt Radziwiłłów, rozgłośny za Augusta III, hucznemi zabawami, balami i szulerką, które znowu odżyły w środku panowania Stanisława Augusta. Zapamiętam wiele osób, które miewały w nich udział i pokazywano mi oryginalną *figure*, którą zwano *hrabią Alfonssem*, słynnego gracza, co kilkakrotnie banki w tym pałacu rozbijał, ale w końcu sam milionową fortunę stracił. Próźniak, człowiek bez czci i wiary, w arystokratycznych domach znajdował jak najuprzyjemniejszego przyjęcia. Wysokiego wzrostu, pochyło się nieco trzymał. Głowa gęstym zarosła włosem, zawsze była starannie ufryzowana w loki i lekko pudrowana. Oblicze miał podłużne, rysy twarzy kształtne i regularne, oczy duże, niebieskie. Mówił biegle po francuzku z *akcentem paryżkim*, nad czém panie wielkich domów się unosiły, ale co osobliwsza, że równie był biegły w językach: angielskim, niemieckim i włoskim, któremi mówił lepiej, niż rodowitym. Śpiewał prześlicznie, grał na skrzypcach znakomicie, ale lepiej jeszcze grał w karty. Dworzanie króla Stanisława Augusta, opowiadali mi o jego czynie, jako bohaterskim, który miał miejsce w sali wielkiej tego pałacu, który w owe czasy nosił nazwę *Radziwiłłowskiego*, bo rzeczywiście do tój rodziny należał.

Grano grubo, złoto w wysokich stosach leżało na dużym zielonym stole; hrabia Alfons wygrał już dziesięć tysięcy dukatów, gdy któryś z graczy co mu kieska schudła nagle, zrobił zarzut że to szczęście jego strasznie dziwnie wygląda. Na te słowa hrabia Alfons zerwał się z krzesła, stół ze złotem obalił na ziemię, które się po całej sali rozsypało, a przystąpiwszy do robiącego zarzut, wziął go za czuprynę i wyciął mu w nos takiego szcztuka, że się krwią zalał. Na trzeci dzień strzelano się w Jeziornie i hrabia Alfons zuchwałego

oszczercę na miejscu trupem położył. Zdarzenie to podniosło go w oczach tłumu do godności bohatera, ci roztrębywali najgłośniej jego sławę, co rozsypaném złotem wypełnili swoje kieszenie. Ze był szczęśliwym do kobiet, wnosił niepokój i rozpacz do wielu rodzin, ale jak dobrze chłopskie mówi przysłowie: „nosił wilk owce, ponieśli i wilka“.

Majster szewc ze Starego Miasta miał śliczną, młodą żonę. Wielu się o jęj względy daremnie ubiegało: hrabia Alfons zrobił gruby zakład że ją uwiedzie w ciągu miesiąca. Jakoż udało mu się pozyskać jęj wymowne spojrzenie i wiele obiecujący uścisk ręki. Wreszcie na umówioną schadzke w rynku Starego Miasta stawił się o naznaczonej blisko północy godzinie; ale jakież go smutny zawód spotkał. Piękna pani majstrowa wszystko opowiedziała mężowi, którego szczerze kochała, a pan majster postanowił wyleczyć pana hrabiego z tak gorącej miłości. Co zaszło w kamienicy gdzie mieszkali państwo majstrowie nie wiadomo, widziano tylko że pan hrabia Alfons o swęj sile wyjść nie mógł i wyniesiono go ztamtąd do karety co w oddali nań czekała, w której miał uwieźć piękną szewcowę. Doktor tylko Bergonzoni późnziej opowiadał, że takie mu *cięgi* sprawili, iż cały miesiąc odleżać musiał, zaczęm zdołał chodzić o swojęj mocy. Od tęj chwili z demokraty stał się zaciekłym arystokratą i zerwał zupełnie z nizekzemnym gminem. Zachował on wiele szczegółów z dziejów tego pałacu, balów w nim i szlachetnej jak sam wyrażał gry w karty. Żył długo, bo umarł dopiero po pogrzebie księcia Józefa Poniatowskiego w 1814 roku.

Tu przy bramie tego pałacu odegrał się dramat głośny w czasach panowania Stanisława Augusta, bo porwanie tegoż króla przez konfederatów, dla uwiezienia go z Warszawy.

Wypadek ten rozmaicie był objaśniany: my tu tylko podamy wierny opis zdarzenia, na które mury pałacu Radziwiłłowskiego i poblizszych gmachów patrzyły.

Dnia 3 listopada 1771 roku, król wybrał się w odwiedziny księcia kanclerza Czartoryskiego, który pałac ten zajmował z licznym dworem. Pomiedzy dziewięcią a dziesiącą wieczorem wracał do zamku. Noc była ciemna i chłodna jak zwykle w listopadzie, mgłą się wełniła gęsto i pomrokę zwiększała.

Kareteę poprzedzało dwóch konnych ze służby zamkowej z pochodniami w ręku: za nimi oficerowie dyżurni, dwóch dworzan i masztalerz. Z królem jechał w karecie adjutant, dwóch paziów obok niej, a dwóch hajduków w tyle stało za pojazdem.

W tęj właśnie chwili oddział konfederatów, który skrycie się przedostał do Warszawy, złożony z trzydziestu konnych pod dowództwem Jana Kuźmy, wypadł z Kapitulnej uliczki i wśród mglistej nocy kareteę oskoczył i wstrzymał. Hajduk Butzau, który stał w obronie pana swego przy drzwiczkach karety, padł od kuli pistoletowej w samo serce trafiony. Stanisław August korzystając z głębokiej pomroki, wysunął się szczęśliwie z karety, dobiegł do bramy pałacu z którego tylko co wyjechał, ale zastał ją zamkniętą.

Wtedy wystrzał z pistoletu odkrył miejsce gdzie stał, zkąd porwany, na konia wsadzony i za okopy miasta wywieziony został. W tym popłochu król zgubił trzewik, dano mu więc w miejsce takowego but z długą cholewą i tak o jednym trzewiku a drugim bucie opuścił mury swój stolicy. Kiedy i kapelusz swój zgubił, Kuźma dał mu od jednego towarzysza czapkę i pierwszy raz Stanisław August miał ją na głowie i uznał jój pożytek wśród zimnej listopadowej nocy.

Oddział Kuźny pędził z królem ku rogatkom Marymonckim, zkąd skręciwszy na lewo, przybył do zabudowań młyna wodnego w Marymoncie. Młyn ten stoi dotąd w tém samym miejscu. Tu przywiódłszy więźnia swego, Kuźma pozostał sam z królem, a widząc jego przerażenie i blizkie omdlenie, bo rana w głowie niewiadomo przez kogo zadana, dolegała wśród słotnej nocy, upadł mu do nóg ofiarując usługi swoje, oddając się na łaskę i niełaskę.

Stanisław August z tego młyna wtedy wysłał ze swą kartką posłańca do Warszawy i wkrótce w pełnym galopie nadbiegła gwardya pod dowództwem generała Kokceja z karetą i w niej szczęśliwie do zamku król wrócił. Kuźma z nim przybył, a w procesie wytoczonym w tój sprawie, osobiście Stanisław August stanął w jego obronie i wymownym głosem skłonił sędziów do jego niewinienia.

Kuźma skazany na wygnanie, osiadł we Włoszech, mając dożywotnią pensję od króla 500 dukatów wyznaczoną, ale po jego śmierci w Petersburgu, wrócił do Warszawy i tu dnia 12 czerwca 1822 r. zakończył życie.

Znałem go osobiście, nieraz na kolanach posadziwszy opowiadał mi stare podania i powiastki ludowe, ale nigdy nie dotknął najmniejszém wspomnieniem tego wypadku. Był wyniosłego wzrostu, smagłej postaci, twarz ściągała długa, nos duży, czoło wysokie, które podnosiła łysina: siedł z tą pewnością co znamionuje czerstwość i siłę. Ubiorem jego była długa granatowa kapota, kroju żupana ze stojącym kołnierzem, buty juchtowe z długimi cholewami po wierzchu spodni i czapka rogatywka. Codziennie chodził na mszę św. do Fary i tu gorąco się modlił przed kaplicą Pana Jezusa.

Porwanie to nadało tój miejscowości szczególny urok w oczach mieszkańców Warszawy: pałac Radziwiłłowski, ulica Kapitulna i młyn w Marymoncie otoczyło historyczne wspomnienie.

Całą tą wyprawą, jak teraz już dowody mamy pewne, kierował Stanisław Strawiński, rotmistrz starodubowski, postać wydatniająca w znakomitej historycznej powieści: *Listopad*, Henryka hr. Rzewuskiego. Charakter to szczególnego hartu godny uwagi. Z głębi Litwy nagle się w murach Częstochowy pokazuje Kazimierzowi Pułaskiemu w chwili smutnej, gdy konfederacya już się chyliła do upadku, po przejściu Zaremby ze swemi hufcami na stronę królewską. Zamiar jaki uknuł sam, porwania króla Stanisława Augusta z Warszawy, przywiezienia do Częstochowy i postawienia go na czele konfederacyi, chował głęboko w sobie. Pułaskiemu oświadczył gotowość służe-

nia pod jego rozkazami i jako z dalekich stron przybyły oddał się kilkudziesięciu dewocyi. Modlił się gorąco przed obrazem cudownym Matki Boskiej, spowiadał i komunikował, poczem zażądał od niego ordynansu do najbliższego stanowiska konfederatów pod Warszawą, aby mógł w nim znaleźć pomoc do zebrania hufca jazdy, z którymby potrafił szarpać nieprzyjaciela. Pułaski żądany mu dał ordynans do Walentego Łukawskiego rotmistrza stojącego wówczas ze swą kolumną w Zakroczymiu. Poznawszy go bliżej Strawiński, odebrawszy od niego przysięgę, utajony swój zamiar mu odkrył również jak Kuźmie i obaj przyrzekli swoje poparcie czynne. Przy ich pomocy przebrany hufiec konfederatów dostał się do Warszawy i w stajniach obszernych zabudowań dominikańskich na Freta ulicy, przy klasztorze znalazł wygodne i bezpieczne schronienie. Strawiński następnie sam udał się do zamku dla powzięcia wiadomości o wyjeździe króla dla odwiedzin kanclerza: Kuźmę postawił w trzydzieści koni na Kapitulnej ulicy, z kąd napad wykonany został.

Strawiński, ze swoim oddziałem czekał na Kuźmę i na schwytanego króla za rogatkami Marymonckimi, w zagaju na lewo, bliżej wybrzeża Wisły, tymczasem Kuźma wbrew umowie i rozkazowi, zamiast ku tej stronie się skierować, zwrocił na prawą, przeciwną i jeńca swego do młyna marymonckiego doprowadził. Gdy tym sposobem zamach spełzył na niczem, rozsypany się trwogą uderzone hufce Strawińskiego i Łukawskiego, obaj zaś wkrótce schwytani i w więzieniu osadzeni zostali. Wyrokiem nadzwyczajnego sądu skazani zostali na karę śmierci, gdy Kuźma ocalał. Kiedy jednakże dzień egzekucyi nadszedł, już w więzieniu Strawińskiego nie znaleziono, poprzedniej bowiem nocy jeden z książąt Sapiehów go wykradł i wywiózł za granicę. Wyprowadzono więc prostego kryminalistę oddawna na śmierć skazanego i w jego miejsce stracono.

Łukawski zginął na szafocie, żona jego zmuszona patrzeć na śmierć ukochanego męża, padła trupem, bo jej serce pękło z bólu.

Strawiński dostał się do Rzymu, gdzie przywdział habit mniszy: za czasów Księstwa Warszawskiego wrócił do kraju i w Augustowskim był proboszczem. Bliżej go znający zapewniali, że napisał o całym tym wypadku pamiętniczek, który się przechowyuje w jego rodzinie w Wielkiem Księstwie Poznańskim ¹⁾.

W kościołku na Cmentarzu Powązkowskim w wielkim ołtarzu jest obraz św. Karola Boromeusza, na boku którego odmalowaną jest scena, gdy Kuźma kłęczy u nóg króla. Obraz ten w roku 1793 ofiarował tu brat rodzony Stanisława Augusta, książę prymas Michał Po-

¹⁾ Szczegóły te o Strawińskim otrzymałem od Protu Lelewela rodzinnego brata Joachima, a żyjącego właściciela ziemskiego w pobliżu Mińska na Mazowszu. Za jego wskazówką robiłem poszukiwania dla otrzymania pamiętnika Strawińskiego, ale te dotąd były bezskuteczne.

niatowski; w rok sam tu spoczął w katakumbach, a we dwadzieścia dziewięć lat w mogile ziemnej złożono zwłoki Jana Kuźmy, sędziwego już starca, bo w 80-m roku życia zmarłego.

U Skorochoła Majewskiego metrykanta koronnego, w jego domu na Święto-Jańskiej ulicy, widziałem obrazek mały, jedwabiem wykonany z dziwną subtelnością, przedstawiający scenę w młynie marymonckim, gdy król spoczywa na łożu, a Kuźma przy nim straż trzyma.

Na obrazie zaś w kościółku pomienionym, postać Kuźmy ma być portretowaną i jedyny to jest jego wizerunek. U Tomasza Święckiego widziałem olejne popiersie starego młynarza z Marymontu, w którego mieszkaniu król znalazł chwilowy spoczynek tej nocy listopadowej ¹⁾. Pałac ten jak zapamiętam już stał zrujnowany, okna wielkie powybijane, drzwi powyrywane, przedstawiał obraz pustkowie. Nosił zawsze nazwę *Radziwiłłowskiego*.

Dopiero w roku 1824 zakupił go Ludwik Pac, b. generał b. wojsk polskich i francuzkich i dał mu kształt jaki do dzisiaj przecho-

¹⁾ Konstanty Słotwiński w przypisach do dzieła: „*O Polsce, jej dziejach i konstytucyi*“, dzieło w języku niemieckim przez Franciszka Józefa Jekla ułożone, a przez Konstantego Słotwińskiego spolszczone, poprawione i przypisami pomnożone.“ Lwów 1819—1823 r. Tomów IV, nakładem Karola Wilda; w tomie pierwszym pisze: „Wielu współczesnych wszelkiej wiary godnych mężów zaprzeczają tej całej wieści o porwaniu i o innych poprzednio namienionych zamachach.“ Całe to zdarzenie uważa na hańbę narodu wymyśloną bajką. Umieszczono ją—dodaje—najpierw z powieści Anglika *Wraxal*, w dziele: *Voyages de Coxe*, a na jego wiary powtarzali ją niemal wszyscy o Polce piszący cudzoziemcy. Rulhiere pisze: „Podobało się sąsiadom oczernić powstańców (konfederatów) obwiniając ich o królobójstwo“. Niemal cała Europa była tego samego zdania, ale światli i rozsądni ludzie nie czepili się ślepo tego urojenia, lub też nieśmieli go rozgłaszać. Gdy się zajęto dochodzeniem tej zbrodni, w kilka miesięcy potem, niechętno słuchać oskarżycielów, chcąc tym sposobem udowodnić, że nie było żadnego spisku na życie króla (*Histoire de l'anarchie de Pologne* T. IV, str. 244—245). Całe zdarzenie opisaliśmy powyżej wiernie, fakt porwania króla Stanisława Augusta nie ulega wątpliwości, ale obok tego jest rzeczą niezawodną, że nie było myślą nastawiania na jego życie, ale postawienie go jedynie na czele konfederacji barskiej. Zarzut o królobójstwo zręcznie podsunięty, był najstraszniejszą bronią przeciw temu związkowi. Daremnie z tego zarzutu oczyszczał się mąż szlachetny i wielkiej prawości, jakim był Kazimierz Pułaski; własnoręczną jego obronę schowano do tajnego archiwum króla Stanisława Augusta, a wojownik ten czysty i nieskazony, złamany niekoczemną oszozerstwem, opuścił warowne mury Częstochowy i w Ameryce pod *Savannah* położył życie. Za dni naszych dopiero krytyka historyczna oczyściła z pod zarzutu szanowne imię bez skazy Kazimierza Pułaskiego.

wuje. Gmach stary przebudował, a od ulicy Miodowej zupełnie wznosił nowe budowle.

W tym pałacu w oficynie za czasów króla Stanisława Augusta przemieszkował i miał swoją pracownię, znakomity w tém stuleciu malarz polski Szymon Czechowicz i tu w dniu 21 lipca 1775 roku zakończył życie.

Ścianą murowaną pałac Paca dotyka kościoła OO. Kapucynów, który król Jan III Sobieski wystawił, zakonników sprowadził i uposażył. W wielkim ołtarzu obraz Przemienienia Pańskiego, nad nim mały przedstawiający św. Wojciecha, oba są pędzla wspomnianego malarza Czechowicza, który rad się w tym kościele modlił, tak blizkim swojej pracowni.

Świątynia jedna z mniejszych w Warszawie, ale dla pobożnych mieszkańców szczególny powab mająca. Nabożeństwa ciche, bo głos organu tu nie zabrzmiał, ani téż żadna muzyka i śpiewy na chórze, grobowej ciszy nie zamącały.

Tu zgromadzała się na nabożeństwo arystokracja polska i z poblizszych ulic mieszkańcy, którzy pragnęli w głębokim spokoju modlić się ze skruczą.

Najwydatniejszym pomnikiem w te czasy był tu z czarnego i białego marmuru grobowiec Anny z Korzeniowskich Pocięjowej. W téj świątyni w podziemiach kościelnych spoczywały zwłoki Jana Sobieskiego przez lat trzydzieści, zanim je na Wawel do Krakowa przewieziono. W osobnej kaplicy serce Augusta II, *mocnego* złożono: pomnik orły polskie otaczały. W dniu 26 czerwca 1830 odbył się uroczysty obrzęd pogrzebu serca króla Jana III, na którym wymownym głosem uczcił pamięć oswobodziciela Wiednia ksiądz Viater Piotrowski, prowincyał prowincyi polskiej zakonu kapucynów ¹⁾. Był to obchód pamiętny dla mieszkańców Warszawy, a gdy oddzielną kaplicę pod nazwą *Jana Sobieskiego* ozdobnie urządzono, tłumy ich ciągle ją odwiedzały.

Duży ogród otaczał zabudowania klasztorne, od ulicy osłonięny wysokim murem, który dochodzi do wielkiego pałacu Teppera, słynnego bankiera w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta, z bogactw, zaufania i bankructwa, które mnóstwo rodzin polskich do nędzy przywiodło.

Architektura nieosobliwa: zewnątrz podobna do wielkiej skrzyni, ale wewnątrz urządzenie wspaniałe, pokoje obszerno i wysokie.

¹⁾ Mowa religijna przy uroczystym obrzędzie pogrzebu serca Jana III króla polskiego w kościele OO. Kapucynów, jako najlaskawszego tychże zakonu do Polski introduktora i klasztoru warszawskiego fundatora, miana d. 26 czerwca 1830 r. przez księdza Viatora Piotrowskiego prowincyała prowincyi polskiej tegoż zakonu (Warszawa 1830 r. w 12-ce, str. 26).

Dotyka tego gmachu i zamyka po tój połąci rząd domów Miodowój ulicy pałac zwany „Biskupów Krakowskich“ (dziś Piotrowskiego) pod Nr. 496. W końcu XVI stulecia w tём miejscu, (1597 r.) stał obszerny dwór margrabiów Brandeburskich, w którym przemieszkiwali książęta pruscy, gdy stawali do składania hołdów królom polskim, lub przybywali w swoich potrzebach do stolicy Rzeczypospolitéj. Król Władysław IV z rodzeństwem swoim będąc właścicielami takowego, darowali na mieszkanie dla biskupów krakowskich. Przebudował go ozdobnie i w dzisiejszym prawie stanie zostawił słynny biskup krakowski Sołtyk. Bawiąc w Warszawie zamieszkiwał go sam z licznym dworem. Tradycya, która się pomiędzy mieszczanami warszawskimi przechowała, opowiadała co za wielka moc była jego dworzan i służby. Miał on swoich paziów i własną dragonią, a gdy z tego pałacu wyruszała jego karetą, piérwszy hufiec orszaku księcia biskupa już wjeżdżał w bramę królewskiego zamku. W końcu zeszłego wieku przeszedł na własność rządu. Tu się mieściły sąd apelacyjny, handlowy i sądu pokoju. Na dole był głośny handel win kupca Strykowskiego, który urzędnicy sądowi jak i adwokaci licznie odwiedzali ¹⁾.

Częścią ulicy Senatorskiéj zwracamy się na plac króla Zygmunta, ażeby odwiedzić stary zaunek warszawski.

¹⁾ Ogromny ten pałac na dwie ulice wychodzący, w r. 1822 oszacowany na milion dwadzieścia pięć tysięcy złotych, puszczony był na loteryą klasyczną. Czterech żydów wygrało go w roku następnym, od których nabyli go dwaj obywatele Warszawy: Tomasz Czaban i Łukasz Piotrowski; następnie, sam Piotrowski spłaciwszy Czabana, właścicielem został. Wysokie sale od Miodowój ulicy, które stanowiły jedno tylko piętro, przerobił na dwa i na dole od Senatorskiéj ulicy długi rząd sklepów urządził. Pałac ten w rękę rodziny Piotrowskich obecnie pozostaje. Pragnący więcéj szczegółów o domach na ulicy Miodowój znajdzie w wybornéj monografii F. M. Sobieszczańskiego uczonego archeologa, który oddawna opracował historyczny opis miasta Warszawy. Z tego co znamy, możemy wnioskować, że będzie to praca jedyna w tój gałęzi literatury naszéj i zajmie najpiérwsze miejsce. Żałowałoby potrzeba że znamy tylko urywki, a całości doczekać się nie możemy, lubo gotowa pod prasę drukarską.

X.

Zamek warszawski.— Stan jego od roku 1815 do 1830.— Sula tronowa. — Sala balowa.—Sala Rycerska.—Sala marmurowa.—Wizerunki królów polskich. Marcelli Bacciarelli.—Posąg Zygmunta III: jego wróżby, projekta ozdoby Warszawy.—Zjazd nowy do Wisły.—Sprowadzenie wody bieżącej do miasta.— Droga pod Wisłą.—Katedra czyli kościół świętego Jana.—Grobowe pomniki: Ostatnich książąt mazowieckich—braci Wolskich—Zygmunta Kazanowskiego.—Bartłomiej Nowodworski.—Pieśń Boga Rodzica.—Pomnik Stanisława Małachowskiego. Skarbiec katedralny.—Galerya łącząca Katedrę z Zamkiem.—Brama Zamkowa.—Hold Elektora Brandeburskiego.—Taras Zamkowy.—Wylew Wisły.— Straszna klęska.—Ratunek dawany.

W tém miejscu, gdzie dziś jest zamek królewski, stał kiedyś drewniany dworzec książąt mazowieckich, którego ściany zdobiły drogocenne gobeliny i dywany tureckie. Królowa Bona, wyjeżdżając na zawsze z Polski, opuszczając ten dworzec, obdarła wszystkie z tych kosztownych obić i zabrała do Włoch z sobą.

Zygmunt III przeniósłszy stolicę z Krakowa do Warszawy, zamek cały w ten kształt jak go dziś widzimy wymurował, i wyniosła nad nim postawił wieżę, która jak napis na tarczy zegarowej świadczyła, w roku 1622 ukończoną została.

Trzy miał podziały wtedy zamek: w pierwszym *Kastellu* gród czyli sądy warszawskich starostów i archiwa ziemskie; w drugim środkowym we właściwym gmachu, pokoje królewskie, izby *Senator-ska* i *Foselska*, tudzież *archiwa* krajowych *metryk*; w trzecim mieszkał niegdyś podskarbi królewski, a później były kuchnie i pokoje dworzan.

Syn i następca Zygmunta III, Władysław IV nie mało przyozdobił to pomieszkanie monarsze, do czego użył znakomitego malarza i architekta nadwornego *Piotra Dankörsa* ¹⁾. Niewiele mu przydał ozdoby Jan Kazimierz, ani Michał Korybut, a nawet i Jan Sobieski, którego uwagę zwracał głównie wzniesiony przezeń pałac Willanowski z ogrodem. August *Mocny*, bywał w Warszawie jedynie gościem, trawiąc życie wystawne w ulubionym Dreźnie. Syn jego August III, lubo częściej przemieszkował w Warszawie, nic się nie przyczynił do przyozdobienia zamku, dopiero Stanisław August Poniatowski, uczynił zeń prawdziwą siedzibę królewską.

Gmach ten, równie jak całe miasto, doznawał klęsk w przeszłych wiekach. W roku 1655 Karol Gustaw, bez obrony zostawioną Warszawę zajmwszy, zamek splundrował. W powtórnej wojnie szwedzkiej

¹⁾ Piotr Dankörsig znakomity malarz i architekt Władysława IV, wiele śladów pozostawił swego talentu w Wilnie, przy wzniesieniu kilku kościołów. Zamek Warszawski pięknymi budowlami przyozdobił i wewnętrzne sale przystroił. Wybornie portrety malował. W powrocie z Wilna do Warszawy, napadnięty przez dwóch żydów i raniony kilkakrotnie, konającą ręką tak swych zabójców odrysował wizerunki, że z nich poznano zbójców i schwytano. (Obszerną wiadomość o tym artyście podaje Tygodnik Wileński z r. 1817. Tom III).

z Karolem XII, generał Horn 1704 roku, zostawiony w mieście naszym z 1500 Szwedami załogi, widząc że całego grodu obronić nie może, zamknął się w zamku warszawskim: lecz po krótkim oporze musiał się poddać Augustowi *Mocnemu*. W roku 1767, spaliła się część tego gmachu od Krakowskiego-Przedmieścia, którą wkrótce Stanisław August ozdobić odbudować rozkazał.

Opiszemy stan jego, w jakim go oglądaliśmy od 1815 do 1830 roku.

Przez środkowe od dziedzińca podwoje wchodząc, pierwsza sala zatrzymywała ciekawe oko, ozdobiona widokami Warszawy i jej okolic przez Canallego. Przy wnijsciu do obok będącej kaplicy, stały dwa stoły mozaikowe, cenione na 12,000 czerwonych złotych. Sala *audyencyjonalna* z malowidłem Bacciarellego, dalej *sala tronowa*; tło tej ściany, nad stojącym przepyszny tronem, ozdobione herbem królestwa, orłami srebrnymi. W około rozciągały się na piętrze galerye, które zajmowały damy i znakomitsze osoby, przy otwarciu sejmu lub jego zamknięciu, gdy król osobiście przemawiał.

Izba poselska, równie obszerna po drugiej stronie zamku położona, miała także galerye piętrowe dla zgromadzonej publiczności. Obok sali tronowej gabinet *konferencyjonalny* z portretami Stanisławowi Augustowi współczesnych monarchów: Katarzyny II, Fryderyka II, Gustawa III, Józefa II, Ludwika XVI, Grzegorza III i Pijusa VI, upiękniiony arabeskami na dnie złotem i przyszcznemi zwierciadłami. Przypominam sobie pokój cały ze zwierciadlanemi ścianami i drzwiami, dziwne wywołujący wrażenie na tym, kto go pierwszy raz odwiedzał. Pamiętam, jak szlachcic z pod Grodna, który z nami zwiedzał szczegółowo zamek, gdy wszedł tu tak odurzał, że czolem tak silnie we drzwi zwierciadlane uderzył, iż mało ich nie rozbił, a sam się nabawił potężnego guza.

Sala *balowa* strojna w około w marmurowe kolumny ze złoceniemi bronzami, a sklepienie jej ślicznem malowidłem Bacciarellego, wyobrażało Jowisza, wyprowadzającego świat z *chaosu*; z niego można było sądzić o talencie tego artysty. Współczesny organ krytyczny: *Gazeta Literacka* (z r 1822 N-r 36) tak je ocenia.

„Jakkolwiek wielka jest kompozycya, nie przeciąża jej atoli mnogość osób, a te, które występują, są wszystkie działającemi. Harmonijny podział światła, wypływającego z jednego punktu, którym jest Jowisz, rzucający promienie po sklepieniu niebios, doskonałość rysunku w skróceniu figur z dołu widzianych, połączona z zaletą kolorytu, wykazuje wysoki styl Bacciarellego i jego znajomość starożytności.”

Z tej sali wchodziło się do kaplicy zamkowej. Za Stanisława Augusta odbywał się tu obrzęd w *Wielki Czwartek* umywania nóg dwunastu starcom, a w obok będącej komnacie wieczerzę odprawiano.

Jedna z sal najpiękniejszych, była tak zwana *rycerska*, ozdobna sześciami wielkiemi obrazami z dziejów polskich pędzla Bacciarellego,

tudzież portretami sławnych Polaków. Salę tę za Zygmunta trzeciego zdobiły wielkie obrazy historyczne, pędzla nadwornego malarza Dolabelli, z których najgodniejsze wspomnienia: wzięcie Smoleńska 1611 roku i *tryumf* hetmana Stanisława Żółkiewskiego, tegoż roku odprawiony w Warszawie z wiernymi podobieństwami twarzy wszystkich przytomnych i uczestników tego okresu. Zachowały się te obrazy w zamku Warszawskim aż do początku panowania Augusta II Mocnego i wówczas zniknęły.

Z utworów Bacciarellego pierwszym był: Kazimierz Wielki, nadający ludowi wiejskiemu swobody; dalej: *Ustanowienie Akademii krakowskiej*, *Hold* Alberta księcia pruskiego, złożony Zygmunтови pierwszemu; *Sejm Unii* w Lublinie 1569 roku za Zygmunta Augusta; *Traktat z Turcją* pod Chocinem 1621 roku; Jan III wybawiciel Wiednia i Chrześcijaństwa.

Gdy zwycięzka armia Napoleona I-go wkroczyła do Warszawy 1806 roku, podług wyboru Donona dyrektora Muzeum Paryzkiego, zabrano z tego zamku *hold* Alberta, kilka widoków Canalettego, które później zwrócone zostały.

Sala druga od wnijscia głównymi schodami od Krakowskiego-Przedmieścia, była jakby sypialnym pokojem Stanisława Augusta. Kilka jej okien wychodzi na taras zamkowy bliżej strony pałacu *pod Blachą*. W rogu jej, w pobliżu komina stał za parawanem szklannym miękki szesłąg, na którym król używać lubił drzemki po śniadaniu lub obiedzie, a wiadomo, jakim był smakoszem. Tu zaszła scena, którą słowami lekarza przybocznego tego króla, a ojca mojego, przywiode, gdy, oprowadzając mnie po tych wspaniałych komnatach, stanął w tej sali i wskazując na owo miejsce mówił:

„Było to dnia 4 listopada 1794 roku, obok sali, gdzie król Jegomość drzemał, zostawałem na służbie. Nagle huk dział zabrzmiał od strony Wisły, a kula jedna armatnia, utkwiała w murze przy oknie zamkowym w téjże komnacie. Wstrząsła się ściana; po chwili słyszę krzyk przeraźliwy króla Jegomości: wpadam przerażony i znajduję króla siedzącego na szesłagu, na którym drzemał, wybladłego, drżącego, z wzrokiem osłupiałym, wskazującego prawą ręką w okno, z kądem widok na Pragę. Zacząłem go trzeźwić z apteczki podręcznej, po kilku minutach odetchnął przecież i pierwsze słowa co wyrzekł, były:

— Czy widziałeś ją?

— Co takiego Najjaśniejszy panic?

— Ona stała w oknie i groziła mi strasznie. Nie odchodź na krok odemnie!

Podłożyłem mu pod głowę poduszki; po chwili spoczynku dopiero król mi opowiadał, że, zdrzemnąwszy się, nagle usłyszał huk straszny; ściany zamku zadrżały, a kiedy się zerwał na nogi i spojrział w okno, w którym jeszcze szyby brzęczały, ujrzał wysoką postać niewieścią w długiej, białej szacie, jak większe pół okna zasłoniła.

Zwrócona była twarzą bladą i wielce smutną do niego, gdy zaś spojrział w jej oblicze, zadrżał na całym ciele, bo smutek zmienił się w wyraz groźby.

— Nie mów o tém nikomu, mój Jasiu,—mówił król, ocierając pot z czoła, nie wpuszczaj nikogo, a poślij dowiedzieć się, co się dzieje za Wisłą.

Spełnił to życzenie króla i do zgonu jego w tajemnicy zachował to zdarzenie.

Podanie dawne w rodzinie Poniatowskich niesło, że raz owa *biała niewiasta*, miała się ukazać ojcu króla, w przeddzień bitwy pod Puławą, gdzie skruszoną została potęgą Karola XII; wypadek uwieczniony historycznym, polskim przysłowiem: *Zginął jak Szwed pod Puławą*. Starzy wojownicy z pod chorągwi Napoleona I-go, opowiadali mi, że ostatni raz owa *biała niewiasta* pokazała się we śnie Księżciu Józefowi Poniatowskiemu pod Lipskiem 1813 roku, w wigilią dnia jego zgonu, i że książę przed poufałym opowiadał swój sen i wróżył ztąd rychłą śmierć dla siebie. Nazajutrz, gdy się ukazał na koniu, był bardzo blady, zmieniony na obliczu i smutny.

Kulę armatnią, co utkwiała w owój dobie w ścianie okna z lewej strony, widziałem sam, bo mi ją s. p. ojciec mój pokazywał, gdyśmy szczegółowo oglądali Zamek Warszawski w 1826 roku.

Stanisław August zdarzenie to miał widać na myśli uwiecznić, gdy polecił malarzowi nadwornemu Bacciarellemu, przedstawić je w dużym obrazie. Artysta szkic olejny podał królowi; w nim *biała niewiasta* w postaci anioła dziewicy do bioder obnażona, z rozwiniętymi białymi skrzydłami stoi, lewą ręką, jakby go naciskała do ugięcia kolana; jakoż Stanisław August przykłęka, pod niską kolumną, na której widać portret mężki. U stóp tej kolumny, na poduszce leży berło i korona. Szkic się ten olejny przechował i mam go w swoim zbiorze; obraz zaś z niego malowanym nie był. Czy się pomysł Bacciarellego nie podobał królowi, czy pragnął zdarzenie, które tań w sobie inaczej wyrazić, a rzeczywistych szczegółów artyście nie podał, to dziś już dla nas nieodgadniętą jest rzeczą.

Najwięcej ściągata uwagę sala portretów królów polskich, w dawnym guście, której ściany całkowicie wyłożone były czarnym i czerwonym, krajowym marmurem, i ztąd nazwana *salą marmurową*. Stanisław August, pragnąc zgromadzić wizerunki wszystkich swoich poprzedników, wezwał Bacciarellego do odmalowania takowych według dawnych zabytków. Z gorliwością wyrównyującą talentowi swemu, wykonał artysta to zadanie trudne i zaopatrzył tę salę w portrety królów polskich, począwszy od Bolesława Chrobrego, aż do Augusta III. Ażeby zaś te wizerunki, o ile możności zatrzymały najwięcej zbliżone podobieństwo, sprowadzono do Warszawy, za staraniem Stanisława Augusta, obrazy królów polskich, które się zachowały po starych zamkach i miejskich ratuszach. Duchowni dzielnie popierali ten zamiar monarchy, nie tylko bowiem królów, ale i wielu innych wsła-

wionych mężów w dziejach krajowych, obrazy po katedrach i kościołach znalezione, nadsyłał do pracowni Bacciarellego. Mając tym sposobem kilka portretów jednego króla, obierał artysta za wzory, według połączonych zdań Stanisława Augusta, historyka Albertrande-
go i innych znawców, i własnego, te wizerunki, które najwięcej były powtórzone. Tak, utrafiwszy podobieństwo mającego być odmalowaniem królewskiego oblicza, usiłował Bacciarelli i na to nie szczędził starań i zabiegów, wynaleźć osobę najwięcej zbliżającą się podobieństwem do tego króla, którego miał malować. Po takich przysposobieniach, dopiero jął się artysta do malowania portretu, a zachowując rysy obranego starego obrazu, i zgasłego życia śledząc w żywej osobie, tak zręcznie godził zabytki spleśniałego wizerunku, z żyjącą naturą, iż całą galerią portretów, któremi przyozdobił ściany *sali marmurowej* zamkowej, można było uważać za jednę z całą ścisłością archeologiczną dokonane.

Jak się wyrażała w zewnętrznej postaci i obliczu nasza społeczność, dowodzą trudności, jakie miał w wynalezieniu żywych typów do tych portretów, ale je wynajdywał przecież, jeżeli nie w Warszawie, to po dworach wiejskich i oddalonych w zaciszy okolicach. Dziś byłyby daremne starania. Do téj także liczby należy wizerunek Stanisława Augusta, wyobrażający go w naturalnej wielkości, w ubiorze hiszpańskim i w takiej postawie, w jakiej wystąpił w czasie swój koronacyi 1764 roku w Katedrze Ś-go Jana i w Zamku Warszawskim.

Podług tych portretów król kazał odlać z żelaza seryą całą, jaka była oleju wymalowana w *sali marmurowej* w medalach małych, starannie i artystycznie, a wiernie wykonanych. Zbiór ten szacowny zdobi prywatne pamiątki i wiele egzemplarzy oglądaliśmy połączanych.

W czasie bytności panującego monarchy, powiewała z wieży chorągiew, obwieszająca mieszkańcom Warszawy pobyt w jej murach króla.

Ogród przy zamku, zwany *tarasem*, był maleńki. dla rozszerzenia przeto takowego, następnie po roku 1815, rozszerzono go wystawieniem dużych arkad, dwieście sążni długich, pod któremi publiczna droga, śmiałością pomysłu zadziwiała. Na nich nasypisko grube ziemi, dało możność zasadzić krzewy, kwiaty i drzewka i powiększyć dawny, szczupły *taras*.

Wśród obszernego placu przed zamkiem, stoi posąg Zygmunta III, który mu syn Władysław IV postawił, przed samą *bramą Krakowską*. Posąg sam Zygmunta, jest blisko na jedenaście stóp wysoki. Przedstawiony w zbroi i płaszczu królewskim, w prawej ręce trzyma pałasz zakrzywiony, a w lewej krzyż nieco wyższy od całej osoby. Stoi na wysokości kolumnie z marmuru checińskiego. Podstawa jej była otoczona słupami powiązanymi łańcuchami, a na niej ze czterech stron, czytać się dają napisy uwielbiające zwycięstwa i wielkie tryumfy Zygmunta III.

Lud warszawski utrzymywał, że śpiżowa ta postać, ożywia się w chwilach stanowczych dla miasta i kraju, albowiem kiedy ma być wojna, krzywy swój pałasz w górę unosi. Straszna to była wróżba dla mieszkańców tego grodu! Jak podanie niesło sześć razy pałasz ten wznosił. Pierwszy raz poruszenie to ujrzano w roku 1655, kiedy Szwedzi Polskę napadli pod Karolem Gustawem, i kilkakrotnie wchodzili do Warszawy bijąc się w murach i burząc warownie. Następnie w roku 1792, a w 1794 sędziwy majster szewcki, kiedy ulicą Podwałem szedł raniutko na Mszę świętą do Bernardynów, ujrzał z przestraczem, jak posąg Zygmunta III, wznosił w górę rękę z pałaszem, i na cztery strony świata zamachnął. Struchlał starzec na ten widok, jak z kościoła wrócił opowiadał swe widzenie w domu: wieść o tém po mieście gruchnęła: gromady ludu zbiegły się pod Krakowską bramę, ale król śpiżowy stał nieporuszony w dawniej postawie; uważano tylko, że wyżej niż zwykle pałasz swój trzyma. Toż zjawisko spostrzegano jeszcze w 1807, 1809 i ostatni raz w 1813 roku.

Posąg sam odlany z brązu w Krakowie, Wisłą do Warszawy spławionym został. Dwa w zapas słupy Władysław IV kazał wyciosać pod Chęcunami z pięknego czerwonego marmuru, z których gdy dłuższy w dźwiganiu nieostrożnému z miejsca, w pół się przełamał, drugi krótszy pod posąg użyto.

Do dziś dnia mieszkańcy Chęcini i okoliczni ukazują leżącą w pobliżu tego miasteczka górę zwaną *Zygmuntowską*, z tego powodu że właśnie z niej wydobyto i wyciosano obiedwie te kolumny. Stał ten posąg nie wzruszony aż do panowania Augusta III, kiedy zapotrzebował naprawy: król go przeto polecił odnowić i pamiątkę tego na samą kolumnie umieścić w tych słowach:

„Opus amoris et honoris a Vladislao IV, patre suo Sigismundo III, Anno Domini MDCLIII erectum: prospere regnante Augusto III, Anno Domini MDCCXLIII renovatum.”

W roku 1808 spostrzeżono że sam posąg na wierzchu ku jednej się stronie przechylił, bo kolumna cała prosto i niewzruszenie stała. Nakazał przeto rząd Księstwa Warszawskiego potrzebną naprawę: w tym celu Jan Łuszczewski minister spraw wewnętrznych, stosowną na to sumę przeznaczył. Restauracya zupełna skończoną została w roku 1811, na którą skarb publiczny 12,826 złotych polskich ówczesnych poniósł.

Kiedy zaczęto myśleć o piękniejszeniu Warszawy, podniesiono kilka równocześnie projektów ku temu celowi. Zaczęto najprzod od Zamku królewskiego.

Zrzucono Bramę krakowską i rzęd kamienic zapełniających plac dzisiejszy. W prostą linię od posągu Zygmunta III, wyznaczono kierunek ku tarasowi zamkowemu, otwarcie zjazdu do Wisły i zbudowanie mostu stałego na Wiśle, niewątpiąc o możliwości wykonania, patrząc na ślady i szczątki tego, który zaczął Zygmunt August a Anna Jagiellonka ukończyła przy ulicy Mostowój.

Plany po temu opracował z polecenia wyższego inżynier Jan Lelewel, brat rodzony historyka Joachima ¹⁾. Mury pomiędzy frontem zamkowym, a kamienicą dotykającą je, miały być rozebrane i nasyp taki dany, ażeby spadek o ile być może był najłagodniejszy.

Dla otwarcia widoku na katedrę św. Jana przedstawiono zniesienie całej ulicy Święto-Jańskiej aż do rynku Starego Miasta, szeroki plac wysadzić lipami, kilka narożnych kamienic, dla otwarcia wjazdu na tenże rynek, rozebrać. Ponieważ jednocześnie zatwierdzony już był bulwark kamienny tak od strony Warszawy jak przedmieścia Pragi, dla ujęcia koryta Wisły i zapewnienia spławu; na place, jakie się utworzą po nad rzeką, przekupnie kramy ze Starego Miasta na nie przenieść miano, jako téż sprzedaż wszelkiego ryb gatunku.

Rynek cały zamienić w ogród, a w środku tryskać miała ciągła fontanna dla odświeżania powietrza, w tym prostokącie zacieśnionych kamienic i pozbawionych odpowiednich podwórzy. Przy rozroście coraz większym miasta zbadano, czyby go zaopatrzyć nie można bieżącą wodą, albowiem sprowadzanie jej z Wisły tak nisko położonej byłoby zbyt kosztowném.

Wyskani inżynierowie wkrótce złożyli pomyślne sprawozdanie. Od strony Jeziorni i Lipkowa można było przy pomocy małych grobel i nasypów, dostateczny zapas wody bieżącej sprowadzić do Warszawy. Projektowano kanał szeroki, który przeprowadzony do Ogrodu Saskiego, w nimby napelniał stawy i ztąd części najdawniejszej miasta, czystej udzielał wody, a następnie podług dowolnego kierunku spływał do Wisły.

Zbiorowisko główne od téj strony zgromadzonych wód z tych mniejszych rzeczek i strumieni wypełniać miało kilka obszernych stawów pod okopami Warszawy, pomiędzy rogatkami Jerozolimskimi a Marymontskimi, które można było zarybić.

W roku 1828 Adam Idźkowski magister budownictwa i miernictwa, członek rady ogólnej budowniczej w wydziale przemysłu i sztuk przy komissyi spraw wewnętrznych Królestwa Polskiego, po powrocie z Włoch jako członek akademii sztuk pięknych we Florencyi, wydał ciekawy: „*Projekt drogi pod rzeką Wisłą dla połączenia Warszawy z Pragą, z dołączonem opisaniem i porównaniem systematu drogi pod rzeką Tamizą w Londynie, obejmujący razem prawidła i sposoby upowszechnienia dróg podziemnych w naszym kraju z wykazaniem ich korzyści*” (Warszawa, 1828 r. w 4-ce). Myśl ta Idźkowskiego żywe obudziła z początku zajęcie, ale były w niej widać jakieś grube błędy, które gdy specjaliści wykazali, autor wypuszczone w handel ksiggarski egzemplarze wycofał i zniszczył. Ztąd rozprawka ta stała się rzadkością bibliograficzną.

¹⁾ Plany to przechowują się dotąd u rodzonego brata Jana, Prota Lelewela żyjącego.

To były najgłówniejsze projekta przyozdobienia miasta, a głównie strony jego od zamku królewskiego.

Ściśle z tym zamkiem połączony jest kościół katedralny Ś. Jana, galeria nawet wiedzie z siedziby królewskiej do ściany przy wielkim ołtarzu, w której jest łoża wygodna z oknami. W niej królowie od Zygmuta III począwszy zwykli słuchać nabożeństwa.

Świątynia ta do najstarożytniejszych w naszym grodzie należy: sięga bowiem początkiem swoim drugiej połowy XIII stulecia. Pierwotnie drewniana, dopiero przez Janusza księcia mazowieckiego, co się wiele przyłożył do ozdoby Warszawy wymurowana r. 1390 i do niej kolegium kanoników z Czerska w roku 1402 przeniesione zostało. W późniejszych wiekach niejednokrotnie przebudowywana.

W Wielkim ołtarzu godny jest widzenia obraz umyślnie dla tego kościoła malowany, przez znanego weneckiego artystę *Jacopo Palma Giovano*. Przedstawia Najświętszą Pannę otoczoną aniołami, u spodu św. Jan jako patron kościoła i św. Stanisław jako patron całego kraju.

Król Zygmunt III najwięcej się do ozdoby tego kościoła przyłożył, zajmując się malarstwem i złotnictwem ofiarował do skarbu tu-tejszego patynę z czystego złota i krucyfiksy własnej roboty, które przechowywano, a kościół sam wielkimi organami ozdobił.

Świątynia ta posiada najwięcej historycznych pomników. Na pierwszy rzut oka zastanawiała wielka chorągiew *Mahometa*, zawieszona w pośrodku sklepienia tego kościoła, a zdobyta w roku 1683 przez Jana Sobieskiego w czasie pamiętnego zwycięstwa nad Turkami i oswobodzenia Wiednia.

Nagrobek po lewéj ręce przy wielkim ołtarzu zawiera w sobie zwłoki Stanisława i Janusza II, synów Konrada i Anny z Radziwiłłów, a ostatnich książąt Mazowieckich. Zakończyli oni długi szereg książąt-Piastów, co więcej niż cztery wieki panowali w Mazowszu.

Dzieje tych dwóch braci są nadzwyczaj dramatyczne. Obaj w kwiecie wieku wprędce po sobie zakończyli życie i Mazowsze po ich zgonie ostatecznie do Korony wcielone zostało.

Książę Stanisław, na czele hufców dzielnych Mazurów, pomagając królowi Zygmutowi I gromił przeważnie chorągwie krzyżackie. Potomek dzikiego Konrada I choć walecznego, który na przyszłą niedolę przytulił na Mazowszu włóczęgów krzyżackich, szukających kawałka ziemi, widząc rozrastający się zakon jak polip najemném żołdactwem Francji, Burgundyi, Szkocyi, Anglii jak i całych Niemiec, okutém w żelazne zbroice, a przykrywających się płaszczem z krzyżem, z pod którego nieśli mórđ i pożogę, teraz zobaczył błąd swego przodka i na ich karkach tępić musiał swój oręż. Rozbił tysiąc jazdy krzyżackiej jak tyleż piechoty bitnej a wprawnej do boju, zdobył trzy ich nawet warowne grody nad granicą Mazowsza położone.

Objął rządy swego księstwa 1518 r. odznaczając się świetnemi przymiotami. Skromność łączył ze zdolnością umysłową, a do bie-

głości w zawodzie rycerskim łączył nieustraszone męstwo i odwagę. Dbały o pomyślność swego małego państwa, w roku 1523 na miejscu wiejskiej osady, założył miasteczko, które od swego imienia *Stanisławowem* nazwał.

Brata jego i następcy Janusza krótko trwało panowanie, bo tylko ośmnaście miesięcy. Chociaż podobny był do Stanisława, w sile ciała daleko go przewyższał. Współcześni widząc z jaką łatwością wyrzucał w górę ogromne kamienie, zrywał grube sznury i łamał podkowy, jak bez nateżenia naciągał ciężki w łuku, wierzyli że miał podwójną kość pacierzową. Barczysty, szerokich piersi, twarzy przyjemnej, którą nieco nos zakrzywiony i splaszczony szpecił. Szlachta mazowiecka wielkim żalem przyjęła po tak rychłej śmierci dwóch młodych książąt, nie bacząc na ich niewstrzemięzliwe życie, czém sobie zgon przedwcześnie przyspieszyli, łatwo uwierzyli podejrzeniu, że obaj czarami zgładzeni zostali. W żalu swym nie znała miary, na kogo padło tylko podejrzenie zginać musiał. Posądzone dwie kobiety o udział w mniemanéj zbrodni, nanieciwszy stos wielki na placu przed *Bramą krakowską* żywcem wśród strasznych męczarni upiekli, jak to ze zgrozą obecny świadek kronikarz Bernard Wapowski opisuje. Co jeszcze większej dodawało żałoby, to, że Księstwo Mazowieckie traciło swą dawną udzielną i włączone zostało do Korony, że ginęła droga Mazurom rodzina Piastowska, a ród nowy Jagielloński zajmował ich dzierżawy odwieczne ¹⁾. Niestety! i ten ród nie długo istniał, bo zgasł wraz z Zygmuntem Augustem w pół wieku później. Pomnik ostatnich książąt Mazowieckich wyrobiony jest z czerwonego marmuru: obie postacie naturalnej wielkości pokryte zbroją, z łańcuchami rycerskimi na szyi, z chorągwią w ręku, spoczywają obok siebie.

Grobowiec ten ozdobiony kolumnami z czarnego marmuru, pomiędzy które wyobrażenie Zbawiciela na krzyżu srebrne, na aksamicie czerwonym z ramami srebrnymi. Pod posągami obszerny napis w języku łacińskim opowiada imiona i cnoty ostatnich ze szczepu książąt Mazowieckich, którym przywiązana siostra księżniczka *Anna* Mazowiecka, w gorzkiej boleści i smutku, ten grobowiec wystawiła.

Z piękniejszych pomników jakie wówczas zdołały tę starożytną katedrę, wydatniał grobowiec dwóch braci *Wolskich*: Mikołaja biskupa wrocławskiego i Stanisława kasztelana sandomierskiego, zmarłych za Zygmunta Augusta. Są oddani w naturalnej postaci z kamienia piskowca, jeden w szatach uroczystych biskupich, drugi w pełnej zbroi. Na pamięć zaś ich miłości braterskiej, tuż obok siebie, we wspólnych objęciach spoczywają.

¹⁾ Obaj młodzi książęta skończyli na suchoty. Obszernie ten dramat cały opisałem w dziele: *Szkice historyczne i z domowego życia niedawno ubiegłej przeszłości*. Kraków 1869 r.

Wchodząc wielkimi drzwiami po lewej stronie znajdował się nagrobek w mniejszych rozmiarach *Zygmunta Kazanowskiego* starosty kokenhauskiego. Przedstawiony na nim zmarły w postaci kłęczącej przed obrazem Matki Boskiej: czapka z piórem i buzdycan przy nogach leżą. Zygmunt III wybrał go jako doświadczonego wojownika do ćwiczenia w sztuce wojennój syna swego królowicza Władysława. Był to dzielny rycerz, do którego skroni, jak wyraża o starych naszych ojcach Woronicz, hełm przyrósł, bo od lat młodych do siwizny wciąż go dźwigał.

Równie dzielny bojownik spoczął w tój katedrze *Bartłomiej Nowodworski*, życie jego stanowić może oddzielną księgę i w dziejach Zygmunta III zajmuje nie jedną kartę. Nietylko że sam niósł życie w ofierze, ale bezżenny, jako kawaler maltański, bogate swe mieniełożył chętnie na naukę młodzieży, wspieranie jój, na druki książek różnych. Był to typ wspaniały starego rycerstwa; zwolennik dawnych zwyczajów, nie małe usiłowania położył, ażeby pomiędzy wojownikami obudzić pamięć śpiewu hymnu *Boga-Rodzicy*, który śpiewywano przed każdym rozpoczęciem bitwy¹⁾. Kazanie Fabiana Birkowskiego wydał swoim kosztem, a do tego przyłączył i ten hymn, polecając go towarzyszom broni. Tutejszej katedrze zapisał sumę na te czasy znaczną, bo 2,000 złp. owoczesnych pod warunkiem, aby za duszę jego dwa razy na rok odprawiano nabożeństwo i na grobie jego wtedy odśpiewywano *Boga-Rodzica*. Pragnął bowiem aby duch jego po śmierci mógł się radować odgłosem tój pieśni. Przez wiele lat tak jak pragnął, cieszył się cień wielkiego wojownika melodią hymnu *Boga-Rodzica* nad własnymi popiołami; nie wiadomo za czyją sprawą obowiązek ten święty dla pamięci zmarłego poszedł w zaniedbanie; śladów nawet grobowca Nowodworskiego nie znalazłem. Umarł on w Warszawie 1625 roku, na pogrzebie jego w tój katedrze miał mowę Jakób Sobieski, ojciec króla Jana III, a towarzysz broni i przyjaciel zgasłego męża.

Spoczywają tu znany historyk biskup *Albertrandy*, pierwszy prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk; *Marceli Bacciarelli*, co tyle pięknym pędzlem przyozdobił zamek warszawski i pałac królewski w Łazienkach. Zwracały uwagę portret z mozaiki Michała Poniatowskiego prymasa, tudzież biskupów Raczyńskiego i Antoniego Okeckiego kanclerza wielkiego koronnego.

¹⁾ J. U. Niemoewicz, który miał nieraz genialne pomysły, napisał tragedią *Zbigniew*, z chórami, którą widziałem przedstawioną na teatrze narodowym. Układ cały dramatu doskonale odpowiadał swój treści. Zbigniewa grał słynny w owe czasy *Werowski*, który tak całą postacią, jak obliczem i głosem, artystycznie odtwarzał tę historyczną *figurę*.

Po prawej stronie od wielkiego ołtarza przy bocznej ścianie świątyni, w ostatnim roku okresu, który bierzemy pod pióro, w 1830, stanął jeden z najwspanialszych pomników znanego chlubnie w dziejach z ostatnich lat panowania Stanisława Augusta, marszałka sejmu Stanisława Małachowskiego (zmarłego 1809 r.) podług rysunku Wojciecha Thorwaldsena, a wykonany przez znakomitego rzeźbiarza w Rzymie Franciszka Maksymiliana *Laboureur* Rzymianina. Znanym on jest pod imieniem *Cavaliere Massiliano* i był prezydentem akademii w Stariej Romic.

Wielki ten pomnik z białego karraryjskiego marmuru wyciosany, przedstawia u góry postać zmarłego męża w todze rzymskiej: w jednym ręku trzyma zwój papieru, w drugiej długą złotoną laskę jako godło godności, którą za życia tak zaszczytnie i szlachetnie piastował. Niżej, na podstawie, z krajowego marmuru chęcińskiego stoją dwie figury wyobrażające: jedna rycerza w rzymskim stroju, który trzyma w ręku sztandar, jakiego używało wojsko polskie za czasów Księżstwa Warszawskiego, a druga zasmuconą niewiastę z *koroną murową* na głowie, która się wspiera na tarczy z herbami dawniej Polski. Na sarkofagu złotonemi głoskami mieści się napis łaciński, podający nazwisko, tytuły i cnoty zmarłego. Pomnik ten odwiedzały tłumy warszawian: jednych przyciągała żywa jeszcze pamięć męża, drudzy zbiegali się z ciekawości oglądać znakomity utwór sztuki rzeźbiarskiej, który jak wieści niesły wtedy, kosztował rodzinę Małachowskich dziesięć tysięcy dukatów.

Jako w starożytniej katedrze liczne są tu kaplice; najwięcej zaś odwiedzana była po lewej ręce od wielkiego ołtarza, gdzie słynący cudami Zbawiciel na krzyżu rozpięty. Wiara powszechna była u ludu warszawskiego, że włosy na głowie Chrystusa ciągle odrastały, które kapłani obcinali corocznie przy odpowiedniej modlitwie i pobożnym jako drogie *relikwie* rozdawali. Trwało to do czasu, dopóki grzeszna ich ręka nie dotknęła, od téj chwili już więcej włosy nie odrastały.

W skarbcu katedry przechowywano patynę i krucyfiksy własnej roboty Zygmunta III, z których już przed rokiem 1830 tylko jedna patyna pozostała. Najpiękniejszym zabytkiem sztuki była tablica mosiężna, grubo w ogniu złotona, mająca odlew od ręki cyzelowany, a wyobrażający w półfigurze w stroju rycerza, kawalera maltańskiego. Był to jedyny zabytek z grobowca Bartłomieja Nowodworskiego. Dlaczego zaś oderwany z miejsca właściwego został i przeto ślad ostatniego spoczynku bohaterskiego męża zatracony, w samej katedrze nie masz żadnej wiadomości.

Utkwiły w pamięci mojej świetne i okazałe nabożeństwa w czasie *rezurekcyi* w Wielką Sobotę, jako téż odpustowe na *Przemienienie Pańskie*: największe jednak wrażenie we wspomnieniach lat pacholecych robiły trzy msze poranne w dzień pierwszego święta *Bożego-Narodzenia*. Zbudzony o ciemnym zmroku, jeszcze zaspany, zrywałem się z posłania, ażeby z ojcem, matką i siostrami zdążyć na nabożeń-

stwo. Każde z nas już miało swój stoczek woskowy i książkę do nabożeństwa.

Jakaś szczególnie majestatyczna powaga otaczała wnętrze tej świątyni, którą ciemność zalegała. Zwolna ta pomroka się rozjaśniała wraz z napływającym ludem a każdy zapalał stoczek czy świecę. I wkrótce tysiące światel migotliwych błyszczało jasnym płomieniem, oświecając liczne ołtarze, kaplice i pomniki grobowe, które jakby nowe i nieznanne ukazywały się oczom naszym. Po nabożeństwie żwawo wracaliśmy do domu, dopiero na śniadanie: jakże ono nam smakowało, z jakąż je radością serdeczną spożywaliliśmy, oddawszy Bogu co się należało.

Wracając z nabożeństwa od Fary, nieraz mi ojciec wskazywał na bramę wjazdową zamku wprost Piwniej ulicy, przy której na tronie Władysław IV odbierał hołdy lennych książąt. Żywa jeszcze tradycya zachowywała wiele szczegółów uroczystego obrzędu, gdy młody Fryderyk Wilhelm elektor brandeburski przybył do Warszawy dla złożenia hołdu i pozyskania zatwierdzenia na swoją dostojność. W kronice Warszawy zapisał się dzień 7 października 1641 roku, w którym ruch niezwykły rozbudził życie całego miasta. Elektor zamieszkiwał w pałacu Ujazdowskim, który był w rozporządzeniu królewskim; rząd konno otoczony licznym orszakiem dworu swego i rycerstwa polskiego, zbliżał się do Warszawy przez Krakowskie Przedmieście.

Władysław IV w dniu tym po południu zasiadł na tronie przed pomienioną zamkową bramą wspaniale przystrojoną, w ubiorze koronacyjnym, otoczony gronem ministrów i dworskich urzędników, w pośrodku dwudziestu senatorów, na swoich krzesłach według porządku prawem przepisanych zasiadających.

Czterej komisarze elektorscy przystąpili z uszanowaniem do tronu i przyklękawszy upraszali króla, aby pan ich do przysięgi na lenność Księstwa Pruskiego przepuszczony został: na co kanclerz zezwolenie od króla oświadczył.

W tę chwilę nadjechał młody Elektor. Dwóch marszałków wielkich, spotkało go przy schodach zamkowych, gdy zsiadł z konia i przyprowadziło przed króla. Wtedy zbliżywszy się do tronu, oddawszy głęboki pokłon, w długiej mowie po łacinie prośbę swoją o przyjęcie hołdu powtórzył; na co kanclerz koronny od tronu krótko odpowiedział. Wtedy przyklękawszy, przysięgę na ewangelię za rotą czytaną od kanclerza przed królem wykonał, po której dyplom pergaminowy na lenność Prus król mu oddał. Zaco, gdy z pochyloną głową Władysławowi dziękował, król go podniósł z kolan i na krzesło obok siebie posadził. Przy tym obrzędzie, posłowie od dwóch książąt z domu Brandeburskiego, według prawa do dotknięcia się chorągwi lenniczej przypuszczeni byli i kilku z orszaku Elektora na rycerzy od króla, mieczem podług zwyczaju, pasowanych było.

Wieczorem *bankiet* u dworu dzień ten zakończył.

Zamek stoi na wyniosłym wzgórzu od Wisły; przedtém zanim wymurowano długie arkady i na nich założono ogród, tak zwany *taras*, był szczupły i wązki.

Dla ułatwienia komunikacyi z wybrzeżem Wisły, wiodły od zamku kryte schody aż na sam dół na parę pięter niżej. Schodziłem niemi z wielką zawsze obawą, bo okna je mało oświecały i wieczna w tém przejściu pomroka panowała, lubo codziennie setki mieszkańców nadwiślańskich niemi przechodziło.

Z tego *tarasu* wyniosłem żywe wspomnienie straszego wylewu Wisły w 1813 roku. Młoda, świeża pamięć zachowała obraz ten straszny we wszystkich najdrobniejszych szczegółach, na który z trwogą i przerażeniem spoglądałem.

Ścisk był wielki na tarasie zamkowym, rzeka wezbrała do niesłychanej wysokości. Cała Praga zalana, dachy i kominy tylko z domów widać było, na których mieszkańcy wołali rozpaczliwym głosem o ratunek. Cała okolica zawiślańska, jak okiem zajrzeć, zniknęła, tylko woda z białą pianą po niej szumiała. Na dwie przeszło mile w około, wylew się ten srożył, do wsi *Kobyłki* łodziami dopływało.

W Warszawie całe wybrzeże nad Wisłą, było pod wodą; wszystkie ulice, jak Furmańska, Bednarska, Rybaki, Solec i inne zalane: mieszkańcy ratowali się jak mogli. Od czasu do czasu, w pośród krzyku rozpacz i rzewnego płaczu, rozlegał się huk, jakby strzału armatniego, albo grzmotu blizkiego. To w szychtach drzewa pękały wiązadła, a kłocce sosnowe, dębowe, brzoźowe i olszowe, spadały w otchłań wodną i porwane bystrym prądem rzeki, z jej biegiem płynęły do Gdańska. Za każdym takim hukiem, po chwili ukazywały się kłody drzewa, które odważniejsi flisy, oryle i rybacy, łowili, jako dobrą dla siebie zdobycz.

Biała woda na Wiśle, zkąd ją dawniej słusznie *Białą wodą* zwano, zanim terażniejszą przybrała nazwę, pokrywała się coraz więcej jeszcze bielszą pianą, co wróżyło jeszcze nowy, większy przybór. Na tym rozlewie nieprzejrzany okiem, od czasu do czasu ukazywały się różne przedmioty, zwracające uwagę tłumu patrzącego z zamkowego tarasu.

Widziałem płynące zabudowania, drewniane domy, obory, stajnie, chłewy, a obok nich konie przywiązane do żłobu, od którego oderwać się nie mogły, bydło i owce i mnóstwo sprzętów rozmaitych. Nagle krzyk na tarasie zagrział: „Dziecko! dziecko! ratujcie dziecko.” Był to głos zebranych kobiet, a serce obecnych matek wydało ten krzyk przeraźliwy. Jakoż rzeczywiście płynęła kołyska z dziećciem, ale jakby Bóg je miał na oku, spłynęła z najbystrzejszego prądu rzeki i zwróciła się na zakręt spokojnej wody, gdzie już pieniste fale nie były.

Na ten okrzyk, jakiś młody, dorodny człowiek, przedziera się przez tłumy i zbiega na dół, gdzie łodzie stały; siada w jedną wraz

z przewodnikiem, dopływa do kołyski, wydobywa z niej niemowlę w poduszce, w górę po nad głową podnosi, ukazując piękną zdobycz. Cały *taras* zamkowy zdrzął od okrzyku radosnego i grznotu oklasków. Kobiety ze łzami wykrzykiwały vivaty! Mężczyźni klaskali. Wkrótce nadbiegł z dzieciną młody wybawca. Matki otoczyły go gęstym wieńcem, całowano, ściskano, przytulano do piersi drobne niemowlętko; wreszcie, gdy się nie mogły pogodzić, komu je na wychowanie oddać, na wniosek jednej, ciągniono *supelki* i w pośród największej ciszy, oczekiwano stanowczego losu. Najmłodsza p. majstrowa, szewcowa z Dunaju wyciągnęła *supelek*; z jakąż radością porwała tę dziecinę i wniosła z tarasu wśród tłumy, który się jęz z uszanowaniem ustąpił i otworzył drogę.

Nagle liczne głosy: „patrzcie! patrzcie! co za nieszczęście!” zwróciły moją uwagę. Po wzburzonych falach rzeki płynął wiatrak, co chwila przechylając się na wszystkie strony. Na małym ganeczku, stała młoda młynarka z dziecięcim u piersi, z okrzykiem przestachu wołająca ratunku i miłosierdzia ludzkiego. Wszystkich oczy przyrosły do tej postaci i wiatraka; nieszczęśliwa matka stała tylko w koszuli, jak ze snu się zerwała: włos jęz bujny, spadał na ramiona.

Po chwili ukazały się dwie łodzie, dążące na ratunek; w większej stała jakaś niewiasta wyniosłego wzrostu, smągła, obwinęta szalem. Sześciu rybaków posłusznych jęz skinieniu, kierowała tą łodzią. Na drugiejj mniejszej, siedział z dwoma rybakami wybawca niemowlęcia w kołysce. Obiedwie zdawały się prześcigać. Tymczasem wiatrak, zatrzymany nieznana zaporą, nagle się pochylił; łódka mniejsza, pierwsza przy nim stanęła, ale tak ją fale rzeki podrzucały, że dopiero przy pomocy większej, stanęła silniej, dotarwszy do wiatraka. Młynarka, zmęczona przestachem i wysileniem trzymania się na ganeczku ciągle chwiejnym, blizką była omdlenia, kiedy pomoc tak pożądana i potrzebna nadpłynęła. Teraz obiedwie łodzie już stanowiły pokład bezpieczny i młody wybawca niemowlęcia, pomógł młynarce do zejścia. Pani stojąca na większej łodzi, pochwyciła podaną dziecinę, przytuliła do piersi i okryła tureckim szalem; młynarka, gdy się na pokład dostała, omdlała i w takim ją stanie przywieziono pod taras zamkowy, gdzie otrzeźwiona, wsiadła z ową odważną panią, co niosła swe życie na jęz uratowanie, do stojącego na podwórzu zamkowym pojazdu i znikła z przed oczu. Jedni ją nazywali księżną, drudzy hrabiną, ale kto była właściwie, nikt rzeczywiście nie wiedział. Przewoźnicy tylko z uszanowaniem oddali jęz pokłon, bo każdy z nich otrzymał w darze po pięć dukatów w złocie.

Niedługo nowy widok zwrócił uwagę wszystkich stojących na tarasie. Płynęła gruba i długa kłoda drzewa, na której siedziało dwóch ludzi. Fale z biegiem wody, szybko ją gnały na przód, a nadto obracały na wszystkie strony. Jeden zręczniejszy, potrafił równowagę utrzymać, ale drugi, czy więcej zestraszony, czy mniej zwinny, gdy się kłoda obróciła, zsunął się w nurty rzeki, a szukając ratunku,

uchwycił się jój obiema rękami. Wtedy siedzący na niej, czując, że ten ciężar coraz więcej kłodę wykrecą, ze zwinnością kota, posuwa się na nią i pięścią uderza w ręce splecione nieszczęśliwego towarzysza swego.

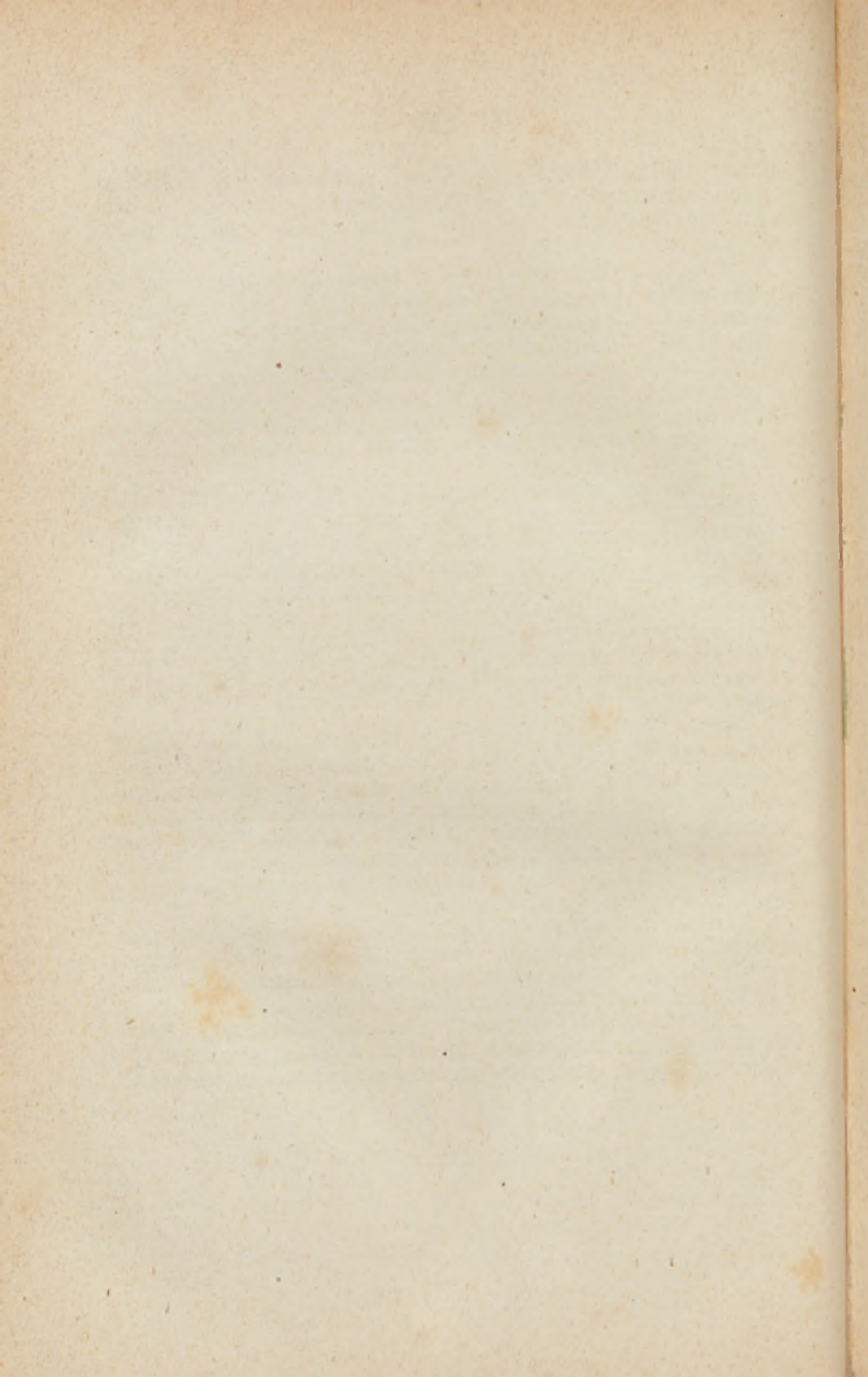
Ten podły, samolubny postępek, wyciska okrzyk zgrozy w całym tłumie na tarasie, biedak pod uderzeniem silnej pięści rozszczerił ręce i zanurzył się w toniach, a jego zabójca popłynął dalej. Wkrótce jednakże Bóg, jakby w oczach wszystkich, chciał doraźnie zbrodnię ukarać, ocalił z głębi wód topielca, bo warszawscy rybacy, gdy bałwan go wyrzuciły, zdotali pochwycić i uratować, gdy na kłodzie płynący, dopędzony nową szychłą drzewą, zwalony do rzeki, już nie miał ocalenia i w pobliżu tarasu zniknął na zawsze w spienionych falach.

Wylew ten straszny, zaczął się dnia 29 sierpnia 1813 roku i mnóstwo rodzin zubożył. Wszyscy zamożni handlujący drzewem, ponieśli wielkie straty, bo ułożone w pobliżu wybrzeża Wisły tak kłocce drzewa *w szychty*, jak *w sążnie* porwała woda i uniosła daleko. Gdy most zerwanym został i spłynął także z wodą, komunikacya zerwana z Pragą, gdzie sprowadzone na rzeź woły i konie, które miały być przeprowadzone na targ na Muranow, potonęły. Cóż mówić o secinach rodzin tak w Warszawie w po nad Wiślu, jak na Pradze zamieszkałych, którzy, ratując tylko życie, całe swoje mienie utracili.

Wśród tej klęski, mieszkańcy Warszawy rąk nie opuścili. Natychmiast z jednej strony Towarzystwo Dobroczynności, z drugiej utworzone na ten raz *Towarzystwo Ratunkowe*, pod przewodnictwem gorliwych obywateli i obywaterek, zabrały się energicznie do zbierania funduszów na ratunek *topielców*. Oprócz hojnych składek, do których chętnie wszyscy należeli i najubożsi swój grosz wdowi dokładali, widowisko w Teatrze Narodowym, oraz koncert w kościele księży Pijarów, dały niemały zasób do zapomogi.

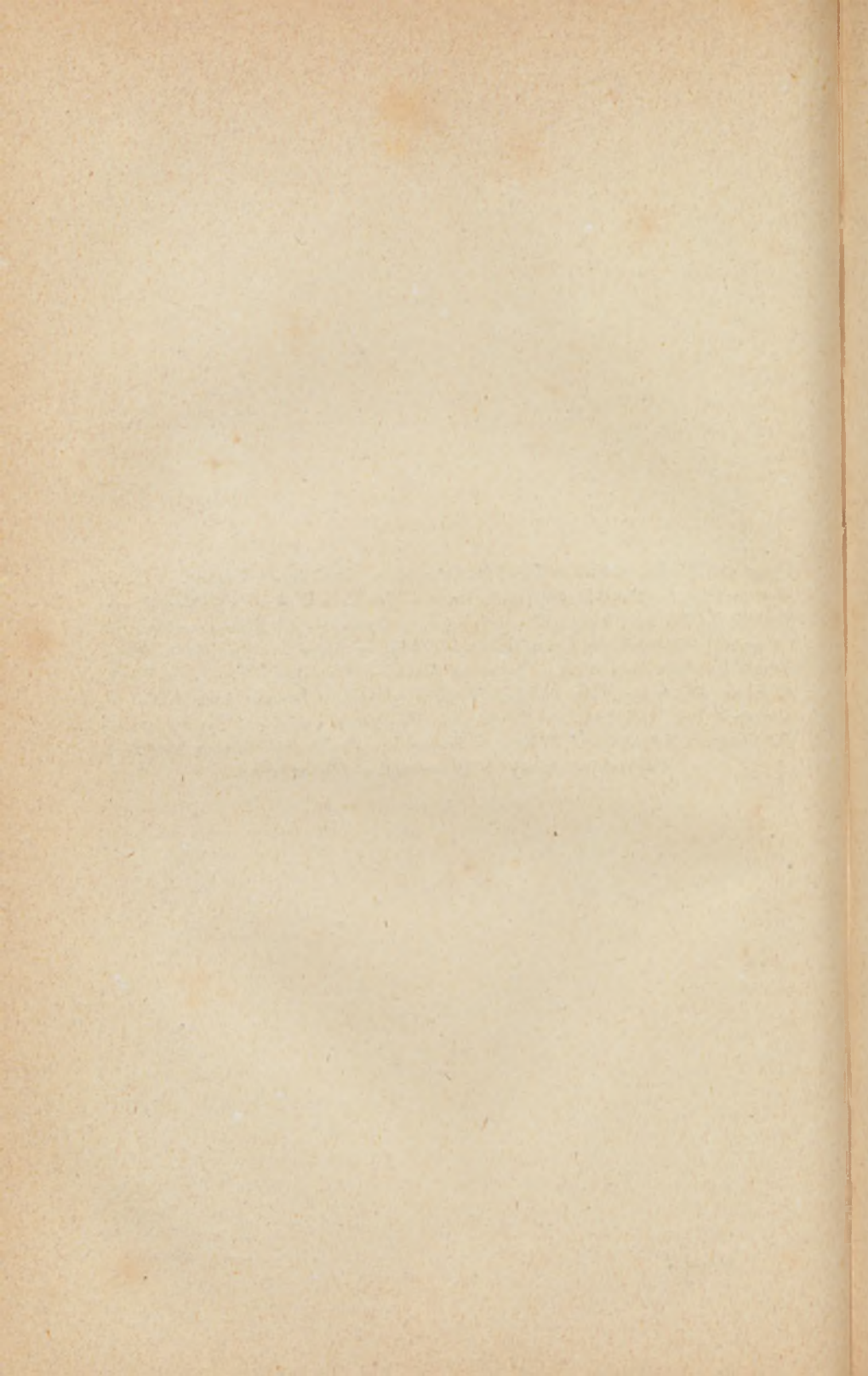
Artysta dramatyczny L. A. Dmuszewski, upamiętnił datę tej bolesnej klęski napisaniem komedyo-opery: *Wezbranie Wisły*, wiérsem w jednym akcie, która przedstawioną była na teatrze tegoż roku. Gdy ją wydrukował, taki na czele położył przypis:

„Towarzystwu Dobroczynności w mieście Warszawie, obywatelom i obywatelkom majątkiem, staraniem, talentami, nieszczęśliwym wsparcie niosącym, pracę niniejszą autor z uszanowaniem poświęca.”



XI.

Pałac pod Blachą.—Książę Józef Poniatowski.—Pani hr. de Vauban.—Dwór zfrancuziały.—Mundur przyjaciół księcia Józefa.—Wojtuś z Jabłonny.—Ludwik XVIII król francuzki i dwór jego.—Imieniny pod Blachą.—Dyanna i Psyche.—Dworek na Czerniakowskiej ulicy.—Anusia z Powiśla.—Stary retman i opiekunka sieroty.—Ucieczka Anusi.—Stanisław***.—Pani Stanisławowa. Jój syn.—Rok 1806.—Teatr narodowy.—Dramat Andromeda.—Napoleon I.—Rok 1809.—Bitwa pod Raszynem.—Śmierć Cypryana Godębskiego.—Książę Józef i Murat.—Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego.—Pogrzeb uroczysty w Warszawie.—Elster rzeka.



Tuż przy zamku od strony Krakowskiego Przedmieścia i wybrzeży Wisły, wznosi się pałac zwany „pod Blachą,” wybudowany przez Jerzego Dominika Lubomirskiego, który w miejsce dachówki pokrył go blachą. Była to osobliwa nowość w całym naszym mieście i ztąd otrzymał swą nazwę. Król Stanisław August w dwunastym roku swego panowania 1776 r. zakupił go i wcielił do zamku.

Leży on poniżej w parowie biegnącym do Wisły i dlatego od jęj wybrzeża ma wysokie piętrowe podmurowanie. Po obu stronach ciągną się aż pod bramę zamkową oficyny: w środkowym pałacyku pokoje szczupłe i małe, lubo są i salony.

Widok z okien przesłicznych na rzekę, Pragę i zawiślańskie dalekie okolice.

W kronice Warszawy uwiecznił pamięć pałacu pod Blachą książę Józef Poniatowski, który w nim przemieszkiwał w końcu zeszłego stulecia i w pierwszych latach naszego wieku. Zmiany jakim cały kraj ulegał, a w krótkim przeciągu czasu i Warszawa, ubogaciły te wspomnienia nie tylko pomiędzy pracowitym ludem, ale w buduarach i salonach magnatek polskich, a wątkiem i osnową tych ostatnich była francuzka, pani de Vauban.

Książę Józef Poniatowski skończywszy swój zawód publiczny raz jako wódz naczelny (1792 r.), a następnie jako generał pod rozkazami Tadeusza Kościuszki (1794 r.), po śmierci stryja swego Stanisława Augusta, opuścił kraj i bawił w Wiedniu z siostrą swoją hrabiną Tyszkiewiczową.

Prusacy zajęli Warszawę, która upadała: gmachy w niej wielkich panów opustoszały i szły w ruinę; wtedy książę wraca stęskniony do starego grodu i osiada w pałacyku pod Blachą. W jego tropy zjawia się pani hrabina de Vauban emigrantka francuzka, wraz ze swoim mężem. Czy to był mąż rzeczywisty, czy tylko dla przyzwoitości odegrujący tę rolę, nie wiadomo, lubo wielu zbliżonych o prawdziwym ich związku małżeńskim wątpiło. Za pojawieniem się zajmuje mieszkanie w pałacu pod Blachą, szcząc się dostojną opieką i przyjaźnią księcia Józefa.

Hrabia de Vauban pospolity Francuz, nieokazujący nawet żadnej ogłady salonowej tak powszechnej między niemi, nie odznaczał się niczem więcej, jak tylko zdolnością oddawania ról w komedjach francuzkich, które dla rozrywki księcia Józefa odegrywano na scenie, czyli na tak zwanym *theatre de Sociéte*.

Francuzka ta wysoka, chuda, już podżyła, wcale nie urodna, od razu skoro przybyła do Warszawy, zaraz rozgospodarowała się w pałacu pod Blachą i zaczęła grać rolę gospodyni domu księcia Józefa. Jaki zaś jego był stosunek do pani de Vauban, nie wiadomo: dziwiono się tylko, że siostra księcia, hrabina Tyszkiewiczowa, tego stanowiska nie zajęła, jako kobieta nie tylko urodzeniem, ale przymiotami i wyższém ukształceniem, mająca do tego wszelkie prawa.

Blizcy księcia zwali ją „starą papugą,“ bo rzeczywiście prowadziła życie jak ten ptak rozpieszczony w klatce. Udawała, że ciągle jest cierpiącą, dręczoną bezustannie spazmami, świeżego powietrza znieść nie mogła: latem nawet w karecie zamkniętej jeździła, zimą się prawie nie ruszała z ogrzanych mocno pokoi. Jadała tylko najdelikatniejsze potrawy, które kucharz księcia Józefa w pień wyklinał. Nie znosiła najmniejszego hałasu, a kto chciał się do niej zbliżyć, musiał na palcach chodzić, nie mieć skrzypiącego obuwia i cicho mówić.

Dziwna rzecz, że tak rozgrymaszona francuzica potrafiła nie tylko rządzić całym dworem księcia, ale co dziwniejsza, że poddały się jej władzy prawie wszystkie magnatki polskie zamieszkałe w Warszawie, lub przybywające na czasowy pobyt. Do tego przyszło poniżenia, że gdy należało jej oddać wizytę której z pań bywających pod Blachą, zajeżdżała do niej, lokaja z biletem swoim posyłając z przeprosinami, że dla słabości zdrowia wsiąść z pojazdu nie może, ale może się rozmówić, jeżeli raczy ją odwiedzić, w karecie. I owe panie uszczęśliwione zbiegały do niej ze wspaniałych swych komnat i w karecie odbywały się konferencye. Taki rodzaj odwiedzin zwano „wizytami hr. de Vauban.“

Jak wysuszała kieszeń księcia, to zostało tajemnicą, ale wynalazła sobie oddzielne jeszcze sposoby wyzyskiwania i to grubo przyjął księcia, którzy mu towarzyszyli. Pod rozmaitemi pozorami wymyślała składki na biednych emigrantów francuzkich: to urządziła loteryę na liche fanty, to opłaty dla biednych przy dawanych widowiskach teatralnych pod Blachą, a te hojne dary szły wprost do jej kieszeni.

Książę stęskniony do kraju i do Warszawy, w której tyle lat życia przepędził i tylu wspomnieniami pięknymi był przywiązany, osiadł w niej ochotnie; ale nie mając żadnego zajęcia, widł życie hulaszce i to jedna ciemna karta w jego biografii, którą niewinnie musimy położeniem kraju i brakiem jakiegokolwiek podstawy do działania w życiu publiczném. Zarzucano mu, że dał się zawojować takiej francuzce, że dwór jego, co powinien z godnością się przedstawiać, nie miał żadnej polskiej cechy, bo wszystko w pałacu pod Blachą zdumodziemczało: że było jego obowiązkiem stać wzorem dla innych, a nie oddawać w urągowisko mowy ojczystej, zwyczaju i obyczaju narodowego i ulegać zachciankom awanturnicy francuzkiej, która kłamstwem i przebiegłością zdobyła sobie tak wydatne stanowisko w pa-

łacu pod Blachą. A dopomagali jej najwięcej przyjaciele księcia, ich żony i krewniaczki dorodne.

Na dworze synowca ostatniego Piasta, od pana do ostatniego służki wszystko na wskroś francuzkie: starzy dworzanie na boku stojąc, smutnie na te zmiany spoglądali. Cudzoziemska atmosfera otoczyła blaskiem swoim cały pałac pod Blachą, tuż pod starym zamkiem, w którym panowało teraz grobowe milczenie, wśród pustych wielkich sal i wspaniałych komnat królewskiej siedziby.

Jak niegdyś książę Karol Radziwiłł *panie kochanku*, założywszy w Albie pod Nieświeżem Towarzystwo przyjaciół swoich, dał im w odznaczających się barwach mundur Albańczyków; tak książę Józef bawiąc w swój majątności w Jabłonie o dwie mile od Warszawy, przyjął dla siebie i swoich druhów mundur przyjacielski, ażeby się całe Towarzystwo lepiej odznaczało w społeczności polskiej. Był to frak popielaty z czarnym kołnierzem, złotem skromnie haftowanym: nosić go jedynie mogli ci, którzy należeli do wernych towarzyszy księcia, za jednomyślnym zezwoleniem wszystkich. Strzeżono pilnie, ażeby nikt się go nosić nie poważył, a zuchwalec jeden, który przywdział ten mundur nie mający do tego prawa, w dwukrotnym pojedynku postrzelony w nogi, przez parę lat o kuli tylko mógł chodzić. Przyznać też potrzeba, że jeżeli bywały pustoty przywiązane do tego munduru, żadna go podłość, ani nikczemność nigdy nie splamiły.

To rozróżnianie się przecie wśród złamaniej społeczności i tak w owe czasy pognebniej Warszawy, to życie huczne i wesołe, przyjaznego miru zjednać nie mogło ani księciu, ani jego towarzyszom. A jednak grunt serca pana pałacu pod Blachą, pomimo usterków, był zawsze zacny i pełen porywów szlachetnych.

W podaniach chłopków z Jabłony zachowywała się wdzięczna pamięć księcia Józefa. Na końcu tej wsi, po pod lasem, mieszkała uboga wdowa Małgorzata Gil z ośmioletnim jedynakiem Wojtusiem. Chata jej zapadła w ziemię: gospodarstwo po śmierci męża niszczało, bo rady sobie biedna kobięcina dać nie mogła. Kiedy gospodarz umarł, pacholę to dopiero drugi rok liczyło; na kosztą pogrzebu poszła para wołów, przyszedł nieurodzaj i klęska gradu: podwaliny w chałupie spróchniały, a nie było ręki pomocnej.

Wojtus chłopczyna wątły ale sprytny, już od piątego roku życia nauczył się zręcznie ptaki łowić to w samotrzaski, to w sidła z końskiego włosienia: sprzedawał je potem dwa razy tygodniowo w Warszawie na „Zapiecku“ i zarobkiem tym pomagał nie mało swojej matce. Na przednówku o chleb coraz ciężej było. Wojtus całą klatkę nałapał szczygłów, czyżków, a przytém dwa kosy i szpaka. Zdobycz to była nie lada, a pieniądz wzięty za nie, da matce chleba na tydzień.

Bywało dawniej że pacholę przysiadło się na furę którego z gospodarzy wioskowych i wracało z nim razem; ale w tym dniu jakoś żadnego nie było widać: szło więc sobie piaszczystym gościńcem, trzymając klatkę w ręku.

Ale zaledwie Wojtuś od matczynej chaty odbił się o paręset kroków, gdy ujrzał jadących konno wielu panów, a całą uwagę zwracał jego pan najdorodniejszy, jadący na czele. Chłopak się zagapił na ten widok i nie dostrzegł, że klatka się otwarła i ptaszki jeden za drugim wyfrunęły na swobodę. Jak zobaczył klatkę próżną, tak mu omdlały z przerażenia nogi, że usiadł na wzgórkę i gorzko płakać zaczął.

Zobaczył to ów pan, co jechał najpierwszy, zwrócił swego konia ku niemu i pyta dlaczego tak rzewnie płacze? Chłopię opowiedziało mu wiernie swoje zmartwienie, niedolę matki i ukazało mu zapadłą chatę, a pan ów na to dobył z kieszeni dukata i dał zdziwionemu pacholęciu.

Wojtuś pierwszy raz w życiu zobaczył złoty pieniądz, zarzucił więc klatkę na plecy i klusem przybiegł do matki, której szczegółowo opowiedział swoje spotkanie. Gdy to wdowa usłyszała, plasnęła w ręce i zawołała:

— Adyć to nie kto inny tylko nasz książę!

— Książę! odrzekł zdziwiony chłopak, a on podobny do innych ludzi, tylko ładniejszy, bo jednako był ubrany ślicznie z drugimi panami.

W parę godzin, gdy wdowa wraz z synem na kolanach gorąco się modliła przed obrazem Matki Bożkiej Częstochowskiej, wszedł jakiś pan do izby.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Pokój temu domowi!

Obejrzy się wdowa i w tej chwili krzyknęła:

— Wojtusi! to nasz pan! nasz kochany książę, plackiem mu do nóg!

I sama, klęcząc, zwróciła się do księcia Józefa, pochylając pokornie głowę.

Książę, dorodne pacholę pogłaskał po zarumienionej twarzyczce, matce dał dziesięć dukatów, a w tydzień później, kazał jej zbudować nową chatę, uprawić grunta, dał parę wołów i krowę dojną; tak odrazu uposażył wdowę, że z nędzy przyszła do zamożności. Małe chłopię pomiędzy gospodarzami Jabłonny, otrzymało nazwę: *Wojtuś księcia*.

W jedenaście lat potem, gdy zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego przywieziono do Warszawy, w orszaku pogrzebowym Wojtuś na czele gromady włóścian Jabłonny, niósł chorągiew bractwa, ocierając łzy serdeczne rękawem sukmany granatowej, a przy nim szła jego matka już pochylona wiekiem, płacząc, jak bóbr, rzewnie.

Bawiono się hucznie w pałacu *pod Blachą*. Pani de Vauban była niewyczerpaną w pomysłach coraz nowych rozrywek: to widowiska sceniczne, to bale, to mniejsze tańcujące wieczorki, wreszcie gry towarzyskie z dowcipkami francuzkiemi, które dały początek tak zwanym *Bureaux d'esprit*, które ztąd i do innych towarzystw wyższych w Warszawie przechodziły, boć to znana nasza choroba

naśladownictwa chętnego Francuzów. Wpływ i znaczenie tak towarzystwa zbierającego się *pod Blachą*, jak i samą pani de Vauban jeszcze się znakomicie wzmogły, gdy w roku 1801 przybył do Warszawy Ludwik XVIII król francuzki, pod imieniem hrabiego *de d'Isle* wraz z małżonką swoją, z książętami *d'Angouleme*, z licznym dworem do czterdziestu osób i zajął dom Wasilewskiego na Krakowskim-Przedmieściu, gdzie przed nim mieszkali Ignacy Krasicki i pani Grabowska.

„Król francuzki, (pisze F. Kozłowski w swoim pamiętniku), przyjechał do nas z Rossyi. Widzieć go nieraz można było stojącego na małym, narożnym balkonie, postaci otyłej i często z nogi na nogę przestępującego, we fraku szaraczkowym, białej kamizelce, spodnie z *serge-gris* i kamaszach aksamitnych: cierpiał bowiem na pedogre. Włosy nosił w tył podfryzowane i pudrowane. Na przechadzkach często w ogrodzie Saskim wraz z księciem i księżną *d'Angouleme* bywał; tę ostatnią znano w Warszawie z dobrych uczynków i litościwego serca dla biednych. Życie hrabiego było kosztowne, zwłaszcza stół, który po królewsku utrzymywano. Ogrodnicy ubiegali się z dostarczaniem najświeższych i najrańszych ogrodowizn, które dwór jego sownie płacił. Kurnicy przyspasabiali się w jak najlepszy drób¹⁾ i zwierzyne, których cena wtenczas znacznie się podniosła, gdyż Francuzi, nie targując się, płacili, co który zażądał. Przystęp był do niego niełatwy, unikał bowiem wszelkich towarzystw i znajomości, słynął zaś u nas jako dobry tancerz i helenista. Książki rad czytywał i bawił się sławnym swoim zbiorem brylantów. Sama królowa światła i także uczona, była małego wzrostu, szczupła i śniada na twarzy, chętnie odwiedzała nasz teatr, kiedy grywano ulubioną jej operę: *Przerwana Ofiara* ¹⁾).

Pani de Vauban korzystała umiejętnie z bytności rodziny królewskiej w Warszawie; łatwo, jako francuzka, znalazłszy przystęp, otworzyła gościnne podwoje pałacu *pod Blachą* na przyjęcie dostojnych emigrantów. Młody książę de Berry, który zakochał się w jednej

¹⁾ Ludwik XVIII przeniósł się następnie do pałacu obok kościoła księży Bernardynów (gdzie dziś resursa obywatelska), latem zaś mieszkał w tak zwanym „białym domku“ w Łazienkach i wtedy bywał na mszy w kościółku ujazdowskim, na miejscu którego wznosi się obecnie pałac Belwederski. Król francuzki mieszkał w Warszawie do 25 lipca 1804 r. (T. M. Sobieszczański: „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy od najdawniejszych czasów, aż do roku 1807.“ Warszawa, 1848). Do wspomnień kamienicy Wasilewskiego, o której już mówiliśmy, a dziś nie istniejącej należą: że do r. 1772 miał w niej księgarnię swoją Jan August Poser, a całe pierwsze piętro zajmował słynny bankier Kabryt i płacił za nie niesłychanie drogo, bo 1500 dukatów rocznie. Po jego bankructwie, zajął je 1801 r. król Ludwik XVIII.

młodziej, powabnej mężatce z towarzystwa pani de Vauban, wraz z księżętami de Grammont, de Henry, z hrabią Damas d'Avaray i innymi bywali chętnie na balach i wieczorach w pałacu *pod Blachą*. Znajdowali bowiem tu piękne i uroczne zarówno dziewice, jak i mężatki wybornie mówiące po francuzku, a gaszące powabem słynne paryżanki, które dla tych przybyszów miały serca chętne i otwarte, bo nie zapomniały o lekkomyślności dworskiej z niedawniej doby Stanisława Augusta.

Tak od XVIII stulecia wpływ francuzczyzny ustalał się coraz więcej w społeczeństwie warszawskim, jak i całego kraju. Potrzeba też umiejętności tego języka, stawała się coraz naglejszą dla młodzieży nawet męskiej, która marzyła o legionach, walczących we Włoszech pod sztandarem szczęśliwego wodza, jakim był Napoleon Bonaparte.

Pomimo licznych sarkau na dwór *pod Blachą*, sam książę Józef był najpopularniejszą postacią w Warszawie i zwracał na siebie oczy jej mieszkańców. Znali go zarówno bogaci kupcy i obywatele, jak rzemieślnicy, ulicznicy miasta i ubóstwo, a piękne panie nasze dobijały się z niesłychanym zapałem o względy dorodnego synowca nieboszczyka króla.

Głośnym był też wypadek, który opowiadano sobie przez długie lata, jaka scena zaszła w ozdobnych komnatach tego pałacyku.

Dwie panie kochały się na zabój w księciu Józefie, a były to przyjaciółki, których mężowie, spadkobiercy historycznych imion i starych herbów, należeli do wyrzutków w zdrowej społeczności krajowej.

Jaka to była tych dwóch pań szczerza przyjaźń, nie wchodzić nam w to bynajmniej; współzawodniczki do serca księcia bywały u siebie, ścisłały się i całowały, razem rozmyślały, jakie mu najmiłsze *siurpryzy* robić, a skrycie jedna pod drugą dołki kopała, ażeby przyjaciółkę usunąć, a samą pozostać obok przedmiotu swęj gorącej miłości.

W marcu, w dzień S-go Józefa, przypadaly imieniny księcia. Za życia króla stryja, głośno je i hucznie obchodziła cała Warszawa. Były to hołdy publiczne składane księciu, a płynęły z serca i dobrej woli. Zmieniły się czasy. Solenizant odsunął się od swoich; przebywał jedynie wśród murów pałacu *pod Blachą* albo w *Jabłonie*, otoczony tylko nieliczną swoją drużyną; obywatele miasta usunęli się też od niego. Marcin Molski nawet, ów wszystkim winszujący poeta warszawski, rocznicy tej nie uczcił ani jednym wierszem.

Dzień ten smutne obudził w duszy księcia wspomnienia. Pani de Vauban przygotowała dla niego teatr francuzki i wieczór tańczący; w pałacu *pod Blachą* był ruch niezwykły od samego rana.

Książę Józef po bezsennęj nocy, zdręczony marami przeszłości, wybrał się do *Jabłonny* na przejażdżkę i ze zmrokiem miał wrócić. Otóż owe dwie panie postanowiły mu lepszą *siurpryzę* zrobić, aniżeli *stara papuga francuzka*. W tym celu, nakupiwszy ozdobnych wiele

cacek i sprzączeków, obić kosztownych i dywanów, przekupiwszy lokaja Francuza a ulubieńca księcia, skrycie je zwiozły i sypialnią jego zupełnie przestroili. Same, z bijącym sercem, poprzebierane jedna za *Dyannę*, druga za *Psychę*, w tych kostiumach mytologicznych, które odkrywały wszystkie ich wdzięki i kształty, oczekiwały z bijącym sercem na powrót drogiego solenizanta.

Zmrok ciemny zapadł, sypialnia księcia była łuną jasną, bo panie rozpały lampy i świeczniki przywiezione z sobą. Woń kadzidel drogocennych napełniła całą komnatę. Przy jarzącym świetle obiedwie cudnie wyglądały i kamerdyner Francuz spoglądał na nie w niemém zachwyceniu. Nagle turkot powozu dał się słyszeć na podwórz pałacowém, książę wracał z przejażdżki, ale nie sam, wiódł z sobą młodą i piękną aktoreczkę, która miała właśnie odegrać tego wieczora jedną scenę na teatrzyku *pod Blachą*.

Zdziwiony niezwykłą jasnością w swój komnacie, kiedy przestąpił jej progi ze swym powabnym gościem, nagle przerażonym został dwukrotnym okrzykiem, który wydały razem *Dyanna i Psyche*. Ostatnia, więcej żywa, porwała za wazon i rozbiła o podłogę; przyjaciółka *Dyanna*, poszła w jej ślady, druzgocąc piękne, alabastrowe figury, czary i drobiazgi z porcelany.

Nagle książę z towarzyszką swoją otoczeni zostali skorupami w około, i gęstą kurzawą, a wśród niej, jak dwa widma, uwijające się postacie pań rozgniewanych. Kiedy zniszczenie darów przywiezionych, które można było potłuc lub poszarpać, zostało dokonane, obiedwie sprawczynie téj ruiny, opuściły komnatę przed chwilą tak wytwornie przystrojoną.

Książę Józef prędko po téj burzy orzeźwiał, a wtedy porwał go śmiech pusty, i nigdy weselszym nie był, bo pożegnał na zawsze *Dyannę i Psyche*. Bawił się też tego wieczoru wybornie, zapominając o troskach które go gnębiły od poranku wspomnieniami lat ubiegłych¹⁾.

Krótkie to były chwile jego zabawy: wśród braku poważnego zajęcia, gdy dawniej prowadził tak czynne, obozowe życie, orzeźwiające trudy wojenne, teraz uczuł znudzenie i wstręt do tych pań przepachniałych najcudniejszemi woniami paryżkiemi. Łatwe zwycięstwa zwykle mało się cenią; był w tém właśnie i książę Józef położeniu. Duszną mu była atmosfera pałacyku *pod Blachą*, drażniła go i gniewała nieraz opieka, troskliwość i gospodarka *pani de Vauban*, ale nie

¹⁾ J. I. Kraszewski wypadek tych dam lubo w odmiennym nieco sposobie, opowiedział ze zwykłym sobie talentem w wyborném dziele p. n. „*Wędrówki Literackie, fantastyczne i literackie*“. (Wilno 1838 roku) w ustępie *Imieniny*, tom I. My trzymaliśmy się ściśle miejscowej tradycyi, która te szczególne przechowała.

śmiał z nią zrywać: szukał tylko po za murami smutnej Warszawy oddechu swobodnego na świeżem powietrzu i pięknoty natury, nie tylko w krajobrazach, ale ucieleśnionej w uroczą postać dziewczęcia. Opowiem tu zdarzenie, które wielki rozgłos miało w swoim czasie nie tylko w Warszawie, ale w kraju, a głównych bohaterów sam blisko znałem.

W wycieczkach częstych zamiejskich, z początkiem wiosny zwiedzał książę wybrzeża nadwiślańskie w towarzystwie kilku przyjaciół swoich. Kiedy wolnym stępem przejeżdżał przez *Czerńskowską* ulicę, zwrócił uwagę jego tłum flisów krakowskich, zgromadzonych przed starym dworkiem drewnianym, na którego ganku, z jednej strony wystawiona *wiecha* z gałęzi sosnowej, z drugiej zawieszony *krzyż czerwony*, zwiastowały szynk piwa, wódek i sprzedaż krajowego miodu.

Wśród tego tłumu dojrzał dziwnie uroczej piękności dziewczynę, mającą lat 16 lub 18, która ze szczególnym wdziękiem napełniała szklanki piwem i miodem zebranych flisakom lub też kieliszki wódką. Uroda tego dziewczęcia była tak uderzającą, że olśniony nią książę Józef, zwrócił konia do tego dworku i poprosił o czarki miodu dla siebie i swoich towarzyszy.

Grono flisów weszło do izby na lepszy częstunek, a piękna szynkareczka wkrótce nadbiegła, i podała na tacy trunek żądany. Zarówno książę jak i przyjaciele jego, w niemém zachwyceniu spoglądali na nią; ta, widząc tyle oczów tak pięknych panów zwróconych na siebie, skraśniała jeszcze żywszym rumieńcem i powabniejszą była. Książę dobył garść dukatów z sakiewki i sypnął złotem na tacę, towarzysze jego niemniej byli hojnemi.

Dziewczę to było sierotą: ojciec stary żołnierz, potem wyrobnik, po śmierci ukochanej żony sam wprędce poszedł za nią a jedynaczkę przytułiła do siebie właścicielka tego dworku i szynku. Sierotka, gorliwą pracą i usługą odplacała się wdzięcznie swojej opiekunce. Gorliwość jej była nieraz podziwem dla samej gospodyni: najranięj wstawiała, najpóźnięj się kładła, a w domu utrzymywała ład i czystość niezwykłą. Zwano tę sierotę *Anusią z Powiśla*. Kiedy z tacą pełną złota stanęła przed opiekunką i opowiedziała szczegóły o panach co przyjechali, gospodyni wybiegła na ganek, i ujrzawszy cały orszak jeźdźców, pokręciła głową, i zamyślona wróciła do izby.

— Ktoby to był ten piękny pan, co sypnął całą garścią dukatów, i ci drudzy panowie, nie wiecie matulu?—zapytała Anusia.

— A któż ich tam zna—odrzekła zapytana—jacyś z Warszawy panowie, co niemając co robić w mieście, włóczą się po powiślu i szukają tego czego nie zgubili.

— A czegoż oni szukają? pyta z podziwieniem dziewczę.

— E! co ci to potem wiedzieć: ot zwyczajnie próżniaki i zbyt-niki!

Tłum flisów coraz się zwiększał, bo nowe tratwy z drzewem i workami zboża nadpłynęły, a na ich czele przybył stary *retman*,

przyjaciel gospodyni, a ojciec chrzestny Anusi. Wielka radość była gdy go obiedwie ujrzały; obdarzył też je gościncami: dla gospodyni przywiózł dwa ogromne bochenki chleba *promnickiego*, a dla swojej chrześniaczki, sznurek koralu krakowskich.

Na drugi dzień o téjże porze ukazał się, ale sam tylko ów piękny pan na dzielnym rumaku, co wczoraj synnął garść dukatów, i zażądał miodu. Gdy mu go Anusia podała na tacy, zsiadłszy z konia, ujął jęj drobną, kształtną choć narobioną rączkę, i zaczął słodkie słówka szeptać. Gospodyni już go miała na oku, był i stary *retman*, prosiła go więc aby zobaczył co to za jeden, co się tak żwawo do Anusi zabiera.

Retman z fajką w zębach, z kapeluszem na bakier wyszedł na ganek: ale zaledwie spojrział, fajka mu z ust wypadła, kapelusz spadł z głowy, i starzec podniósłszy prawą rękę do czoła jakby salutując stanął wyprostowany jak smukła sosna. Ów pan puścił rękę dziewczęcia, gdy zobaczył postawę sędziwego *retmana*, zbliżył się więc, położył dłoń na jego ramieniu i rzekł dźwięcznym głosem:

— A gdzieś służył mój kolego?

— W pułku Mirowskich, Mości Książę.

Anusia na te słowa uciekła, gospodyni jak skamieniała, choć chciała dygnąć nie mogła: książę Józef skłonił głowę, wsiadł na swego wierzchowca i odjechał.

Odtąd co dzień do tego dworku przybywał, ale zaledwie zniknął na załame ulicy, pojawiał się równie dorodny młodszy jeszcze pan, jeden z jego towarzyszków, który gorliwsze jeszcze zaloty, około zachwycającej sieroty wyprawiał. Te wycieczki księcia nie ukryły się w pałacyku *pod Blachą*: książę posmutniał i zamyślony mało mówił. Piękne panie, towarzyski zabaw *pani de Vauban*, wkrótce się dowiedziały że cel ich spojrzeń i westchnień, zakochał się i to nie na żarty w młodej szynkareczce na powiślu. Jedna za drugą na wyścigi zaczęły zajeżdżać do starego dworku aby ją zobaczyć, a ujrzawszy, osowiały wracały, przyznając że ta szynkareczka i w salonach pańskich mogła-by wdziękami zajaśnić.

Zacna gospodyni w głowę zachodziła, co ma sobie z temi jak zwąta *proccyami* począć: bo co dzień to książę pan, to wystrojone damy z Warszawy zjeżdżały patrząc jak na *raroga* na Anusię. Po długiej naradzie z *retmanem*, przykazała swojej wychowance, ażeby jak książę przyjedzie, chowała się do alkowy. Dziewczę ściśle wypełniało rozkaz swój opiekunki, która z radością zobaczyła, że wielkiego to jęj zmartwienia nie zrobiło: nie wiedziała bowiem że serce biednej sieroty biło dla innego.

Książę Józef, raz, drugi i dziesiąty, zawiedziony w swoich nadziejach, rzadko się kiedy pokazał, ale w jego miejsce ów młodszy towarzysz zaglądał codziennie, tylko zawsze najpierw witał panią gospodynię.

Po dniu pogodnym wiosenna naciągnęła burza i z nią deszcz ulewny, po nim zadęła wichura: czarne chmury pokryły niebo, a bałwany wiślane biły białą pianą o wybrzeża wśród grzmotów, łyskawic i piorunów, opustoszały wszystkie ulice. Na zamkowym zegarze uderzyła dziesiąta godzina wieczorna, kiedy karetka wyjeżdżała nagle ze starego dworku na powiślu, a dwa siwosze wyciągniętym kłusem niosły ją do miasta. Obok méj, wyniosłej postaci jeździec okryty płaszczem, galopował na dzielnym gniadoszu. W karetce siedziała już w średnim wieku pani, tuląc w swém objęciu płaczącą rzewnie *Anusię z powiśla*. Wprędce karetka stanęła na podwórzcu przed mieszkaniem moich rodziców, i obiedwie podróżne weszły do mojej matki wraz z towarzyszem swoim.

— Oto jest moja sierotka, mówił do mojej matki całując ją w rękę, o której tyle razy wspominałem; oddaję ją pod opiekę drogiej pani, a jutro już będzie miała odpowiednie dla siebie schronienie. Siostra moja wraz z panią odwieziecie Anusię do klasztoru. Jakoż nazajutrz pomieszczoną została u *panien Wizytek*, ażeby potrzebne wykształcenie otrzymała.

Tymczasem we dworku na powiślu stał się rozruch wielki, gdy opiekunka daremnie swój wychowanki wołała. Zniknęła jak kamień w wodę. Płacz i żalu było wiele, przez noc całą spać biedna kobiecina nie mogła. Nazajutrz, stróż przyniósł jój list który doręczył mu jakiś posłaniec konny, z poleceniem ażeby zaraz pani dworku oddał. Za ledwie zdarła pieczętkę, gdy z wielkiem podziwieniem odczytała pisanie od owego młodego pana, a w końcu dopisek ręką Anusi, którym uspakajała swą opiekunkę, donosząc zarazem że uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa, i nie długo ucałuje ręce swój dobrodziejki.

I było rzeczywiste dla niój niebezpieczeństwo, bo przyjaciele księcia Józefa, mieli wykraść piękne dziewczę i zawieźć pod opiekę *pani de Vauban do palacu pod Blachą*. Uprzedził ten zamiar zgubny dla sieroty *Stanisław**** towarzysz księcia, który szczerze ją umiłował, a pozyskawszy jój serce wykradł wcześniej i po dwóch latach nauki w klasztorze *panien Wizytek*, zawiódł na stopnie ołtarza, i osiadł z nią w *Stanisławowskiem* na Mazowszu w swoim majątku. Na ślubie który się odbył u *Trynitarzy* na *Soleu*, była pocziwa opiekunka Anusi i stary retman jój ojciec chrzestny, z płaczem radosnym błogosławiąc państwa młodych.

Książę Józef pokochał się zapaniętale w pięknej szynkareczce, i sam się przyznał że pierwszy raz uczuł prawdziwą wtedy miłość; kiedy się jednakże później dowiedział o wszystkim, nie miał żalu do *Stanisława**** dziękował mu serdecznie, że nie dał się zmarnować tak ślicznemu stworzeniu.

W kilkanaście lat później, poznałem piękną *Anusię z powiśla* już jako *panią Stanisławową* u mojej matki, do której przyszła w odwiedziny. Wtedy to, chociaż dzieciuch jeszcze, zachwycony byłem jój wdziękami. Patrzałem z podziwieniem na tak piękną panią, a po jój

wyjściu usłyszałem całe to zdarzenie, które mi matka moja ze szczegółami opowiedziała. W późniejszych latach poznałem starszego jej syna i z nim kolegowałem. Z twarzy przypominał wiele urocze oblicze swjej matki, rysy podługne, kształtne i regularne. Szczupłej postaci, zdawał się wątły, a jednak w tak słabym na oko organizmie mieściła się żelazna odwaga, i bohaterska pogarda śmierci!

Jeżeli gdzie żyjesz — przyjm me pozdrowienie braterskie!

Nadszedł rok 1806. Pod jesień Prusacy w Warszawie w niepokoju się kręcili. Zaszła pamiętna bitwa *pod Jeną*, gdzie runęła cała potęga pruska. Król i królestwo pruskie zostało na łasce cesarza Napoleona pierwszego. W końcu listopada tegoż roku, Niemcy uciekli z Warszawy, przed kilkunastokonnym *patrolem* dragonów francuzkich.

Z pałacu *pod Blachą* znika z mężem *pani de Vauban*, a pan tego gmachu, jakby zbudzony z długiego letargu, występuje już w godnej swego imienia i przeszłości postawie.

Pałac *pod Blachą* inną przybiera barwę: sam *książe Józef* jak i towarzysze jego zrzucają przyjacielskie szaraczkowe fraki, a przywdziewają żołnierskie mundury. Znikają z komnat pałacowych wonie perfum paryzkich, umilkły miękkie melodye śpiewów i muzyki salonowej, a w to miejsce rozlegały się po nich brzęk ostróg, szczerk pałaszy i odgłos trąb i bębnow. Najpierw marszałkowie i generałowie Francji jak *Davoust*, *Nej*, *Massena* i wielu innych, oraz książę *Murat* ów z walecznych najwaleczniejszy, w przepysznym, chociaż nieco teatralnym stroju, nie raz zasiadali u stołu gościnnego w pałacu *pod Blachą*, wznosząc zdrowie Napoleona pierwszego, *zbawcy świata*, jak wówczas wszyscy się wyrażali, i uprzejmego gospodarza księcia Józefa.

Zaledwie się rozgościła zwyczajka armia, dnia 14 stycznia 1807 roku *teatr narodowy* dał widowisko dla uczczenia cesarza Napoleona, który się znajdował na tém przedstawieniu. Ludwik Osiński w tym celu wybrał odpowiednią treść z mitologii, zastosowaną do okoliczności owoczesnych i napisał dramat liryczny wierszem p. n. *Andromeda*, którego przekład francuzki złożono cesarzowi, ażeby osnowę sztuki lepiej zrozumiał ¹⁾. Książę Józef towarzyszył Napoleonowi na tém widowisku, a nie długo po niem opuścił swoją siedzibę *pod Blachą*.

W roku 1809 zawitał do niej na krótki pobyt za najściem niespodziewaném armii austryjackiej; zaszła pamiętna bitwa dnia 19 kwietnia 1809 roku. Mieszkańcy Warszawy z trwogą nadśluchiwali

¹⁾ Utwór ten wyszedł z druku p. n. *Andromeda, dramaty liryczne w jednym akcie wierszem, reprezentowane w Warszawie 14 stycznia 1807 roku w obecności Napoleona cesarza Francuzów. W Warszawie 1807 roku.* (Tekst polski i francuzki, w 3-ce stronnio 48). Utwór ten w zbiorze pism L. Osińskiego wydanych przez F. S. Dmochowskiego pomieszczonym nie został.

jak o jęj mury odbijały się salwy artylerji, wielu biegło na najwyższą wieżę kościoła ewangelickiego, żeby zobaczyć krwawą walkę, w której 8000 pod wodzą księcia Józefa, staczało bój zacięty z 40,000 armią nieprzyjacielską. Wkrótce straszna wieść nadpłynęła o zgonie pułkownika *Cyprjana Godebskiego* żołnierza-poety: z przerażeniem widziano jak młoda jego małżonka, a matka dwóch synów, biegła z rozwianym włosom od ich kotłowski, na pobojowisko. I ujrzała tylko martwe ukochanego małżonka zwłoki. Na czele swego pułku VIII piechoty, wstrzymuje Godebski dziesięć kroć liczniejsze zastępy nieprzyjaciół. Pada koń pod nim, spokojnie przesiada na drugiego. Otrzymuje postrzał w lewą nogę, ale tém nie wzruszony, idzie naprzód, gdy odbiera drugi śmiertelny postrzał poniżej w piersi i z konia spada. Przywiązani żołnierze unoszą go na płaszczu z pola boju, bo błagał ażeby uniknął niewoli. Gdy z zemdlonym upływem krwi, odpoczywano na ustronném miejscu, odebrał jeszcze nowy postrzał w lewe udo i rzekł spokojnie: „*Wigę i ty mnie jeszcze nie mijasz!*“ Były to ostatnie jego słowa. Sierżant grenadyerów dzielny *Zorawski* odwoził go bryczką do miasta na ręku swoich. W drodze spotyka nieszczęśliwą wdowę. „Gdzie mój mąż, gdzie pułkownik“ pyta zadyszany głosem. Mężny grenadyer wskazał co trzyma na swoim ionic. Już była noc późna gdy przybył do Warszawy, ranny nie mógł być opatrzonym, w ciągu godziny ubiegła go krew do ostatniej kropli.

Nazajutrz pułk ósmy piechoty, któremu dowodził poległy Godebski wszedł w mury Warszawy ze spuszczoną bronią, i ze sztandarem osłonionym krepą: na wszystkich twarzach dzielnych żołnierzy, zczernionych dymem prochowym i kurzawą bojową malował się rzewny smutek. Zaledwie ujrano w mieście pułk ten przechodzący krokiem zwyczajnym ulice, kierując się ku Pradze, płacz i jęk bolesny rozległ się wszędzie, serca wszystkich zadrżały rozpaczą nad stratą żołnierza-poety. Zwłoki złożono na Cmentarzu Powązkowskim i uczczono ozdobnym z kamienia pomnikiem, który dotrwał naszych czasów. We 12 lat po jego zgonie syn starszy Ksawery Godebski wydał jego wszystkie pisma w 2 tomach p. n. *Dzieła wierszem i prozą Cyprjana Godebskiego*. Warszawa 1821 roku, przy których dołączono popiersie poległego pułkownika.

Pałac pod Blachą był wtedy chwilowym szpitalem: książę Józef cofnął się i Warszawa poddać się musiała. Losy wojny wkrótce się zmieniły: szczęśliwy zwycięzca, w dzień Bożego Ciąła w nocy, skrycie opuścił jęj mury. Zbudzeni ze snu mieszkańcy, z podziwem ujrzeli miasto swobodne od Austryjaka. Z jakąż radością obchodzili ten majestatyczny obchód w uroczystej procesji. Lud zaś uwiecznił tę chwilę ulubionym krakowiaczkiem:

„Oj książę Ferdynandzie, cóż ci się to stało?
Uciekłeś z Warszawy w samo Boże Ciąło.“

który brzmiał w daleko późniejszych latach, na każdej ochocie serdecznej.

Ucichała wrzawa wojenna—grzmiała ona daleko od Warszawy. Z pola bitew nadbiegały wieści o *brawurach* Murata i księcia Józefa. Z nich zapamiętam jak opowiadano pod Blachą o wypadkach dnia jednego. Książę Józef oskoczony nagle przez liczną jazdę, daremnie usiłował przebić się przez jej gęste zastępy, gdy Murat nadbiegł i wyswobodził księcia. Tegoż dnia z dwoma adjutantami Murat odbił się od obozu, i wszedł na wieżę kościoła wiejskiego dla obejrzenia okolicy, gdy niespodziewanie jazda nieprzyjacielska oskoczyła dokoła. Zaledwie zdążono dobrze drzwi zamknąć, kiedy połowa ich zsiadłszy z koni i wzięwszy belkę na ręce, rozchuśtawszy ją, biła w oddrzwia jak taranem, które pod tak silnymi ciosami, pękać zaczęły i chwiać się w zawiasach. Murat nieustraszony, pierwszy raz zasępił czoło, gdy nagle jak z obłoków spada książę Józef ze swym szwadronem służbowym, i rozbija cały oddział szturmujący.

Pałac pod Blachą, jakkolwiek przez swego pana opuszczony, był skarbnicą wiadomości owoczesnych dla Warszawy, bo tu przychodziły one najprędzej od księcia Józefa.

W pięć lat później, wieść bolesna obiega, że wiodą zwłoki księcia Józefa, który w krwawej walce *olbrzymów* pod Lipskiem 1813 roku w rzece Elster, kilkakrotnie ranny, utonął. W Bramie krakowskiej przy posągu króla Zygmunta III, mieszkał na pierwszym piętrze szanowany powszechnie kupiec ormianin Minasowicz, ojciec tłumacza *Preciozy* i lirycznych utworów Szyllera. Sklep korzenny miał na dole w ciężej bramie.

Osmy rok życia licząc, kolegowałem w szkołach pijarskich z najmłodszym jego synem Tomaszem, i przez to miałem sposobność z okna jego mieszkania, widzieć cały ten smutny i rzewny obchód.

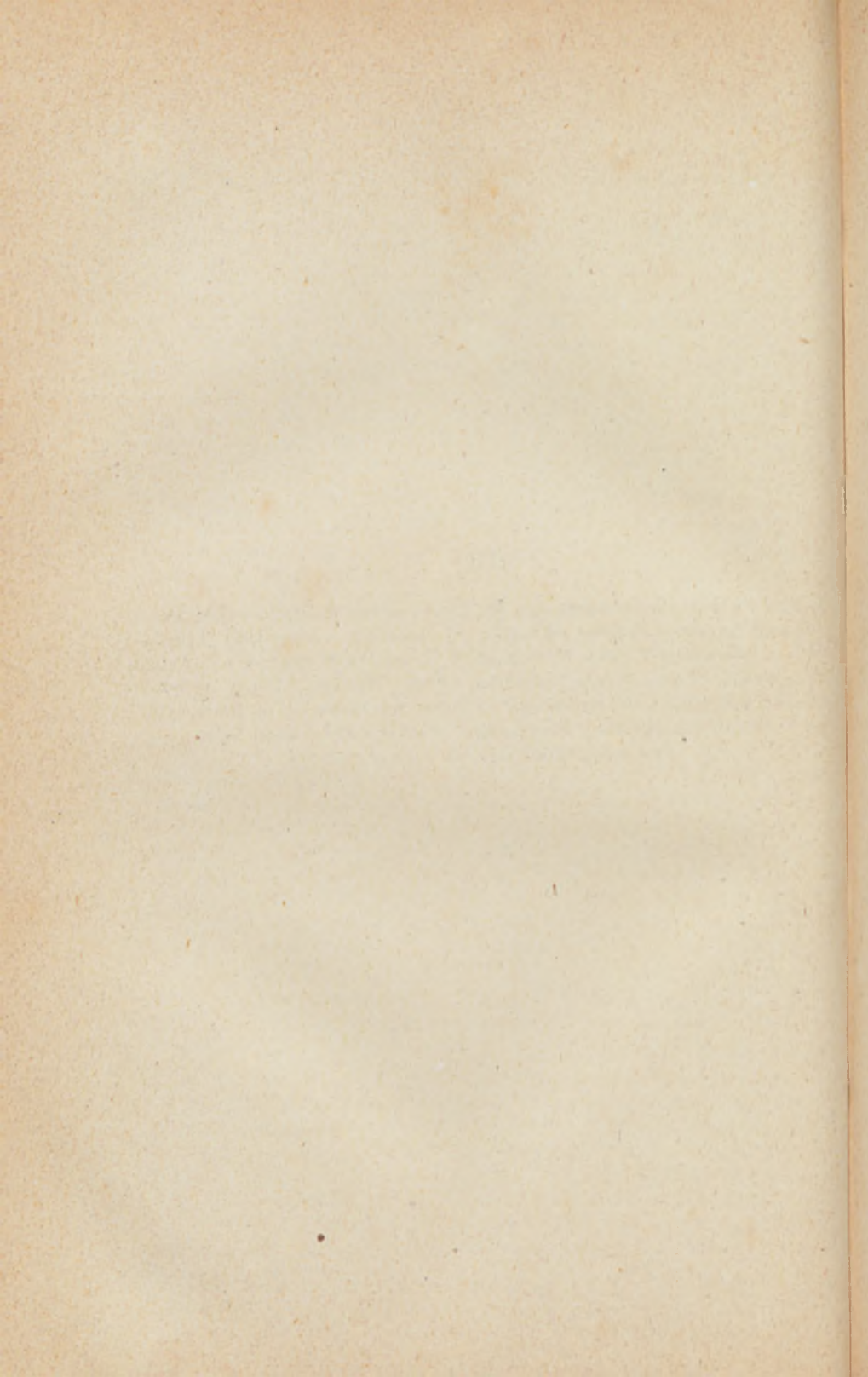
W dziecięcej pamięci to wspomnienie wryło się głęboko, i widzę go dokładnie, chociaż już okrągło od owój doby upłynęło lat tyle! Było to 19 października 1814 roku. Karawan z trumną, ciągnięty przez lud toczył się zwolna od Senatorskiej ulicy na plac przed Bramą krakowską i zamkiem. Dzwon bernardyński największy ze wszystkich dzwonów Warszawy, jękliwym odzewem, zwiastował całemu miastu tę smutną chwilę; wtórowały mu dzwony wszystkich kościołów. Przed karawanem postępowali w szeregach sapery w granatowych mundurach, z bermycami z niedźwiedziej skóry, przy których wysokie czerwone kity sterczały. Z przodu spadały im od piersi po kolana, białe skórzane fartuchy, na ramionach lśniły wielkie, ostre topory. Twarze ich ogorzałe, poważne, z długimi wąsami i brodami, wrażały poszanowanie. Za karawanem wiedziono konia wierzchowego zabitego księcia. Nie więcej nie pamiętam, jak tylko tłumy wielkie, płacz i jęki ludu, i łzy moje i patrzących ze mną! J. U. Niemcewicz w *Śpiewach historycznych*, kreśląc z serca pełne rzewności na ten obchód *pienie żałobne*, dołączył staloryt, w którym wiernie odda-

na jest chwila, gdy karawan ze zwłokami dostojnymi zgasłego wodza, zbliżał się do kościoła Ś-go Krzyża.

W siedmnaście lat po tym pogrzebie, stałem kwaterą w pałacu pod Blachą; wtedy szczegółowo go obejrzałem: owe małeńkie komnatki, jak większe pokoje i salony. Stary dworzanin księcia Józefa żył jeszcze, i on mi ukazywał jego sypialnię, mieszkanie pani de Vauban, salony gdzie dawano widowiska teatralne, bale i wieczory tańczące. Mnóstwo zachowało się jeszcze sprzętów i mebli po księciu Józefie, które nietknięte od wielu lat stały na swoim miejscu. Wśród nich odznaczały się krzesła, fotele, stoliki, a szczególnie szafy pełne artystycznej rzeźby, które głównie z Gdańska sprowadzano. Z obrazów, zwracały uwagę głównie portrety ks. Józefa, akwarella przedstawiająca scenę gdy mu cyganka pod Sabaczem wróży, że Elster będzie powodem jego śmierci, i obraz olejny, kiedy ranny z wysokiego wybrzeża skacze w bystre nurty Elster, gdzie zgon znajduje.

XII.

Kościół Bernardynek pod wezwaniem św. Klary.—Jerzy Mniszech.—Gizanka.—
Zygmunt August.—Sędziwa zakonnica: jej opowieść.—Czarodziej Twardo-
wski.—Zjawisko.—Poncz u Nowackiego.—Truskulawski gitarzysta.—Antoni
Cyprysiński.—Prot.—Gitara hiszpańska.—Staś.—Barnaba.—Poncz w kubel-
kach.—Deklamacya Cyprysińskiego.—Pieśni Stanisława Doliwy Starzyńskie-
go.—Tymon Zaborowski.—Maryensztad.—Antykwaryusz Gecel Salzstein.—
Pani moru: zaraza morowa.—Stara tradycya.



W pobliżu pałacu pod Blachą stał z wyniosłą wieżą mały kościółek Bernardynek pod wezwaniem 6-tój Klary, ze szczupłym klasztorem dla zakonnice panien. Dziś śladu jego niema, bo w tém miejscu idzie wspaniały zjazd na mурowanych arkadach do nowego żelaznego mostu.

Kościółek ten zasłaniał całkowicie widok na Wisłę, przedmieście Pragę i dalekie okolice, na jakie teraz spoglądamy. Po zniesieniu zakonu urządzono w nim konserwatorium muzyczne i szkołę dramatyczną, z której pomiędzy wielą innymi zdolnymi aktorami, wyszedł nasz pierwszy komik, genialny Alojzy Żółkowski, a syn redaktora „Momusa“.

Nie pamiętam już nabożeństwa w tym kościółku, ale znałem sędziwą zakonnice z tego zgromadzenia, która mi wiele szczegółów opowiadała o przeszłości tego klasztoru. Rzecz dziwna, stara tradycja w żywym słowie przechowywała pamięć jeszcze tak Zygmunta Augusta, jak i sławnój jego kochanki, w której się rozmiłował król ten, po zgonie ukochanój żony, Barbarze Radziwiłkównie.

Jerzy Mniszech poufały dworzanin Zygmunta Augusta poznał w tym klasztorze, będąc u Bernardynek na wychowaniu, młodą i piękną Giżankę, córkę mieszczanina warszawskiego, nadzwyczaj z postaci i oblicza podobną do zmarłój królowój Barbary. Przebrany za mnicha, potrafił się zakraść w łaski zakonnice i znaleźć dosyć sposobności namówienia młodego a niewinnego dziewczęcia do ucieczki z klasztoru, ażeby przy boku króla poznała świat wielki i cały urok bogactwa.

Podczas nocy ciemnój i burzliwój, wypiłowawszy kratę w oknie celi Giżanki, wykradł ją i ukrył przed pościgiem zakonnice i ojca i zaraz wywiózł do Krakowa.

„Wtedy (opowiadała sędziwa Bernardynka) na dworze króla był sławny czarodziej Twardowski, który obiecał mu ukazać żywo-powstałą z grobu królowę Barbarę. W dniu oznaczonym, w komnacie zamkowej na Wawelu, Zygmunt August siedział wielce wzruszony w towarzystwie Mniszcha, gdy opona się uniosła co podwoje zakrywała, i w wielkiój jasności ukazała się żywa postać królowój Barbary, świeża i piękna jak była w pierwszym roku pobrania. Król żywo się zerwał z krzesła, ale widmo przeszło prędko, spojrzalo nań pełnymi

ognia oczyma i znikło. Król omdlał, bo już był chory, a nie było to widmo tylko Giżanka, ubrana w strój zmarłej królowej, a była do niej podobna jak dwie krople wody.“

Dotąd opowieść zakonniczy.

Sława czarodzieja Twardowskiego rozbiegła się po całym kraju, a tymczasem Mniszech nie długo po tém ukazał królowi Giżankę, który tém podobieństwem ujęty, szalenie się w nią rozkochał. Wszechwładnie téż nad nim zapanowała, a przez nią dumny Mniszech, nieprzebierający w środkach wzbogacenia się, aby mógł zasiąść między panami, użył jój jako swoje posłuszne narzędzie, do okradzenia dogorywającego ostatniego Jagiellończyka. Przy jój téż pomocy wszystkie skarby królewskie, tak sprawnie uprzątąną, że nie było czém okryć zwłok zmarłego króla.

Nie była tajną ta haniebna kradzież senatowi i panom, ale Mniszech wzbogacony potrafił zręcznie zamknąć im usta bogatemi dary. Za Zygmunta III doszedłszy do godności wojewody sandomierskiego, wydał córkę za Dymitra Samozwańca, ciesząc się że ją ujrzał na tronie. Ale dobre stare przysłowie: „małe parta, idą do czarta.“ Córa dumna, godna swego ojca w awanturnicznych zabiegach, po zgonie swego męża życie straciła, a ukradzione skarby Zygmuntowi Augustowi, na szalone wyprawy téj *Maryny* zmarniały.

Po Giżance stara zakonnica przechowywała jako drogie pamiątki: różaniec ze szczerozłotym krzyżykiem i czarę złotą prześliczną robotą w różne floresy i arabeski. Snać wychowanka Bernardynek nie zapomniła o swoich zakonnicach, bo jak mi opowiadała, ostatnia z nich, posiadaczka tych pamiątek, często odwiedzała ten klasztor i hojnemi dary uposażyła.

Pomiędzy klasztorem Bernardynek a pałacem pod Blachą, stała mała kamieniczka bez piętka. Na dole w niskich pokoikach mieścił się zakład „Nowackiego“ pod nazwą kawiarni, ale głównie zbierali się tu wieczorem liczni zwolennicy doskonałego ponczu. A poncz Nowackiego miał tę zaletę, że był czysty, z dobrym arakiem i sokiem cytrynowym, do którego dla miłszego aromatu dodawano trochę ananasów.

Akademicy rzadko tu zaglądali, bo to były za wysokie progi na ich nogi, a raczej na kieszenie: szklaneczka bowiem ponczu zwykłego kosztowała złoty, a z przyprawą ananasową półtora i dwa złote. Zamożniejsi jednak, lub drudzy chwilowo zasobni, zbierali się w małe gronka, dobierając sobie do towarzystwa z kolegów i chudeuszów, których kochali.

Dym fajek w niskich sklepionych pokoikach jak mgła gęsta panujący ciągle, stanowił atmosferę zwyczajną: były jednakże ustronne komnatki, gdzie za zamówieniem w swoim tylko kółku bawiono się ochoczo miłą pogawędką do późnej nocy.

Do tych częściej zebrań nie małym był wabikiem Truskulawski, rodzony brat słynnej tragicznej aktorki Ledóchowskiej, jeden

wówczas z najznakomitszych gitarzystów, znany nie tylko w całym kraju ale i za granicą z wydawanych koncertów. Grał on po mistrzowsku na gitarze hiszpańskiej, która już z Warszawy od wielu lat wyparła angielską gitarę, tak rozpowszechnioną u nas, że w zaściankach szlachty mazowieckiej, panny na zagonie, brzdąkając na niej, wtórowały sobie do ulubionych piosneczek. W samej Warszawie rzadko gdzie, chyba w zaułkach podejrzanych, zobaczyłeś tę gitarę; hiszpańska zaś nie powstała w rękę kobiety, bo to instrument wyłącznie do mężczyzny przywiązany.

Było to w połowie marca w porę wielkiego postu, gdy kilku nas znajomych poszliśmy do Nowackiego, dowiedziawszy się że Truskulawski tam będzie i obiecał zagrać na gitarze.

Pod mrok już dobry ruszyło nas trzech razem z ośmioma złotymi w kieszeni, co wystarczało dla każdego na szklankę ponczu chociażby nawet z ananasem!

Pominąwszy pierwszy pokój zaciemniony od dymu fajczanego, przeszliśmy do trzeciej bocznej komnaty.

Siedział już tam Antoni Cyprysiński z jakimś roslim młodzieńcem, którego nam przedstawił jako dobrego kolegę, a zwał go po imieniu tylko Protem.

Gitara hiszpańska wisiała na ścianie. Kazaliśmy sobie dać po szklance ponczu i zasiedliśmy przy jednym stole. Cyprysiński z towarzyszem swoim przybył tu właśnie z tegoż samego powodu, dla któregośmy przywędrowali do Nowackiego, bo wiedział że Truskulawski stawi się niezawodnie. Zegar na wieży zamkowej uderzył dziewiątą godzinę: zanim jej brzmienie umilkło, roztwarły się drzwi naszej komnaty i wszedł najprzód Truskulawski, a za nim dwóch młodych, którzy dziwne z sobą przedstawiali przeciwieństwo.

Młodszy wiekiem był wyniosłego wzrostu, dobrej tuszy, pełnej twarzy, oczu wielkich niebieskich. Włosy jasne blond spadały mu w gęstych splotach na ramiona: płeć na obliczu biała, alabastrowa, z żywym rumieńcem. Towarzysz jego może o trzy, cztery lata starszy, niski, chudy, oczy czarne, kręcze włosy; ale oblicze śniade, a raczej żółtkłe, wstępem na pierwszy rzut oka przejmowało. Byli to przyjaciele naszego gitarzysty, który z siostrą swoją Ledóchowską żadnego nie miał podobieństwa.

Piękny blondyn zawołał dźwięcznym, a silnym głosem.

— Trzy szklanek ponczu ananasowego, ale w kubałkach.

Tak nazwał on duże kufle szklane, obejmujące więcej jak dwie szklanek zwyczajnych.

Chłopak wniósł żądane trzy kubałki, a miła woń ananasowa napełniała naszą komnatkę.

Kiedy Truskulawski z towarzyszami już po połowie swoich kubałków wysączyli, Cyprysiński zawołał:

— No grajku kochany, masz gitarę na ścianie, zagraj nam co do serca, a my ci tu zawtórzmy chórem.

— Nie, nie!—odrzekł wołany—ty Antoni musisz nam co piérwój zadeklamować. Radbym usłyszeć wraz z memi towarzyszami staro-
Bogusławskiego.

Cyprysiński wychylił resztę swojej szklanki, powstał i ukrył się za parawanem stojącym przy drugich drzwiach naszej siedziby.

— Cicho! i słuchajmy!—przemówił Truskulawski—nikt tak wy-
bornie tworząc teatru naszego nie potrafi naśladować jak dzielny
Cyprys.

W komnacie zalegała grobowa cisza, a z za parawana odezwał się głos rzeczywiście sędziwego Bogusławskiego: przysięgłbyś, że rolę starego Horacyusza z tragedyi Piotra Kornela w przekładzie Osińskiego deklamuje sam artysta. Z dwóch scen wypowiedział piękniejsze ustępy, poczem wyszedł z za parawanu i kładąc rękę na ramieniu Truskulawskiego:

— No!—rzekł—ja spełniłem wasze żądanie, teraz pokaż swoją sztukę.

— Dobrze! dobrze! tylko skończę moją koneweczkę, bo i smaczna i woni doskonale, aż się wąsy śmieją.

I pokręcił sumiastego wąsa.

Po chwili zaś dodał, zwracając się do wysokiego blondyna:

— Ty Stasiu zaśpiewasz swego imiennika piosenki, a ty Barnabo—mówił do młodego bruneta z żółtą cerą—potém nam po swojemu zanucisz. Spojrzałem na obu towarzyszy gitarzysty: blondyn wypiękniał po wypiciu połowy konewki wyborowego ponczu, ale co dziwnego, że i mały brunet zmienił się do niepoznania i wyładniał także. Stasia oczy jaśniały niezwykłym blaskiem, policzki mocnym powlokły się szkarłatem; z oblicza Barnaby znikła żółta cera, śmiałość tylko męzka wybiła, a ubarwiły ją żywe rumieńce. Oczy czarne świeciły jak dwa brylanty najczystszej wody. Teraz dopiéro ujrzałem jego piękne i kształtne różane usta z pod czarnego wąsa i dwa rzędy zębów równych, białych jakby wyrzeźbionych z kości słoniowej. Kiedy się uśmiechnął na zawezwanie Truskulawskiego, z przyjemnością się weń wpatrywałem, a gdy nie długo w śpiewie zabrzmiał męzkim, silnym basowym głosem, całe nasze kółko zebrane słuchało go z zachwyceniem.

Truskulawski uderzył w struny gitary, a po pełnej wdzięku przegrywce, Staś miłym zaśpiewał głosem:

Znacież ludzie młodzi
Stacha z Zamiechowa,
Co na mszę nie chodzi
I postu nie chowa;

Lecz którego śpiewki,
W powszednie i święta,
Powtarzają dziewczki
I polskie chłopczęta?
Miła mu jak sława
Jest pieśń narodowa:
To pierwsza zabawa
Stachą z Zamiechowa.
Nie szkockie ballady,
Nie walce tyrolskie;
Lecz rad, wśród biesiady,
Nuci śpiewy polskie.
Ma Francuz menuety,
Ma Hiszpan bollery,
Ma Włoch kanconety,
Ma Niemiec sztajery.
Piękne to są trele;
Lecz śpiew Krakowiaka
Wnet budzi wesele,
I cieszy Polaka.
Żyćcież polskie dziewczki!
Z wami polska mowa!
Oto jest treść śpiewki
Stacha z Zamiechowa!

— To piosnka Doliwy Starzyńskiego, przemówił Prot dotąd milczący: lubię te jego śpiewki, tylko nie smakuję w tych jałowych conceptach, które już wypłowiwały. Co to za wielka rzecz, żeby się chwalić, że się na mszę nie chodzi i postu nie szanuje. Myśl sobie i rób, jak tam zechcesz na stronie, wolna wola, ale zgorzenia nie dawaj poczciwszym ludziom, co wśród pracy ciężkiej i niewesołej wędrówki światowej, idą na mszę, aby myślą podnieść się po nad kał ziemski i poszczą na cześć i chwałę Bożą.

— Niechby on odezwał się z taką piosnką pomiędzy naszymi chłopkami, odrzekł Barnaba, pewnieby go słuchać nie chcieli, a na podziękę, jak nasze poczciwe Mazury, skórebę mu potężnie zgarbowali. Szkoda żeś tej zwrotki Stasiu nie opuścił, bo reszta i dobra, i piękna.

— Śpiewam jak napisał, zresztą wiesz mój kochany, że tak nie myślę.—Barnaba na te słowa porwał się z siedzenia, przyskoczył do Stasia, objął szyję jego rękoma i zaczął serdecznie całować.

— Co ty wygadujesz! zawołał, a toć mogę naszego śpiewaka przedstawić wam koleży, jako skromną panienkę, poczciwego brata! On mię nawrócił, był wielkim lekarzem duszy i razem chodźmy do kościoła na gorącą modlitwę. O moi drodzy! (mówił głęboko wzruszony), gdy burze życia złamały mnie, gdym blizki był rozpaczy, on, jak

anioł zbawienia zjawił się, przytulił do piersi braterskiej, a potem rzekł: „Chodźmy, ja cię powiodę tam, gdzie znajdziesz pociechę i ulgę: wiecie kędy mnie zaprowadził? Do kościoła Kupucynów. Była to, pamiętam dobrze, *Wielka Sobota* i chwila *rezurekcyi*; gdym ujrzał tłum pobożnego ludu i uroczystą procesyą, kiedym zobaczył mego Stasia jak ukląkł, a na jego obliczu młodém i czerstwém, wybił wyraz zachwytu i radości nadziejskiej: padłem przy nim na kolana i pierwszy raz przy brzmieniu radosnej pieśni *Alleluja!* ja zakamieniały w niemej boleści, jak bóbr rzewnemi zalałem się łzami i serce moje pierwszy raz po wielu dniach letargu rozbudziło się i uderzyło swobodnie. A łzy mi były potrzebne! Niedaremnie lud nasz mówi, że one są rosą serca i ma prawdę za sobą!

Po tych słowach opuścił głowę na piersi, ale po chwilce podniósł ją, oblicze jego już było pogodne, rzekł więc do nas:

— Darujcie tę przerwę w zabawie, a teraz ja wam kochanego Doliwy zaśpiewam *Jesień Wieszczą*, w której się sam dobrze maluje, a ty drogi grajku graj, wszak znasz dobrze tę nutę.

Skroń moją już szrony bielą,
Dni mych jesień przyszła wcześniej;
Troski rychłą zimę ścielą,
Dni szczęścia nikną, jak we śnie!
Przeżyłem już, o nie lata,
Nie dni liczcie mego wieku!
Chwila, co drugim przelata,
Jak błyskawicy mignienie,
Dłużej w mękach cięży czteku,
Niż nocy bezsennój cienie.
Czasem chyżym grom *udarem* ¹⁾,
Jak grot, co w powietrzu swiszczę,
Zajmie stary dąb pożarem;
Spłonął gwałtownie, lecz zgłiszczę
Żywią długo żar tajony,
W zimném już napozór próchnie,
Lada wiatrem poruszony,
Pień ten znów pożarem buchnie.

Przeżyłem więc ciąg dni krótki,
Jeśli szczęsne chwile liczę,
Zbyt długi, gdy na me smutki,
Gdy wspomnę na me gorycze.
We łzach o śpięwy żałośnie!
Ujrzałyście życia zorze;
Tak cierpi męki nieznośne,
Gdy ja nurek żywcem porze,

¹⁾ *Udarem*, prowincjonalizm, zamiast uderzeniem.

Muszla dobyta z wód łona.
Perłę w niej chciwiec znajduje,
A rad zdobyczy nie czuje
Cierpień, w których muszla kona.

A ten wodorzut wspaniały,
Co w obłoki z szumem tryska
I zdrobnionemi kryształ, —
Jak deszczem klejnotów błyska;
Ciosowój więzień sadzawki,
Tylu wdzięcznych zjawisk sprawca,
Rosząc kwiaty, żywiąc trawki
Ten zieloności rozdawca,
Ten strumyk w źródle ujęty,
Czy sądzicie, że ochoczy
Rzucił braci swych nurt kręty,
By tu wasze łudził oczy?
Rodzinny jego szmer zginął;
Ach! radby jak niegdyś w lasku,
Gdy pod kwiatów cieniem płynął,
Zrzec się zmuszonego blasku.

Tak też i wieszcz szczęsny póty,
Póki wrzące w nim płomienie,
Jak ścieśnionej wody rzuty,
Nie wytrysną w głośnie pienie.
Póki, jak muszla skrwawiona,
Gdy drogim darzy klejnotem,
Skarbu nie wydrą mu z łona
Przeszytego srogim grotom;
Lub póki, jak ten dąb stary,
Na którego piorun strzelił,
Sam płonąc wrzącemi żary,
Puszczy blaskiem nie obdzielil!

Cudnie pięknego śpiewu słuchaliśmy z głębokim zajęciem. Brzmiały, pełen siły, wdzięczny i wyrobiony głos Barnaby, przemawiał do każdego duszy; zdawało się, że ta drobna i nikła postać, nie może tak potężnym głosem władać. Każda myśl, każdy wyraz, każdy obrazek tej pieśni był odcieniowany z dziwnym mistrzostwem. Cyprysiński i Truskulawski, jakby namówieni, razem zawołali:

— To nasz Beranżer!

— Tak zaprawdę, odrzekł Barnaba, to rzeczywiście nasz Beranżer i dlatego pieśni jego, jak jaskółki na wiosnę, rozbiegły się po siołach naszych jak i miastach, i wszędy znalazły gościnne przyjęcie, a melodia do nich tak śpiewna, tak rzewna nieraz, a zawsze treści piosenki odpowiadająca wybornie.

Teraz wychylił do dna swoją koneweczkę, wziął od Truskulawskiego gitarę, a wtórzając na nią, zaczął pieśń: „Banialuka.”

„*Banialuka!*“ mój dziadunio,
Ciągłe w ustach miał to słowo,
Czy się bawił z mą babunią,
Czy się nudził z książką nową,
Czy *Gazetę Polską* czytał,
Czy swego łąjał hajduka,
Nawet czy się o co pytał:
Wprzód rzec musiał: *banialuka!*
Młódź narowy chwytać rada,
A nałóg naturą zowiem;
To przysłowie mego dziada,
Stało się mojem przysłowiem.
Kto znał starca, kto z nim bawił,
Za jego mnie uzna wnuka:
Dziadku! tyś mi skarb zostawił
W tém przysłowiu: *banialuka!*
Ileż mi głupstw i kłopotów
Ten wyraz za młodu szczenił,
Gdym do grzechu zawsze gotów,
Za rozkoszą kłusem pędził.
On, w miejsce anioła-stróża,
Strzegąc od szwanku nieuka,
Wykrył, że ma ciernie róza,
I że miłość: *banialuka.*
Patrz na męża, który z tronu
Stracon na ostrow bezludny
I męczennik Albionu,
Klął swych wrogów czyn obłudny ¹⁾;
Ci, co się nim spanoszyli,
Poszli w ślady Mameluka,
A on w ciężkiej skonu chwili
Rzekł: „I wierność—*banialuka!*”

Staś rozmarzony tym śpiewem, jakby się zbudził ze snu, zawołał, podszedłszy do drzwi naszej komnatki:

— Proszę ośm konewek ponczu ananasowego, ale suto ananasów, cukru, cytryny i *jamajeczki*.

Spojrzeliliśmy się wszyscy wdzięcznie na tak hojnego fundatora, a Barnaba ze stódkim uśmiechem wyszedł kłaniając się zgrabnie przed Stasiem, wyciął trzy *entre-chat*, i z dziesięć prześlicznych piru-

¹⁾ Napoleon I osadzony na wyspie Ś-ěj Heleny.

etów. Poczém poprawił sobie gitary, i stojąc przed nami, przygrywając sobie, zaczął najpopularniejszą piosnkę Starzyńskiego, znaną w całym kraju: „Kowal.“

„Rzeźko! żwawo, stuk! puku!
Tak do pracy kowal wzywa,
I przy głośnym młota huku
Stary ojciec pieśń tę śpiewa:
„Kierujcie się jak możecie,
Ale pamiętajcie o tém:
Że człek każdy na tym świecie
Jest kowadłem, albo młotem!
Stuku, puku!
Stuku, puku!
Błyszczą stal w ogniu, oczęta
Lubój, milój błyszczą jeszcze:
Lecz biada! kogo ponęta
W zły niewiasty poda kleszczel!
Dzieci wierzcie kowalowi,
Dyabeł wicherzy takiem stadłem,
Gdzie na przekór rozumowi,
Żona młotem, mąż kowadłem!
Stuku, puku!
Stuku, puku!
Jak bez ognia nasze miechy,
Węgla w kuźni nie rozżarzą,
Tak bez cnót nie ma pociechy,
Bo swobodą cnoty darzą.
Rzeźko, żwawo, stuk, puku,
Dzieci do zmroku wytrwajcie;
I przy głośnym młota huku,
Wraz z starym ojcem śpiewajcie!“

I przy tych ostatnich słowach, dwóch chłopców na tacach wniosło potężne kufle gorącego, a wybornie woniejącego ponczu.

Na tak miły i ujmujący widok, Cyprysiński z Prottem podnieśli się razem i obu tacom pokłon niski oddali, a gdy nas fundator zapraszał do rozebrania tych powabnych koneweczek, pierwszy, ująwszy swój rzekł zwrócony do Stasia:

— Pamiętasz koleżko kochany, sławną pieśń pełną humoru i dowcipu naszego Beranżera: „Dyabeł nieboszczyk“ i zaśpiewał dwuwiersz, którym się każda jój strofka kończyła:

Sic est, sic est, ita, ita,
Zabił dyabła jezuita!

— No! jezuita zabił dyabła, a ty chcesz nas zabić temi kufłami: któż z nas im podola?

Barnaba wpadł w śmiech pusty, który rozweselił całe grono.

— I to nam kto odważa się mówić—zawołał—takie admonicze, pan Antoni, który się ani dyabła, ani jezuitę, ani nawet tuzina takich konewczek nie boi.

Cyprysiński się uśmiechnął, przyjrzał się bliżej każdej konewczeczce, i odrzekł spokojnie i poważnie:

— Przesadzasz nasz drogi śpiewaku; na trzy, może półtuzina głowa by starczyła, ale za nogi nie ręczę; tymczasem wzniesmy zdrowie łaskawego fundatora: wiwat! niech żyje!

— Niech żyje! wszyscyśmy zawołali z niekłamany zapalem, a Truskulawski uderzył w struny gitary na przygrywkę temu wiwatowi.

Zasiedliśmy więc razem, a potraciwszy konewczkami, raczyliśmy się wybornym napojem. Cyprysiński wtedy zwróciwszy się do Truskulawskiego rzecze:

— Ty w swoich artystycznych wycieczkach musiałeś poznać Starzyńskiego, bo to wielki zwolennik jak poezji tak muzyki!

— O! zbliżka go znam—odrzekł—i przyznam się wam, że każdy kto go poznał, musiał i pokochać razem. Zabrał mnie z sobą do swego Zamiechowa i bawiłem u niego prawie cały miesiąc; razem ze mną mieszkał u niego znany wam Franciszek Kowalski, tłumacz Moliere, co był guwernerem Augusta Cieszkowskiego. Zajmował on domek oddzielny w ogrodzie, ja razem z panem Stanisławem spałem. Nieraz gawędziliśmy do północy, nieraz mu musiałem wtórować do jego piosnek, a przychodziły mu one łatwo, bo był zarazem rzadki improwizator. Mieliśmy z Kowalskim dowód tego wyraźny w Boguszówce u państwa Dunajewskich. Jest to wieś o małą milkę od Zamiechowa położona, a nie brakło w tym dworze gościnnym wesołej zabawy, bo ją ożywiało ciągle kilka ładnych panien. Tańce trwały do późna; nieraz okiennice zamykano ażeby goście nie widzieli wschodzącego słońca. Jedna z tych ślicznych panien przyszła do Starzyńskiego i zapytała czemu nie tańczy?

— Ze wstydem pani wyznać muszę — odpowiedział — że nie umiem, chociaż się kiedyś przed laty uczyłem.

— Co to za wielka szkoda!—odrzekła powabna dziewczyna—miałbyś pan we mnie niestrudzoną tanecznicę; ale, ponieważ pan nie tańczy, to nam powinienes jaką śliczną zaśpiewać piosenkę.

— Prosimy! prosimy!—zawołało całe grono.

Starzyński, patrząc w uroczę jej oczęta, zaśpiewał natychmiast zaimprovizowanego mazura:

Układ ze mną zrób dziewczeczko,
Z oczywistym swoim zyskiem;
Dam ci piosnkę za piosneczką,
Ty mi uścisk za uściskiem.

Przy układzie tym obstawaj,
A gdy małe widzisz zyski,
Ty mi piosnek nie oddawaj,
Ja ci oddam twe uściski.

Grzmoty oklasków rozweselonéj drużyny przygłuszyły muzykę. Było to w roku 1823 i Starzyński liczył już około lat czterdziestu. Wiele rodzin pragnęło, ażeby ściślejszy z nim związek je połączył, radzili mu ażeby się ożenił: młode i piękne panny miłemi nań spoglądały oczkami, bo rzeczywiście był to przystojny mężczyzna. Jeden z bliższych przyjaciół przynaglał go o to najwięcej, i rał mu panny, które sam śpiewak wysoko cenił zarówno dla wdzięków jak przymiotów; ażeby mu dać odprawę, na ostatni list jego odpisał:

Niech się żeni kto bogaty,
I bogatym zostać łaknie;
Niech się żeni komu chaty,
Lub kawałka chleba braknie:
Ja, któremu los w podziale
Dał byt mierny, który cenię;
Brnąc przez życia mego fale,
Pewno że się nie ożenię.

Nauczyłem się tych wierszy na pamięć, bo sam dziełem Doliwy przekonanie i jak on, pewnie się nie ożenię. Niech żyje celibat!

Na te słowa Truskulawskiego, Barnaba powstał wzruszony widząc do głębi, bo piorunującym spojrzeniem rzuciwszy na niego, zawołał z gniewem:

— Do milion króć sto tysięcy, fur, beczek, batalionów, rejmentów dyabłów, takich głupstw mi nie powtarzaj. Pasożyty! egoiści! nicponie! Cóż z was dla kraju zostanie! jakaż pamiątka waszego pobytu na ziemi, jeżeli nie stanowicie rodziny.

Truskulawski nachylił się do mnie i rzekł zcicha:

— Zagadaj o czemkolwiek, bo widzę że Barnabę wściekłość napada, a wtedy awanturę gotów zrobić, bo i poncz zaczyna go rozgrzewać.

— Czemuż Starzyński nie drukuje swoich piosnek—zapytałem niby niechęcący.

— Pisywał zwykle rankami na świstkach które po sypialni rozrzucał niedbale—odrzekł Truskulawski—i nieraz chwycił świeżą napisaną pieśń lub elegią, i nią fajkę zapalał; ale na szczęście, był tam blizki jego krewny, który je przepisywał i ochraniał od zagłady.

Barnaba poweli ochłonął, Staś mu coś szeptał do ucha i obaj się śmieli. Spojrzałem w około: patrzę z moich towarzyszków już nie było żadnego; Cyprysiński tylko z Protym w swoich miejscach siedzieli. Patrzę na koneweczki, po uciekinierach stały puste, wysączone do

ostatniej kropelki. Truskulawski zaczął grać na gitarze; Barnaba wziął mu ją z rąk i mówił jakby na przeprosiny:

— Zagram wam i zaśpiewam jeszcze piosnkę Doliwy, której może nie znacie: nie pamiętam tego *Paciorka* całego, ale według mego zdania, to w niej co najpiękniejszego:

Gdy mnie fanatyzm oskarża,
Dowiodę szkodnej obmowie,
Że choć nie znam brewiarza,
Codzień jednak pacierz mówię.
Tak jest, codzień w wieczór, zrana,
Wznosząc strzeliste westchnienie,
Wołam do zastępów Pana:
„Nie wódź nas na pokuszenie!“
Nad wszelakie nasze modły,
Cenię ten pacierz niedługi;
Nieraz patrząc jak łotr podły,
Z obcej korzysta zasługi.

Jak łatwo dźwięk złota może
Zagłuszyć trwożne sumienie;
Powtarzam wnet: „Panie Boże!
Nie wódź nas na pokuszenie.“

Mickiewicz i Zaborowski,
Parnasu Polski orłęta;
Mogą żywiąc zapał boski,
Śpiewać wino i dziewczęta.

Jak w bajeczce stary czyżyk,
Gdy mnie młodych wabi pienie;
Mówię, czwarty licząc krzyżyk:
„Nie wódź nas na pokuszenie!“

Pan Piotr, mój rówieśnik w latach,
Nad wszystko bezżenność cenil;
Jak motyl latał po kwiatach,
Piekłem życia hymen mienił.

Tonący chwyta się brzytwy,
Dziś Piotr chwali ożenienie;
Ja się trzymam mój modlitwy:
„Nie wódź nas na pokuszenie!“

— Dobra to piosnka, a jeszcze, gdy przechodzi przez usta takiego, jak nasz kochany śpiewak — odezwałem się rozgrzany większą połową mojej koneweczki i czując nieco ananasy w głowie — ale przesadził, stawiając Tymona Zaborowskiego obok Mickiewicza, to orzekł król ptaków, a tamten ptasze z gór Miodoborskich; jakoż w późniejszej piosence, już inaczej zaśpiewał. Zdaje mi się, że ma ona tytuł: *Obaczmy*.

Staś podgarnął bujne kędziory swoje i rzekł:

— Poczekajcie, nie pomnę całej, ale oto jój pierwsze zwrotki:
I zaczął bez wtóru gitary przyspiewywać:

Co przeszło, już się nie wróci,
Co dziś widzimy także minie;
Ten szalony, kto się smuci,
Lub na przekór fali płynie.
Nikt przyszłości nie odgadnie,
Proś go, błagaj, wyrok niemy;
Każdy ślepo stawkę kładnie,
A kto wygra obaczymy!
Ta przyszłość, którą człek goni,
Gdy przybędzie, czem się stanie?
Obecnością i odstłoni
Czcze nasze za nią wzdychanie;
Jest to widowisko stare,
Wszyscy je na pamięć wiemy
I ziewając, jak za karę,
Patrzym, mówiąc: „obaczmy!”
„Odkryj mi swoje serduszko,
Zrób mnie najszcześliwszym z ludzi.”
„Zobaczymy moja duszko.”
Tém mnie słowem Zosia ludzi,
Tém słowem kończy polityk,
Kiedy mu wierzyć nie chcemy;
Niém grozi mi wiérszów krytyk
I ja mówię obaczymy!
Obaczmy, kto swe skronie
W niezwiédły odzieje wieniec,
I w rodaków zbudzi łonie
Zapał, którym tchnie młodzieniec.
Któż? ja? ty? Oh! nie, lecz Adam,
Prym mu wszyscy przyznajemy,
Ja w tój śpiewce cześć mu składam,
Przyjmież on ją?—Obaczmy!

— Nie dziwiecie się temu porównaniu Zaborowskiego z Mickiewiczem, bo Starzyński autora *Dum Podolskich*, kochał serdeczną miłością, mówił Truskulawski. Nieraz do północy nie mógł się o swoim droginym Tymonie dość naopowiadać, co to była za piękna dusza, jaki wzniosły, poetyczny talent! A kiedy wspomniął ową straszną dla siebie chwilę, gdy wydobyto martwe zwłoki z nurtów Zbrucza, w których młody poeta dobrowolną śmierć znalazł, płakał jak dziecko i długo utulić się nie mógł, i przez parę dni pióra nie wziął do ręki, chodząc osowiały. Przypominał mi nieraz, jak Zaborowski cudnie czytał, bo miał głos szczególnie j melodyjny tak do deklamacyi, jak do

wdzięcznego śpiewu. Doliwę zachwycaly jego utwory, ale później o nikim nie mówił, tylko o jednym Adamie.

— Rzeczywiście—odrzekłem—poezye Zaborowskiego tchnęły jakąś świeżością, niezwykłym wdziękiem i prostotą, zwiastującą już przełom w wyobrażeniach literackich. Pamiętam w szkołach pi-jarskich, gdy nam książd prof. Szelewski czytywał kilka pieśni z jego wielkiego poematu o Bolesławie Chrobrym, jak *Aniela i Dobromir*, *Jamydyk Błud* czarownik i kilka innych, jak one nas porywały, jak górowały po nad tém wszystkim, cośmy znali z polskiej poezyi. Smiały polot jego natchnienia, gniotły jeszcze stare formy klassycyzmu, ale znać było, że się z nich wyłamać usiłuje, jak młode orłę ze słabęj klatki do polotu w chmury!

— Już więcęj tego porównania—mówił Barnaba—nie powtórzył, bo coraz gorętszym stawał się wielbicielem Mickiewicza. Kiedy do Włoch wyjeżdżał, przesłał mu Starzyński więrsz prześliczny. Nie pomnę całego, ale powtórzę, co zapamiętam.

I potarłszy czoło ręką, zaczął melodyjnym swoim głosem cudnie deklamować.

„Mocarzu lutni polskiej, prawych bardów wzorze,
Szczytności i zapału niepojęty zbiorze,
Mickiewicz! Twym ogniem, gdy serce zagrzewam
Twój ziomek, twój hołdownik, wielbię cię i śpiewam!
Nawo pogardzająca przepaściami głębi,
Piersi, którój wulkanu wieczność nie wyziębi,
Głosie, którego echa gromy nie zagłuszają,
Duszo! jedynie polską zrozumiana duszą!
Wajdeloto nasz młody, Wajdeloto dzielny!
W więzach twęj chwałyś kamień założył węgielny;
Spieszysz do Włoch, gdzie słońca dobroczynne wpływy,
Odpowiednie twym śpiewom zwykły budzić śpiewy;
Gdzie należnój po zgonie im nagrody doznasz,
Żywy, rajske rozkosze, rajske niebo poznasz!
Kraina najszczytniejsza z krain starożytnych,
Zwalisko celujące tylu zwalisk szczytnych,
Włochy uczczą tłumacza Danta i Petrarchy.
Pod płaszczem klassycyzności zziębłę arystarchy,
Echem ludowém twego nie zmróżą wawrzynu,
Gdzie gmin czuje, miło tam nucić i dla gminu.
O! ty mojemu sercu i myślom przytomny,
Wzniosły w śpiewach, w pożyciu uprzejmy i skromny;
Bo takim ciebie głoszą w pobratymczém gronie,
Szczęśliwsi, których twoje uścisnęły dłonie.
Dla mnie los w błogich przygód nieszczodry szafunku,
Dotąd cię w martwym tylko dał znać wizerunku;
W nim ja zatapiam oczy, czucia badam z rysów

I walki twoje z losem z twych śledząc opisów,
Porównywałm cię wieszczu z twym własnym utworem,
Z tym *Farysem* nadludzkiej wytrwałości wzorem;
Jak on świetny zwycięzco sępów, uraganów,
I z zatopów piaszczystych wywianych bałwanów,
Do szczęsnój Arabii dobiłeś się z puszczy.
Tu, rzekniesz, jest mi niebo, tu jest gwiazda złota,
Przewodniczka wieszczowi do chwały żywota;
Tu pełne, nieprzebrane płyną pociech zdroje,
Tu z piersi nieprzebranej płynię więrsze moje!
Orzeł swym dziobem krwawi z piór odarte skrzydło,
Zakiełnany koń żuje spienione wędzidło;
Lecz swobodny król ptaków, lot wznosi nad Tatry,
A rumak, pan swój woli, rączy ściąga wiatry.

Wtém nagle umilkł, daremnie tarł czoło swoim zwyczajem,
spuścił głowę na piersi i zdawał się, jak gdyby zadrzemał. Cyprysiński stał przy stole, jakby oczarowany urokiem deklamacyi Osińskiego, którego wielkim był wielbicielem, a nieprzyjacielem Mickiewicza.

Pamiętam, że na rogu Mostowej ulicy na pierwszym piętrze była kawiarnia; tam wieczorem pan Antoni z bratem swoim i kilku kolegami z uniwersytetu, popijając z miedzianego imbryka grzane piwo dubeltowe, żartowali sobie z romantyków, a oczywiście głównie z balad, romansów i *Dziadów* Mickiewicza. Tu obaj bracia Cyprysińscy rej wiedli, a reszta towarzyszków potakiwała im zgodnie. Widząc teraz Cyprysińskiego tak zachwyconego rzekłem.

— No! i cóż panie Antoni, czy nam znowu powtórzysz:

Cicho wszędzie, głupio wszędzie,
Nic nie było i nie będzie?

Na te słowa spojrział się tylko pochmurno na mnie, ale po chwili uśmiechnął się, kiwnął głową i resztę ponczu z koneweczki wychylił.

Chwila potém było głębokie milczenie, cichość zalegała i boczne pokoje, gdyż goście już je opuścili. Zegar zamkowy uderzył pierwszą z północy; dźwięk ten żałośnie do nas nadpłynął.

— To czas do domu!—zawołał Prot.

— Skończmyż nasze koneweczki—przemówił Staś rozmarzony— a więc za zdrowie, na cześć i pamięć Stanisława Doliwy Starzyńskiego, trąćmy się, spełniając resztę.

Wszyscy chętnie podnieśli ten toast.

— Odpowiedni on ma przydomek Doliwy—ozwał się Cyprysiński—bośmy sobie nieźle *doleli*.

— Na odchodnym więc ja zawtóruję, a ty Barnabo zaśpiewaj jeszcze jego pieśń: *Do zobaczyska*; pamiętasz ją dobrze i śpiewasz do serca.

Brzęknęły struny gitary i rozległ się dźwięczny i melodyjny głos naszego towarzysza.

Do zobaczyska! Bóg z wami!
Bóg i ze mną przyjaciele!
Wspólne dotąd między nami
Były troski i wesele.
W odmienne każdego szlaki
Dziś wyroku wola ciska;
Ścieżki różne, cel jednaki,
Więc bracia do zobaczyska ¹⁾!

Podaliśmy sobie ręce, uścisnęli serdecznie i każdy poszedł w swoją stronę. Kiedym wyszedł na plac zamkowy, noc była widna, księżyc jasno przyświecał, niebo pogodne. Mały przymrozek dawał znać, że to pora jeszcze zimowa, a chłód ten mile orzeźwiał nasyczonego konewką ananasowego ponczu. Przy posągu Zygmunta III uczułem rękę na ramieniu, obejrzę się i widzę Cyprysińskiego.

¹⁾ Stanisław Doliwa Starzyński, obywatel Podola był synem Erazma majora kawaleryi narodowej za Stanisława Augusta, który z obszernych włości jakie wziął po przodkach zostawił synowi tylko *Zamiechów i Żabińce*. Zamiechów miasteczko liche, zamieszkane prawie przez samych żydów, słyneło pięknym położeniem nad skalistym jarem. Domki rozrzucone aż na dół ku rzece do której wpadają z szumem liczne źródła. Na rynku nasz pieśniarz wystawił piękny kościółek, nad podwojami jego Franciszek Kowalski wierszopis położył napis: *Immortali mortalis*.

Stromy, skalisty i głęboki parów, oddziela miasteczko od dworu i ogrodów dworskich. Dom porządny o piętrze pod blachą, był mieszkaniem poety: Fr. Kowalski w swoich *Wspomnieniach* (Kijów 1859 r. dwa tomy) opisuje szeroko pobyt w domu Stanisława Starzyńskiego. Zamieszkiwał on w oddzielnym domku w obszernym ogrodzie. „Starzyński (pisze) odwiedzał mnie prawie co rano, i zawsze mnie przy stoliku zastawał: czytałem mu com napisał, i on mi czytał swe utwory. Jeżeli sam u mnie nie był, to przysyłał do mnie z zapytaniem człowieka, wielem tego rana wierszy napisał? Raz odpowiedziałem mu że tylko cztery: po chwili, przysłał mi cztery wyborne jabłka. Ja, widząc że te jabłka i inne ogrodowe łakocie są rymów zapłatą, na każde podobne poselstwo, odpowiadałem podwójną lub potrójną liczbą wierszy i tyleż miałem doskonałych jabłek, gruszek, winogron i t. p. Sam nie miałem mu czem zapłacić jego przesłicznych piosnek, w których on był nie zrównany. Z Beranzera też kilka wybornie przełożył¹⁶⁾“.

— Cóż tak Prot był dziś cały wieczór milczący—zapytałem— ledwie parę słów przebaknął.

— Nie dziw mu się, bo był strasznie zirytowany. Wiesz, że żyje z łaski bogatego stryja, owoż onegdaj odebrał od niego 2000 złp., które miał wypłacić tu komuś i te pieniądze leżały u niego. Mieszka na trzecim pięterku w Starém-Mieście z dwoma kolegami. Zasoby ich wszystkie wyczerpały się i stryj obiecywał, że wkrótce wyznaczoną mu pensją nadeszle, ale tymczasem straszna bięda. W sklepiku już się krzywili dawać dalej na borg mleko, bułki, salcesoniki i sérki,

W kościele Zamiechowskim, który fundował, wystawił dla ojca swego wspaniały pomnik. Bawiąc we Florencyi, zamówił go u rzeźbiarza Fontanny, ucznia Kanowy. Wierzołek tego pomnika fantastycznemi ozdobiony arabeskami, przenosi wysokość kazalnicy. Trzy sztuki płaskie, marmurowe, składają całość; najwyższa mała, stanowi szczyt; na średniej, największej stoi w wypukło-rzeźbie, do połowy ciała wydatny anioł śmierci, nagi, z smutną cudną piękności spuszczoną twarzą. W prawej ręce trzyma przewróconą ogniskiem na dół, gasnącą pochodnię życia, a lewą wspiera się na owalnym obrazie, przedstawiającym popiersie zmarłego. Twarz anioła była podobną zupełnie do oblicza pięknej *Delfiny Komarównej*, którą później zaślubił Mieczysław Potocki z Tuloczyna. Blizy przyjaciele Starzyńskiego mówili, że dokładną jej miniaturę zawiózł do Florencyi, jako wzór do głowy. „Podobieństwo (mówi Fr. Kowalski) było tak uderzające, że starzy Komarowie przyjeżdżali do Zamiechowa z dziećmi swemi, umyślnie dla porównania oblicza córki Delfiny ze smutnym aniołem śmierci“. Nie wiadomo dla czego nagle i bez potrzeby sprzedał Zamiechów i kupił sobie daleko mniejszy majątek nad Zbruczem. Nie śmieli go pytać o powód bliżsi przyjaciele, ale zato własny chłopek, dał mu dobrą nauczkę. Doniesiono Starzyńskiemu, że jeden z jego nowych poddanych, sprzedał parę wielkich wołów, a kupił sobie dwa małe byczki. Rozgniewany nasz poeta, zaczął go lajać za takie marnotrawstwo: chłopek wysłuchawszy co mówił, rzekł kłaniając się nisko: „Ja tak zrobiłem jak i wielmożny pan, co sprzedał Zamiechów, a kupił sobie kiepską częśćkę nad Zbruczem“. Starzyński zamilkł, bo nie miał co odpowiedzieć na tak szczerą prawdę. W roku 1822 przesłał do teatru narodowego wolny przekład dramatu Grillparzera p. n. *Matka rodu Dobratyńskich*, która miała wielkie powodzenie na świecie. Wyjątki z niego jak i z tragedyi Mülnera: *Przewinienie (Die Schuld)* I. K. Ordynico drukował w swoim *Dzienniku warszawskim* 1827 roku (tow VII i VIII); w roku 1836 przedstawiono jego oryginalne krotochwilę na teatrze *Rozmaitości* w Warszawie: Starzyński sam był obecny na jej pierwszych przedstawieniach i uradował się dobrém jej przyjęciem. W sędziwych latach przeniósł się do Galicyi, gdzie w późnym wieku zakończył życie. Zbiorek jego piśni wyszedł w roku 1830 w Warszawie p. n. *Śpiewki i wiersze Podolanina*: reszta prac pozostała dotąd w rękopiśmie, chociaż zasługiwały na wydrukowanie. Portret jego podał *Tygodnik Ilustrowany* w tomie V z r. 1862.

które nieraz całodzienny stanowiły posiłek; ale co najgorszego, nie było grosika nawet na *drejköniszek!* Fajki wystygłe już od dwóch dni, zakurzone stały w kącie nieużyteczne. W tak rozpaczliwej chwili, przyszedł do nich jeden z kolegów znany hulaka, a wiedząc, że Prot ma w zachowaniu 2,000 złp. nadesłanych, zaczął namawiać, żeby wziął z nich, uczęstował ich, a potem, jak nadejdą pieniądze zapowiedziane od stryja, w miejsce wziętych dołoży. Prot wiesz, jaka zacna dusza, na te poszepty szatańskie porwał się, zwymyślał go, a gdy tamten dowodził uczciwości swojej myśli, nie wiele myśląc, z pomocą swoich towarzyszy, wyrzucił go za drzwi. Spotkałem go, gdy wyszedł jeszcze strasznie wzruszony, jak mu mógł ten chłystek radzić rzecz tak nizeczną i ledwem go namówił, że poszedł ze mną na szklaneczkę ponczu. Dlatego nie był w swoim humorze.

Głucha cisza była na ulicach, stróże tylko miejscy grzechotkami ogłaszali każdą godzinę, którą wybijał zegar na wieży zamkowej.

— Któż to jest ten Staś i ten Barnaba, co tak cudownie deklamuje i śpiewa?—zapytałem mego towarzysza.

— Staś jest syn bardzo bogatych obywateli z Wołynia—odpowiedział mi Cyprysiński—Barnaba podobno z Podola, obaj uczniowie naszego uniwersytetu z wydziału prawa i administracji. Barnaba skończył kursa przed trzema laty, a Staś w zeszłym roku; kochają się, jak rodzeni bracia. Barnaba zakochał się szalenie w pięknej pannie Anieli i miał szczerą wzajemność. Oczarował ją śpiewem, przytém człowiek zamożny i wykształcony, wszystko przemawiało za nim. Tymczasem rodzice panny, nagle i niespodzianie, wydali ją dla tytułu za gołego księcia. Barnaba był w rozpacz długo i ta gorycz jeszcze mu została, którą często pokazuje. Biedny człowiek a godny lepszego losu. Odżywia się tylko w kółku dobraném, w którém na chwilę może zapomnieć o swjej serdecznej boleści.

Grzechotka stróża miejskiego, przykro nam nad uchem zachrzęściła, pożegnaliśmy się z panem Antonim na ulicy Podwale, przy zbiegu do niej Kapitulnej. Nie pomyślałem wtedy, że w kilkadziesiąt lat później, z obowiązku przyjacielskiego, będę przemawiał nad trumną Cyprysińskiego na cmentarzu Powązkowskim!

* * *

Pomiędzy wysokimi murami kościoła Bernardynek a klasztoru i ogrodu Bernardynów, zbiega ku Wiśle na dół wązka uliczka zwana Maryensztadem. Była to tak zwana *Jurydyka*, należąca do Eustache-go Potockiego gen. artyleryi i Maryi z Kałskich; jurydyka ta stanowiła oddzielne miasteczko. Dom pod Nr. 2629 był ratuszem téj miejsciny, a w nim zasiadał burmistrz i czterech ławników. Nazwę swoją ta część miasta wzięła od imienia pomienionej Maryi Potockiej. Ratusz ten w r. 1791 poszedł w ruinę i Maryensztad wcielonym został do Warszawy. Za ledwie kilkadziesiąt kroków zejdziemy na dół, już się

ta uliczka dzieli na dwie części: z prawej strony nosi właściwą swą nazwę, z lewej *Źródlowej*, od źródła publicznego jaki dawniej tu istniał. W środku rzęd domów, na czele których stoi dotąd nizki domek, gdzie mieszkał na pierwszym piętrze słynny na owe czasy antykwaryusz „Gecel Salzstein,“ znany tak wszystkim młodzieży szkolnej, jak i uczniom uniwersytetu warszawskiego ¹⁾. Tu był najsilniejszy i najżywszy handel księgarski: wszystko co tylko zajmowało się literaturą krajową, to się przewijało w jego trzech małych pokojkach.

Ściany w nich całe zastawione szafami pułkowemi, przepelnione były książkami: procz tego stopy ich leżały na podłodze, a wśród nich wydatniała postać Gecla. Był to żyd dobrego wzrostu: brunet, twarzy pięknej i szlachetnej, rysów regularnych, oczy żywe czarne i połyskujące; w całym znaczeniu tego wyrazu urodny mężczyzna.

Rzecz dziwna że wziął się do handlu książkami nieumiejąc czytać, ale pomimo to był tak biegły w bibliografii, że byle zobaczył książkę, czy broszurkę i obejrzał ją starannie, już wiedział co warta i nigdy się w swoim sądzie nie omylił.

Młodzież biegła kupować u niego szkolne książki, starsi uczniowie co zaczęli zbierać biblioteki schodzili się dla nabycia rzadszych dzieł; bibliomani odwiedzali Gecla, gdyż często tu spotykali białe kruki bibliograficzne. Chyliczkowski i Konstanty Świdziński łowili u niego te rarogi. Tu, pierwszy, zdobył *Figliki* i *Zwierzymiec* Reja. Pierwotne wydania poezji Jana Kochanowskiego, pism Łukasza Górnickiego, *Rytmy* Klonowicza, Grochowskiego, Miaskowskiego, Kochowskiego, *Sielanki* Szymonowicza i Zimorowicza, przekłady Cypryana Bazylika, często i nie jednokrotnie u Gecla się przewijały. Zaglądał tu często Stanisław Jachowicz znany bajkopisarz: u niego się też zapoznał z rzadkościami bibliograficznymi, które oceniać umiał. Spotykałem też u tego antykwaryusza Kazimierza Brodzińskiego i wielu profesorów uniwersytetu naszego.

Były to czasy właśnie niezwykłego rozbudzenia się miłośnictwa do zbierania zabytków starożytnej literatury polskiej. Gecel i stragany przykościelne zastępowały księgarnie, do których prawie żaden z młodego pokolenia nie zaglądał, tak się bał cen wygórowanych.

Wspominam o tym antykwaryuszu, gdyż nie tylko że to była jedna z najwydatniejszych postaci naszego miasta, ale że on pomimowolnie stał się rozkrzewicielem wiedzy do zgłębiania i poznania życia umysłowego narodu z ubiegłych wieków.

¹⁾ Dom ten ozdobnie odnowiony dotąd istnieje i ma nr. 18. Od tego miejsca coraz niżej schodząc zmienia się fizjognomia Warszawy, na liście miasteczko ciągnące się do wybrzeżów Wisły: dom tylko po prawej ręce Maryensztadem idąc, dwupiętrowy przyozdabia. Była to własność Lessera, znanego z talentu miniaturzysty.

Z bibliotek klasztornych, z dworów wiejskich, z zaścianków szlacheckich, gdy się wiadomość rozpowszechniła o poszukiwaniach gockich druków, każdy kto co miał przynosił lub przywoził do Gecla: on kupował i z nie małym zyskiem rozprzedawał. Nietylko dzień po dniu miewał dużo gości u siebie, ale co niedziela i święta bywał tu tłum jak na odpuszcie lub jarmarku: oddychał tylko swobodnie w szabas i żydowskie święta.

Młódzież go lubiła, bo umiał sobie ją zjednywać; nieraz studentem borgował, nieraz za pół ceny oddawał, a gdy przyszedł biedniejszy uczeń i zażądał szkolnej książki, a nie mając czem zapłacić wyznał mu swoją biędę otwarcie, Gecel popatrzył uważnie na małe pacholę, jakby badał prawdę i nie jednemu podarował, z warunkiem ażeby się dobrze uczył.

Dom ten, w którym przez lat wiele nasz antykwaryusz przemieszkiwał, smutne miał wspomnienie w podaniach ludu warszawskiego. W 1712 roku była w nim gospoda cechu kuśnierzy. W lipcu tego roku w dzień św. Jakóba, przybył z Krakowa czeladnik kuśnier-ski, okazywał i sprzedawał baranki, które były zapowietrzzone.

W nocy wybuchł pożar nad Wisłą: zbiegli się ludzie na ratunek, byli pomiędzy niemi i tacy, którzy ten jad zgubny w siebie wciągnęli i udzielili go drugim w natłoku. Nazajutrz kilkadziesiąt osób umarło na *mór* (dżumę). Trwoga padła na całe miasto, którą powiększyła jeszcze ognista miotła jaka się pokazała na niebie i zawisła po nad zamkiem, katedrą i kościołem Bernardynów. Szeroko rozestane jęj różgi krwawe, co noc straszły mieszkańców. Bogatsi uciekli z Warszawy, ubożsi tułali się po blizkich gajach i lasach. Domy zamożniejszych mieszczan i klasztory, zaopatrzwszy się w żywność i wodę, obwarowały się nieprzystępnie, ażeby zarazy nie dopuszczać. Litościwsi, dla biedaków włóczących się po ulicach miasta, wyrzucali oknami posiłek, lub podawali na długiej żerdzi, której już nie wciągali napowrót.

Znaleźli się pobożni kapłani, którzy pełniąc sumiennie święty swój obowiązek, opuszczali warowne mury klasztorów i szli za miasto, aby rozproszonemu ludowi spowiadającemu się jawnie udzielać rozgrzeszenie. Bogate sprzęty, worki z pieniędzmi, które uciekający w powszechnym popłochu zostawiali lub gubili na ulicach, leżały nie naruszone, bo ich nikt nie śmiał się dotknąć w obawie zarazy.

Miasto zaległa grobowa cisza, czasem tylko zamacona rzewniejszym płaczem, albo jękiem konających. Trawa zaczęła porastać na bruku Starego i Nowego Miasta i po wszystkich ulicach i podwórzach pałacowych. Wkrótce to ponure milczenie przerywały straszne wy-cia psów zgłodniałych i gromad wilków, które po opustoszałym mieście swobodnie przebiegając, chwytwały psy, walki z niemi staczały i jako zwycięzcy wylegiwali się na głównych rynkach Warszawy.

Nie wiele pomogli ustanowieni burmistrze powietrzni, bo służba ich trwogą przejęta, w ucieczce za drugimi szukała ratunku. Wtedy

to na ogromnym wozie dwukolnym ukazywać się zaczęła „Pani moru,” czyli *morowa zaraza* w postaci niewiasty. Wysoka, blada, okryta czarnym welonem siedziała w tym wozie, który nigdy nie dotykał kołami ziemi, tylko płynął na ciemno niebieskiej gęstej chmurze. Tak objeżdżała dom po domu Warszawy, a stanąwszy przed każdym pytała grobowym głosem:

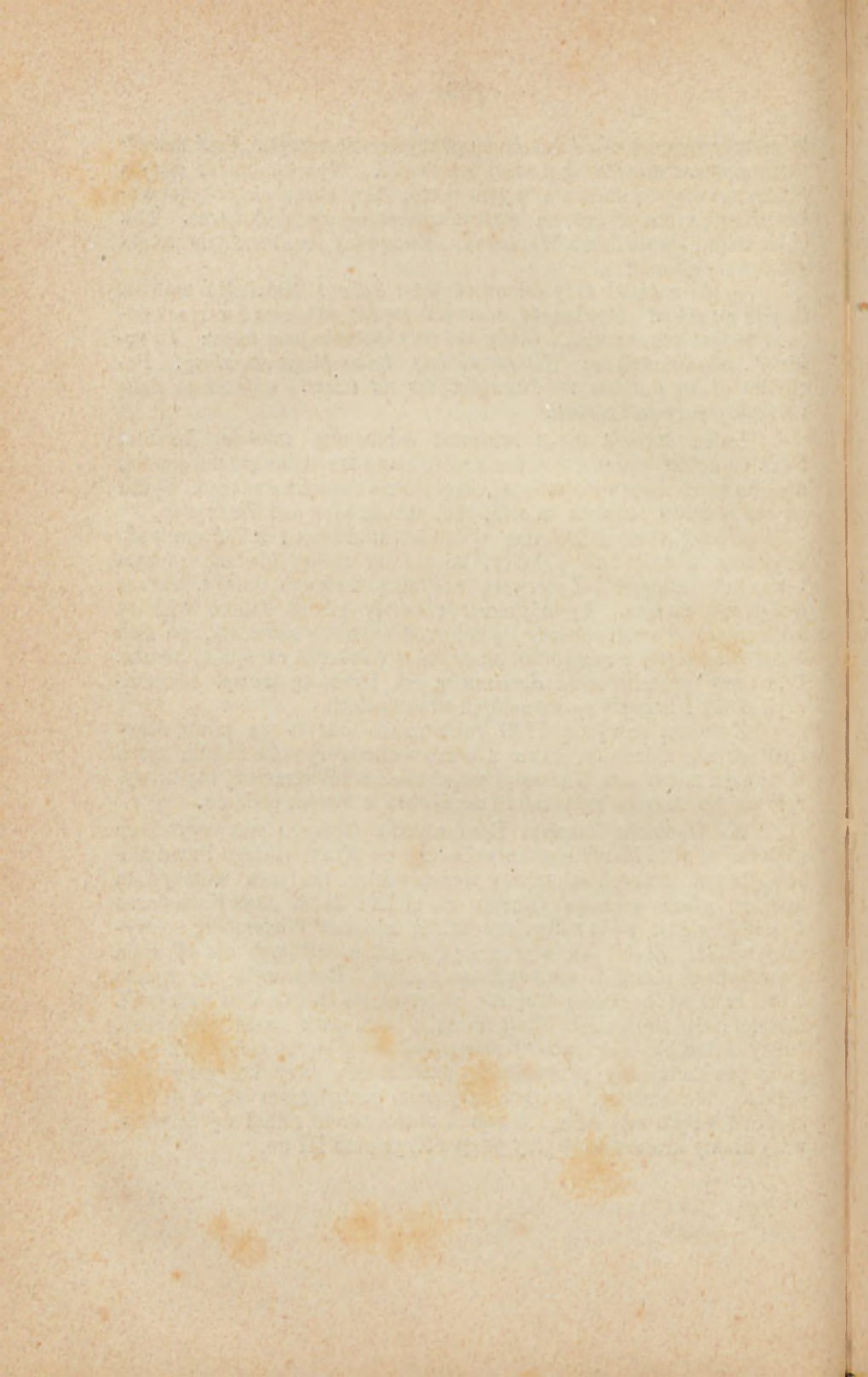
— *Co robicie?* Gdy odpowiedziano: *Śpimy!* Widziadło mówiło: *Śpijcie na wieki!* Powiewała czarnym swoim welonem i wszyscy odrazu w tym domu konali. Kiedy zaś na zapytanie pani moru: *Co robicie?* odpowiedziano: *Nie nie robimy, tylko Boga chwalamy!* Pochyliła głowę i mówiąc: *Chwalcież Go na wieki!* objeżdżała dalej i wszyscy pozostali zdrowi.

Żaden ptaszek nie zaświegotał w biednym mieście, jaskółki i wróble uciekły daleko, deszczu kropla przez trzy miesiące nie spadła, a niebo zawsze barwy ołowianej, ciężyło na oddechu każdego. Tylko co noc krwawa, ognista miotła, nie schodziła z nad Warszawy.

Wiatry wreszcie jesienne w czwartym miesiącu z końcem października zawyły od północy, miotła na niebie blednąć zaczęła i wkrótce zniknęła. Z pierwszą zadymką lekkiego śniegu, zaraza ustępować zaczęła. I *panią moru* przewiałą gdzieś daleko wichury świszczące. Powoli otwarły się najprzód warowne klasztory, po nich domy zamknięte, a rozpedzeni mieszkańcy powracać zaczęli do miasta. Ci, którzy przechorowali *dymiennicę* jak zwano tę *dżumę*, odziedziczyli domy i majątki po wymarłych właścicielach.

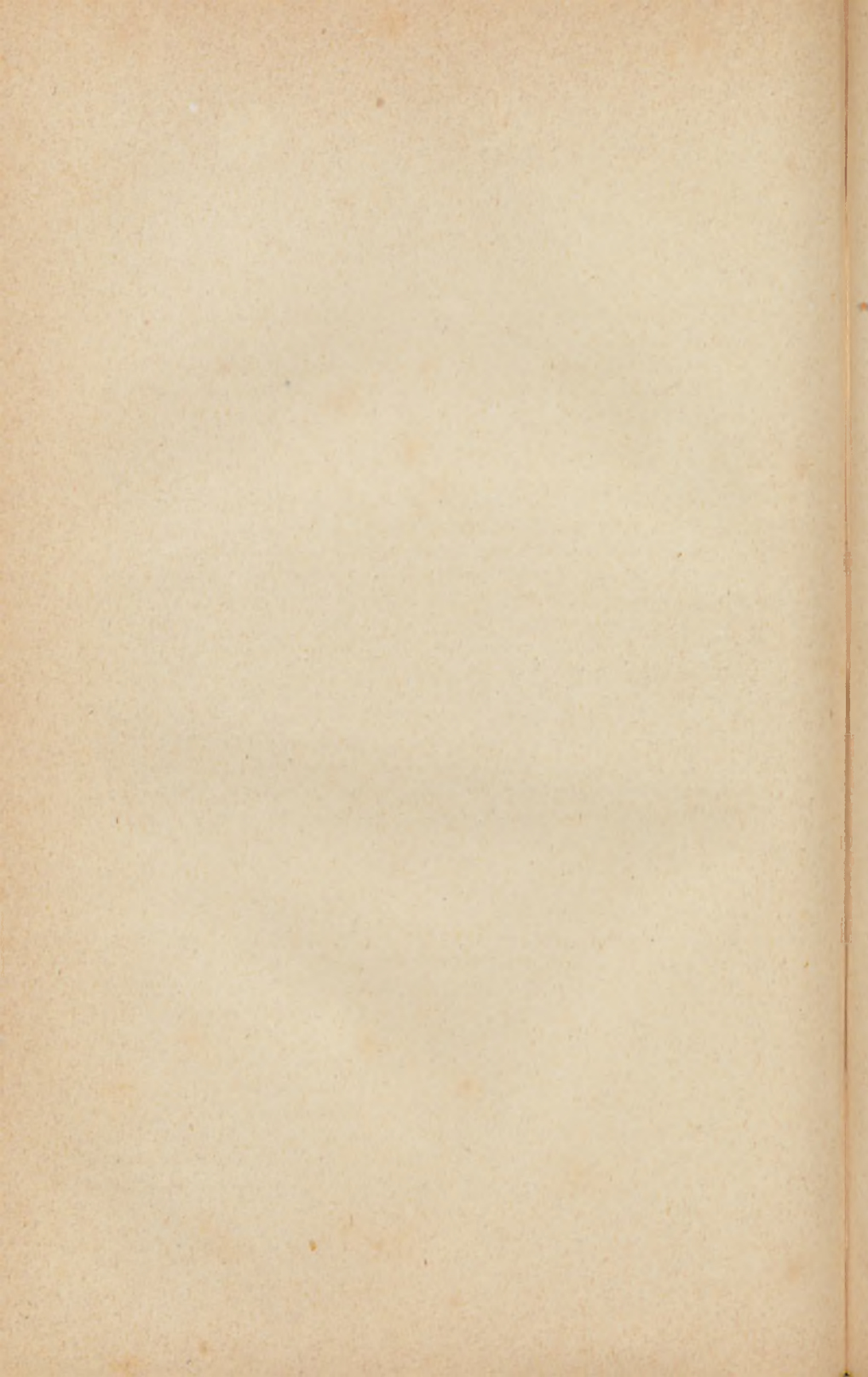
Z wiosną następną 1713 roku miasto odżyło na nowo, domy i pałace się zaludniły, trawa z bruków ulic i rynków znikła, tylko w pamięci mieszczan Warszawy wspomnienie téj strasznej klęski wyryło się nie startemi zgłoskami i zachowało w żywym podaniu.

Na frontonie kościoła Bernardynów (którego mury ogrodowe głęboko w ulice Maryensztadu wchodzą) od Krakowskiego Przedmieścia, dawna, starych mieszczan warszawskich tradycya wskazywała miejsce, gdzie w czasie szturm do miasta króla Jana Kazimierza i zaciętej walki, wódz załogi szwedzkiej generał Wirtemberg schwytyany został. Zrobił on wycieczkę (jak już mówiliśmy) dla odparcia gwałtownego ataku i opanował ten kościół. Rozpoczęła się ręczna bitwa krwawa w samym wnętrzu świątyni, na chórze i w zakrystyi. Rozbici cofać się musieli: Wirtemberg z kilkunastu szedł przebojem, wtedy szlachcic zaściankowy mazur, odbiwszy cięcie szabli schwytał go za pas rzemienny przewieszony przez ramię, przy którym wisiała szabla. Wirtemberg, pas ten, zręcznym pochyleniem się z pochwą zostawił w ręku szlachcica, a sam z niedobitkami cofnął się do warownej bramy krakowskiej przy posągu Zygmunta III-go.



XIII.

Ulica Senatorska. — Dom Dobryczów. — Reslera. — Powód do wojny szwedzkiej. — Dom pod Gwiazdą. — Pałac Prymasowski. — Michał książę Poniatowski prymas. — Jego śmierć nagła. — Ministeryum wojny. — Pałac Olbromski. — Plac Marywilu: Marie-ville. — Jarmarki. — Torunianki z piernikami. — Antonina Ordynatowa Zamoyska. — Kanoniczki od Niepokalanego Poczęcia. — Pałac Pocięja: Pocięjów. — Przysłowia. — Nowe domy. — L. A. Dmuszewski. — Kościół św. Andrzeja. — Ratusz. — Obrazy. — Franciszek Bieliński marszałek wielki koronny. — Rzeźnik i palestrant. — Sprawa pomiędzy niemi. — Sąd i wyrok Bielińskiego. — Bale w ratuszu. — Piękne niewiasty. — Mazur. — Kontredans. — Milicya miejska. — Salceson. — Pałac Blanka. — Ulica Daniłowiczowska. — Pałac Błękitny Ordynacyi Zajmoyskich. — Pałac Mniszkowski. — Ziemne wały. — Ulica Elektoralna. — Żabia. — Plac za Żelazną Bramą. — Pałac Izydora hr. Krasińskiego. — Koszary Mirowskie. — Ulica Graniczna. — Plac Grzybowski. — Ratusz. — Więzienie za długi. — Groźne przysłowia. — Ogrody. — Warzywa i owoce.



Z placu zamkowego, równolegle z Krakowskim Przedmieściem, idzie ulica Senatorska i biegnie aż do gmachów banku polskiego.

W rzędzie domów po lewej ręce wydatniejsze kamienica Dobryczów, rodziny greckiej osiadłej oddawna w Warszawie i zajmującej jedno z pierwszych miejsc w kupiectwie naszego miasta; dalej wielki dom Reslera, dawna posiadłość Hieronima Radziejowskiego, którą T. Święcki w *Opisie starożytnéj Polski*, wskazuje, jako główny powód do wywołania najazdu szwedzkiego.

Zona Radziejowskiego, Anna ze Słuszków, w niesnaskach z mężem żyjąca, pałac ten w czasie niebytności jego opanowała. Radziejowski dowiedziawszy się o tém, przy pomocy szlachty mazowieckiej, siłą go odbiera w czasie agitującego się sejmu; wrzawy wojennej i rozlew krwi przy starciu się żwawém broniących i dobywających nie brakło. Jan Kazimierz oddawna mu niechętny, dopuścił wyroku banicy na Radziejowskiego, sam, jak wówczas utrzymywano, zakochany w powabnej jego małżonce. Ten pozbawiony praw obywatelskich, cześci, wygnany z ojczyzny, wyzuty z majątku, zemstą wrzący, szukał sposobów srogiemu odwetu na królu swoim. Daremno wyczekiwał pomocy po temu w Wiedniu, aż znalazł ją chętną w Sztokholmie. Karol Gustaw obrażony przywłaszczonym tytułem króla szwedzkiego przez synów Zygmunta III, miał dobry pozór do napaści. Zagrzany wymową i nadzieją pomocy Radziejowskiego, wsiadł na okręty i przeniesiony na falach Bałtyku, wylądował w granicach Rzeczypospolitej.

Są chwile w życiu narodów, które cechuje upadek ducha i osłupiałość dzieciństwa. Na taką chwilę właśnie natrafił król szwedzki i dobrze umiał z niej korzystać.

Zaledwie wieść przysła o wylądowaniu Szwedów, padła zajęcza trwoga nie tylko na Jana Kazimierza i dwór jego, ale na całą społeczność polską. Król ucieka z Warszawy, którą zostawioną bez obrony nieprzyjacieli zabiera; przybywa do Krakowa, ale i tu nie czując się bezpieczny, straż starego grodu zostawia Stefanowi Czarnieckiemu, sam zaś uchodzi za granicę swego państwa ¹⁾. Szlachta powolna zdra-

¹⁾ Chwilę tę opuszczenia Krakowa przez Jana Kazimierza, uwiecznił pędzlem Jan Matejko. W nim przedstawia tego króla, jak z wyniosłości Mogielan spogląda na płonący gród stary, w towarzystwie szczupłej liczby dworzaków. To Stefan Czarniecki kazał pozapalać przedmieścia, otaczające mury forteczne Krakowa, ażeby Szwedzi nie mieli osłony wygodnej do otoczenia i szturmowania stolicy.

dzieckim namowom Radziejowskiego, łączy się z Karolem Gustawem; rycerskie chorągwie idą za tym haniebnym przykładem. Sam Czarniecki po krótkiej obronie Krakowa, lubo z bronią na ramieniu i rozwiniętymi sztandarami, przechodzi na jego stronę. Dumny zwycięzca wchodzi w tryumfie do starej Jagiellonów stolicy i udaje się na Wawel, dla zobaczenia grobowych pomników królów polskich. Oprowadzał go Szymon Starowolski, mąż znany dobrze w literaturze ojczyściej, kanonik krakowski, a przywiódłszy do najskromniejszego grobowca Władysława Łokietka:

Ten to jest król—mówił—co po trzykroć strącony z tronu, szukać musiał ocalenia na obcych ziemiach, ale wrócił i szczęśliwie panował.

— Ale wasz Jan Kazimierz—zawołał z pychą Karol Gustaw, uderzając ręką o szablę przy boku—któregom mocą oreża mego wygnał z Polski, już więcej nie wróci!

— W ręku Boga są losy królów i narodów—odpowiedział świętobliwy kapłan, a te słowa prorocze taki wywarły skutek, że Gustaw, który w kapeluszu na głowie obchodził wawelską katedrę, zdjął go i w milczeniu resztę pomników oglądał.

Wkrótce też obrona Częstochowy, pierwsza zatrzęsała tą potęgą straszną Szwedów. Padają załogi szwedzkie, wycięte w pień, rozstawione po grodach. Czarniecki odtąd każdy krok naprzód znaczy zwycięstwem. Jak trwożę rzucali Szwedzi w początkach, tak teraz na nich pada popłoch; już nie myślą o wstępnym boju i zwycięztwach, ale troskliwie uwożąc bogate i drogocenne łupy z Polski, spławiają Wisłą popod Warszawą ¹⁾ do morza i sami za niemi ku jego wybrzeżom lisiemi kroki podążają. Czarniecki pędzi ich przed sobą, a gdy Gustaw uchodzi na okręty przed straszną pogonią, spieszy do Danii i tam ich pozostałe zastępy rozbija.

Dom Radziejowskiego spalony został w czasie tej wojny, a wspomnienie historyczne może być przywiązane do samej miejscowości. Plac po nim i rumowiska nabył w roku 1731 Józef Łupa prezydent miasta Starój-Warszawy i okazały pałac w tym kształcie, jaki widzimy, wystawił; później nabyli go bracia Roeslery i ich nazwisko dotąd nosi na sobie. Głównym frontem zwrócony jest do Krakowskiego-Przedmieścia, dugim na Senatorską ulicę i jest przechodnim, ułatwiającym wielce komunikacyą z tej ulicy z pomienio-

¹⁾ W małym dyaryuszu starego mieszczanina Warszawy wyczytuje, jak w ową porę, gdy Szwedzi ładowno berlinki i galary z łupami spławiali, pod silną strażą, mieszkańcy naszego grodu patrzyli na nie i liczyli codziennie, „a było ich co dnia (dodaje nasz bezimienny mieszczanin) pełno na wodzie, by kawek na słotę”. Przez dni dziesięć narachował ich 128, oprócz jeszcze tych, co równo ze światem przepływały, albo wśród nocy widnej i pogodnej.

ném przedmieściem. Wewnętrzny rozkład i urządzenie tego domu (noszącego N-r 451), przypomina dawne pałace i wspaniałe komnaty.

O parę domów dalej jest dom *pod Gwiazdą* z małym podwórzem; w tym okresie własność Kuzniczewa, który miał głośny w kraju handel wybornych i czystych win węgierskich. Za nim biegnie wązka uliczka Kozia, otwarta za czasów Stanisława Augusta, po drugiej zaś jój stronie, stał wspaniały pałac *Prymasowski* (pod N-rem 489). Zbudował go Wojciech Baranowski biskup płocki, a następnie za Zygmunta III arcybiskup gnieźnieński; umierając, zapisał na własność kapitule metropolitalnej gnieźnieńskiej, z przeznaczeniem na mieszkanie arcybiskupów; ztąd też przybrał swą nazwę.

Ostatnim z tych dostojników kościelnych, którzy w nim przemieszkiwali, był Michał Poniatowski prymas korony polskiej, a rodzony brat króla Stanisława Augusta.

Smutny odegrał on dramat w tój siedzibie arcybiskupiej. Najmłodszy z synów kasztelana krakowskiego, odznaczał się wyższemi zdolnościami pomiędzy wszystkimi Poniatowskimi. Przy pomocy brata króla osiągnął najwyższą godność kościelną.

W roku 1794 Warszawa była obleżoną przez Prusaków. Wiadomości otrzymywane z Francyi, gdzie w całej sile panował terrorizm rewolucyjny, zatrwożył go nadzwyczajnie. Nieogledny na następstwa, wysłał własnoręczny list do króla pruskiego, który osobiście dowodził swoją armią, oblegającą nasze miasto, wskazując szczegółowo najłabszą miejscowość, którą zdobyć i opanować Warszawę łatwo potrafi. Uczynił to w tój nadziei, że osłoni całą swoją *familią* od grożącego jakoby niebezpieczeństwa, chociaż wypadki okazały same, że ten strach był urojony. Ale posłaniec prymasa przez czaty polskie schwytyany, a list odebrany, rzecz całą objaśnił. Wiadomość o tym czynie lotem błyskawicy rozbiegła się po mieście i arcybiskup w swym pałacu uwięzionym został.

Książę Józef Poniatowski zanim podążył z obozu przybyć do króla, już sposobu ratowania prymasa nie było. Po krótkiej naradzie postanowiono, że bezzwłocznie umrzeć musi. Stanisław August od nadwornego swego doktora dostaje silnój trucizny, któraby, jak piorun, odrazu zabijała. Sam z nią musiał się udać do pałacu prymasowskiego, gdyż był otoczony ścisłą strażą. Okryty płaszczem, trafił na obywatela Dückerta z gwardyi narodowej, który wartę trzymał; temu musiał się dać poznać, ażeby go przepuścił—wtedy wszedł do pokoju brata, który siedział blady, jak trup, ze spuszczoną smutnie głową na piersi.

— Michale kochany! — wyrzekł król ze łzami, bo był doń przywiązany — przychodzę, jako zwiastun śmierci! Musisz umrzeć, jednéj chwili do stracenia nie mamy. Oto trucizna: długo się męczyć nie będziesz.

Książę Michał podniósł głowę i wyciągnął rękę, jakby po dar drogocenny.

— Daj mi ją bracie—wyszeptał cichym i złamanym głosem —i uściskaj mnie na wieczne pożegnanie!

Uścisnęli się serdecznie; król spiesznie wybiegł, nakazując Dückerowi głęboką tajemnicę, że go widział wchodzącego do tego pałacu. Prymas poślknął truciznę, która tak gwałtownie działała, że jak mi mój ojciec opowiadał, który go zaraz po skonie widział, rysy zmarłego zupełnie zmieniła.

Pogrzeb jego odbył się cicho, zwłoki złożono w katakumbach na Cmentarzu Powązkowskim i położono na kamieniu napis, dotąd przechowywany:

„*Michał Jerzy książę Poniatowski herbu Ciołek, prymas korony polskiej i W. Ks. Lit.: syn kasztelana krakowskiego i Konstancy księżniczki Czartoryskiej, urodzony dnia 11 października 1736, umarł 11 sierpnia 1794 r. prosi prawowiernych katolików o modlitwy za duszę swoje.*”

We dwa tygodnie dopiero odprawiono nabożeństwo żałobne po nim w katedrze warszawskiej, na którym Jan Woroniecz, wówczas kanonik miał kazanie pogrzebowe. Tak w sile męskiego wieku licząc rok 58, musiał zakończyć życie.

Po tym wypadku już w tym pałacu żaden prymas nie przemieszkiwał i we trzy lata później przeszedł na własność skarbu.

Od roku 1815 do 1830 mieściło się w nim ministerjum wojny, a dół cały od ulicy Koziój do połowy środka gmachu zajmował Maurycy hr. Hauke minister wojny ówczesny, a zięć D-ra Lafontena. Generał ten zyskał sobie chlubny rozgłos przez dzielną obronę twierdzy Zamościa, w której bił monetę miedzianą i srebrną, mającą obieg wtedy w tej warowni dookoła osadzonej ściśle, a dziś już jako rzadka pamiątka przechowuje się w zbiorach numizmatycznych.

Pałac ten miał dwa obszerne podwórza, a od ulicy oddzielony żelazną kratą z dwiema bramami. Na przeciwniej stronie ulicy odznaczał się pałac Olbromski (pod N. 460), biorący swą nazwę od tego, że wystawił go Franciszek Dembiński starosta wolbromski.

Teraz wychodzimy na plac *Marywilu*: z prawej zostawiamy ulicę Danikowiczowską, po lewej stronie biegnie krótka ulica Nowo Senatorska. Plac cały (jak obecnie Wielki Teatr) zajmowały budowle Marywilu, które wystawiła Maryja Kazimira żona króla Jana Sobieskiego i od swego imienia nazwała *Marie-Ville*. Wewnątrz były wielkie podwórza, do których wejście było, jak zapamiętam, przez obszerne bramy. W pośrodku podwórza bliższego Wierzbowój ulicy, stał mały kościółek Panien Kanoniczek.

Na pomienionych podwórzach odbywały się jarmarki głośnie w całym kraju, w których rej wiodły powabne torunianki ze sklepami sławnych pierników, przyczém zaraz wypiekały wafle, które tłumy gości chciwie rozkupywały. W czasie istnienia tych jarmarków cały świat elegancki Warszawy tu się gromadził; panie biegły zobaczyć piękne torunianki, a pierwsi eleganci naszego miasta pragnęli się im

zgrabnie zaprezentować i zwrócić ich oczy i uwagę na siebie. Nie wiele też z tém mieli trudu, bo ich mężowie lub narzeczeni, nieruchawe i nieoskrobane niemczyśka, porównać się z warszawską młodzieżą nie mogli. Piernikarki te więc każdorocznie z dobraném gronem młodych i powabnych torunianek i gdańszczanek ochotnie przybywały do Marywilu, bo nietylko sporo grosza zarabiały, ale cały czas jak najprzyjemniej przepędzały, otoczone hołdami młodych warszawiaków, dziarskich oficerów i akademików, a nie brakło czerstwych i dorodnych ziemian z prowincyi, którzy w onczas jako na mile gody dla siebie hurmem do miasta zjeżdżali. Pomienione jarmarki w początku maja i listopada przypadające trwały przez trzy tygodnie ¹⁾).

Ale budowle te podupadały z każdym rokiem, potrzeba było plac przed ratuszem oczyścić; zaczęto więc je burzyć. Wtedy przy rozbieraniu starych murów, w wydrążeniu kamienia węgielnego kaplicy marywilskiej, znaleziono relikwie i tablicę srebrną z napisem téj treści: „Że królowa Marya Kazimira na pamiątkę zwycięstwa pod Wiedniem i na cześć Najświętszej Matki, której obraz Jan III miał zawsze, i której opieki wzywając, pokonał nieprzyjaciół, budowę tę wystawił. Kamień zaś węgielny położony dnia 12 września 1696 r. przez Stanisława III (Witwickiego) biskupa poznańskiego, zastępującego królowę, w dzień rocznicy ocalenia Wiednia.“

Po śmierci króla Jana III i wyjeździe Maryi Kazimiry królowej wdowy, Marywil nabyła Józefa Antonina z Zahorowskich Ordynatowa Zamoyska, wiele nowych budowli w nim wzniosła i osadziła tu w roku 1744 kapitułę dam świeckich, pod tytułem *Kanoniczek od Niepokalanego Poczęcia*, na wzór podobnego Zgromadzenia w Remiremont w Lotaryngii, a sejm zatwierdził tę jedyną u nas w kraju fundacyę.

Zamiarem założycielki było, ażeby zacnie urodzone niewiasty, osierocońe z rodzinnej opieki, nie zawierając dla siebie drogi do odpowiedniego małżeństwa, mogły mieć schronienie do bogobojnego i prawdziwie chrześcijańskiego życia.

Jedna *ksieni* dożywotnia za mąż wyjść nie mogła; liczba Kanoniczek dochodziła do jedenastu, każda musiała się wywodzić ze szlachectwa po ojcu i po matce do trzech pokoleń. Panię drugiego rzędu także szlacheckiego urodzenia, ośm było. Inauguracya piérwszej ksieni Zofii Gałeckiej wojewodzianki podolskiej, nastąpiła w rocznicę zaprowadzenia téj kapituły dnia 2 maja 1745 roku. Kanoniczki nosiły order *Niepokalanego Poczęcia*; używały dwojakiego stroju: jeden kościelny, a drugi światowy podług mody panującej. W czasie sejmów w Warszawie, przez ciąg trwania każdego, odbywało się w Marywilu w kościele Panien Kanoniczek nabożeństwo, na które tak posłowie jak senatorowie zjeżdżali tłumnie.

¹⁾ Następnie przeniosły się na podwórze pałacu Radziwiłłowskiego, później Paca na Miodowej ulicy.

W zabudowaniach Marywilu już od czasów Stanisława Augusta mieściły się kawiarnie i traktyernie, a nawet małe szulernie, gdzie się dworzanie magnatów polskich i szlachta wiejska mniej zamożna zgrywała. Grywano najzwyczajej tu w ulubionego maryasza do puli; słynął też maryasz szlifowany, na cześć którego bajkę napisał F. D. Kniaznin, grając w niego w Marywilu ¹⁾.

Wszedłszy na obszerne podwórza po lewej stronie od ulicy Senatorskiej, wznosił się do niej frontem pałac do rodziny Pociejów należący. Pamiętam pod arkadami niskimi ciągnący się długi szereg sklepików, w których dawniej mieścił się cały handel żydów warszawskich, sprzedających rozmaite stare sprzęty, żelaztwo i wszelkiego rodzaju tandetę. Na piętrze były mieszkania. Kiedy ztąd ich usunięto na ulice Królewską i Marszałkowską, przenieśli oni wraz z sobą i tu nazwę Pociejowa; wyraz ten bowiem dał powód do przysłowia ludu warszawskiego: „pociejowska robota,” którym oznacza lichą, niezdatną i nietrwałą robotę rzemieślniczą. Tak imię znakomitej rodziny litewskiej przywiązało się na zawsze do tandetnego handlu żydów warszawskich, którzy gdziekolwiek z nim się obrocą, nazwę Pociejowa przenoszą ²⁾.

Poza murami Marywilu szła ulica Wierzbowa, a po drugiej jej stronie rozciągały się obszerne place należące do księży Reformatów, na których właśnie zaczęli wznosić okazałe domy Ludwik Adam *Dmuszewski*, aktor teatru narodowego, i *Petyskus* utrzymujący kantor loteryj.

Dmuszewski miał małą kamieniczkę na Przyryнку wprost kościoła Panny Maryi, tę puścił na loteryę i szczęśliwie sam wygrał. Zaraz potem od Brunona hr. Kicińskiego za tysiąc dukatów kupił „Kuryera Warszawskiego“ i wzięwszy od Reformatów za czynszową opłatą grunt potrzebny, wybudował stojącą kamienicę, w której pomieścił drukarnię Kuryera i redakcyę tego pisemka. Niesłusznie przeto i mylnie L. A. Dmuszewskiego ogłaszano za twórcę „Kuryera“, kiedy pierwszym założycielem był Bruno hr. Kiciński, któremu rozwój naszój prassy peryodycznej wiele zawdzięcza. Dmuszewski w małym na dole pokoiku przebywał godziny oznaczone w redakcyi, a siedząc przy kantorku, brał do rąk zagraniczne gazety jak mu je podano i z nich bez żadnego ładu i porządku, co mu się zdało najciekawszego, do druku wybierał. Pokoik ten był zapchany rupieciami

¹⁾ Znany ze znakomitego talentu M. Andriolli w „Kłosach“ r. b. przypomniał nam dawnego maryasza, w kompozycyi wielce udatnej, przedstawiającej dwoje sędziwych małżonków, grających w niego, w chwili gdy mąż pyta żony: „Masz pamięła?“

²⁾ Główny teraz handel żydowski tandety i starych rupieci przeniesiony został w pobliżu Grzybowa i nosi jak dawniej nazwę *Pociejowa*.

mi rozmaitego rodzaju, a na przymurku leżała kupa pięciogroszówek grubo kurzem pokryta, które chował dla ubogich. Najważniejszą ozdobą był tu parawan szklany o kilku skrzydłach z nalepionymi portretami rozmaitych znakomitości krajowych, obejmujący zbiór wielce szacowny. Dmuszewski jeżeli nie stworzył Kurjera Warszawskiego, to z pewnością umiał go rozpowszechnić do tego stopnia, że za jego staraniem lud warszawski, przekupki, tragarze i służba domowa zaczęła go czytywać.

Wprost jedną z bram Marywilo, na przeciwniej stronie placu, wznosi się skromny kościół Św. Andrzeja; w nim pierwszym proboszczem był znany dobrze w literaturze polskiej Karol Wyrwicz, towarzysząc uczonej obiadów czwartkowych w zamku królewskim. Przy burzeniu Marywilo, kościół ten z klasztorem oddany został Pantomimom. Dom go tylko jeden rozdzielał od ratusza, do którego po rozebraniu w rynku Starego-Miasta dawnego ratusza, jeszcze z czasów udzielnych książąt mazowieckich, przeniesiono magistrat warszawski. Pierwotnie był to pałac książąt Jabłonowskich, który stawił słynny budowniczy *Merlini*. Rząd Królestwa Polskiego nabył go od Antoniego księcia Jabłonowskiego kasztelana krakowskiego w r. 1817 i odpowiednio do potrzeb magistratu urządził.

Salę obszerną i wspaniałą zdobiły obrazy historyczne, z tych zapamiętałem, w całej postaci Stanisława i Janusza ostatnich książąt mazowieckich, co spoczywają u *Fary* i ich siostry Anny na jednym płótnie. Obraz ten tęp większej ceny, że jest współcześnie malowany. W wielkiej liczbie portretów odznaczały się króla Stanisława Augusta, księcia Józefa Poniatowskiego, Stanisława Małachowskiego, (co ma wspaniałą grobowiec w katedrze warszawskiej); Hugo Kołłątaja, Ignacego i Stanisława Potockich, i prezydentów Warszawy: Jana Dekerta, Ignacego Wyssogoty Zakrzewskiego, kochanka ludu warszawskiego, Karola Wojdy. Między temi zwracał uwagę portret Franciszka Bielińskiego marszałka wielkiego koronnego, który w kronice Warszawy nie jedno wspomnienie zajmuje, albowiem miasto nasze w uporządkowaniu swoim wiele mu zawdzięcza. Liczne wspomnienia o nim w żywym jeszcze podaniu w ustach się Warszawian przechowały. Był to pan surowy, ale rozumny i sprawiedliwy. Po między wielu wypadkami opowiadaniemi wówczas, jeden przypominam sobie.

Na *Nowym-Świecie* mieszkał w drewnianym swoim domku rzeźnik, który przy własnym ogrodzie wypasał liczną trzodę chlewną, rzezał, i w mieście sprzedawał tak słoninę jak wędliny wybornie przyrządzone, dla czego miał odbył wielki i grube zbierał grosiwo.

Nieznano wówczas papierowych pieniędzy, tylko w obiegu była srebrna i złota moneta. Rzeźnik co zebrał w każdą sobotę, przeliczał w swojej sypialnej izbie, i dwu, czterozłotówki i grubsze sztuki srebrne do worków wsypywał.

W tym samym dworku, ponad tą izbą w facyatce, zamieszkał *palestrant*, który oskarżył swego gospodarza, że mu ukradł pieniądze, które przechowywał w workach; podał nietylko ich liczbę ale szczegółowo w swój skardze wymienił, wiele w którym było pieniędzy i w jakim gatunku. Skarga ta przysłała do marszałka Bielińskiego, który kazał zrobić u rzeźnika *rewizyą*, i z wielkiem podziwieniem wszystkie worki wymienione przez palestranta znaleziono z taką, jaką podał, monetą. Znano rzeźnika z uczciwości, oddany wyłącznie swemu rzemiosłu, pracował usilnie, był dobrym mężem i ojcem, krewniaków wspierał, dla biednych był liściowy, codzień modlił się w kościele Dominikanów *Obserwantów* w pobliżu ś-go Krzyża ¹⁾, a pomimo to, skarga palestranta ciążyła nad nim hańbiąco.

Bieliński, ściągawszy potrzebne wiadomości tak o rzeźniku, jak i palestrancie, w dawnym ratuszu na *Starém-Mieście* w obec prezydenta miasta i ławników miał tę sprawę osądzić. Co żyło w Warszawie, a dostać się mogło do sali ratuszowej, wszystko się zbiegło na sąd marszałka wielkiego.

Obwiniony rzeźnik, zgęębiony, nie śmiał oczu podnieść; żona jego i dzieci przytulone w kąciku zalewały się gorzkimi łzami, tłumiąc swe jęki bolesne. Z miną tryumfującą stał razem z nim przed kratkami palestrant.

Wszystkich zebranych w sali zdziwił duży ogień na kominie wielkim rozniecony, a nad nim stojący ogromny na trójnogach kocioł pełen wody wrzącej.

Wszedł Bieliński, wszyscy powstałi i głęboki mu ukłon oddali. Worki, o które spór szedł, pełne srebra leżały na stole. Wtedy marszałek rozkazał każdy worek wraz z monetą rzucić w kocioł już gotującą się wody. Po krótkiej chwili, na jej powierzchni ukazywać się zaczęły kółka coraz gęściej tłuszczu. Bieliński kazawszy się prezydentowi i ławnikom o tém przekonać, przywołał przed siebie rzeźnika i palestranta.

— Pokażcie ręce swoje—wyrzekł.

Rzeźnika dłonie duże, grube, spracowane, ale całe zatłuszczone; palestranta drobne, chude, białe, tylko atramentem nieco powalane.

— Kłamliwą skargę—zawołał donośnym głosem, zwrócony do palestranta — podałaś i oszkalowałeś poczciwego człowieka, który nie pomyślał nigdy o krzywdzie bliźniego. Gdyby to były twoje worki i pieniądze, śladu tłuszczu nie widzielibyśmy wcale. To jest własność krwawo zapracowana rzeźnika, a ciebie łotrze słuszną karą za oszczerstwo spotkać musi. Tyś to w pułapie ponad mieszkaniem swego gospodarza wywiercił otwór, i przez niego policzyłeś worki, gatunek pieniędzy i dokładnie spisałeś. Okuć go w kajdany i do *wieży* zawieść, a waści panie majstrze (mówił zwróciwszy się do

¹⁾ Na jego miejscu wzniesiono dom byłego Towarzystwa przyjaciół nauk.

rzeźnika) podaję rękę moją do uścisku i ogłaszam waszą niewinność. Byłeś i jesteś poczciwym człowiekiem i obywatelem Warszawy.

Rzeźnik padł na kolana przed Bielińskim, a pochwyciwszy rękę podaną z rzewnym płaczem gorąco ją pocałował. Lud wznosił radosne okrzyki na cześć marszałka i rzeźnika, którego gromadnie do dworku jego odprowadził; palestranta trzeba było otoczyć silną strażą, bo go chciano żywcem rozszarpać.

Wracamy do nowego ratusza, w którego salonach odbywały się bale na rzecz Towarzystwa dobroczynności. Byłem na kilku, a obrazy wspaniałe, jakie się przewijały przed oczyma mojemu, głęboko wyryte zostały w pamięci. Najdobrzejsze towarzystwo, nie tylko Warszawy ale i z całego kraju zgromadzało się na te zabawy. Wszystkie stany łączyły się z sobą w jeden zgodny wieniec. Panie najwyższych rodów, jak i obywatelki miejskie i wiejskie, odbijały cudnym urokiem wdzięków, boć to nie nowina, że zarówno ziemianki polskie jak i warszawianki, słynęły od dawna z piękności czarującego powabu. Rej tu wiodły wysokiego wzrostu (jaki jest już rzadki pomiędzy naszymi niewiastami), a otoczone jakby aureolą poezji Ordynatowa Zamoyska, księżna Wirtemberska (z Czartoryskich), Chodkiewiczowa z młodziutką córką Zofią i wiele innych. Nie ustępowały im ani w urodzie ani w powabie, obywatelki z dworów wiejskich jak i warszawianki.

Wzrostowi kobiet odpowiadała płeć mężka dziarska i pełna życia, czy to we fraku czy w mundurze.

Z tańców szczególnie po *polonezie* zwracał uwagę zgromadzonych *mazur*, tańczony zupełnie inaczej niż dzisiaj. Cały charakter tego pięknego tańca troskliwie był zachowany.

Każda para w żwawym poskoku wybiegała z miejsca na środek sali, ale tancerz tak wiodł swą towarzyszkę, że ona przodować zdawała się w tańcu, a mężczyzna podążał za nią jako jej rycerz i obrońca.

Kiedy stanęli w środku par drugich, tancerka obiegała go wkoło, a on stojąc w miejscu, bijąc hołubca, spoglądał z zachwytem na swą druchnę, chwytając w swoje objęcia, poczem okręcał się wkoło i wracał na miejsce. Tak po przetańczeniu pojedynczo rozpoczynano *figury*, w których udział brała każda para po kolei. Tańczono zwykle po ośm par i tworzone w każdej sali po kilka kół.

I *kontredans* był w te czasy prawdziwym tańcem, w którym kobieta cały urok wdzięku ukazać mogła, a tancerz dziarskość w *wycinananiu piruetów* i *entrsza* w wysokich podskokach.

Jak polonez rozpoczynał bal, tak brzmiał zawsze przed kolacją, do której przechodzono tym tańcem. Serdeczna ochota, swoboda i radość szczerą upromieniała każde oblicze, zarówno młodzieży, jak starszego wieku, sędziwych ojców i matron. Brzask dnia, który zaczął przytłumiać jarzące światło w salach ratuszowych, był dopiero hasłem do opuszczenia gmachu ratusza, w którym nie jedno młode serce żywiej zabiło, a wspomnienie każdego w nim zebrania, żywe

i niczem nie zatarte pozostawiało wrażenie w pamięci każdego, który był uczestnikiem tych prawdziwych godów zapustnych.

W ratuszu mieściła się *straż* piesza i konna; nosiła niebieskie mundury i broń kalibrową. Nie znam powodu, dlaczego była pośmiewiskiem ludu warszawskiego, który piechurów z niej głównie, zwał powszechnie *salcesonami*. Nazwa ta powstała z tego powodu, że jeden z nich tłustej rzeźniczce *zwędził* cały salceson i z nim począł uciekać. Właścicielka zerwała się z za stołu swego za szkodnikiem, ale zaledwie ubiegła kilkadziesiąt kroków, już dalej podążać nie mogła, wołając tylko *salceson! salceson!*

Schwytany na gorącym uczynku winowajca, stawiony przed sądem. W krótkce téż nadeszła zadyszana rzeźniczka, ale nie więcej mówić nie potrafiła, jak tylko wskazując na owego milicyanta, wołała: — Salceson! Salceson!

I nazwa ta pozostała aż do końca 1830 roku.

Obok ratusza pałac *Blanka* (pod n. 461). Piotr Blank był głośnym bankierem warszawskim za panowania Stanisława Augusta, i nabył tę posiadłość od Mikorskiego podkomorzego gostyńskiego. Nic w nim nie zmienił ani przydał, a pałacyk ten z matəm podwórkiem jego nazwisko przywiązał aż po dziś dzień do swoich murów.

Tak były ratusz jak prawe skrzydło tego pałacyku wychodzą na ulicę *Daniłowiczowską*. Okrąża ona prawie w półkole mury ratuszowe, bo zaczyna się z Senatorskiej a dochodzi do Bielańskiej ulicy. Nazwę swą wzięła od Jana Mikołaja Daniłowicza podskarbiego wielkiego koronnego, który od mieszczan warszawskich zakupiwszy domy i ogrody, wystawił w roku 1621 ogromny pałac, a przy nim założył okazały ogród. Kiedy Karol Gustaw opanował Warszawę, spalił go jak i wiele innych gmachów stojących za warownemi murami naszego miasta, i wtedy poszedł w ruinę. Po Daniłowiczu odziedziczywszy w spadku Izabella Opalińska małżonka Łukasza marszałka nadwornego, darowała go Jezuitom za Jana Kazimierza, w kilka lat po wojnie szwedzkiej. Gospodarny zakon, pałac wyrestaurowawszy wypuszczał go w dzierżawę, a po śmierci króla Jana III, sami się wprowadzili i *rezydencję* w nim swoją założyli. Następnie sprzedali Teodorowi Potockiemu, który im kaplicę na *Senatorskiej* ulicy wystawił (dzisiejszy kościółek ś-go Andrzeja, Kanoniczek). Następnie odstąpił go Andrzejowi Kostce Załuskiemu biskupowi płockiemu, kanclerzowi wielkiemu koronnemu. Ten pałac z gruntu przebudował i w r. 1742 umieścił w nim sławną swoją bibliotekę, która pomnożona przez brata jego Józefa i na rzecz narodu ofiarowaną została. Odtąd tak gmach jak i miejscowość cała *Biblioteki Załuskich* nazwę przybrała. Gmach ten spalony w r. 1807, w dziesięć lat później sprzedany, nabył szambelan króla Stanisława Augusta Nowakowski i zabrał się do jego restauracyi. Znałem pana szambelana osobiście i widziałem z jaką gorli-

wością zabrał się do tego dzieła, poszukując skwapliwie wszelkich pamiątek, jakie w tym domu po Załuskich pozostały. Jego staraniem wydobyto z ruin popiersia kamienne królów polskich, zdobiące niegdyś sale wielkiej biblioteki, które ocalone przez niego, dotąd się przechowały osadzone w murze podwórzowym.

Ulica *Danilowiczowska* wychodzi na Bielańską, zkąd wzięwszy się na lewo wychodzimy znowu na Senatorską ulicę, ciągnącą się do placu bankowego. Na niej wydatniał tylko mały kościółek księży Reformatów, zbudowany i otwarty dla pobożnych w roku 1679. W ogrodzie klasztornym był domek, gdzie król Jan Sobieski w *wielki tydzień* odbywał *rekolekcje*. Wiadomo, jak dzielny ten wojownik i wódz był pobożnym, jak przed każdą walną bitwą gorąco się modlił, czyto w przeddzień odniesionego zwycięstwa 1673 r. w dzień ś. Marcina nad Turkami pod *Chocimem*, uwiecznionego pieśnią historyczną z owych czasów, a które dało mu koronę; czy w dziesięć lat później, gdy oswobodził od oblężenia Wiedeń, i rozbił potęgę Muzułmanów, co zagrażała całej Europie. Kiedy córkę swoją jedynaczkę wydawał za męża, ofiarował ję jako najdroższą od siebie pamiątkę wizerunek Matki Boskiej i do tego dołączył tkliwy i rzewny wiersz polski z błogostawieństwem ojcowiskiem.

Obok tego kościoła jest pałac zwany *Błękitnym*, własność Ordynacyi Zamoyskich. Wzniósł go August II w ciągu sześciu miesięcy dla córki swj naturalnej Orzelskiej, którą szczególniej miłował. Z jego rozkazu trzystu robotników dziennie i tyleż nocą przy świetle pochodni pracowało, jak opisuje *Erndtel* naoczny świadek, ażeby w danym okresie czasu przez tego króla gmach był wykończony. Równocześnie został wewnątrz i zewnątrz wspaniale przyozdobiony. Lud warszawski utrzymywał, że istnieje podziemny korytarz, który pałac ten łączył z pałacem *Saskim* wygodnym i tajemnym przejściem. Nazwę *Błękitnego* otrzymał od koloru jakim były pociągnięte jego ściany od podwórza i ulicy.

Z przeciwnj strony wprost kościoła Reformatów, cała połac tēj ulicy składała się z małych domków, i dopiero zwracał uwagę większy gmach zwany *pałacem Mniskowskim* (gdzie resursa kupiecka pod n. 471 litera b.), który wewnętrznym rozkładem i obszernością sal i pokoj przypomina dawne magnatów polskich mieszkania.

Od strony niedawno wzniesionego Banku Polskiego i ulicy *Rymarskiej* oddzielały go wysokie wały ziemne, które pozostały jako zabytek strasznej zarazy morowej, co wymordowała większą połowę mieszkańców Warszawy (r. 1712). Wtedy, jak mi opowiadano, okopywano oddzielne części miasta dla przecięcia grasującej zarazy. Żyli jeszcze starcy, co przeżywszy w dziecięcych latach tę klęskę, pamiętali jak powstały te usypiska.

Wprost *Senatorskiej* idzie ulica *Elektoralna*, która swą nazwę otrzymała za Stanisława Augusta z tego powodu, że prowadziła na równinę wsi *Woli*, gdzie było pole elekcyi królów polskich od zgonu

Zygmunta Augusta a kończąc na Poniatowskim. Z oficyną pałacu Ordynatów Zamoyskich i częścią ogrodu *Saskiego* biegnie ulica *Zabia*. Widać z samego jój nazwiska, jaka to była część miasta nie ludna i błotna. Jakoż *Antoni Magier* (zmarły 1837 r.) pisze w swoich wspomnieniach, że sam na błotach téj miejscowości widział gromady żab i skrzeczenie ich słyszał.

Z niój wychodzi się na plac za *Żelazną bramą*, tak zwany, że z niego przez żelazną bramę wchodziło się do *Saskiego ogrodu*. Na tym obszernym placu zwracał uwagę wielki ginach z filarami, własność Izzydora hr. Krasieńskiego, poza którym stoją *Koszary Mirowskie* (pod n. 934), wychodzące na ulicę *Zimną i Chłodną*. Ogromną przestrzeń zajmując, zbudowane zostały za Augusta II w r. 1732, i przeznaczone dla gwardyi koronnej. Nazwę swą otrzymały od stawnego generała *Mira* dowódcy tego *regimentu*, który téż imię jego przyjął i odznaczył się świetnie w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta. Są to pierwsze stałe koszary w Warszawie.

Przez ulicę *Graniczną*, która łączy się z *Królewską* wychodzimy na *plac Grzybowski*, w środku którego stał za mojej pamięci mały murywany *ratusz*, otoczony licznymi drewnianemi domkami; rzadko gdzie ujrzałeś skromną kamieniczkę. Część ta stanowiła oddzielne miasteczko, założone przez *Jana Grzybowskiego* starostę warszawskiego w r. 1650; w ostatnich dopiero latach zeszłego stulecia, bo w r. 1794 wcielonom zostało do Warszawy, zachowując starą założyciela swego nazwę w ulicy i placu.

Odtąd ratusz tutejszy służył na więzienie za długi i dał powód groźnemu przysłowiu pomiędzy ludem naszego miasta na niesłownych lub nierzetelnych, że:

„Pójdiesz na Grzybów“.

albo

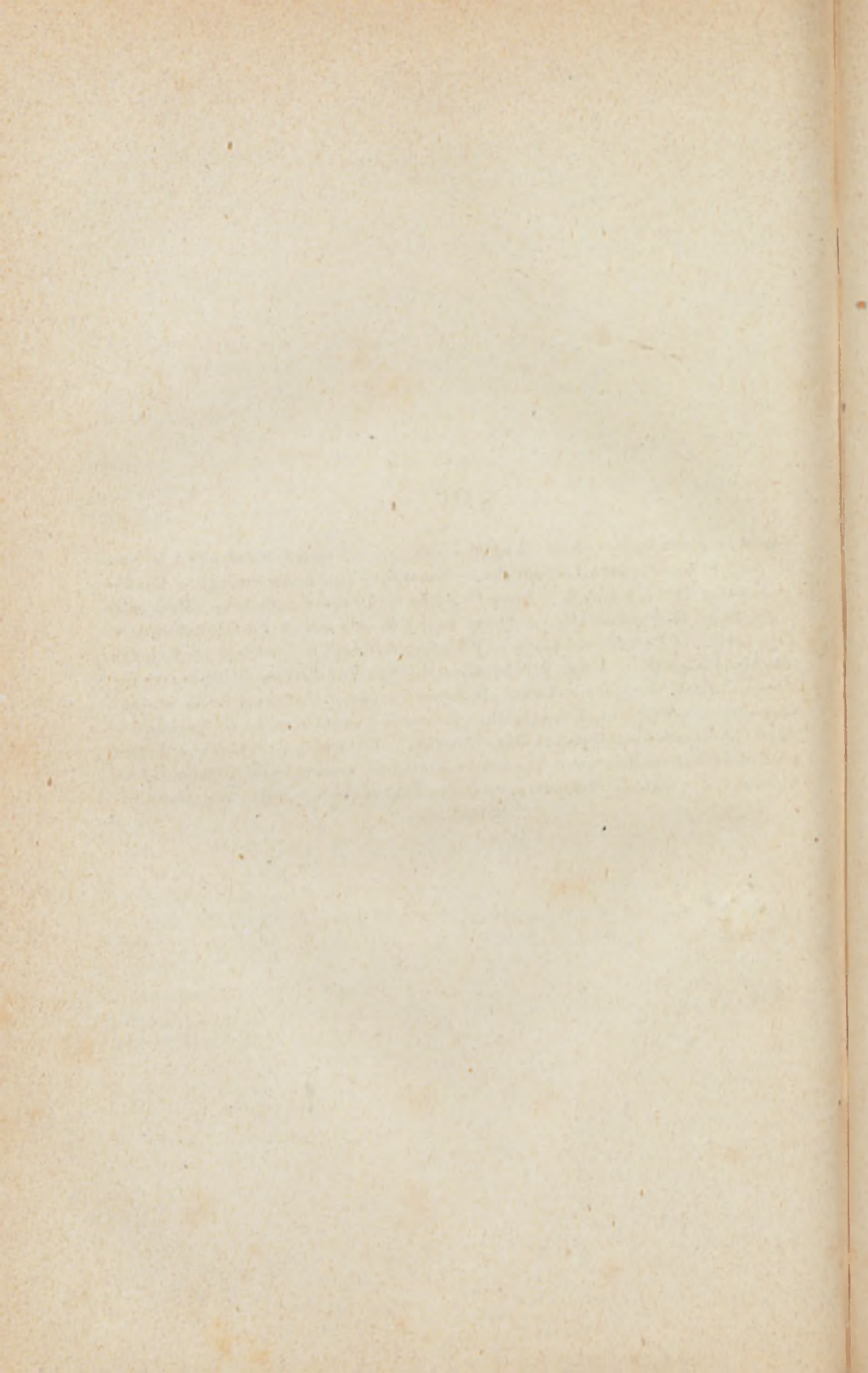
„Wsadzę cię na Grzybów“.

które dziś już mało dla nieświadomych miejscowości rozumiały.

Od tego placu we wszystkich kierunkach biegnące ulice, przypominały małe liche miasteczka, zabudowane rzadka drewnianemi domkami i dworkami, ale każdy już z mniejszym już z większym ogrodem. Ta téż strona Warszawy miała ich prawie największą liczbę, które dostarczały obficie wszelkiego gatunku wyborych jarzyn i doskonałych owoców.

XIV.

Ogród i pałac saski.—Król August II Moony.—Fatyma tureczynka i jej syn hr. Rutowski.—Księżna Lubomirska.—Karuzel.—Zdradzone uczucie.—Hrabi-
na Kosel.—Henryk Duval.—Anna Orzelska.—Altana w ogrodzie.—Rozrywka
łowiecka króla Augusta III. — Posąg konny księcia Józefa Poniatowskiego. —
Plac saski. — Parady wojskowe.— Śmierć generała Sokolnickiego.— Krytyka
tragedyi Ludgarda.— Pałac Brylowski.— Odwach Pod Białym Orłem. — Przy-
słowa.—Hotel Gerlaoha.—Cukiernia Szymańskiego.—Cukiernia Lesła w ogro-
dzie saskim.—Pałac hr. Krasińskich.—Zebrania literackie.—A. E. Odynieo.—
Zygmunt Krasiński.—Dominik Magnuszewski — Konstanty Gaszyński.—Widze-
nie Zygmunta Krasińskiego.—Franciszka Krasińska, synowa króla Augusta III.—
Zbrojownia. — Ogrody Misyonarzy.—Pałac Tarnowskich. — Pałac Stanisława hr.
Potockiego.



Pałac *blekitny* Ordynacyi Zamoyskich lewem swoim skrzydłem łączy się z ogrodem Saskim od ulicy Żabięj; sam ogród zamykał pałac saski zwrócony frontem do Krakowskiego Przedmieścia, z obszernym placem, który też samą nazwę nosi. Miejscowości téj pierwotnie w XVII wieku inną zupełnie była postać.

Pałac saski stanął na gruzach kilku starych gmachów własności Morsztynów, Sapiehów i Lubomirskich, gdzie zaś ogród dzisiejszy, przechodziły tu ulice, stały pałacyki, dwory i dworki, a wśród nich kościół OO. Bonifratrów.

Król August Mocny posкупował to wszystko; Bonifratrów przeniósł na teraźniejsze miejsce i na tak wielkiej przestrzeni zbudował sobie pałac i obszerny ogród założył (od 1721—1724). Lipy, jakie się dotąd w nim przechowały, są sadzone przez tego króla.

Od ulicy Żabięj była wielka brama żelazna, a na szerokich słupach przy niej, wznosiły się z kamienia olbrzymie korony: elektoralna-saska i królewska-polska (brama ta zniesioną została w r. 1821). Według smaku ówczesnego zasadzono szpalery, urządzono wirydarze kwiatowe i przy załamach alei drzew postawiono figury kamienne z mitologii wzięte, lub alegoryczne; z tych część do dziś dnia pozostała. August II urządziwszy według swego gustu, a ze zwykłym przepychem ten pałac, zamieszkiwał w nim z niemałą przyjemnością: w nim też jako i w ogrodzie odegrywały się dramaty zajmujące, wśród hulackiego życia tego króla. Tu przebywała młoda Fatyma turczynka równie piękna jak powabna, wzięta do niewoli za czasów króla Sobieskiego, a wychowana u Przebendowskiej podskarbinéj wiel. koronnéj. Syn z niéj otrzymał tytuł hr. Rutowskiego, a Fatymę August wydał za Szpigla pułkownika w wojsku saskim.

Poznawszy młodą i piękną księżnę Lubomirską, rozgorzał do niéj gwałtowną miłością. Była to synowica kardynała Radziejewskiego, a małżonka podskarbiego koronnego. Dla niéj sprowadził aktorów francuzkich, urządził z przepychem teatr w ogrodzie Saskim, sprowadził też kapełę swoją nadworną z Drezna. Codzień bywały bale, karuzele i przejażdżki nad Wisłą. Ale księżna przyjmując tak zalotne usługi i zabawy, nie odpłacała się wzajemnością. August nawzyczajony do łatwych zwycięstw, tał gniew i codzień się więcej niecierpliwil; księżna była nieugięta.

Przypadek odkrył mu jéj miłość, pozorną obojętnością okrytą. Król w karuzelach i gonitwie do pierścienia był pierwszym; w ogrodzie

Saskim urządzono po temu plac odpowiedni. Sprowadzono właśnie z Turcyi dzikie i nieujeżdżone konie. August kazał sobie podać jednego, na drugiego wsiadł Fichtom (zwany także Ficztum) poufały dworzanin i biegli w całym pędzie ku sobie. Król nagle wstrzymał swego rumaka i spadł z siodła; na ten widok księżna zemdłała, a gdy August krwią własną zlany przybiega do niej i trzeźwi, pierwsze słowa, które wyrzekła, przyszedłszy do przytomności były:

— Ach! Miłościwy panie, żyjesz i oglądam cię przecie!

One zdradziły tajone w głębi serca uczucie i odtąd już stała się wierną towarzyszką dorodnego króla. Przemieszkowała najprzód w pałacu saskim, następnie z nim wyjechała do Drezna i tu stała osiadła pod imieniem księżnej Teschen. Wkrótce jednakże niestały w swych uczuciach, opuścił ją dla pięknej małżonki hrabiego Hoyma, która później zaślęnęła jako *hrabina Kosel*. Wdzięki jój i powaby tak potężnie wpłynęły na lekkomyślnego Augusta, że go do siebie na lat kilka przykuła nierozzerwanemi ogniwami i jak współczesny rękopism wyraża: „Cała Polska i Saxonja były przez lat 9 pod jój stopami“¹⁾.

Długo się o jój względy starał nadaremnie i nie pierwój przystała na jego żądania, jak pod warunkami, że po śmierci królowej pojmie ją za małżonkę, sto tysięcy talarów rocznej pensyi przeznaczący i potomstwo za prawne uzna.

Przystał August na wszystko i dokumenta dla pewności z własnoręcznym podpisem wydał. Konsystorz gnieźnieński osądził sprawę Hoymów, rozwiązał ich małżeństwo, a król zatwierdziwszy ten wyrok, kazał poprzybijać takowy na drzwiach kościelnych w Warszawje.

Hrabina Kosel za Augustem przybyła do naszego grodu i zamieszkała w saskim pałacu; tu odebrała cios dotkliwy dla siebie, bo dowody niewierności Augusta, który zakochał się w córce kupca francuzkiego handlującego winem.

Była to piękna, młoda i powabna Henryka Duval i ta natarczywości króla oprzeć się nie mogła; ale wkrótce jak i o wielu innych, i o niej zapomniał.

Wiele lat upłynęło od tój chwili: syna swego z Fatymy hrabiego Rutowskiego mianował dowódczą regimentu jazdy; ten się dowiedział, że córka Henryki w ostatniej nędzy pozostaje, przez litość przeto wziął ją do siebie i starannie wychował.

Raz, kiedy po przeglądzie tego regimentu, August przechadzał się po ogrodzie Saskim, oświadczył mu Rutowski, że ma u siebie młode dziewczę, które tak jest biegłe w robieniu bronią jak najstarszy żołnierz. Król chciał je widzieć. Przybrana w bogato haftowany mun-

¹⁾ Z życia i przygód a oraz niedoli tój znakomitej kobiety napisał J. I. Kraszewski piękną historyczną powieść: *Hrabina Kosel*, którą redakcyja Biblioteki Warszawskiej wydała w 2-ch t. (Warszawa, 1874 r.).

dur, piękna, młoda, wielce podobna do swęj matki Anna, stanęła i zaczęła się na komendę brata swego, z całą dokładnością zrzęcznie mustrować.

August poznał ją odrazu, uściskał, przyjął za własną córkę, obypał bogactwy, wystawił dla nięj pałac *Błękitny* przy ogrodzie Saskim i wydał ją następnie za niemieckie księżatko ¹⁾.

W archiwum główném Królestwa, w aktach metryki koronnęj znajdujemy dokument darowizny pomienionego pałacu, który przytaczamy w wiernym z łacińskiego przekładzie: „August II z Bożęj łaski król polski, wielki książe litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, kijowski, wołyński, podolski, inflandzki, smoleński, siewierski i czernichowski, niemnięj dziedziczny książe saski i elektor. Oznajmujemy tym listem naszym wsem wobec i każdemu z osobna, że my powodowani ze szczególnęj miłości ojcowskięj naszęj, ku ukochanęj córce naszęj Annie hrabinie Orzelskięj, chcąc dopomódz jęj wygodzie i pożytkowi, postanowiliśmy, aby teże pałac w Warszawie blisko Reformatów leżący, nam przez W. Stefana i Teresę Potocką, przedtęm referendarzów, obecnie marszałków dworu naszego, przed aktami metryki koronnęj, prawem dziedziczném, czystęj i nieodwołalnęj darowizny, na wieczne czasy dany i odstąpiony, darujemy i obecnie dyplomem naszym, wspomniony pałac wraz z gruntem dla rozszerzenia ogrodu i pozostałych budowli do wspomnionego pałacu Potockich przez nas połączonych, jak teraz w swęj rozciągłości są i od ogrodu pałacu naszego *Morsztynowski* zwanego, murem i ogrodzeniem oddzielonego, niemnięj ze wszelkimi ruchomościami do ozdoby tegoż pałacu przez nas kupionemi i wyszukanemi, wraz z złotem i srebrem, do ozdoby i użytku stołu tamże złożonym, i ze wszelkimi rzeczami zupełnie osobnym spisem objętemi i do akt metryki koronnęj wniesionym, wspomnionęj ukochanęj córce naszęj, Annie hrabinie Orzelskięj i jęj sukcesorom dajemy, darujemy i rezygnujemy na wieczne czasy, żadnego sobie ani potomkom naszym, ani komukolwiek prawa własności niezachowując, ale całe i nierozdzielne prawo nasze dziedziczne, niedawno przez konstytucyę na sejmie w Grodnie odbywanym, potwierdzone i umocnione, na też hrabinę Orzelską przenosimy i przelewamy, dając jęj moc, sam pałac jako i wszystkie rzeczy ruchome, darować, sprzedać i nim rozrządzać, lub na jakikolwiek użytek obrócić bez czyjęjkolwiek przeszkody, na któręj wprowadzenie odtąd rzeczywistie do tego pałacu zezwalamy i tenże wspomnionęj hrabinie Orzelskięj na rzeczywistą własność oddajemy. Dla wiarogodności czego, dyplom obecny własnoręcznie podpisany, pieczęcią królewską opatrzeć rozkazaliśmy.

¹⁾ W galeryi króla Stanisława Augusta był portret olejny, przedstawiający Annę tak przebraną. Obraz ten nabył z kilką innemi Tomasz Święcki, po którego zgonie jest w mojem posiadaniu.

Dan w Grodnie 21 listopada 1726 roku, panowania naszego trzydziestego.“

Anna Orzelska poślubiwszy Karola Ludwika księcia holsztyńskiego, pałac ten wraz ze wszystkimi ruchomościami w roku 1730, w dniu 7 listopada odstąpiła królowi Augustowi Mocnemu a ojcu swemu, czego dowód w témże archiwum posiadamy. Tak więc nie całe lat cztery była właścicielką Błękitnego pałacu.

Prawie w samym środku tego ogrodu stała obszerna z drzewa zbudowana altana, którą dobrze zapamiętałem. Tu syn Augusta Mocnego, August III używał przyjemnej dla siebie rozrywki, strzelając do psów zgromadzonych dla niego umyślnie. Król ten, gdy przebywał w Warszawie, najmilszą używał przechadzki w ogrodzie Saskim w wiosennej i letniej porze, a wieczory trawił na słuchaniu opery niemieckiej. I ogród ten i pałac był własnością rodziny elektorów saskich do roku 1804, w którym król pruski po zajęciu Warszawy, sposobem zamiany, nabył go na własność rządową.

W czasach księstwa warszawskiego ogród Saski mało uczęszczany, i jak już wspomnieliśmy, ogród Krasieński był wyłącznie poświęconym miejscem na zgromadzanie całego świata eleganckiego Warszawy, jak plac przed nim na wszelkie uroczystości rządowe i narodowe. Od roku 1815 powoli zaczął brać przewagę ogród Saski, gdy miasto więcej się zabudowało i rozszerzyło. Ogród jakkolwiek niewykwintnie urządzone, bo przez lat kilka dopiero się uporządkował, ale dawał najmilszą przechadzkę dla mieszkańców Warszawy. Stare drzewa, cienisty zielony namiot rozwieszały nad głowami, bujne łąki szczególnie przy koszeniu woń ziół aromatycznych roznosiły w około; rosa poranna lub wieczorna w gęstych kropkach perlila trawniki, a mnóstwo ptastwa świergotało przy cudnym koncercie nieprzeliczonych słowików. Dla warszawianina ze Starego-Miasta, z Krakowskiego Przedmieścia i przybocznych ulic, przechadzka do Saskiego ogrodu już liczyła się do odleglejszych wycieczek; ale trud jego hojnie się wynagradzał oddechem w świeżem prawdziwie powietrzu i balsamiczną wonią, tak pierś ożywiająca.

Kiedy ze składek ogółu *Thorwaldsen* wykończył posąg konny księcia Józefa Poniatowskiego w stroju klasycznym rzymskim, przeznaczonym był pierwotnie do ustawienia na *placu Krasieńskim*; teraz obmyślono czy niestosowniej byłoby przenieść go na plac *Saski*, jako obszerniejszy i w środku miasta będący; ale oba te zamiary spełzły na niczem ¹⁾. Od pomienionego roku, *parady* wojskowe odbywały się codziennie na tym placu rozległym, przez co cała okolica bliższa nadzwyczaj się ożywiła.

¹⁾ Posąg ten zdobi ogród w *Homlu*, własności księcia Paskiewicza.

Na tym placu zginął w dniu 23 września 1816 roku jeden z najznakomitszych generałów i pisarzy *Michał Sokolnicki* (urodzony 1760 r. w województwie poznańskim za Augusta III). Stojąc w czasie parady w gronie oficerów, uderzony od rozbiegłego i rozhukanego konia ułana polskiego na służbie będącego, padł bez zmysłów i nazajutrz życia dokonał, licząc 56 rok. Wychowaniec słynnej *Szkoły Kadetów* w Warszawie, jako oficer korpusu inżynierów, w stopniu kapitana, był w Wilnie professorem topografii wojskowej. Po odbytej podróży do Niemiec, Włoch i Francji, odbył w stopniu podpułkownika kampanię w roku 1792. Rytownik i sztycharz nie pośledni, wiele prac w tym rodzaju zostawił. Pomędzy innemi, portret prezydenta Stanów-Zjednoczonych Ameryki, z natury rysowany przez Tadeusza Kościuszkę, Sokolnicki na stali wyrył w roku 1809. Sztych ten w niewielkiej liczbie odbity do rzadkości należy. Długo przemieszkował w Paryżu, po usunięciu się ze służby generała Kniaziewiczza, poprowadził *Legion Naddunajski* do Włoch. W kampaniach roku 1806 i 1809 brał czynny i przeważny udział. Szczególniej w ostatniej się znakomicie odznaczył. Onto ułożył cały plan walki z Austryakami, uwieńczony tak chlubną pomyślnością. Warowny Sandomierz zdobył, bronił go dzielnie, a gdy dla braku amunicji i żywności poddać go musiał, wyszedł pod broń z całą załogą i rozwiniętymi chorągiewami. Sława z tej kampanii spadła na księcia Józefa Poniatowskiego, zasługa przecież cała zostaje po stronie Sokolnickiego, bo historia musi prawdę szanować i oddać każdemu co komu należy. W r. 1810 mianowany generałem dywizyi, został równocześnie członkiem akademii nauk w Instytucie Narodowym Francuzkim. Towarzyszył cesarzowi Napoleonowi I w wyprawie 1812 roku, w następnym dowodził w kampanii saskiej dywizyą jazdy polskiej, i tę część zawodu swego w języku francuzkim opisał. W r. 1814 przy obronie Paryża przeciw wojskom sprzymierzonym, dowodził zastępem szkoły wojskowej paryzkiej. Po abdykacji Napoleona I-go ze szczątkami wojska polskiego, zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego do kraju przyprowadził, i w kościele św. Krzyża w Warszawie dnia 9 września 1814 roku złożył. Pomijając wiele pism treści naukowych, co do robót inżynierskich po francuzku ogłoszonych, tegoż roku gdy zginął na placu Saskim, umieścił w *Pamiętniku warszawskim* pod redakcyą Feliksa Bentkowskiego, pracę swoją po polsku p. n. *Rozprawa historyczno-krytyczna o śmierci gwałtownej Przemysława króla polskiego, z powodu granej na teatrze narodowym tragedyi pod nazwiskiem „Ludgarda.“*

Był to utwór dramatyczny Ludwika Kropińskiego generała w. p., który pozyskał szeroki rozgłos w kraju. Rozprawa Sokolnickiego poglądem samodzielnym, jędrnością języka, przeplatana wierszém szczególniej się odznacza w spółczesném sobie piśmiennictwie. Tłumacząc się z formy, jaką przyjął, wsparty na powadze Bielskiego i Naruszewicza, wykazując całą nieprawdę historyczną w tej tragedyi, gorąco, z zapałem broni pamięci Przemysława, stawia jego wizerunek

we właściwém świetle i oczyszcza go z zarzutu morderstwa żony Ludgardy. Z goryczą, nie bacząc na ostrość wyrażeń, gromi autora tej tragedyi, że wziął podanie niepewne w miejsce prawdy dziejowej, zwraca uwagę na starożytne pieśni nasze i taki poświęca ustęp Ossyanowi:

„On przy dźwięku swój lutni z nadpowietrznych tworów,
Składał rymy Malwinie bohaterskich wzorów;
On, dla prawych rycerzy i kochanków stałych,
Będzie na wieki źródłem uniesień wspaniałych.
Z tego płynąć obfite cnót będą strumienie,
Dopóki cenić będziemy wdzięcznej struny brzmienie!”

Nie możemy się dziwić temu uniesieniu Sokolnickiego dla tego śpiewaka, bo i Napoleon I gorącym był Ossyana zwolennikiem i jego pieśni woził z sobą w bibliotecze obozowej.

Następnie nasz krytyk kreśli sam treść nowej tragedyi z tegoż przedmiotu, stawiając w niej, jako główną postać Przemysława. Akt po akcie, scena niemal po scenie opisuje treść i podaje szczegóły historyczne, aby ściśle zachować koloryt dziejowy, zgodny z prawdą, aby nie zaćmić sławy znakomitego króla. W ostatnim akcie obszerny monolog samego Przemysława wiérsem podaje, który może stawić dowód, że Sokolnicki w pojęciu sztuki, stał niewątpliwie wyżej nad autora Ludgardy, i co do talentu nie ustępował mu wcale. Monolog ten pełen wzniosłych myśli, zwraca jeszcze uwagę dzielnym językiem, a pełnym siły i energii.

Zwłoki tak znakomitego męża pochowano na cmentarzu *Święto-Krzyżkim* w Warszawie i w katakumbach złożono. Marmurowa tablica z napisem stosownym, wskazywała miejsce wiecznego spoczynku; ale gdy te katakumby niedbałością w zwaliska poszły, ręka złoczyńców nocnych, co okradali groby w tej ustroni zmarłych, bez opieki zostawionęj, siekiérą i tę pamiątkę pogruchotała; dziś ślad zatraciliśmy, gdzie jego prochy spoczęły!

Do prawego skrzydła pałacu Saskiego przypierał okazały gmach *Brylowski*, który wystawił (w r. 1750) Henryk Brühl, pierwszy minister króla Augusta III. Skarb go rzeczypospolitéj w roku 1787 nabył na użytek rządowy, nazwisko jednak pierwszego założyciela, do dziśdnia przy jego murach zostało.

Plac Saski, rozlegający się codziennie odgłosem trąb, bębnów i muzyki wojskowej, po prawej stronie od Krakowskiego-Przedmieścia, miał główny odwach, zwany *pod Białym Orłem* dlatego, że ptak ten był wymalowany na jego frontonie. Ponieważ oficerowie w nim za mniejsze przewinienia odsiadawali dłuższy lub krótszy *areszt*, powstało pomiędzy nimi groźne przysłowie:

„Pójdiesz pod Białego Orła.”
albo
„Posiedzisz pod Białym Orłem.”

Po téj saméj połaci już przy wnijsciu z Saskiego placu na Krakowskie-Przedmieście, wznosił się hotel Gerlacha. Był to kiedyś pałac księcia Janusza na Ostrogu (w r. 1597), następnie Lubomirskich, w ostatku Ogińskich. Od téj rodziny nabył go w roku 1810 Fryderyk Gerlach bogaty stolarz warszawski i zamienił na hotel.

W nim na dole mieściła się słynna cukiernia Szymańskiego, który korzystał z parad wojskowych na Saskim Placu i ogromny miał odbył, albowiem wszyscy oficerowie, jako do najbliższego zakładu na małą przekąskę wstępowali.

Nie przeszkadzał Szymański Lesłowi, który osiedlił się w Saskim Ogrodzie, i był wzięty wielce; cukry jego, karmelki i lody spożywali obecni liczni goście, używający przechadzki po tym ogrodzie, a nadto liczne miewał zamówienia z całego kraju.

Od cukierni Szymańskiego, idąc prawą stroną Krakowskiego-Przedmieścia, mamy obszerny gmach z oficynami hr. Krasińskich. W tym okresie był własnością Wincentego hr. Krasińskiego, którego salon gościnno literacki, zajmuje niemałe wspomnienia w chwili walki i starcia klasyków z romantykami. Ciekawe byłyby szczegóły tych zebrań, na które uczęszczali F. S. Dmóchowski i A. E. Odyniec; ten ostatni da im zapewne poczesne miejsce w swoich pamiętnikach.

Dominik Magnuszewski i Konstanty Gaszyński byli największymi przyjaciółmi Zygmunta Krasińskiego; za ich pośrednictwem poznałem się z nim bliżej. Nie zapomnę téj chwili, gdy Zygmunt, siedząc z nami w pierwszym pokoju na dole, od głównych drzwi tego pałacu po lewą stronę, opowiadał nam, jak w téj komnacie ujrzał po śmierci swoją matkę Maryę z książąt Radziwiłłów.

— Kiedym siedział na sofce (mówił) i zadumany podniosłem oczy ku stronie kominka, ujrzałem moją matkę, jak stała i spojrzenie swe łzawe a rzewne we mnie utopiła. Ręce białe jak alabaster, miała załamane. Ach! uczułem w sobie najprzód dreszcz lodowy, ale później zaczęło mnie ogrzewać jakieś nieopisane uczucie radości; promień jéj oczu, padając na mnie, coraz mnie więcej ożywiał. Znikło widzenie, a ja się długo z miejsca ruszyć nie mogłem!

I wyrzekłszy te słowa, smutnie opuścił głowę na piersi i długo milczał.

Pałac ten był pełen drogocennych pamiątek historycznych, oprócz zamożnej biblioteki, rękopismów i galerii obrazów. Z tych najwięcej wyrył się w méj pamięci wielki, olejny obraz, przedstawiający w naturalnej postaci Franciszkę Krasińską, poślubioną tajemnie Karolowi księciu kurlandzkiemu, synowi króla Augusta III i ich małą córeczkę.

Dzieje jęj życia i smutne koleje, jakie przechodziła, opisała urocżem piórem Klementyna Tańska (późniejsza Hofmanowa) w *Rozrywkach dla dzieci* p. n. „Dziennik Franciszki Krasińskiej.” Wiele téż było wizerunków starych przodków, których imiona wspominają historia ¹⁾.

W zbrojowni bogatęj celowały zabytki, jak zbroja Władysława IV z orderem *Niepokalanego Poczęcia*, trwającą dwa lata jedynie, gdyż order ten, jako przeciwny zasadam Rzeczypospolitej, przez sejm zatwierdzonym nie został; zbroja koszulkowa Zygmunta Augusta z herbami Polski i Litwy ze srebra i złota. Obok *karacena* króla Jana Sobieskiego, której używał na wyprawie pod Wiedeń 1683 roku; zbroja żelazna Krzysztofa Radziwiłła, sadzona kamieniami w złoto oprawami. Tarcze Zygmunta III, pomienionego Krzysztofa Radziwiłła i Jaśka Krasińskiego. Z buław najstarszą była Jędrzeja Krasińskiego, który był wodzem chorągwi Jana księcia Mazowieckiego; dalej buławy Sieniawskiego i Chmielnickiego. Zbiór przepyszny szabel Zygmunta Starego, Stefana Batorego, Jana Tarnowskiego, Krasińskich i Kalinowskiego. Najstarożytniejszym zabytkiem téj zbrojowni, były dwa duże miecze, które wielki mistrz krzyżacki, jakby na szyderstwo posłał w darze Władysławowi Jagielle, przed pamiętną bitwą 1410 roku pod Grundwaldem i Tannenbergiem, w której sam poległ, a dumnego zokonu potęga na tych polach zlaną i zgruchotaną na długie lata została.

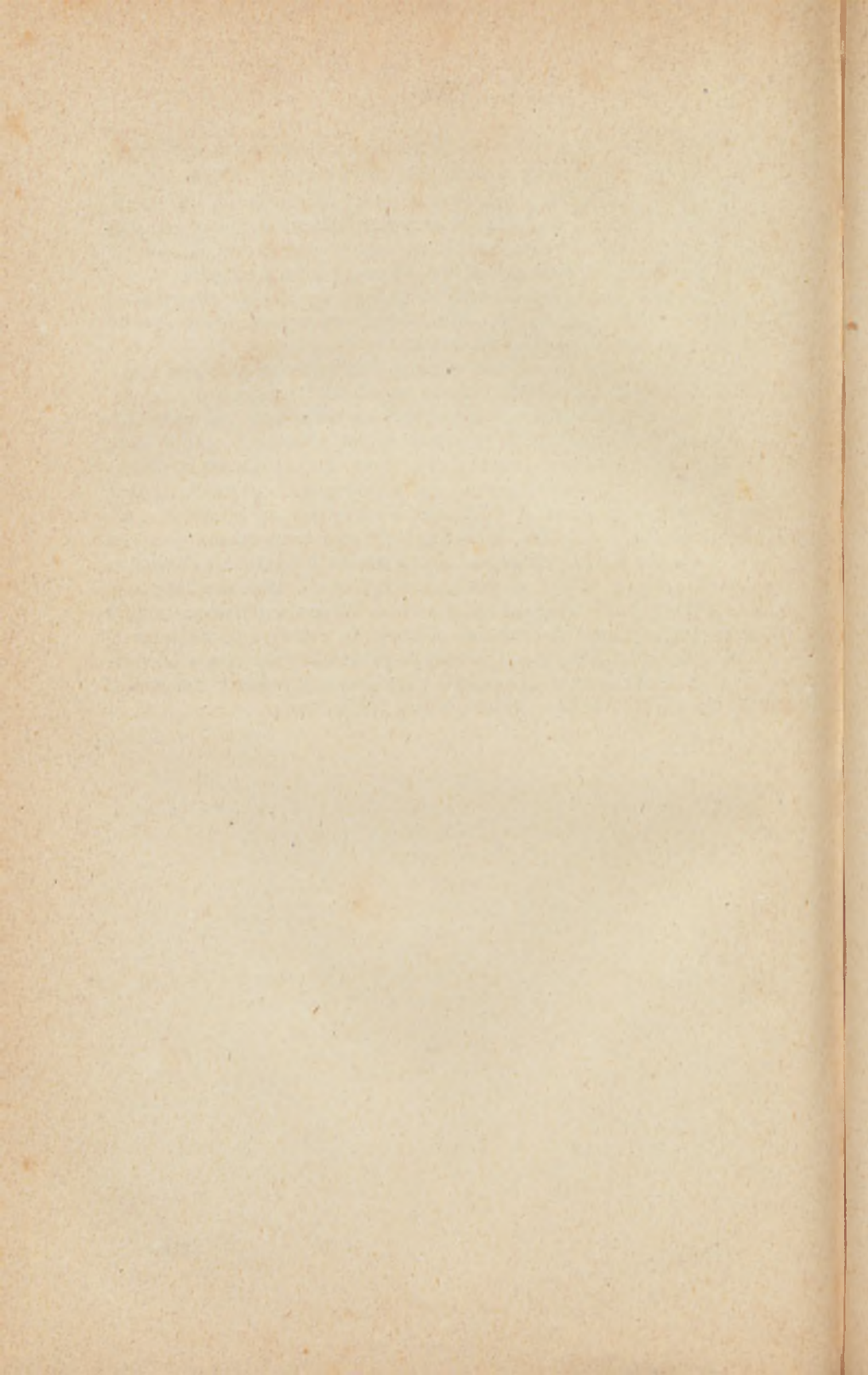
¹⁾ Wspomnienie Franciszki Krasińskiej łączy się ze wspomnieniem téż Kazimierza Pułaskiego, o czem Tańska przemilczała. Mając lat szesnaście, w zamku Maleszowskim rezydencyi starosty Krasińskiego bywał i poznał piękną pannę Franciszkę. Zakochał się w niej pierwszą miłością, która łączyła się z najwyższą cześcią dla wybranej dziewicy. Gdy królewicz Karol oświadczył się o jęj rękę, omamiona blaskiem tronu, zapomniała o staroście wareckim, który obudził pierwsze drżenie jęj serca. Pułaski, jako prawy towarzysz rycerskiego zakonu, widząc, że sakrament małżeński rozdzielił go na zawsze z oblubienicą, poprzysiągł jęj wierność do grobu i dotrzymał swego ślubu. Kiedy kraj opuścił, po trzynastu latach niewidzenia, ujrzał ją w Dreźnie i wróciwszy do domu, wyrzekł do swego przyjaciela te słowa: „Purpura i honory nie dają ukontentowania i satysfakcyi. Ta biedna Franusia nie jest szczęśliwą.” Zostającemu na obcęj ziemi Pułaskiemu, wspaniałomyślna księżna przesała do Frankfurta tysiąc dukatów; tak zapomóżony, dostał się po długich trudach do Ameryki, gdzie w dniu 9 października 1779 roku przy szturmie miasta Savannach od kuli armatniej, mając nogę urwaną i ugodzony w piersi postrzałami karabinowemi, w ciągu niespełna godziny, wspominając imię Franciszki, skonał.

Pomiędzy wielą szacownymi zabytkami, zwracały uwagę wspaniałe szyszaki Tęczyńskiego, Chodkiewicza i Koniecpolskiego.

W trzech ostatnich latach okresu, który obejmujemy, na pierwszym piętrze mieściła się: *Szkola przygotowawcza do Instytutu politechnicznego*, której dyrektorem był słynny w owe czasy matematyk, *Kajetan Garbiński*. Ze szkoły téj wyszło wielu zdolnych ludzi.

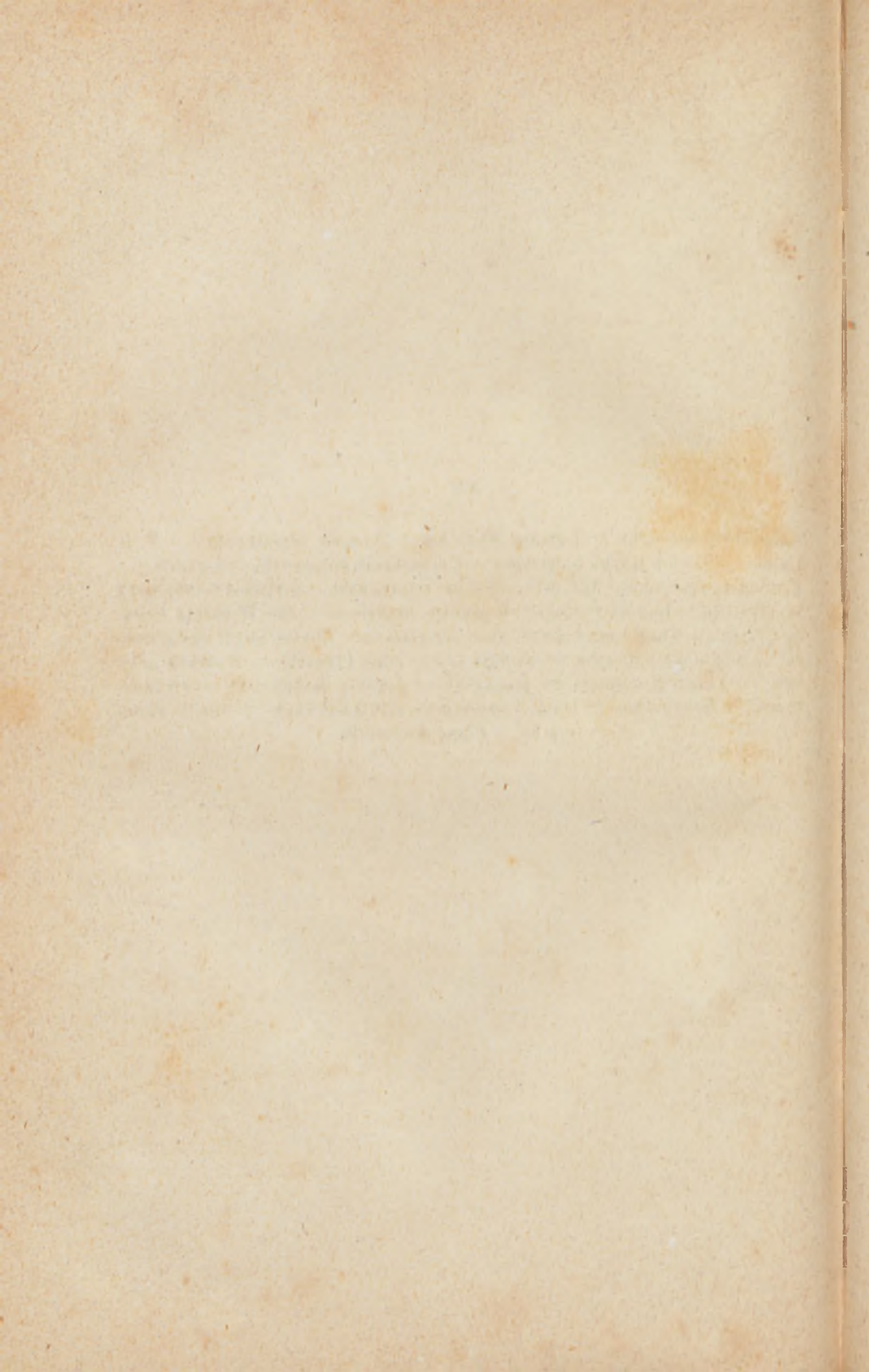
Pałac ten lewą oficyną swoją przypierał do rozległych ogrodów klasztoru 4-go Krzyża, który zasilał obficie misyjonarzy tutejszych tak wybornymi owocami jak i warzywem.

Po przeciwnéj pości Krakowskiego-Przedmieścia godne są wspomnienia pałace: *Tarnowskich*, prawie naprzeciw *Saskiego placu*, dawniej Morsztynów, z ogrodem i malowniczym widokiem na zawiślańskie okolice, w którym przemieszkiwał Ignacy Potocki. Dalej obok Wizytek pałac Stanisława Potockiego, który w tym okresie był ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego, słynnego mówcy. Zbiór jego *mów i pochwał*, dziś jeszcze z przyjemnością odczytać można, szczególnież téż niektóre, co treścią i przedmiotem swoim poruszyły żywiéj jego sercem. Mieściła się tu wielka biblioteka i doborowa galerya obrazów, w której oprócz portretów familijnych znakomitego pędzla, zatrzymywał uwagę każdego obraz *Salwatora Rossy: Święty Wilhelm przywiązany do drzewa*. Galerya ta wraz z biblioteką przeniesioną została późniéj do wspaniałego pałacu w Willanowie, ulubionéj ustroni króla Jana Sobieskiego, gdzie ten król-bohater zakończył życie. Tu téż i Stanisław Potocki umarł 1825 roku.



XV.

Pałac Kazimierowski. — Koszary Kadeckie. — Liceum warszawskie. — S. B. Linde. — Słownik języka polskiego. — Uniwersytet warszawski. — Gabinety. — Professorowie. — Józef Skrodzki. — Feliks Bentkowski. — Bibliofile. — Fryderyk hr. Skarbek. — Ludwik Osiński. — Kazimierz Brodziński. — Jan Wincenty Bandtkie. — Adam Kitajewski. — Pawłowicz. — Egzamen. — Rektor ksiądz Szwejkowski. — Biblioteka publiczna. — Gabinet rycin. — Jan Piwarski. — Wystawa obrazów. — Antoni Brodowski. — Ziemięcki. — January Suchodolski. — Dynasowskie. — Ordynackie. — Dom Towarzystwa przyjaciół nauk. — Zbiory Towarzystwa. — Posąg Kopernika.



Obok pałacu Potockich łączy się z nim nawet gmach zwany od dawna pałacem Kazimierowskim, a w tym okresie miał i drugą nazwę „Koszar Kadeckich.“

Kiedy Mazowsze było udzielném księstwem, a Warszawa jego częścią stołeczném miastem, w tém samym miejscu stał folwark do wsi Kałęczyn należący i dwór letni książąt Mazowieckich. Później po przyłączeniu Warszawy do Korony, tu mieściły się stajnie królewskie i ogród, co nazwano „Oboźnią.“

Za króla Zygmunta III stojący tu dwór, Władysław IV posiadałszy w roku 1635 przebudował na pałacyk z drzewa także wzniesiony i przemieszkiwał w nim jako królewicz.

Następca jego Jan Kazimierz wymurował gmach cały, stojący dotąd i od imienia tego króla, nazwę pałacu Kazimierowskiego przybrał. Później był własnością króla Jana Sobieskiego, Augusta II i Augusta III, który go darował ulubieńcowi swemu Józefowi Aleksandrowi Sułkowskiemu w r. 1735. Stanisław August w rok po wstąpieniu swoim na tron, odkupił od Sułkowskiego i tu pomieścił założony przez siebie korpus kadetów.

Młodzi kadeci mieścili się w dwóch podłużnych oficynach, powiększėj części drewnianych; pamiętam jeszcze, gdy w dniu 30 lipca 1814 ogarnął je straszny pożar i w zgliszcza zamienił. Mieściło się w nich w ową porę sto dziewięć familli, które ledwie życie uniosły, straciwszy całe swoje mienie. Nazajutrz, będąc chłopcem siedmioletnim, pobiegłem z ojcem na pogorzelsko: jeszcze się głównie żarzyły i zalewano je starannie. Sam korpus pałacu oczerniał od dymu.

Stanisław August po urządzeniu pomienionego zakładu naukowego, z którego wyszło wielu znakomitych mężów, pomiędzy którymi był Tadeusz Kościuszko i generał Michał Sokołnicki, odprzedał te gmachy skarbowi koronnemu. Korpus kadetów mieścił się tu do r. 1795, a po jego zniesieniu, gdy Warszawę Prusacy zajęli, zabrali na własność swoją.

W tym gmachu założono w r. 1804 *liceum warszawskie*, zakład naukowy wyższy, którego piérwszym rektorem został Samuel Bogumił Linde, autor *Słownika języka polskiego*. Druk tego wiekopomnego dzieła rozpoczął 1807 r. i skończył w Warszawie 1814, w siedm lat później. Wywołało ono w jednych podziw i uwielbienie, w drugich co stronili od pióra, niedowierzenie.

Ztąd wielu rozgłaszało, że to nie Linde pisał, ale że znalazł gotowy w jakimś klasztorze rękopism i sobie go przyswoił. Wieści te dochodziły samego Lindego, na które z uśmiechem odpowiadał:

— „Dajcie im mówić, oni nie wiedzą jaką mi tém cześć oddają, bo nie mogą pojąć ogromu takiej pracy.“

Bajka ta osnutą została z tego powodu, że Linde jeździł z upoważnienia ministra oświecenia Stanisława hr. Potockiego i zabierał po zniesionych klasztorach biblioteki, które posłużyły do założenia biblioteki publicznej w Warszawie. Urodzony w Toruniu w drugiej połowie zeszłego stulecia, liczył już piąty krzyżyk wieku, gdy Uniwersytet warszawski powstał. Z upodobaniem wspominał lata dziecińne i często żartobliwie powtarzał, że Kopernik, Linde i piernik, jedną mają ojczyznę, gdyż najślawniejsze jak wiadomo w Toruniu wypiekano pierniki.

Był to człowiek niskiego wzrostu, nieco od pracy pochylony, twarzy pociągłej i dużego nosa: szczupły ale miał stopy nadzwyczaj wielkie. Jako rektor liceum, kochany był przez uczniów, gdyż był dobrym ich przyjacielem i opiekunem. Kiedy na dziesięć minut rój młodzieży wysypał się na obszerny plac Kazimierowski, Linde ze szkiełkiem w ręku przyglądał się ich figlom przez okno i cieszył swobodą jakiej używali. Nieraz wołał starszą ze swych córek i mówił:

— Patrz! jak dzieci moje (tak nazywał uczniów) dokazują: ale niechaj mnie nie widzą, boby im mógł przeszkodzić w zabawie.

Zawsze dwa razy dziennie murgrabia ówczesny Żyro przychodził oznajmiać o zaczęciu nauk i przybyciu professorów na lekcye: jeżeli się zdarzyło, że który zasłał lub nie przyszedł, a zastępstwo nie było urządzone, Linde brał książkę z notatkami w rękę, nieraz wstawał od obiadu i szedł do klasy.

Od roku 1805 uczniem liceum był Fryderyk hr. Skarbek, przechowywał on zawsze szczerą wdzięczność dla Lindego, jako przewodnika zacnego i kochał go miłością synowską. Listy, które pisywał do niego z Paryża, są tego wymownym dowodem.

W cztery lata później 1809 roku przelożywszy wybrane pieśni *Anakreonta* w rękopiśmie, przypisał Lindemu i oprawny egzemplarz z nadpisem: *Hold wdzięczności, złożył* ¹⁾.

Leży w téj chwili przed moimi oczyma ten sam egzemplarz ofiarowany Lindemu, własną ręką Fr. hr. Skarbka cały napisany: pismo staranne, wyraźne, przypomina charakter późniejszej ręki

¹⁾ W siedm lat później Skarbek ten rękopism poprawiony, zmieniwszy przedmowę, i opatrzywszy pieśni *Anakreonta* objaśnieniami, wydrukował w Warszawie 1816 r. Rękopism obejmuje 47, drukowanych jest tylko 43 pieśni. Przypisane Lindemu, a na czele oryginalna pieśń: *Do Gołębka* Skarbka, którego wysła do przewodnika młodości, aby mu wyraził wdzięczność i uwielbienie.

autora: *Pana Starosty*. Papier czysty, choć nieco zżółkły, bo to już upłynęło od owjej pory lat sześćdziesiąt pięć. Liceum wydało znakomity poczet z prawdziwym talentem młodzieży. Uczniami téj szkoły byli: Zygmunt Krasieński, Dominik Magnuszewski i Konstanty Gaszyński; ztąd ich przyjaźń szczerą i serdeczną. Wymieniamy tych tylko, lubo z liceum przez ówierć wieku wyszło mnóstwo zacnych obywateli, zdolnych i prawych urzędników. Głupiej bajce o przyswojeniu sobie przez Lindego *Słownika języka polskiego*, żaden z naukowych ludzi nie wierzył. Po ukończeniu w druku tomu VI tego dzieła, dnia 7 marca 1815 r. odbyła się uroczystość literacka.

„Obiad dany (pisze Fryderyk hr. Skarbek) przez członków Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk dla Lindego, z powodu ukończenia *Słownika języka polskiego*, był złożony z potraw narodowych i napojów, ale był i węgier. Na stole zamiast tortów i cukrów, ustawiono wszystkie tomy słownika, uwieńczone laurem, z gałązek drzewa laurowego z Willanowa. Po wzniesioném zdrowiu przez Niemcewicza prezesa Towarzystwa, Staszic wniosek zrobił na pomnik Kopernika i zebrano 9,000 zł. pol.“

W następnym roku Linde otrzymał z rąk namiestnika królewskiego księcia Zajączka, złoty medal z napisem: *Za Słownik polskiego języka ziemkowie, 1816 roku*.

Ówczesni literaci wierzyli godtu jaki sam Linde położył z *Pana Podstolego*, Krasieckiego, na ostatnim tomie tego dzieła: *Com sobie postanowił, to dotrzymałem*, bo znali już jeżeli nie większej wymagające pracy, to równiej dzieło: Kacpra Niesieckiego *Herbarz*, w czterech wielkich tomach.

W obrębie Kaźmirowskiego pałacu zaczęto wznosić obszerne budowle i oficyny, na pomieszczenie postanowionego już Uniwersytetu warszawskiego, który założonym został w 1817 roku.

Zaraz przy wnijsciu od Krakowskiego Przedmieścia po obu stronach stanęły dwa duże gmachy piętrowe, z tych po lewój stronie od wchodu był poświęcony na prelekcyę, lewy na gabinety: zoologiczny i mineralogiczny; w tymże gmachu na dole mieścił się wydział sztuk pięknych, w którym kształcił się Rafał Hadziewicz i gabinet wzorów gipsowych.

W roku 1827 liczył gabinet zoologiczny przeszło 25,000 okazów: we wtorki i we czwartki bywał otwarty, ściągając mnóstwo ciekawych. Do tego gabinetu dołączony był zbiór zręcznie naśladowanych z wosku roślin, a wyrabianych przez profesora Hoffmana, który wykładał akademikom o flogistonie, niedopuszczając nowo odkrytego kwasorodu.

Gabinet mineralogiczny otwierany dla publiczności co wtorek, odznaczał się zarówno ilością, jak bogactwem swoich okazów. Zwracały w nim uwagę piękne wyciski roślin i zwierząt, skamieniałości i piękny zbiór agatów. Z dubletów do 15,000 sztuk wynoszących,

utworzono dwanaście małych zbiorów i dla szkół wojewódzkich rozszano.

W lewém skrzydle, jak mówiliśmy, odbywały się prelekye; tu miewał wykłady swoje z fizyki Józef Skrodzki, które łączył z doświadczeniami, mając zasobny gabinet fizyczny pod ręką. Średniego wzrostu, szczupły i blady, cichy i skromny, namiętnie oddany swemu przedmiotowi, wyczerpał wale siły i też zgasł wczesnie, bo liczył tylko 45 lat wieku. Na jego drobném obliczu malowała się sama słodycz i dobroć. Urodzony na Litwie, wyższe nauki pobierał w Uniwersytecie wileńskim: za przybyciem do Warszawy, w liceum pod rektorstwem Lindego, zaczął wykładać, następnie od utworzenia Uniwersytetu warszawskiego objął katedrę fizyki. Wykład jego był zwiezły i jasny, słuchołem go zawsze z nadzwyczajnym zajęciem. Gdy Bentkowski przestał redagować *Pamiętnik Warszawski* dla braku prenumeratorów, Brodziński, Skarbek i Skrodzki, w chęci podtrzymania dalszego wydawnictwa naukowego organu, objęli to wydawnictwo w roku 1822 i wydali do 1823 roku tomów sześć, które zamknąć podobnie musieli, bo prenumerata nie pokrywała kosztów druku i papieru, chociaż za rękopisma nie płacono żadnego honorarium. W tym *Pamiętniku* znaleźć można wiele rozpraw Skrodzkiego. Fryderyk hr. Skarbek był jego serdecznym przyjacielem.

Na témże piętze wykładał historią powszechną Feliks Bentkowski, zasłużony pisarz; szczególniejszy rozgłos pozyskał dziełem: „*Historya literatury polskiej, w spisie dzieł drukowanych wystawiona.*“ (Warszawa, 1814 r., dwa tomy). Pracą tą, na swoje czasy znakomitą rozbudził z uspienia wiele umysłów i dał popęd do badań zabytków literatury ojczyściej z zapadłej przeszłości. Nietylko w tém spoczywa zasługa Bentkowskiego, ale dodajmy że dzieło to wywołało szereg nie mały zapalonych *bibliofilów*, którzy na wyścigi upędzali się za zbieraniem starych gockim drukiem książek i białych kruków bibliograficznych.

Znałem wielu bibliofilów, co wyraźnie polowali na rzadkie stare wydania, aby się tylko pochłubić mogli, że je mają; ale nikomu nie użyzyli, co najwięcej, że dla dogodzenia miłości własnej pokazali ci tylko na chwilę. Gdy jaka osobliwość wpadła w ręce takiego lubownika, mogłeś być pewnym, że ją nikt czytać nie będzie, a zobaczysz ję tylko kartę tytułową i format. Wiadomości też nasze bibliograficzne ograniczały się jedynie na katalogowym opisie; podawano wernie tytuł, format, ilość stronnic albo arkuszy i czasem notatkę, do jakiej gałęzi literatury należy. W tym gorączkowym popędzie zdawało się, że zbieracze nie mają czasu do przeczytania swoich zdobyczy i udzielenia chociaż w krótkości treści i maleńkich wyjątków dla poznania języka i stylu.

W stosunku coraz większej liczby amatorów gockich druków, ceny ich szły w górę niesłychanie; niektórym z nich udało się, gdy się

wcześniej krzątać poczęli, zebrać śliczne księgozbiory z samych najrzadszych zabytków starożytnej literatury i to za bezcen. Znaleźli się wtedy i zreczni *faksimiliści*, którzy do niepoznania, braki i usterki w starych drukach umieli tak wypełniać, że najbieglejszego badacza potrafilo złudzić.

Wybornie fabrykowali papier za pomocą moczenia w kawie, dobierali tuszu odpowiedniego drukowi i dopisywali wprawną ręką czy całe karty, czy też dopełniali nadłataniem powyrywane.

Znałem jednego z zapaleńszych bibliomanów, który od rana do nocy biegał za łowieniem gockich druków. Kazał sobie zrobić sofkę szeroką na której sypiał, w niej kilka głębokich szuflad, w które chował największe rzadkości bibliograficzne. *Historya literatury polskiej* Bentkowskiego, leżała u niego zawsze roztwarta na stole. Cóż to była za radość, jeżeli co złowił takiego, o czém Bentkowski nie wspomniał, albo wspominając, wyraził że sam nie widział.

Miałem wielkie łaski u niego: ja tylko jeden, co mogłem wchodzić do jego sypialni i przeglądać przechowane zbiory, lubo do domu żadnej książki nie użyczył. Nie rad zbierał rękopisma, tylko na *gockie* druki polował.

Wchodzę raz, rzuca mi się na szyję z szaloną radością, z iskrzącymi oczyma, pokazuje jakąś broszurkę z daleka.

— Co to jest?—zapytałem.

— Catuj! kłękaj! i czytaj!—wykrzyknął i drżącą ręką, jedną z osobliwych rzadkości broszurę Bartosza Paprockiego, p. n. *Król* czy *Senator*, nie pomnę już dobrze, pokazał:

— Patrz! Bentkowski o tém ani dudul nikt nie zna! Pytałem kilku naszych zbieraczy, żaden nie widział, ani słyszał. Pan Jan, a wiesz co to za łowiec na takie rzeczy, aż zbladł jak chusta, powiadam ci, jak Boga kocham! Chciał zobaczyć! aha! albowm ja głupi pokazać jemu! co *Bazyliшковemi* oczyma polknąłby mego *raroga*! Nie! pokazuję ci, zobacz tytuł, spamiętaj, policz kartki, spojrzij co za pyszny egzemplarz i głoś światu o mojej świetnej zdobyczy. To na wagę złota panie dobrodzieju! ale co ja gadam! diech mi kto da tyle dukatów holenderskich co zaważy, zobaczysz czy dam!

Tak mówił z zapalem do szalu dochodzącym, a ja zaledwie miałam tyle czasu, ile potrzeba było do obejrzenia zewnątrznie tej broszury, kiedy wyrwał mi ją z ręku, roztworzył szybko szufladę w swojej sofie, rzucił w nią swego *raroga*, zasunął, zamknął na klucz i zmęczony zasiadł, chcąc schwycić powietrza do swobodniejszego oddechu.

— Warto!—mówiłem do niego — żebym tu przejrzał, choć bibliograficznie opisał, żeby świat wiedział, że taka osobliwość jest w twoim ręku.

Potrząsnął głową z niechęcią.

— To jużby połowę wartości straciła—odpowiedział—pozwalam ci mówić, ale broń Boże pisać. Tul tu!—ciągnął dalej, pokazując na szuflady sofy—są skarby, o których nikomu się nawet nie śniło; same

rarity, białe kruczki, panie dobrodzieju. Sypiam téż na nich, niemi się delektuję i umrę z niemi.

W kilka dni przychodzę, znajduję go smutnego, prawie w rozpacz.

— Wiesz pan Jan, panie dobrodzieju, społował *Herbarz Gorczyzna* i to u żyda niedaleko Św. Krzyża! Spotkałem go, gdy niósł do domu tę zdobycz! Nie dał mi nawet w ręce, zdaleka pozwolił tylko tytuł przeczytać! Serce mi bić poczęło gwałtownie, zaciemniało mi w oczach! Żeby to nie na ulicy, byłbym wydarł i uciekł... niechby mnie procesował, zapłaciłbym coby chciał, ale *Gorzyna* miałbym w kieszeni! a ten człowiek pastwił się nademną, żyłował nielitościwie, bo wziął mnie pod rękę i opowiadał, jak to umiał przed żydem swoją radość ukryć, aby taniéj kupić!

— Jakem zobaczył tego *kruczka*—mówił mi—wszystko we mnie zadrżało, ale udaję obojętność. Żyd patrzy mi w oczy. Co chcesz? „Trzy talarki.“ Głupiś. „Nu! dwa!“ Głupiś! I skończyłem na talarku. Paniel jakem uczuł herbarzyk na sercu, myślałem że ze skóry wyskoczę: cały z radości spotniałem! I to mnie opowiada, a ja się ze złości trzęsę, mało mnie dyabli nie biorą. Już dwa dni chodzę jak nie swój: obiady wczoraj nie jadłem!

Ulitowałem się nad jego męczarnią.

— A gdybym ci równie, a bodaj czy nie rzadszą rzecz dał od *Gorzyna*?

Zerwał się równemi nogami z krzesła.

— Królu mój! Ojcie kochany! co mówisz?—zawołał z rozjaśnionemi oczyma z radości.

— Naprzykład—mówilem zwolna—jaki *inkunabuł* polski, tak mnieć wicéj coś z pism Trzecieckiego, Mikołaja Reja z Nagtowic, albo coś podobnego, he?

— Nie gadaj ojcie kochany! a tobym chyba zwaryował panie dobrodzieju! Czy wiesz, mam pierwsze wydanie Jana Kochanowskiego *rarytne*, całkie jak z igły zdjął; mam owe stawne wydanie pierwsze Macieja Wirzbięty *Dworzanina* Łukasza Górnickiego z r. 1566. Co to za edycyal jaka to ojcie kochany troskliwa była korekta: czyż nie wyżéj stały w owe czasy nasze drukarnie? To panie dobrodzieju, w takiéj duzéj księdze tylko jeden błąd drukarski! Gdzież to dziś zobaczy, co na każdéj stronnicy masz po kilka dobrych *byków*. Otl naprzykład! mam tu książkę świeżo wydaną: patrz co porobili! Zamiast *siewcy* wielkich myśli, masz ojcie kochany *szewcy*; zamiast wielki *komik*, wydrukowali *kanonik*; zamiast *przedzę* myśli, czytasz *nedzę*; ale co najzabawniejsze, zamiast *dobroczynność*, jakby umyślnie wydrukowali *drobnoczynność*. Już nie przytaczam obraźliwych omyłek dla naszego ucha. Mam ojcie kochany Paprockiego, *Gniazdo cnoty* i jego *Herby rycerstwa polskiego*; mam tyle tu rzeczy (i wskazał spód sofy, na której rozrzucona była pościel) a jesczem nie uchwycił z 1530 do 1540 polskiego druku. Ach! to *rarity*! Dopierobym się

śmiał z pana Jana! My bo żyjemy w przyjaźni z sobą ojczcie kochany, ale potnieje z nas każdy, kiedy drugi pochwyti białego kruka. Ale już dość gawędy, pokażże mi panie dobrodzieju.

I wyciągnął drżące ręce. Odstąpiłem kilka kroków w tył, i dla większego wrażenia, zawinięty w nową chustkę fularową, wyjąłem świestek trzy kartkowy. Była to pieśń pobożna z nutami, z wyraźnym rokiem 1532 przy drzeworycie. Zerwał się nasz biblioman, pochwycił z rąk moich, przejrzał szybko, prędzej jeszcze porwał za klucz wiszący mu na szyi na jedwabnym sznurku, roztworzył szufladę sofy, rzucił w nią tę osobliwość w samej rzeczy bibliograficzną a zamknąwszy, zaczął biegać po pokoju.

— Teraz ojczcie kochany! bij mnie, zabij a już ci nie oddam! Zapłacę co chcesz, nie, to masz... utocz krwi z ręki mojej!

I tak rozmawiając rzucał się co chwila w moje objęcia, całował, ścisnął, w końcu się rozpłakał. Patrzałem jak na człowieka pozbawionego zmysłów.

— Cóż chcesz? cóż chcesz? Wiele ci zapłacić?

— Nie chcę pieniędzy—odrzekłem—ale jeden warunek kładę, ofiarując tego *kruka* darmo.

— Z góry przysięgam ci na wszystkie świętości—wykrzyknął z roziskrzonymi oczyma—że wszystko zrobię! Wszak to dar monarszy dla mnie!

— Ażebyś mi pożyczał do domu dzieł żądanych, a ja na oznaczony dzień i godzinę zwrócę w całości. Zrobię tylko potrzebne mi wypisy z dodatkiem, że to z twojego zbioru.

Osmutniał nagle, ale gdym dodał, że się więcej takich białych kruków może znajdzie, już nie cofnął słowa.

I tu znalazłem dopiero obfity zapas pomników literatury starożytniej naszej.

Wierny to obraz jednego z owych zapalonych zbieraczy z okresu od 1815 roku, ale to nie jedyny egzemplarz. Ludzie ci uniesieni szlachetnym zapałem, jakkolwiek nieużyli często, uchronili mnóstwo dzieł dawnych od zraty, na które były wystawione, przez zaniedbanie i nieświadomość. Znalazły się takie druki i rękopisma, których Załuski daremnie poszukiwał; znalazło się wiele i takich, które pierwszy raz dopiero poznano.

Jeden z takich lubowników schwytał pierwsze wydanie *Dworzanna* Górnickiego z nierozciętymi kartami, tak jak prosto wyszedł z pod prassy. Cóż to była za wrzawa między bibliomanami, co za podziw, jaka zazdrość i smutek zarazem!

Wśród zapału obudzonego przez Bentkowskiego, antykwaryusze rozbiegli się po kraju, dla zdobycia tyle pożądanego towaru. Ze strychów dworów ziemiańskich i zaścianków szlacheckich, równie jak mieszczańskich, z bibliotek klasztornych kurzawą okrytych, przechodziły stare gockie druki w ich ręce. W archiwach familijnych znajdowano drogocenne rękopisma i osobliwości bibliograficzne.

Tak uratowano wiele druków *Macieja Wirzbięty*, jednego z naj-sławniejszych drukarzy polskich, którego wydania odznaczały się ślicznym gotykiem i najdoskonalszą korektą. Znalazły się prawie wszystkie pisma *Reja*, *Marcina Bielskiego*, *Paprockiego*, przekłady mistrzowskie *Cypryana Bazylika* i wiele innych; zdobyto nawet nieznanne nikomu unikaty.

Zamiłowanie to do pamiątek dawnéj literatury, rozeszło się w kraju, po dworach nawet mniéj zamożnéj szlachty zaściankowej. Odebrano dzieciom foliały z drzeworytami którými się bawiły, mażąc palcami, albo drąc karty; przestano ich używać dla dobroci papieru pod masło, na papiloty lub do obwijania wędliny. Z tak zdefektowanych egzemplarzy składano jeden dobrze zachowany, bo bibliomani nasi skrzętnie i podarte w części książki z gotyckim drukiem nabywali, w nadziei ich uzupełnienia, i nieraz się im to szczęśliwie udawało.

Rozbudzony handel księgarski na tego rodzaju zabytki, poruszył w obieg nie mały kapitał. Powstało kilka zbiorów wielce szacownych jak Chyliczkowskiego i Świdzińskiego; potrafili oni zebrać niesłychane rzadkości, prawdziwe skarby starożytnéj literatury.

Dzieło Bentkowskiego zwróciło Tytusa hr. Działyńskiego, od miłośnictwa koni, do zbierania książek i rękopismów, i piękny tego owoc mamy w bogatéj jego bibliotece w Kórniku.

Bentkowski téż używał wielkiéj powagi pomiędzy literatami warszawskimi. Towarzystwo przyjaciół nauk wezwało go na swego członka, Uniwersytet Jagielloński nadał mu godność doktora filozofii. Ale miru nie miał pomiędzy studentami Uniwersytetu Warszawskiego.

Dobrego wzrostu, atletycznój budowy, miał głos silny, donośny, a surowe oblicze. Studenci bali się go, ale nie kochali jak Skrodzkiego i Brodzińskiego, dla jego szorstkiego obejścia, lubo cenili jego wykłady i naukę. Na lekcyi, wyrwawszy młodego *fuksa*, bo tak nazywano pierwszoletnich uczniów przybyłych ze szkół wojewódzkich, zapytał swoim tubalnym głosem:

— A proszę mi powiedzieć, czy rewolucya francuzka była po narodzeniu czy przed narodzeniem Chrystusa?

Student niedawno z prowincyi przybyły, zmieszany wywołaniem swoim, dosłyszawszy tylko ostatnie słowa professora, odrzekł drżącym głosem:

— Przed narodzeniem Chrystusa!

Ogólny śmiech zabrzmiał w całej sali. Bentkowski spojrział z ukosa na fuksa, czy czasem nie ma drwiącój miny, ale ten bezprzytomny prawie osunął się w ławkę.

Szmer nieprzychylny dla professora poszedł następnie, i tego rodzaju zapytania nie dawały Bentkowskiemu miru w gronie młodzieży.

Od roku 1818 objął katedrę w Uniwersytecie warszawskim, młody, liczący dopióro 26 rok życia Fryderyk hrabia Skarbek. Zaledwie ukazał się na niej, pozyskał zaraz ogólną miłość studentów.

Dzielna i energiczna jego wymowa, jasna i dobitna, wykład płynny, bo gruntownie znał swój przedmiot, zachwycały wszystkich. Do tego i domowe jego stosunki nie mało się przyłożyły. W tymże samym roku poślubił Praksedę Gzowską. Ojciec jej oburzony w najwyższym stopniu, że zięć jego *hrabia*, człowiek z tytułem i imieniem tak starożytnego rodu, mógł się poniżyć do takiego stopnia, że przyjął posadę *bakalarza*, usilnie się starał i namawiał córkę, aby męża który zhańbił swój herb porzuciła; ale rozumna kobieta nie usłuchała tak nierozważnych poszeptów. Szczegóły te były wiadome uczącej się młodzieży, to też tłumy jej zbiegały się, przepętniały sale, otaczając czcią i miłością ukochanego profesora.

Żywego usposobienia, pełen ognia i życia, sam młody, sympatyzował z młodzieżą. Zdarzały się okoliczności, że często miewał mowy publiczne jak w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, albo jak na pogrzebie Staszica.

Ludwik Osiński miewał dwie godziny w uniwersytecie wykładając kurs *literatury powszechnej*.

Podwórze uniwersytetu w czasie tych prelekcji, zapełniało się często karetami i pojazdami. Deklamacya ta wyborna Osińskiego, wabiła tak wszystkich, że najzapalensi romantycy, jak Antoni Edward Odyniec przybiegali na tę godzinę. Tu się też poznałem z nim po raz pierwszy.

W przeciwnym rogu tego gmachu na piętrze, wykladał Kazimierz Brodziński kurs *literatury polskiej*. Szczupłe grono młodzieży, co umiało całą wartość każdego słowa śpiewaka „Wiesława“ oceniać, otaczało ściśnionym wieńcem katedrę, ażeby nie utracić z tego, co słabym głosem odczytywał ukochany profesor. Nie było tu pięknej, ale czezej w rzeczy samej, deklamacyi jak u Osińskiego, ale gruntowne wystudowanie przedmiotu i sumienne opracowanie.

Jan Wincenty Bandtkie, dawny professor szkoły prawa z okresu księstwa warszawskiego, a zarazem notaryusz, wykladał *prawo polskie*. Nizkiego wzrostu, ułomny nieco, sływał z nauki i erudycyi w tym przedmiocie; ale wykład jego suchy i nie zajmujący, lubo wielce opracowany. Dla młodzieży był uprzejmy i z tego go powodu lubiono.

Był szczególny raz wypadek, że uczniowie nie przyszli na prelekcję jego i tylko dwóch było obecnych. Bandtkie miał właśnie polecenie od rektora, ażeby odczytał przypadającą lekcję. Spojrzawszy dokoła na pustki, nim zasiadł w katedrze, najprzód przemówił:

— W ustawie uniwersytetu jest, że jak trzech słuchaczy znajduje się w sali, prelekcya odbywać się może; gdy zaś niewyjaśniono czy ma być trzech uczniów i professor, czy tylko trzech wraz z professorem, więc zaczynam!

Po tych słowach zasiadł w katedrze i całą godzinę czytał.

Chemię wykladał Adam Kitajewski od pierwszego zawiązku uniwersytetu. Gdy wyjeżdżał za granicę zastępował go uczoney Pawłowicz professor mineralogii, a wykladał przedmiot jasno i dobitnie.

Kitajewski wielce był szanowany i kochany przez uczniów, gdyż im pomagał i nie nastawał na żadnego. Obiegali o nim różne dykteryjki, jedną z nich głośniejszą przywiode. Zobowiązany do poprawienia stopnia mniej pilnemu uczniowi, wezwał go Kitajewski do swego mieszkania. Odpoczywał właśnie po obiedzie z cybuchem w ustach, gdy wszedł student. Grzeczny gospodarz poprosił gościa siedzieć, poczęstował go fajką, wkrótce kawę podano. Nietracąc czasu i w dobrym humorze, przystąpił Kitajewski do osobliwego egzaminu, którego przybyły ani się domyślał.

— Widziałeś pan kiedy roślinę tytuniową?—zapytał professor.

— I owszem, w ogrodzie botanicznym są jój rozmaite gatunki, nieraz wysokości człowieka dosięga, jeśli przy wierzchołku nie jest złamana. Liście ma szerokie, kończate, wielkie, gęsto żyłkowate, i tłuste, a po okwitnieniu nasienie bardzo drobne i plenne.

— Dobrze, a zkad też on wziął się najpierw, gdzie to te liście na użytek przerabiają?

— Tytuń pochodzi z Ameryki, a ztamąd rozkrzewiony po całym świecie i fabryk też wszędzie pełno. U nas tytuń wyrabia fabryka *Powązkowska*.

Po krótkim milczeniu, spojrział znów wymownie Kitajewski na studenta, napił się kawy, mlasnął ustami smakosza, i rzekł:

— Hm! ta kawa ma dziś smak nie zły i zapach wyborny: to także nie nasze. Jak to się zwie kawa pierwszej dobroci?

— Mokko!

— To pewnie musi być mokka, ale co mianowicie pan myślisz, nadaje jój smak przewyborny i woń tak aromatyczną?

— Zapewne olejek aromatyczny który się nie ulotnił podczas prażenia a przytém i cukier.

— Masz pan słuszość, że w kawie i cukier coś znaczy. Ale *apropo* cukru; piszą że jakiś Anglik wynalazł świezo sposób otrzymywania cukru z siana. Bogu dzięki! cukier raz stanieje, a wynalazca z bogaci się i unieśmiertelni. Jak się panu zdaje, ile też na przykład z fury siana, możnaby otrzymać funtów cukru?

Zachwycony student, uważając dotychczasową gawędkę, tylko za potoczną rozmowę przed mającym się zacząć egzaminem, dopiero teraz domyślił się prawdziwego jój znaczenia, ze strony professora. Nie tracąc jednak fantazyi, odrzekł:

— A jaka to fura? pojedyncza czy parokonna?

— Niech będzie pojedyncza!

— Jeżeli pojedyncza, to wyda siedem funtów cukru.

— Przez jakiż to rachunek, doszedłeś pan tego tak szybko?

— Nic łatwiejszego. Dajmy na to, że fura pojedyncza siana kosztuje 21 złotych; że zaś funt cukru jest po trzy złote (taka cena jego była w owe czasy), zatém sprzedawszy siano za 21 zł., dostaniemy siedem funtów najlepszego cukru.

Ubawiła zacnego profesora ta odpowiedź studenta, i oznajmił mu że już po egzaminie, i że stopień spodziewany otrzyma.

Wykład chemii odbywał się w małym bez piętra domku, po lewej ręce w pobliżu samego korpusu pałacu Kazimirowskiego.

Professorowie jak szli na katedrę lub występowali w jakiej uroczystości przywdziewali zawsze togę granatową, podbitą jaśniejszą jedwabną kitajką téjże barwy.

Na czele uniwersytetu stał rektor ksiądz Szwejkowski, prawdziwy ojciec i opiekun młodzieży; to też kochany był i wielbiony powszechnie, otoczony szacunkiem wszystkich profesorów. Łączył on słodczy charakteru z nieporównanym taktem, względem studentów.

W głównym korpusie na pierwszym piętrze w samym pałacu Kazimirowskim, mieściła się biblioteka publiczna, obejmująca w ówczas do 120,000 tomów; pierwszy jej związek dał księgozbiór liceum warszawskiego, powiększyły ją następnie dary prywatnych osób, a najwięcej biblioteki po zniesionych klasztorach. Podzieloną była na polską i zagraniczną: pierwsza obejmowała około 25,000 druków, pomiędzy któremi znajdowały się osobliwości bibliograficzne, i zabytki sięgające XV wieku a rękopisma od XI stulecia. Przy bibliotece mieścił się gabinet rycin, po Stanisławie Augustie w r. 1815 kupiony a obejmujący do siedemdziesiąt osiem tysięcy sztuk, pomiędzy któremi odznaczały się: piórem dwie głowy *Rafaela*, kredą, *Correggia*, *Caraccia*, *Guida*, Michała Anioła, Pussina, Tycyana, Rubensa, Rembrandta, Dürera i wielu innych. Cały gabinet z późniejszymi nabytkami wynosił blisko sztuk 90,000. Zdobyły go popiersie marmurowe Stanisława Potockiego, dłuta Malińskiego i portrety uczonych polskich za Stanisława Augusta. Przełożonym nad tym zbiorem był Jan Piwarski znany z talentu artysta rysownik, zarówno jak i z prawości charakteru. Wykończył właśnie śliczne *album*, przedstawiające tak zewnątrz gmach *arsenału* przy ulicy Długiej jak i wnętrza sal, przystrojonych w rozmałą broń tak starożytną jak i nowocześnie.

Należy wspomnieć mieszczący się przy bibliotece gabinet medalów i starożytności, który dopiéro był w zawiązku i liczył około trzech tysięcy sztuk.

W gmachach Kazimirowskiego pałacu, nieznanne dla nas okazały się wystawy obrazów od r. 1819, na które się tłumy zbiegały. Z utworów pędzla jak zapamiętam chwalono powszechnie *Edypa z córką swoją Antygona*, Antoniego Brodowskiego, jednego z najzdolniejszych malarzy ówczesnych i profesora wydziału sztuk pięknych w uniwersytecie; portret mecenasa Ziemięckiego, dawnego jeszcze *palestranta* trybunału lubelskiego, przez jego syna wykonany, a szczególnieję téż całej młodzieży zwracały uwagę olejne dwa obrazki Samarego Suchodolskiego, wówczas adjutanta generała Wincentego Krasińskiego. Jeden przedstawiał Władysława Warneńczyka, w chwili ostatniej,

kiedy pieszo walczy; drugi zdobycie chorągwi wielkiej Mahometa 1683 roku.

Na wozie dwukolnym z chorągwią Mahometa, uchodzi z ogólnego pogromu Mufty, gdy przez oddział hussarzy skrzydlatych otoczony został. Zacięta walka wre w około, ale zwycięstwo już pewne przy hussarzach. Mufty w przerażeniu zastania się wielką księgą Alkoranu. W oddaleniu na dalekim planie, ukazywał się na bułanym rumaku Jan Sobieski z orszakiem swoim.

Warneńczyk nie tyle się podobał, gdyż w nim mniej było życia; jedna tylko postać rannego murzyna, jak się czołga z zakrzywionym *jataganem*, do zadania młodemu Jagiellończykowi śmiertelnego ciosu, ogólne wywoływała pochwały. Przed temi obrazkami, zawsze znajdowałaś wielką ciżbę. Ogół nasz znudzony Grekami i Rzymianami, chociaż chwalił prześlizchny utwór pędzla Brodowskiego i stawał z upodobaniem. Było to już wówczas uczucie téj potrzeby reformy w malarstwie, jaka się okazywać zaczęła w poezyi i pojęciach literackich ¹⁾.

Blizko pół wieku upłynęło od chwili owéj wystawy, a wrażenie tak żywe pozostało tych dwóch obrazków Suchodolskiego, że wszystkie szczegóły w nich zapamiętałem dokładnie.

Obszerny plac pałacu Kazimirowskiego, po spaleniu dawnych koszar Kadeckich, zabudowany wkrótce został sześciu nowemi pawilonami, w których mieścili się dawne liceum i uniwersytet, gabinety, biblioteka publiczna, oraz komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego, pod sterem prezydującego w niej ministra, a nadto niektorzy professorowie mieszkania bezpłatne mieli. W pawilonie po prawéj stronie wchodząc z ulicy, na dole zamieszkiwał Kazimierz Brodziński, i tu go pierwszy raz poznałem otoczonego stosami ksiąg starych. Z pałacu Kazimirowskiego śliczny widok na malowniczy krajobraz całej okolicy zawiślańskiej i przedmieścia Pragi. Ztąd przed oczyma patrzącego rozwijała się równina pół *Grochowa*, i gęstych a wielkich lasów *Wawru*; po prawéj ręce widziałeś *Saską-kepę*, miejscowość ulubioną przez lud warszawski.

W pobliżu tegoż pałacu wznosiły się na wzgórzu ruiny wspinałego niegdyś gmachu, zwane *Dynasami* albo *Dynasowskiém*. Tu w początkach XVII wieku stał obszerny modrzewiowy dwór, należący do zamożnej rodziny Godzkich. Kiedy ten dwór stał się pastwą

¹⁾ Oprócz wystaw obrazów czasowych, w gmachu tak zwanym *Tłumackie*, mieliśmy w dobie od r. 1816, stałą wystawę galerji Józefa Ossolińskiego, codziennie otwartą od 10 rana do południa, po obiedzie od czwartéj do ósméj. Zbiór ten obejmujący do pięćset sztuk, mieścił w sobie najpierwszych malarzy twory, jak Rembrandta, Teniersa, Corroggia, Pussina i wielu innych.

płomieni, a właścicielka Karolina Godzka oddała swą rękę słynnemu podówczas księciu Karolowi de Nassau, ten z ogromnym zbytkiem zaczął budować pałac, ale gdy zabrakło funduszów, gmach opuszczony poszedł w ruinę.

Miejsce to było ulubionem dla uczniów z liceum do przechadzki i rozrywki, tutaj wybiegali z klaszka także na *wagusy*, gdy który lekcji nie umiał, albo się uczyć nie chciał. Tu starsi wiekiem akademy, przygotowując się do egzaminów, wybierali sobie zaciszne kąty w ruinach, gdzie w spokoju i swobodnie oddawać się mogli naukom.

Na jednej linii w pobliżu *Dynasowskiego*, stoi pałac zwany *Ordynackim* (gdzie obecnie *Konserwatoryum Muzyczne*, staraniem Apolinarego Kąckiego założone i utrzymane). Nazwę swą wziął od tego, że w końcu XVII stulecia wystawił go Tomasz Zamoyski ordynat. W tym okresie do r. 1820 należał do Chodkiewiczów.

Wzniesiony na kilkopiętrowem podmurowaniu od strony Wisły, posiada najobszerniejsze w Warszawie piwnice. Dla zbiorowiska wody urządzono w ich wnętrzu sadzawkę; owóż lud naszego miasta zachował podanie, że na nią pływa księżniczka zczarowana w postaci kaczkki. Tradycya ta dała osnowę do wesotój farsy, którą na teatrze rozinaitości w gmachu Towarzystwa Dobroczyńności na Krakowskiem-Przedmieściu, po wielekroć grano z nie małym zadowoleniem zebranych widzów.

Idąc Krakowskiem-Przedmieściem, do kościoła Ś-go Krzyża, w poprzek ulicy stał wspaniały kościół księży *Dominikanów Obserwantów*; pamiętam go dobrze, bo go zwiedzałem wtedy, kiedy był przeznaczony do rozebrania. Plac po nim zakupił ówczesny minister stanu, Stanisław Staszic, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a wzniośszy gmach pięknym swoim kosztem, temuż Towarzystwu na własność podarował.

Z chęcińskiego marmuru wschody z żelaznemi poręczami, odlanymi w rękodzielni krajowej, wiodły na pierwsze piętro do wielkiej sali przeznaczonej na publiczne posiedzenia towarzystwa uczonych; zdobyły ją gustowne płaskorzeźby i sztukaterye, oraz popiersia: Jana Kochanowskiego, Sarbiewskiego, Albertrandego, Potockiego, Krasickiego i Naruszewicza.

Naprzeciwno miejsca dla członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk przeznaczonego, wznosił się obszerny amfiteatr, mogący pomieścić kilkaset osób.

Biblioteka Towarzystwa wynosiła do 22,000 t.; zdobyły ją portrety: Kopernika, Czackiego, Naruszewicza, Niemcewicza, Hołowozycza, Sapiehy, Bohusza i Dąbrowskiego. Gabinet mineralogiczny zawierał dwa zbiory, podług dwóch systematów, Haüy i Wernera ułożony, odznaczający się nie tak liczbą, jak pięknymi okazami, oraz liczny zbiór muszli.

Zabytków starożytności, z darów obywatelskich nie mały już zbiór zgromadzono; oprócz licznych popielnic, kości mamutowe w Polsce znalezione, głowy słoni, nosorożców, żubrów i inne szczątki zwie-

rząt w ziemi naszej wykopane lub w rzekach znalezione, tu przechowywano.

Oprócz tego piękny zbiór monet i medalów rzymskich i krajowych, wiele rycin drogocennych, oraz zbiór obrazów.

Na dole przy wschodach marmurowych w nyszach wielkiej sieni, stały: posąg Kazimierza Wielkiego, w ziemi znaleziony przy robieniu drogi w okolicy *Leśnowoli*, i posąg starożytniejszy, *Baby*, z Chęcin przywieziony a pochodzący z przedchrześcijańskich wieków. Przed gmachem Towarzystwa, w ostatnim roku naszego okresu, który myślą obejmujemy, stanął posąg Kopernika dłuta Thorwaldsena. Przy odkryciu jego w chwili gdy opony opadły, i okazała się postać cała wielkiego astronoma, ta okoliczność szczególniej była uderzającą wszystkich, że gdy dzień był chmurny i grożący ulewą, w owej chwili, słońce niespodzianie zajaśniało i głowę Kopernika blaskiem swych promieni oblało.

XVI.

Ulica Nowy-Świat.—Trzy Krzyże.—Alce.—Wiejska Kawa.—Rozdroże.—
Ujazdów.—Obserwatoryum astronomiczne.—Kazimierz Brodziński.—Jego
miłość i spowiedź.—Szubert.—Belweder.—Bagatela.—Szymon Chovot.—
Posąg Jana III.—Zdrój królowej Anny.—Łazienki królewskie.—Teatr letni.—
Porwanie Aspazyi.—Szkola podchorążych.—Pomarańczarnia.—Droga Jerozo-
limska.—Ulica Zakroczymska.—Ogród Rautenstraucha.—Zdrój.—Leszno.—
Kościół Karmelitów.—Ludność Warszawy.—Liczba kobiet.—Rozrost miasta.—
Tradycya o powstaniu Warszawy.—Przedmieście Praga.—Most pływający.—
Flisy i Oryle, ich podanie o Warszawie.—Wspomnienie.

Kiedy na początku naszego stulecia idąca ulica Nowy-Świat, świeciła pustkami, bo tylko jeden przy rogu Wareckiej ulicy znajdował się dom piętrowy, szumnie pałacem książąt Jabłonowskich nazwany, a dalej gdzieś kamieniczka, resztę zaś stanowiły drewniane dworki i parkany; po ustaleniu się pokoju od 1815 r., z początku zwolna, w następnych latach, szybko, zabudowywać się zaczęła.

Obszerne i wyniosłe gmachy stanęły po obu jej skrzydłach. Najpierw pomiędzy nimi odznaczał się dom Feliksa Bentkowskiego z dużym ogrodem. Mieszkania zaczęto w nich urządzać z przepychem na owe czasy niesłychanym, i obszernością swoją dziwiące. Były lokale na pierwszym piętrze złożone z kilkunastu pokoi, i te zaledwie ukończone, zaraz wynajęte zostały. Ulica ta najdłuższa ze wszystkich, już Warszawie nadawała pozór europejskiego miasta, i kończyła się dopiero na obszernej placu zwanym „Trzy Krzyże.“

Nazwa ta niewłaściwa, bo po prawdzie stoją tylko dwa krzyże, a wśród nich posąg Ś-go Jana Nepomucena. Krzyże te postawił marszałek Bieliński. na pamiątkę pokonanych trudności w zabrukowaniu ulic Warszawy. Starzy mieszczanie z Nowego-Miasta opowiadali mi, że był zwyczaj pilnie strzeżony, iż każdy chłopek przyjeżdżający do Warszawy musiał najmniej chociaż jeden kamień złożyć przy rogatce miejskiej, gdyż inaczej wpuszczonym nie został.

Przy Trzech Krzyżach stanął w tej dobie kościół Ś-go Aleksandra przez budowniczego Aignera, budowany w kształcie rotundy. Wymagała tego potrzeba parafian tej części Warszawy, która świątyni Pańskiej zupełnie pozbawioną była: kościółek bowiem przez Annę Jagiellonkę wzniesiony w miejscu gdzie stanął pałac Belwederski, rozebrano. Już on dla coraz liczniejszych parafian nie wystarczał, bo nie mógł nawet trzystu osób pomieścić. W nimto, słuchiwała mszy świętej letnią porą rodzina Burbonów, zamieszkując Łazienki.

Za Trzema Krzyżami, wprost idzie szeroka ulica zwana Aleę. Lipy w niej sadzone były za Augusta II-go. Po prawej ręce biegnie uliczka „Mokotowska,“ pusta, z samych dworków i ogrodów złożona; po lewej Wiejska, również pusta, ale co niedziele i święta ożywiona nadzwyczaj przez mieszkańców Warszawy, którzy tłumnie się zbierali do małego dworku drewnianego na wyborną kawę i poncz doskonały. Miejscowość ta nosiła nazwę „Wiejskiej Kawy.“

Latem mniej było ścisłu, ale zimową porą, szczególnie gdy się sanna ustaliła, od godziny drugiej po obiedzie do późnej nocy dzwonki ciągle dzwoniły, bo sanki bez przerwy przewoziły tu gości.

Pokoiki niskie i szczupłe, jak zazwyczaj we dworku drewnianym, przepełniały się mieszkańcami wszystkich warstw Warszawy. Najwyższa arystokracja, jak obywatele i zamożniejsi kupcy i rzemieślnicy tu się gromadzili. Do wyborniej kawy dodawano smaczne *baby*, doskonały poncz zaprawiano *anasami*. Każdego z tych napojów porczya kosztowała złoty ówczesny.

Wiejska Kawa należała do mody w tych czasach, a właściciel jej przyszedł do majątku.

Alee miały tylko kilka dworków; po lewej ręce odznaczał się domek bez piętra zwany pod *Karczochem*, bo na dachu miał jego wizerunek. Po prawej stronie, od wjazdu z miasta największy ogród był własnością Bandurowskich: słynął on z wybornych owoców.

Przejażdżka lub przechadzka na Wiejską Kawę albo w Alee, liczyły się za daleką wycieczkę za miasto, dla mieszkańców z okolicy Starego lub Nowego-Miasta.

W pobliżu ostatniego ogrodu stoi jeszcze jak i w owe czasy dom murowany zwany „Rozdroże.“ Na początku XVII stulecia zbiegały się w tém miejscu drogi ze wsi Ujazdowa, przy zejściu których stała karczma zwana „na Rozdrożu.“ Kiedy zakupił król Stanisław August te grunta wraz z gmachami Ujazdowa, wymurował w miejscu zwalonej karczmy domek bez piętra, a nazwa stara ludowa przyrosła do niego. Tu zawsze przemieszkiwała pani Grabowska, ile razy król z zamku przeniósł się na letnie mieszkanie do Łazienek.

Po przeciwniej stronie Alei i Rozdroża jest plac obszerny zwany Ujazdowem. Tu w odległych wiekach stał dworec letni księżąt Mazowieckich, i kronika jego przypomina napady Litwy i Rusi, których zagony po ten kres dobiegały. Wr. 1262 Mendog i Swarno, w Ujazdowie schwytali księcia Ziemowita i jego syna Konrada. W następnych latach po przyłączeniu Mazowsza do Korony, tu się odbywały wspaniałe dworskie zabawy.

W roku 1578, przy obchodzie zaślubin Jana Zamoyskiego, przedstawiono z przepychem *maszkary*, których pochodź przywodził na pamięć postacie mitologiczne, a brała w nich udział najznakomitsza krajowa młodzież. Wtedy zarazem w Ujazdowie w dniu 12 stycznia tegoż roku przedstawiono dramat Jana Kochanowskiego: *Odprawę Posłów*. Zamoyski wówczas podkanclerzy, dla uświetnienia swoich zaślubin, zapragnął oprócz *maszkar* i teatralnego widowiska. O tym utworze wielkiego poety wiedział podkanclerzy, dlatego list po liście wysyłał nagłąc Kochanowskiego o przystanie rękopismu. Dnia 21-go grudnia 1577 r. otrzymał w Czarnolesiu aż dwa razem listy Zamoyskiego, zabrał się więc co żywo do przepisania rozpoczętego, i zaraz nazajutrz, wykończywszy wysyła. W liście swoim, z wielką skromnością mówiąc o téj tragedyi, wspomina że na wzór greckich dał trzy chóry, i dodaje: „Nie wiem jak to w polskim języku brzmieć będzie.“ Przedstawienie w Ujazdowie w obec Stefana Batorego i jego małżonki Anny Jagiellonki, wywołało zarówno zachwyt jak i podziw, licznie zgroma-

dzonych widzów. Jan Kochanowski w swoim wiejskiem ustroniu, nie słyszał pochwał swego utworu, który jak sam wyraził się, przeznaczył: „molom na pokarm, albo na trąbki do apteki.“

Król Stanisław zabudowania Ujazdowa podarował miastu na koszarzy, które od r. 1809 zamieniono na szpital wojskowy, i odtąd nazwę przybrały „Ujazdowskiego Szpitala.“ W tym okresie dostawiono jeszcze kilka budynków murowanych, a dawniejsze tak starannie utrzymywano, że zakład ten, pod względem urządzenia i porządku, do wzorowych mógł się liczyć.

Gmachy Ujazdowa stoją na wyniosłym wzgórzu, obok nich idzie spadzista droga wiodąca do Łazienek królewskich. Z przeciwnéj jéj strony na podobnémże wzgórzu, jest Ogród Botaniczny i Obserwatorium Astronomiczne.

Obserwatorium gmach okazały, pokryty miedzianą kopułą, która się obraca na wszystkie strony. Kierował budową, i własną pracą i poświęceniem przyspieszył ukończenie jego Franciszek Armiński, professor astronomii w uniwersytecie, i piérwszy dyrektor tegoż Obserwatorium, które w r. 1825 już do użytku naukowego obrócone zostało.

Obserwatorium to, szczególnym wypadkiem wpłynęło przeważnie na życie i losy Kazimierza Brodzińskiego. Był on kolegą i przyjacielem Armińskiego. Kiedy ten nieraz jak prosty robotnik pracował, i ukończywszy budowę gmachu, ustawił wszystkie narzędzia astronomiczne, Brodziński z drugimi professorami uniwersytetu często odwiedzali go, ciesząc się wspólnie z tak pięknego zakładu naukowego. Siostra żony Armińskiego, Wiktorya Holly, szczególnie wywarła wrażenie na śpiewaka Wiesława. Średniego wzrostu, twarzy pociągłej, smukła i zgrabna, była to rzeczywiście powabna postać. Brodziński zakochał się w niéj namiętnie, a to uczucie coraz się potęgowało, gdy przez lat blisko dwa, ręki jéj otrzymać nie mógł. Miłość tę gwałtowną, łatwo możemy pojąć, gdy przypomnimy sobie sieroce wychowanie prawie od kolébki Brodzińskiego.

Nie pamiętał on uścisku matki swojej, do którój tak rzewnie tęsknił; przypominał sobie jéj tylko postać, jak spoczywała na katafalku; od dzieciennych lat nie doznał nigdy żadnéj oznaki przywiązania i miłości: zazdrościł jak sam wyznaje, gdy widział pieszczoły innych dzieci z ich matkami i siostrami. Zhodowany jak sierota, utraciwszy w dojrzałych latach na wyprawie do Moskwy 1812 roku, starszego brata Andrzeja, którego tyle miłował, z sercem pełném uczucia które tań w głébi; niedziwota, że gdy znalazł kobietę młodą i dorodną, co mogła je zrozumieć, pojąć i podzielić, pokochał ją piérwszą i prawdziwą miłością. Nie pewny jéj wzajemności, z wiosną 1825 r. wyjechał do Włoch, aby odetchnąć po dusznej miejskiéj atmosferze i troskach sercowych, które mu dojmowały, odrywając od ulubionych książek i pióra. Za powrotem ponowił staranie o rękę swojej bogdanki, która przyjmowała te zabiegi teraz miléj.

„Co to za głupia rzecz ta miłość (mówił już później do żyjącej pani Katarzyny z Lipińskich Lewockiej, gdy o tych czasach wspominał), jak mi przychodziło wchodzić do pokoju panny Wiktoryi, to mi serce biło jak młotem a ręka tak drżała, że nieraz musiałem się cofnąć aby nabrać animuszu i klamkę poruszyć. To już panna Wiktorya poznała moją nieśmiałość, i nieraz uśmiechając się sama mi drzwi otworzyła, przy których ja stojąc, oburącz za serce się trzymałem.“

Więść o zalotach Brodzińskiego corychłej zaczęła się rozbiegać pomiędzy młodzieżą akademicką, a do tego, że pan professor ma narzeczoną i o pewnych godzinach bywa w Saskim ogrodzie. Studenci jako młodzi, weseli, a kochający go serdecznie, zaczęli się zbierać gromadnie w tym ogrodzie, aby poznać przyszłą panią professorową. Raz idąc Saskim ogrodem, zatrzymali mnie koledzy w gromadkę zbici, wskazując nieznacznie na postać młodej kobiety siedzącej na ławce głównej alei.

Niedługo wszedł i nasz poeta, a zbliżywszy się do siedzącej w towarzystwie swoim, uklonił się i stojąc długo rozmawiał. Poczem zaczęli przechadzkę razem. Z bocznej alei spojrziałem na Brodzińskiego: nigdy rzetelniejszego wyrazu prawdziwej radości i wesela nie widział na obliczu jego, jak w ową porę. Postać pochylona zwykle, przybrała dawną żołnierską minę; postępował prędzszym krokiem i zajmującą widać prowadził rozmowę, bo z naszego grona kilku ciekawszych co się wysunęli w główną aleę, aby bliżej ujrzeć narzeczonych, nie widział wcale, chociaż zdejmowali przed nim czapki!

W tym samym roku poślubił Brodziński swoją narzeczoną.

Obserwatorium stoi prawie w środku Ogrodu Botanicznego, który przez dyrektora Szuberta urządony starannie, już zwracał uwagę lubowników i znawców, a zarazem ściągał licznych mieszkańców Warszawy do siebie. Były tam rośliny ze wszystkich części świata zgromadzone: katalog wydrukowany przez Szuberta, powszechnie lubionego i szanowanego, obejmował ich dziesięć tysięcy.

Część tę miasta zamykał i zdobił pałac Belwederem zwany, wzniesiony na miejscu Ujazdowskiego kościółka. Gmach obszerny i wygodny. Pamiętam dobrze, gdy na jego podwórzu zasadzano drzewa, które dziś już wyglądają jak starodrzewy, rozrosły się i cień bujny dają. Wprost Belwederu stał pałacyk z małym ogrodem, zwany „Bagatellą.“ Pierwotnie pusty grunt król Stanisław August, nadał prawem wieczystego dziedzictwa Marcellemu Bacciarrellemu malarzowi nadwornemu, który utworami swego pędzla ozdobił zamek warszawski; on tam urządził starannie to piękne ustroenie, wybudował willę i ogród dotąd istniejący założył. Po jego zgonie rodzina sprzedała Szymonowi Chovot. Był to jeden z najświetniejszych restauratorów, który zakład swój najprzód miał na Miodowej ulicy w pałacu pod filarami. Tu też potrafił zebrać znaczny majątek, albowiem do takiego rozgłosu przyszedł, że salony jego bywały codziennie pełne, chociaż potrawy podawano najdroższe. Nie-

tylko zamożniejsi mieszkańcy Warszawy, ale cała arystokracja i wszystka szlachta przybywająca do miasta, tłumnie odwiedzała francuzką restauracyą i hojnie płaciła. Poczciwi nasi hreczkosieje nieraz najgorzej na tém wychodzili, bo *jadło-spisy* były w języku francuzkim i nazwy dziwaczne potraw. Nie każdy znał je lubo znał ten język, to téż gdy z karty kazał sobie którą podać, sam nie wiedział co mu zastawią. Zaczny obywatel z pod Rawy, zgłodniały zasiadł u Chovota i tak nieszczęśliwie trafił, że musiał zjeść jajka na miękko, potem jajecznicę, a w końcu lekki omlecek. Grubo zapłaciwszy przeklął Francuza, i pobiegł na Bednarską ulicę pod *Białego Konika*, gdzie połknął dwa obiady z huzarską ulubioną pieczenią, poprzedzone dobrym kieliszkiem anyżówki, a zakończone butelką wybornego piwa *Kazmirusa*.

Nabytą po Bacciarellem willę, Chovot nazwał *Bagatellą* i w pałacyku dawnym wykwinął swoją otworzył restauracyę, ogród zaś urozmaicił w wieloliczne zabawy. Z początku tłumnie Warszawianie zbiegali się tutaj w niedziele szczególniej i święta. Wiejska Kawa dużo ucierpiała. Bawiło to gości, że mogli się wychuścić dobrze, i przeważyć własny ciężar, na wadze umyślnie potemu przygotowanój; ale szał ten po kilku latach przeminał. Wiejska Kawa wróciła do dawnój wziętości, a Chovot zawiedziony w nadziei stałego powodzenia, w r. 1821 puścił *Bagatellę* na loteryę i przegrał.

Dwie drogi wiodły do Łazienek królewskich, obiedwie spadziste: pierwsza parowem pomiędzy Ujazdowem a Ogrodem Botanicznym; druga koło pałacu Belwederskiego.

Prowadząca koło Ujazdowa była jedyną wówczas, gdy pałac Belwederski nie istniał i wiodła prosto na most, przy którym widzimy posąg konny kamienny króla Jana Sobieskiego, jak depece Turków obalonych zwyciężkim rumakiem. Po prawej stronie drogi wznosił się źródł czystej i smacznej wody zdrojowej. W roku 1781 Stanisław August zdrojowisko to ozdobnie urządzić kazał. Dawne miejscowe podanie mówi, że ztąd brano wodę dla Anny Jagiellonki siostry Zygmunta Augusta, a małżonki Stefana Batorego, gdy bawiła w Ujazdowie.

Pałac Łazienkowski stoi jakby na wyspie, bo ze wszystkich stron wodą oblany, to dwoma stawami obszernemi, to wązkimi kanałami. Nazwę swą otrzymał od *łaźni*, która tu od wieków istniała, bo jeszcze za udziałnych książąt Mazowieckich, a używanie łaźni było w powszechnym u nas zwyczaju, do czasów panowania Zygmunta III. Gdzie teraz park się rozciąga, był zwierzyniec ujazdowski zamku; przy nim dwór ze stajniami, łaźnią i sadzawką, tudzież ogród i sad słynny z wybornych owoców.

Po przyłączeniu Mazowsza do Korony, zwierzyniec z budynkami należał do królów polskich; dopiero go Jan Kazimierz darował w r. 1668 Teodorowi Denhoffowi podkomorzemu koronnemu, który go w dziewięć lat później sprzedał Lubomirskiemu, a od téj zamożnej rodziny w ostatku kupił Stanisław August w pierwszym roku wstąpie-

nia swego na tron polski. We dwadzieścia lat później wystawił tu wspaniały pałac i przyozdobił go zarówno malaturą i rzeźbą, jak obrazami i posągami.

W głównym pałacu zwracała uwagę pyszna *sala balowa*, z posągami z marmuru kolosalnej wielkości; druga z obrazami Bacciarellego: treścią ich dzieje Salomona, przy którym w otoczeniu zachowane zostały oblicza i postacie najpiękniejszych kobiet ówczesnych. W rotundzie środkowej stały posągi królów polskich z karraryjskiego marmuru, Kazimierza Wielkiego, Zygmunta I, Stefana Batorego i Jana III, z odpowiedniami napisami.

Zwierzciadła poumieszczane w salach były w ten sposób, że tak na moście posąg Jana Sobieskiego, jak teatr letni i bliższe piękne odbijały widoki.

Od frontu dziedziniec otwarty zdobią posągi i bijąca w górę fontanna. Po lewej stronie w pobliżu teatr na kępie, oddzielony kanałem od widzów, w pośród drzew okazałych, przedstawia ruiny Palmiry. Miejscem dla publiczności, gdzie się pomieścić mogło od 1200 do 1500 osób, jest amfiteatr w półkole wzniesiony; zdobią go u szczytu posągi cenniejszych mistrzów sztuki dramatycznej z różnych wieków i narodów. Gdy za czasów Stanisława Augusta przedstawiano tu świetne i kosztowne balety, w okresie naszym dawano opery przeplatane tańcami. Szczególniej uroczym wydawało się *Porwanie Aspazji* (z opery *Azur król Ormus*), kiedy gondole z muzyką i urodnymi dziewczynkami przepływały, a na statku którego maszty i pokład oświecały różnokolorowe latarnie, spoczywała omdlała Aspazja, otoczona świetnym dworem.

Na to widowisko tłum licznych zwolenników zbiegał ochoczo z miasta, w letnie miesiące, gdzie po dziennym skwarze znajdował tu miłą dla oka i ucha zabawę, a oddychał swobodnie balsamiczną wonią parku i napawał się chłodem letniej nocy.

Na stawie wprost fontanny pałacowej, pływało liczne stado białych łabędzi i tu się gnieździły. Kiedy wysiadywały młode, samce ze szczególną troskliwością czuwały nad nimi. Pamiętam gdy się jeden z oficerów zanadto zbliżył do wybrzeża, łabędź z taką natarczywością na niego uderzył, że musiał dobyć pałasza, ażeby uniknąć zajadłej napaści.

W różnych stronach parku łązienkowskiego rozrzucone są pałacyki i domki, gdzie krewni Stanisława Augusta i bliższe osoby z jego dworu przemieszkowały; takimi były: pałac *Biały*, *sala Chińska*, gmach kuchenny galeryą z królewskim pałacem połączony i dom *straży*.

Dla przybyłych gości z Warszawy istniała oberża wygodna, restauracja i kawiarnia.

Pomiędzy pałacem a mostem króla Jana III, po prawej ręce, w murowanym domu bez piętra, mieściła się *szkoła podchorążych*

(pieszych) ¹⁾. Od zjazdu ujazdowskiego na prawo stoi gmach piętrowy, zwany *pomarańczarnią*, gdzie urządzony jest teatr, na którym w uroczystości dworskie grywano zwykle opery, lub przedstawiano balety.

Od kościoła Św. Aleksandra, w tój dobie mało się tu osiedlano. Wytknięto tylko drogę *Jerozolimską* ku rogatkom i Wiśle i wysadzono wyniosłemi topolami. Miasto główną wagę brało zwykłym porządkiem z biegiem Wisły ku Marymontowi.

Na obszernej równinie ulica Zakroczymska gęsto zabudowana wysokimi kamienicami i gmachami, a poza niemi stynał piękny i obszerny ogród generała Rautenstraucha. Urządzony był ze smakiem: klomby drzew, stawy i wyspy, wybujałe drzewa go zdobyły. Tu w obszernym domu istniała restauracya i kawiarnia, gdzie także można było dostać i ponczu wybornego. W ogrodzie miałeś karuzele i chuśtawki rozmaitego rodzaju, dla rozrywki młodzieży. Przyjemne to ustronie licznie odwiedzane było przez mieszkańców Warszawy, nie tylko w święta, ale i dnie powszednie.

W przedłużeniu Zakroczymskiej ulicy, na prawo, bliżej Żoliborza pijarskiego, wznosiła się mała, kształtna, murowana budowla, z urządzonym źródłem. Woda z niego zalecała się wyborym smakiem i chłodem w letnią porę. Mieszkańcy Starego i Nowego miasta, jak i z poblizszych ulic, tłumnie czerpali ztąd napój tak zdrowy i jak ła czysty: w całym obrębie Warszawy nie było smaczniejszej wody i jedynie tylko źródł Anny Jagiellonki przy zjeździe ujazdowskim, mógł iść do współzawodnictwa. Miasto zawdzięczało ten źródł hojności Stanisława Augusta.

W tę stronę miasta ludność coraz większa napływała i niemasz wątpliwości, że w ciągu lat kilku byłaby ogarnęła i sam Marymont. Przewidywania te zawiodły, bo następnie główną wagę Warszawa wzięła od strony Trzech Krzyży, dotąd opuszczonej. Pomimo to, nowe budowle, gdy szybko wzrastały na Nowym Świecie, koło banku polskiego i ogromnego gmachu komisyi przychodów i skarbu, piękna i długa ulica Leszno do puściejszych należała. W tój miejscowości w pierwszej połowie XVII wieku, było miasteczko (Jurydyka) założone w roku 1648, przez Bogusława na Lesznie Leszczyńskiego, generała wielkopolskiego, który od swego nazwiska i od miasta dziedzicznego Leszna, w Wielkiem Księstwie Poznańskim, też nazwę swęj własności nadał.

¹⁾ Szkoła podchorążych konna pod zarządem pułkownika Czarnomskiego, była w pałacu Łubieńskich przy Królewskiej ulicy. Tu wspomnieć należy o szkołach wojskowych, jak szkole aplikacyjnej i artyleryi, które mieściły się na Miodowej ulicy, w konwikcie niegdyś pijarskim Konarskiego, gdzie później sął apelaacyjny i rejenci zajęli miejsce.

Warszawa pochłonęła to miasteczko i zamieniła w swoją ulicę: z niego jednakże utrzymywał się kościół Karmelitów, w r. 1732 poświęcony. W murach tutejszego klasztoru mieściło się od lat wielu więzienie do końca 1830 roku.

Gród nasz w pierwszej ćwierci tego stulecia dziwne przechodził koleje: ze stolicy Rzeczypospolitej, liczącej w roku 1792 przeszło sto dwadzieścia tysięcy ludności, zamieniony w prowincjonalne miasto pod panowaniem pruskim w r. 1805, miał tylko 68,411. Pałace i większe domy idą w pustkowie i ruinę, bo brakło stałych mieszkańców. Hotele jedynie i domy zajezdne dochód dobry dawały, bo ziemianie drogo zboże sprzedając, w Warszawie nie mało zostawiali grosza. Lubo to były ptaki przelotne, ale często miasto sobie ulubione odwiedzali.

Za wniśnięciem Napoleona I i powstania Księstwa Warszawskiego, chociaż Warszawa w nowych budowlach nic nie zyskała, ale puste dawne kamienice zaludniać się zaczęły: w roku 1810 liczy już 77,727, a w r. 1825 stałych mieszkańców 126,433. W tym okresie liczba kobiet albo się równoważyła, albo jak w roku 1824 przeważała mężczyzn o 997 głów.

Wielka różnica w tej dobie okazuje się też w napływie żydów i osiedlaniu się ich w Warszawie; gdy w roku 1807 zamieszkiwało stale do 9,000, w roku 1822 wzrasta do 27,115 ta cyfra.

W miarę rozszerzania się miasta, liczba kościołów zmniejszała, nie odpowiadając potrzebom duchowym jego obywateli. W ciągu lat dwudziestu niespełna, z liczby dwudziestu pięciu świątyń Pańskich, jużto większych, już mniejszych, zniesiono ośm, a przybył tylko jeden i to szczupły przy Trzech Krzyżach, Św. Aleksandra ¹⁾.

Kiedy mieszkańcy Starego i Nowego Miasta, jak i Krakowskiego Przedmieścia, mieli kościołów podostatkiem: tak na Nowym Świecie, który przybrał postać pierwszej ulicy Warszawy i całej tej połaci, jak z drugiej strony od Zakroczymskiej, stały zanadto odległe.

Największe życie odbijające się w części głównej Starój Warszawy, w granicach ostatnich po kościół Św. Krzyża, a kończące się w przeciwną stronę za kościołem Franciszkanów, teraz zwolna w tym obrębie zaczęło przygasać, a przenosiło się ku Nowemu Światu. Teatr narodowy na Krasińskim placu i ogród Krasińskich dawały przeszło lat dwadzieścia tej okolicy miasta przewagę: wszakże po urządzeniu ogrodu Saskiego i placu przed nim, już się ku nim gwar miejski pociągał.

¹⁾ Znióscono: 1) Św. Jerzego, przy ulicy Ś-to Jerskiej; 2) Teatynów, na Długiej ulicy; 3) Kościół Ś ej Trójcy, Brygidki przy zbrojowni; 4) Jezuitów przy Farze; 5) Karmelitki, gdzie Towarzystwo dobroczynności na Krakowskim Przedmieściu; 6) Dominikanów Obscrwanów; 7) Kościół ujazdowski; 8) Benonów.

Ogród Saski wabić zaczął cały świat modny do siebie. Położony więcej w środku miasta, daleko obszerniejszy z mnóstwem starodrzewu, wziął przewagę nad Krasińskim. Parady wojskowe na Saskim placu codziennie odbywane, ścigały wielką tu liczbę mieszkańców.

Warszawa traciła lubo z wolna wydane cechy swoje jako średniowieczne miasto, a pozbyła ich zupełnie wraz z obaleniem ostatnich zabytków dawnych warowni. Części oddzielne grodu Mazowsza zaczęły się zlewać harmonijnie w ścisłą całość, jak Starego Miasta z Krakowskim Przedmieściem, a tego z Nowym Światem.

W charakterystyce samego mieszczaństwa, już wybitne pokazywały się rysy i szczyrby: dzień za dniem znikwały ich typowe postacie. Tylko w procesjach, gdzie udział brały cechy miejscowe, spotykałeś wizerunki jeszcze przypominające oblicza, postawę i ubiór starych Warszawian z czasów Zygmuntońskich.

Dawna tradycya pomimo to miała gościnne przyjęcie u ogniska domowego, w rodzinach szewców, rybaków i rzeźników warszawskich, jak i obywateli-mieszczan, co po pradziadach nie opuścili tu swego gniazda.

Z upodobaniem ojcowie synom, a matki córkom powtarzały stare podanie o początku nazwiska Warszawy:

„Kiedyś! kiedyś! okalały Warszawę ogromne puszcze, nieprzebyte lasy i zapadłe knieje. Rad w nich polował Kazimierz król polski, ale odbiwszy się raz od orszaku swoich myśliwych, zabłąkał się i wycieńczony trudem, głodem i pragnieniem, zaledwie o północy ujrzał lepiankę zapadłą w ziemię, w której się świeciło z kominowego ognia. Kiedy wszedł do tej ubogiej chaty, znalazł w niej matkę, która świeżo bliźnięta powiła. Dobry król trzymał je do chrztu świętego, jedno z nich *War*, drugie *Sawa* nazwał. Hojnie rodziców obdarował, którzy też lepsze domostwo wybudowali sobie i gospodarzyli na kawale ziemi, jaki otrzymali od tego króla. Wnet przy nich zaczęło się więcej ludzi osiedlać tak, że powstało miasto, które od owych bliźniaków zostało nazwane *Warsawa*, jak ją dotąd mazury mianują.“

Przedmieście Praga po drugiej stronie Wisły położone, w tym okresie było lichą miejsciną. W roku 1794 spalone do szczytu, zachowało z tej kłęski ocalony kościół Dominikański, gdy w roku 1806 weszła armia francuzka. Jej inżynierja, pod względem strategicznym uważając tę świątynię za niedogodną, rozebrać ją kazała, zostawiając tylko małą kapliczkę dotąd stojącą. Na świadectwach cechów cieśli i stolarzy, stara Praga, w dawnym stanie jest przedstawiona. Z nich się okazuje, że była już miastem porządnem, posiadała kilka kościołów i wiele domów murowanych. Od roku 1815 zaczęła się nieco podnosić, ale ten wzrost był bardzo powolny. Tu się odbywały duże targi na bydło, a w piątek na konie do południa; po obiedzie, konie niesprzedane przeprowadzano do Warszawy na targ do Muranowa.

Pragę z Warszawą łączył most pływający na łyżwach. Niepewną i nietrwałą była ta komunikacya, gdyż przy każdym większym

przyborze wody na Wiśle, albo gdy lody na wiosnę puszczały, zbierano ten most i tylko promami i większemi krypami łączność utrzymywano. Gdy w owe czasy Podlasie główną było śpiżarnią Warszawy, cena produktów wszelkich nadzwyczajnie szła w taką porę wysoko, i wszyscy błagali Opatrzności, aby corychłój most mógł być przywrócony.

Praga, lubo często ulegała zalewom rozhukanój rzeki, miała jednak szerokie wybrzeża, bo prąd Wisły nie parł w tę stronę tak silnie. Pamiętam dobrze przed ogródkiem „Glińskich,“ gdzie się schodzono na wyborne raki i kurczęta, plac tak obszerny, że cały batalion piechoty wygodnie się mustrował.

Długo nie zalecało się nasze miasto ani oświetleniem, ani dobrymi brukami. Pierwszy Wojde prezydent, który zaczął szczerze myśleć o gwałtownych potrzebach miasta, i oile możności takowe zaspakajał. Dopiero w roku 1816 pokazały się pierwsze latarnie olejne, gdy przedtém, Pan Bóg tylko jasną nocą, lub księżycem na pogodnym niebie przyświecał Warszawianom. Wiele ulic dostało bruk i nie topiliśmy się w błocie. Po staremu jednakże na hasło pożaru, stróże nocni obchodząc ulice, przeraźliwém grzechotaniem rozszerzali trwogę, do czego przyczyniały się i odgłosy dzwonów kościelnych na gwałt bijących!

Wśród przemian i upięknień jakie Warszawa w tym okresie przechodziła, zapowiadając że ma prawo wyrość na wielkie miasto, i zająć miejsce pomiędzy europejskimi, rozległe wybrzeża Wisły jak i ulica Rybaki w niczém swój charakterystyki nie zmieniły od wielu wieków. Po staremu mieszkańcy tutejsi zajmowali się to rybołóstwem, to przewózką galarami, krypami, lub łodziami. Dla nich każde zerwanie mostu, lub zdjęcie go tylko, przynosiło piękny zarobek, bo wtedy wszystko co żyło brało się do wiosła, nie mogąc nadażyć licznym żądaniom przeprawy to z Warszawy na Pragę, to z Pragi do Warszawy. Wśród rybaków warszawskich, najgłośniejszą w tych czasach była rodzina Sitkiewiczów, zarówno zamożna jak szanowana powszechnie, a osiadła tu od niepamiętnych czasów. Z ojca na syna przechodziło u niej wraz z mieniem i zawodem, dobre i poczciwe imię.

Lubiłem błądzić po wybrzeżach ukochanój Wisły, od chwili gdy pękły lody i białe fale szumiły przez wiosnę i lato do późnój jesieni. Gwar miasta tu gasł, a majestatyczna cisza panowała w około, tylko ptastwo ją zamęcało, albo pokrzyk *retmana*, co na malój i kruchój łódce płynąc szybko, wiosłem jak buławą, wskazywał zdala za sobą płynącym flisakom wodny gościniec. Kiedy przybił do przystani i na ląd wyskoczył, ujrzałeś wtedy tratwy i galary pełne zboża i drzewa, jak w takt uderzając *drygawkami*, wskazaną drogą w jego ślady podążały.

Co za radość, kiedy dotknęli nogą ziemi, jakie życie w tych dziarskich zeglarzach!

Pomiędzy nimi i rybakami warszawskimi, inne krążyło podanie o początku nazwiska Warszawy.

W przystani bliżej mostu na wzgórzu, bo nad brzegiem Wisły, mieszkała przed laty *Ewa* uboga niewiasta, która oczekując od pierwszej wody ze skowronkiem, przybycia flisów z góry rzeki, miała zawsze gotowe sytne i smaczne dla nich potrawy, aby tylko do ognia przystawić. To też każdy retman zdala nawoływał:

„*Warz* (gotuj) *Ewa!* *Warz-Ewa!*“

I z tego zrobiła się Warszawa. Pomimo to, Mazury w piosnkach swoich, ulubione miasto pieszczotliwie nazywają *Warsewką* albo też *Warsęgą!*

Najpiękniejszy a dziwnie malowniczy obraz stawał przed oczyma w pomroce wieczornej, kiedy flisaki rozpalili ogniska na galarach i tratwach dla ugotowania sobie jadła na wieczrę. Zdawało się, że błędne ogniki migają z fal wody, a tu im wtórzy melodia ludowa, to na lipowych skrzypkach, to na fujarce, połączona z ochoczą pieśnią orylską.

Po dziennym skwarze, miły chłód na powieślu, świeżość powietrza, gra i śpiew tak prosty, a tak chwytający za serce, rozkoszą napaływały zawsze duszę młodą.

W tak uroczej chwili bez troski i kłopotliwej myśli, nad wybrzeżem białych fal twoich Wisło, snułem marzenia o błogięj przyszłości! Drogę jej, na pielgrzymkę światową, posypywała mi uśmiechnięta nadzieja, kwiatami pełnymi barwy i woni, nie ostrzegając wcale, że miejsce ich zajmą kołące ciernie i głogi!



nr. 395

PRZYPIŚ.

Przytaczamy różne podania o zabytkach warszawskich, jakie nas doszły: jeżeli niektóre okażą się mylne, chętnie je sprostujemy, gdy kto dokładniejsze da objaśnienie. Podujemy więc sprostowanie co do kamienicy *Roezlera* przechodniej na Krakowskiem Przedmieściu i *walów* naprzeciwko banku polskiego, nadesłane nam przez p. Wilhelma Kolberga.

„Dom *Roezlera* nr. 451 do *Radziejowskich* nie należał. Był to od r. 1500 dwór *Grzybowski*, w r. 1656 spalony. Nabył rumowisko w r. 1731 *Lupi* i wystawił pałac, który w r. 1750 przeszedł do *Małachowski*; był to budynek w dziedzińcu, od ulicy oddzielony bramą przedstawioną na rycinie „Placu przed *XX. Bernardynami*“ przez *Canaletto*. *Roezler* dopiero w r. 1784 ten pałac kupił i kamienicę jaką widzimy wystawił. Dwór *Radziejowski* był tam, gdzie później stała kamienica *Wizytkowska* nr. 389.

Wwały naprzeciw banku były częścią fortyfikacyi sypane, z rozkazu *Zygmunta III*, w r. 1621 po klęsce pod *Cecorą* dla obrony miasta; nie są więc zabytkiem zarazy morowej z r. 1712. Służyły jednak i do ubezpieczenia się od zarazy, która w roku 1622 w kraju panowała i w tym roku były uzupełniane. Pomimo to zaraza w r. 1624 i 1625 przeniosła się do miasta i wiele ludzi wówczas wymarło. W takimże celu odnawiane były te wwały w r. 1675 i 1677.”



II.1295

"V"

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Politechniki Warszawskiej

ND.0395



400000000136719